UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
STACKS

FARAON

PISMA
BOLESŁAWA PRUSA

TOM XII

FARAON

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

FARAON

POWIEŚĆ

TOM II

WYDANIE SIÓDME

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFEA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

7
G56f
v.2

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112.
1929.

891.85
G51
Of1929
v. 2

ROZDZIAŁ I.

Niedaleko miasta Pi-Bast znajdowała się wielka świątynia bogini Hator.

W miesiącu Paoni (marzec, kwiecień), w dniu porównania wiosennego, około dziewiątej w wieczór, gdy gwiazda Syrjusz miała się ku zachodowi, pod bramą świątyni stanęli dwaj podróżni kapłani i jeden pokutnik. Szedł on boso, miał popiół na głowie i był przykryty grubą płachtą, którą twarz zasłaniał.

Pomimo widnej nocy, fizjognomij podróżnych nie można było poznać. Stali bowiem w cieniu dwu olbrzymich posągów bóstwa z krowią głową, które pilnowały wejścia do świątnicy i łaskawemi oczyma strzegły nomesu Habu od pomoru, złego wylewu i południowych wiatrów.

Odpocząwszy nieco, pokutnik upadł piersiami na ziemię i długo modlił się. Potem podniósł się, ujął miedzianą kołatkę i uderzył. Potężny dźwięk metalowy obiegł wszystkie dziedzińce, odbił się od grubych murów świątyni i poleciał ponad łany pszenicy, nad gliniane chaty chłopów, nad srebrzyste wody

Liberal Arts Library
De Paul University

Nilu, gdzie słabym okrzykiem odpowiedziało mu zbudzone ptactwo.

Po długiej chwili, za bramą rozległ się szmer i pytanie:

— Kto nas budzi?

— Niewolnik boży, Ramzes — rzekł pokutnik.

— Po co przyszedłeś?

— Po światło mądrości.

— Jakie masz prawa?

— Otrzymałem niższe święcenie i na wielkich procesjach wewnątrz świątyni noszę pochodnię.

Brama szeroko otworzyła się. Na środku stał kapłan w białej szacie, który, wyciągnąwszy rękę, rzekł powoli i wyraźnie:

— Wejdź. Niech razem z przestąpieniem tego progu spokój boży zamieszka w twojej duszy i niech spełnią się życzenia, o które w pokornej modlitwie błagasz bogów.

Gdy pokutnik upadł mu do nóg, kapłan, czyniąc jakieś znaki nad jego głową, szeptał:

— W Imię Tego, który jest, był i będzie... Który wszystko stworzył... Którego tchnienie napełnia świat widzialny i niewidzialny i jest życiem wiecznem...

A gdy brama zamknęła się, kapłan wziął Ramzesa za rękę i wśród zmroku, pomiędzy ogromnemi kolumnami przysionka, zaprowadził go do przeznaczonego mieszkania. Była to mała celka, oświetlona kagankiem. Na kamiennej posadzce leżała wiązka suchej trawy, w kącie stał dzban wody, a obok — jęczmienny placek.

— Widzę, że tutaj naprawdę odpocznę po przyjęciach u nomarchów!.... — wesoło zawołał Ramzes.

— Myśl o wieczności — odparł kapłan i oddalił się.

Księcia niemile dotknęła ta odpowiedź. Pomimo, że był głodny, nie chciał jeść placka, ani pić wody. Usiadł na trawie i, patrząc na swoje pokaleczone w podróży nogi, pytał się: poco on tu przyszedł?... poco dobrowolnie wyzuł się ze swej dostojności?...

Widząc ściany celi i jej ubóstwo, przypomniał sobie chłopięce lata, spędzone w kapłańskiej szkole. Ile on tam dostał kijów!... ile nocy przepędził na kamiennej posadzce za karę!... Ramzes i teraz uczuł tę nienawiść i trwogę, jakiej wówczas doświadczał wobec surowych kapłanów, którzy na wszystkie jego pytania i prośby odpowiadali zawsze jednem: „Myśl o wieczności!...“

Po kilkumiesięcznym zgiełku wpaść w taką ciszę, zamienić dwór książęcy na ciemność i samotność, a zamiast uczt, kobiet, muzyki czuć dokoła siebie i nad sobą ciężar murów...

— Oszalałem!... oszalałem!... — mówił do siebie Ramzes.

Była chwila, że chciał opuścić świątynię natychmiast; ale potem przyszła mu myśl, że mogą nie otworzyć bramy. Widok brudnych nóg własnych, popiołu, który sypał mu się z włosów, szorstkość pokutniczej płachty — wszystko to napełniało go obrzydzeniem. Gdyby choć miał swój miecz!...

Ale czy w tem odzieniu i w tem miejscu ośmieliłby się go użyć?...

Uczuł niepokonany strach i to go otrzeźwiło. Przypomniał sobie, że bogowie w świątyniach zsyłają na ludzi trwogę i że ona ma być wstępem do mądrości.

— Jestem przecie namiestnikiem i następcą faraona — pomyślał — cóż mi tu kto zrobi?...

Podniósł się i wyszedł ze swej celi. Znajdował się w wielkim dziedzińcu, otoczonym kolumnami. Gwiazdy jasno świeciły, więc zobaczył — na jednym końcu podwórza olbrzymie pylony, na drugim otwarte wejście do świątyni.

Poszedł tam. Ode drzwi panował mrok, a gdzieś bardzo daleko płonęło kilka lamp, jakby unoszących się w powietrzu. Wpatrzywszy się, dojrzał między wejściem i światłami cały las gęsto ustawionych, grubych kolumn, których wierzchołki rozpływały się w ciemności. W głębi, może o paręset kroków od niego, niewyraźnie widać było olbrzymie nogi siedzącej bogini i jej ręce, oparte na kolanach, od których słabo odbijał się blask lamp.

Nagle usłyszał szmer. Zdaleka, z bocznej nawy, wysunął się szereg białych figurek, idących parami. Była to nocna procesja kapłanów, którzy oddawali hołd posągowi bogini, śpiewając na dwa chóry:

Chór I. „Ja jestem Tym, który niebo i ziemię stworzył i wszystkie na nich stworzenia zrobił".

Chór II. „Ja jestem Tym, który wody zrobił i wielką powódź stworzył, Tym, co wołu jego matce zrobił, który rodzicem jest".

Chór I. „Ja jestem Tym, który niebo stworzył i tajemnice widnokręgów jego i dusze bogów w nie włożyłem".

Chór II. „Ja jestem Tym, który, gdy oczy otwiera, jasno się robi, a gdy je zamyka, ciemność się staje".

Chór I. „Wody Nilu płyną, gdy rozkazuje..."

Chór II. „Ale bogowie nie znają jego imienia"*).

Głosy, z początku niewyraźne, potężniały tak, że słychać było każde słowo; a gdy zniknął orszak, zaczęły rozpraszać się między kolumnami, słabnąć... Wreszcie umilkły.

— A jednak ci ludzie — pomyślał Ramzes — nietylko jedzą, piją i zbierają bogactwa... Oni naprawdę spełniają służbę, nawet w nocy... Chociaż— co z tego przyjdzie posągowi!...

Książę nieraz widywał posągi bóstw granicznych, obrzucone błotem przez mieszkańców innego nomesu, albo postrzelane z łuków i proc przez żołnierzy cudzoziemskich pułków. Jeżeli bogowie nie obrażają się o zniewagi, niewiele także muszą dbać o modlitwy i procesje.

— Kto zresztą widział bogów!... — rzekł do siebie książę.

Ogrom świątyni, jej niezliczone kolumny, światła palące się przed posągiem, wszystko to pociągało Ramzesa. Chciał rozejrzeć się w tym tajemniczym bezmiarze i poszedł naprzód.

---

*) Autentyczne.

Wtem zdało mu się, że ztyłu głowy delikatnie dotknęła go jakaś ręka... Obejrzał się... Nie było nikogo, więc szedł dalej.

Tym razem jakieś dwie ręce schwyciły go za głowę, a trzecia, duża, oparła się na plecach...

— Kto tu jest?... — zawołał książę i rzucił się między kolumny.

Lecz potknął się i omal nie upadł: coś schwyciło go za nogi.

Ramzesa znowu opanował strach, większy niż w celi. Zaczął uciekać bez pamięci, potrącając się o kolumny, które zdawały się zastępować mu drogę, a ciemność ogarniała ze wszech stron.

— O święta bogini, ratuj!... — szepnął.

W tej chwili zatrzymał się: o kilka kroków przed nim były wielkie drzwi świątyni, przez które zaglądało gwiaździste niebo. Odwrócił głowę: między lasem olbrzymich kolumn płonęły lampy a blask ich słabo odbijał się od śpiżowych kolan świętej Hator.

Książę wrócił do swej celi, wzburzony i skruszony; serce rzucało się w nim, jak ptak schwytany w sidła. Pierwszy raz od wielu lat upadł twarzą na ziemię i gorąco modlił się o łaskę i przebaczenie.

— Będziesz wysłuchany!... — odezwał się nad nim słodki głos.

Ramzes nagle podniósł głowę, lecz w celi nie było nikogo: drzwi zamknięte, mury grube. Modlił się więc jeszcze goręcej i tak usnął, z twarzą na kamieniach, z rozkrzyżowanemi rękoma.

Kiedy na drugi dzień obudził się, był już innym człowiekiem: poznał moc bogów i otrzymał obietnicę łaski.

Od tej pory, przez długi szereg dni, z ochotą i wiarą oddawał się ćwiczeniom pobożnym. W swojej celi długie godziny spędzał na modlitwach, dał sobie ogolić włosy, przywdział strój kapłański i cztery razy na dobę uczęszczał do chóru najmłodszych kapłanów.

Jego życie przeszłe, wypełnione zabawami, budziło w nim odrazę, a niewiara, której nabył wśród rozpustnej młodzieży i cudzoziemców napełniała go strachem. I gdyby mu dziś dano do wyboru: tron czy kapłański urząd? — zawahałby się.

Pewnego dnia wielki prorok świątyni wezwał go do siebie, przypominając, że nie wszedł tu wyłącznie dla modłów, ale i dla poznania mądrości. Pochwalił jego pobożne życie, powiedział, że jest już oczyszczony z brudów świata, i kazał mu zapoznać się ze szkołami, istniejącemi przy świątyni.

Raczej przez posłuszeństwo, aniżeli ciekawość, książę prosto od niego udał się na zewnętrzny dziedziniec, gdzie mieścił się oddział czytania i pisania.

Była to wielka sala, oświetlona przez otwór w dachu. Na matach siedziało kilkudziesięciu nagich uczniów z woskowanemi tabliczkami w rękach. Jedna ściana była z gładkiego alabastru, przed nią stał nauczyciel i różnokolorowemi kredkami pisał znaki.

Gdy książę wszedł, uczniowie (prawie wszyscy jednego wieku z nim) upadli na twarz. Nauczyciel

zaś, skłoniwszy się, przerwał dotychczasowe zajęcie, aby wypowiedzieć chłopcom wykład o wielkiem znaczeniu nauki.

— Moi kochani! — mówił. — „Człowiek, który nie ma serca do mądrości, musi zajmować się pracą ręczną i męczyć oczy. Ale ten, kto rozumie wartość nauki i kształci się w nich, może osiągnąć wszystkie władze, wszystkie dworskie urzędy. Pamiętajcie o tem“ *).

Przypatrzcie się nędznemu życiu ludzi, którzy nie znają pisma. „Kowal jest czarny, posmolony, ma palce pełne nagniotków, a pracuje dzień i noc. Kamieniarz zrywa sobie ramię, ażeby napełnić żołądek. Murarz, budujący kapitele w formie lotosu, bywa strącany przez wicher ze szczytu dachu. Tkacz ma zgięte kolana, fabrykant broni ciągle podróżuje: ledwo przyjedzie do domu wieczorem, już musi go opuszczać. Malarzowi pokojowemu cuchną palce, a czas upływa mu na krajaniu gałganów. Zaś szybkobiegacz, ten, żegnając się z rodziną, powinien zostawić testament, bo naraża się na niebezpieczeństwo spotkania dzikich zwierząt albo i Azjatów.

„Pokazałem wam dolę różnych rzemiosł, bo chcę, ażebyście kochali sztukę pisania, która jest waszą matką, a teraz przedstawię wam jej piękności. Ona nie jest już pustem słowem na ziemi, ona jest ważniejszą od wszelkich innych zajęć. Ten, który korzysta ze sztuki pisania, jest szanowanym

---

*) Autentyczne.

od dzieciństwa; on spełnia wielkie posłannictwa. Lecz ten, który nie bierze w niej udziału, żyje w nędzy.

„Nauki szkolne są ciężkie, jak góry; ale jeden ich dzień wystarczy wam na całą wieczność. Więc prędko, jak najprędzej poznajcie się z niemi i pokochajcie... Stan pisarza jest książęcym stanem, jego kałamarz i księga dają mu przyjemność i bogactwa!...“

Po tej szumnej przemowie o dostojeństwie nauk, której od trzech tysięcy lat bez zmiany słuchali egipscy uczniowie, mistrz wziął kredkę i na alabastrowej ścianie zaczął pisać — alfabet. Każda litera wyrażała się zapomocą kilku symbolów hieroglificznych lub kilku znaków demotycznych. Rysunek oka, ptaka lub pióra oznaczał: *A*. Owca albo doniczka — *B*, człowiek stojący lub czółno — *K*, wąż — *R*, człowiek siedzący albo gwiazda — *S*. Obfitość znaków, wyrażających każdą literę, sprawiała, że nauka czytania i pisania była bardzo mozolnem zajęciem.

To też Ramzes zmęczył się samem słuchaniem, wśród którego jedyną rozrywkę stanowiło to, gdy nauczyciel kazał któremu z uczniów wyrysować lub nazwać literę i walił go kijem, gdy się omylił.

Pożegnawszy nauczyciela i wychowańców, książę ze szkoły pisarzów przeszedł do szkoły mierników. Tu uczono młodzież zdejmować plany pól, mających po największej części formę prostokątów, tudzież niwelować grunta zapomocą dwu łat i węgielnicy. W tym również oddziale wykładano sztukę

pisania liczb, niemniej zawikłaną od hieroglifów lub znaków demotycznych. Lecz najprostsze działania arytmetyczne stanowiły wyższy kurs i wykonywały się przy pomocy kulek.

Ramzes miał tego dosyć i dopiero po kilku dniach zgodził się odwiedzić szkołę lekarską.

Był to zarazem szpital, a raczej wielki ogród, zasadzony mnóstwem drzew i zasiany wonnemi ziołami. Chorzy całe dni przepędzali w powietrzu i słońcu, na łóżkach, w których zamiast materaców było wyciągnięte płótno.

Gdy książę wszedł tutaj, panowała największa czynność. Kilku pacjentów kąpało się w sadzawce wody bieżącej, jednego smarowano wonnemi maściami, jednego okadzano. Było kilku, których uśpiono zapomocą wzroku i pociągnięć rękoma; jeden jęczał po nastawieniu zwichniętej nogi.

Pewnej ciężko chorej kobiecie kapłan podawał w kubku jakąś miksturę, mówiąc:

„Chodź, leku, chodź, wypędź to z mego serca, z tych moich członków, silny w czary przy tym leku“ *).

Następnie książę, w towarzystwie wielkiego lekarza, poszedł do apteki, gdzie jeden z kapłanów przygotowywał lekarstwa z ziół, miodu, oliwy, skórek wężowych i jaszczurczych, kości i tłuszczów zwierzęcych. Na zapytanie Ramzesa laborant nie oderwał oczu od swej pracy. Tylko wciąż ważył i rozcierał materjały, odmawiając przytem modlitwę:

*) Autentyczne.

„Uzdrowiło *) Izydę, uzdrowiło Izydę, uzdrowiło Horusa... O Izydo, wielka czarodziejko, uzdrów mnie, wyzwól ze wszystkich złych, szkodliwych, czerwonych rzeczy, od gorączki boga i gorączki bogini...

„O Schauagat' eenagate synie! Erukate! Kauaruschagate!... Paparuka paparaka paparura...

— Co on mówi? — spytał książę.

— Tajemnica... — odparł wielki lekarz, kładąc palec na ustach.

Gdy wyszli na pusty dziedziniec, Ramzes rzekł do wielkiego lekarza:

— Powiedz mi, święty ojcze: co to jest sztuka lekarska i na czem polegają jej sposoby? Bo ja słyszałem, że choroba jest to zły duch, który osiedla się w człowieku i dręczy go z głodu, dopóki nie dostanie właściwej sobie żywności. I że jeden zły duch, czyli choroba, karmi się miodem, inny oliwą, a inny — zwierzęcemi odchodami. Lekarz więc powinien — naprzód wiedzieć: jaki duch zamieszkał w chorym, a następnie jakich ten duch potrzebuje pokarmów, ażeby nie trapił człowieka?...

Kapłan zamyślił się i odparł:

— Co to jest choroba i jakim sposobem spada na ludzkie ciało, o tem nie mogę powiedzieć ci, Ramzesie. Ale objaśnię ci, bo zostałeś oczyszczony, czem kierujemy się przy wydawaniu lekarstw.

Wyobraź sobie, że człowiek jest chory na wątrobę. Otóż my, kapłani, wiemy, że wątroba znaj-

*) Autentyczne.

duje się pod wpływem gwiazdy Peneter-Dewa *), i że leczenie musi zależeć od tej gwiazdy.

Lecz tu dzielą się mędrcy na dwie szkoły. Jedni twierdzą, że potrzeba choremu na wątrobę podawać wszystko to, nad czem Peneter-Dewa ma władzę, a zatem: miedź, lapis-lazuli, wywary z kwiatów, przedewszystkiem z werweny i walerjany, nareszcie różne części ciała turkawki i kozła. Inni zaś lekarze sądzą, że gdy wątroba jest chora, to właśnie trzeba ją leczyć środkami przeciwnemi. A ponieważ przeciwnikiem Peneter-Dewy jest Sebeg **), więc lekarstwami będą: żywe srebro, szmaragd i agat, leszczyna i podbiał, tudzież części ciała żaby i sowy, utarte na proszek.

Lecz nie jest to jeszcze wszystko. Trzeba bowiem pamiętać o dniu, miesiącu i porze dnia, każdy bowiem z tych okresów czasu zostaje pod wpływem gwiazdy, która może wspierać lub osłabiać działanie lekarstwa. Trzeba nareszcie pamiętać: jaka gwiazda i jaki znak Zodjaku panuje nad chorym? Dopiero, gdy lekarz wszystkie te rzeczy weźmie pod uwagę, może przepisać środek niezawodny.

— I czy wszystkim chorym pomagacie w świątyni?...

Kapłan potrząsł głową.

— Nie — rzekł. — Umysł ludzki, który musi ogarnąć tyle szczegółów, o jakich mówiłem, bardzo

---

*) Planeta Wenus.

**) Planeta Merkury.

łatwo myli się. A co gorsza, duchy zawistne, genjusze innych świątyń, zazdrosne o swoją sławę, niejednokrotnie przeszkadzają lekarzowi i psują skutek lekarstw. Ostateczny więc wypadek może być rozmaity: jeden chory całkiem przychodzi do zdrowia, inny tylko poprawia się, a trzeci pozostaje bez zmiany. Choć zdarzają się i tacy, którzy rozchorowują się jeszcze gorzej, albo nawet umierają... Wola bogów!...

Książę słuchał z uwagą, w duchu jednak przyznał, że niewiele rozumie. Zarazem przypomniał sobie cel swojego przybycia do świątyni i nagle zapytał wielkiego lekarza:

— Mieliście, święci ojcowie, pokazać mi tajemnicę skarbu faraona. Czy mają nią być te rzeczy, które widziałem?...

— Bynajmniej — odpowiedział lekarz. — Ale my nie znamy się na rzeczach państwowych. Dopiero ma tu zjechać święty kapłan Pentuer, wielki mędrzec, i on zdejmie z oczu twoich zasłonę.

Ramzes pożegnał lekarza, jeszcze bardziej zaciekawiony tem, co miano mu pokazać.

ROZDZIAŁ II.

Świątynia Hator z wielką czcią przyjęła Pentuera, a niżsi jej kapłani wyszli na pół godziny drogi, aby powitać znakomitego gościa. Zjechało się wielu proroków, ojców świątyń i synów bożych, ze wszystkich cudownych miejsc Dolnego Egiptu, w celu usłyszenia słów mądrości. W parę dni po

nich przybyli: arcykapłan Mefres i prorok Mentezufis.

Składano Pentuerowi hołdy, nietylko że był doradcą ministra wojny i, bez względu na młody wiek, członkiem najwyższego kolegjum, ale że kapłan ten miał sławę w całym Egipcie. Bogowie dali mu nadludzką pamięć, wymowę i nadewszystko cudny dar jasnowidzenia. W każdej bowiem rzeczy i sprawie dostrzegał strony przed innymi ludźmi ukryte i umiał przedstawić je w sposób zrozumiały dla wszystkich.

Niejeden nomarcha lub wysoki urzędnik faraona, dowiedziawszy się, że Pentuer ma celebrować uroczystość religijną w świątyni Hator, zazdrościł najskromniejszemu kapłanowi, że usłyszy natchnionego przez bogów człowieka.

Duchowni, którzy na gościniec wyszli witać Pentuera, byli pewni, że dostojnik ten ukaże im się na wozie dworskim, albo w lektyce niesionej przez ośmiu niewolników. Jakież było ich zdziwienie, gdy ujrzeli chudego ascetę, z obnażoną głową, który, odziawszy się w grubą płachtę, sam jeden podróżował na oślicy i przywitał ich z wielką pokorą.

Gdy go wprowadzono do świątyni, złożył ofiarę bóstwu i natychmiast udał się na obejrzenie placu, gdzie miała się odbyć uroczystość.

Od tej pory nie widziano go, ale w świątyni i przyległych jej podwórzach zapanował ruch niezwykły. Zwożono rozmaite sprzęty kosztowne, ziarna, ubiory, spędzono kilkuset chłopów i robotników,

z którymi Pentuer zamknął się w przeznaczonym dziedzińcu i robił przygotowania.

Po ośmiu dniach pracy zawiadomił arcykapłana Hatory, że wszystko jest gotowe.

Przez cały ten czas książę Ramzes, ukryty w swej celi, oddawał się modlitwom i postom. Nareszcie pewnego dnia o trzeciej popołudniu, przyszło po niego kilkunastu kapłanów, uszykowanych we dwa szeregi, i wezwali go na uroczystość.

W przysionku świątyni powitali księcia arcykapłani i wespół z nim spalili kadzidła przed olbrzymim posągiem Hatory. Potem skręcili w boczny korytarz, ciasny i niski, na którego końcu płonął ogień. Powietrze korytarza było przesycone wonią smoły, gotującej się w kotle.

W sąsiedztwie kotła, przez otwór w posadzce wydobywał się okropny jęk ludzki i przekleństwa.

— Co to znaczy?... — spytał Ramzes jednego z idących przy nim kapłanów.

Zapytany nic nie odpowiedział; na twarzach wszystkich obecnych, o ile je można było dojrzeć, malowało się wzruszenie i przestrach.

W tej chwili arcykapłan Mefres wziął do ręki wielką łyżkę i, zaczerpnąwszy z kotła gorącej smoły, rzekł podniesionym głosem:

— Tak niech ginie każdy zdrajca świętych tajemnic!...

To powiedziawszy, wlał smołę w otwór posadzki, a z podziemi odezwał się ryk...

— Zabijcie mnie... jeżeli w sercach macie choć drobinę miłosierdzia!... — jęczał głos.

— Niech ciało twe stoczą robaki!... — rzekł Mentezufis, wlewając roztopioną smołę w otwór.

— Psy... szakale!... — jęczał głos.

— Niech serce twoje będzie spalone, a proch wyrzucony na pustynię... — mówił następny kapłan, powtarzając ceremonję.

— O bogowie!... czyliż można tyle cierpieć!— odpowiedziano z podziemi.

— Niech dusza twoja, z wizerunkiem swej hańby i występku, błąka się po miejscach, gdzie żyją ludzie szczęśliwi... — rzekł inny kapłan i znowu wlał łyżkę smoły.

— Oby was ziemia pożarła!... Miłosierdzia!... dajcie mi odetchnąć...

Nim przyszła kolej na Ramzesa, głos w podziemiach już umilkł.

— Tak bogowie karzą zdrajców!... — rzekł do księcia arcykapłan świątyni.

Ramzes zatrzymał się i wpił w niego pełne gniewu spojrzenie. Zdawało się, że wybuchnie i porzuci tę gromadę katów; ale — uczuł strach boży i w milczeniu poszedł za innymi.

Teraz dumny następca zrozumiał, że jest władza, przed którą uginają się faraonowie. Ogarnął go prawie rozpacz, chciał uciec stąd, wyrzec się tronu... Ale tymczasem milczał i szedł dalej, otoczony kapłanami, śpiewającymi modlitwy.

— Oto już wiem — myślał — gdzie podziewają się ludzie niemili sługom bożym!...

Refleksja ta nie zmniejszyła jego zgrozy.

Opuściwszy wąski korytarz, pełen dymu, prze

cesja znowu znalazła się pod otwartem niebem, na wzniesieniu. Poniżej leżał ogromny dziedziniec, z trzech stron, zamiast muru, otoczony parterowym budynkiem. Od tego miejsca, gdzie stali kapłani, spuszczał się rodzaj amfiteatru o pięciu szerokich kondygnacjach, po których można było przechadzać się wzdłuż dziedzińca, lub zejść na dół.

Na placu nie było nikogo, ale z budynków wyglądali jacyś ludzie.

Arcykapłan Mefres, jako najdostojniejszy w tem gronie, przedstawił księciu Pentuera. Łagodna twarz ascety tak nie godziła się z okropnościami, jakie się działy w korytarzu, że książę zdziwił się. Ażeby cośkolwiek powiedzieć, rzekł do Pentuera:

— Wydaje mi się, że już kiedyś spotkałem was, pobożny ojcze?

— W roku zeszłym na manewrach pod Pi-Bailos. Byłem tam przy jego dostojności Herhorze— odparł kapłan.

Dźwięczny i spokojny głos Pentuera zastanowił księcia. On już gdzieś słyszał i ten głos, w jakichś niezwykłych warunkach... Ale kiedy i gdzie?...

W każdym razie kapłan zrobił na nim przyjemne wrażenie. Gdybyż mógł zapomnieć krzyków człowieka, którego oblewano wrzącą smołą!...

— Możemy zaczynać — odezwał się arcykapłan Mefres.

Pentuer wysunął się na przód amfiteatru i klasnął w ręce. Z parterowych budynków wybiegła gromada tancerek i wyszli kapłani z muzyką, tu-

dzież niewielkim posągiem bogini Hator. Muzyka szła naprzód, za nią tancerki, wykonywające święty taniec, wreszcie posąg, otoczony dymem kadzideł. W ten sposób obeszli dokoła dziedziniec i, zatrzymując się co kilka kroków, prosili bóstwa o błogosławieństwo, a złych duchów o opuszczenie miejsca, gdzie ma odbyć się pełna tajemnic uroczystość religijna.

Gdy procesja wróciła do budynków, wystąpił Pentuer. Obecni dostojnicy, w liczbie dwudziestu lub trzydziestu osób, skupili się dokoła niego.

— Z woli jego świątobliwości faraona — zaczął Pentuer — i za zgodą najwyższych władz kapłańskich, mamy wtajemniczyć następcę tronu, Ramzesa, w niektóre szczegóły życia państwa egipskiego, znane tylko bóstwom, rządcom kraju i świątyniom. Wiem, dostojni ojcowie, że każdy z was lepiej objaśniłby młodego księcia o tych rzeczach, albowiem napełnia was mądrość, a bogini Mut przemawia przez wasze usta. Że jednak na mnie, który, wobec was, jestem tylko uczniem i prochem, spadł ten obowiązek, pozwólcie, abym go spełnił, pod waszym czcigodnym kierunkiem i dozorem.

Szmer zadowolenia rozległ się między uczczonymi w taki sposób kapłanami. Pentuer zwrócił się do księcia:

— Od kilku miesięcy, sługo boży, Ramzesie, jak zbłąkany podróżny szuka drogi w pustyni, tak ty szukasz odpowiedzi na pytanie: dlaczego zmniejszyły się i zmniejszają dochody świątobliwego faraona? Zapytywałeś nomarchów, a choć objaśnili

cię wedle swojej możności, nie zadowolniłeś się, pomimo, że najwyższa mądrość ludzka jest udziałem tych dostojników. Zwracałeś się do wielkich pisarzów, lecz pomimo usiłowań, ludzie ci, jak ptaki z sieci, sami nie mogli wyplątać się z trudności, gdyż rozum człowieka, nawet ukształconego w szkole pisarzów, ogromu tych rzeczy ogarnąć nie jest w stanie. Wkońcu, zmęczony jałowemi objaśnieniami, zacząłeś przyglądać się gruntom nomesów, ich ludziom i dziełom ich rąk, ale nic nie dojrzałeś. Są bowiem rzeczy, o których ludzie milczą, jak kamienie, ale o których opowie ci nawet kamień, jeżeli padnie na niego światło bogów.

Gdy tym sposobem zawiodły cię wszystkie ziemskie rozumy i potęgi, zwróciłeś się do bogów. Boso, z głową posypaną popiołem, przyszedłeś, jako pokutnik, do tej wielkiej świątyni, gdzie zapomocą modlitw i umartwień, oczyściłeś ciało swoje, a wzmocniłeś ducha. Bogowie, a w szczególności potężna Hator wysłuchała twych próśb i przez niegodne moje usta da ci odpowiedź, którą obyś głęboko zapisał w sercu!

„Skąd on wie — myślał tymczasem książę — że ja wypytywałem pisarzów i nomarchów? Aha, powiedział mu o tem Mefres i Mentezufis... Zresztą oni wszystko wiedzą!...“

— Posłuchaj — mówił Pentuer — a odsłonię ci, za pozwoleniem obecnych tu dostojników: czem był Egipt czterysta lat temu, za panowania najsławniejszej i najpobożniejszej dynastji 19-ej, tebańskiej, a czem jest dziś...

Kiedy pierwszy faraon tamtej dynastji, Ramenpehuti Ramessu, objął władzę nad krajem, dochody skarbu państwa w zbożu, bydle, piwie, skórach, kruszcach i rozmaitych wyrobach wynosiły sto trzydzieści tysięcy talentów. Gdyby istniał naród, który wszystkie te towary mógłby nam wymienić na złoto, faraon miałby rocznie sto trzydzieści trzy tysiące min *) złota. A że jeden żołnierz może dźwigać na plecach 26 min ciężaru, więc dla przeniesienia tego złota trzebaby użyć około pięciu tysięcy żołnierzy.

Kapłani zaczęli szeptać między sobą, nie ukrywając zdziwienia. Nawet książę zapomniał o człowieku zamęczonym w podziemiach.

— Dziś — mówił Pentuer — roczny dochód jego świątobliwości, we wszystkich produktach tej ziemi, wart jest tylko dziewięćdziesiąt osiem tysięcy talentów. Za co możnaby dostać tyle złota, że do przeniesienia go potrzebaby tylko czterech tysięcy żołnierzy.

— O tem, że dochody państwa bardzo zmniejszyły się, wiem — wtrącił Ramzes — ale dlaczego?

— Bądź cierpliwym, sługo boży — odparł Pentuer. — Nietylko dochód jego świątobliwości uległ zmniejszeniu....

Za 19-ej dynastji, Egipt miał pod bronią sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Gdyby za sprawą bogów, każdy ówczesny żołnierz zamienił się w kamyk wielkości winnego grona...

— To być nie może — szepnął Ramzes.

*) Mina = $1^1/_2$ kilograma.

— Bogowie wszystko mogą — surowo rzekł arcykapłan Mefres.

— Albo lepiej — mówił Pentuer — gdyby każdy żołnierz położył na ziemi jeden kamyk, byłoby sto osiemdziesiąt tysięcy kamyków i, spojrzyjcie, dostojni ojcowie, kamyki te zajęłyby tyle miejsca...

Wskazał ręką czerwonawej barwy prostokąt, który leżał na dziedzińcu.

— W tej figurze mieściłyby się kamyki, rzucone przez każdego żołnierza z czasów Ramzesa I-go. Figura ta ma dziewięć kroków długości i około pięciu szerokości. Figura ta jest czerwona, ma barwę ciała Egipcjan, gdyż w owych czasach wszyscy nasi żołnierze składali się tylko z Egipcjan...

Kapłani znowu zaczęli szeptać. Książę sposępniał, zdawało mu się bowiem, że jest to przymówka do niego, który lubił cudzoziemskich żołnierzy.

— Dziś — ciągnął Pentuer — z wielkim trudem zebrałoby się sto dwadzieścia tysięcy wojowników. Gdyby zaś każdy z nich rzucił na ziemię swój kamyk, możnaby utworzyć taką oto figurę... Patrzcie, dostojni..

Obok pierwszego, leżał drugi prostokąt, mający tę samą wysokość, ale znacznie krótszą podstawę. Nie miał też barwy jednolitej, lecz składał się z kilku pasów różnego koloru.

— Ta figura ma około pięciu kroków szerokości, lecz długa jest tylko na sześć kroków. Ubyła więc państwu ogromna ilość żołnierzy, trzecia część tej, jaką posiadaliśmy.

— Państwu więcej przyda sie mądrość takich,

jak ty, proroku, aniżeli wojsko — wtrącił arcykapłan Mefres.

Pentuer skłonił się przed nim i mówił dalej:

— W tej nowej figurze, przedstawiającej dzisiejszą armję faraonów, widzicie, dostojni, obok barwy czerwonej, która oznacza rodowitych Egipcjan, jeszcze trzy inne pasy: czarny, żółty i biały. Przedstawiają one wojska najemnicze: Etjopów, Azjatów i Libijczyków, tudzież Greków. Jest ich razem ze trzydzieści tysięcy, ale kosztują tyle, co pięćdziesiąt tysięcy Egipcjan...

— Należy czem prędzej znieść obce pułki!... — rzekł Mefres. — Drogie są, nieprzydatne, a uczą nasz lud bezbożności i zuchwalstwa. Dziś już wielu Egipcjan nie pada na twarz przed kapłanami, ba! niejeden posunął się do kradzieży w świątyniach i grobach...

— Zatem precz z najemnikami... — mówił zapalczywie Mefres. — Kraj ma z nich same szkody, a sąsiedzi podejrzewają nas o nieprzyjacielskie zamysły...

— Precz z najemnikami!... Rozpędzić buntowniczych pogan!... — odezwali się kapłani.

— Gdy po latach, Ramzesie, wstąpisz na tron — mówił Mefres — spełnisz ten święty obowiązek względem państwa i bogów...

— Tak, spełnij!... Uwolnij twój lud od niewiernych!... — wołali kapłani.

Ramzes pochylił głowę i milczał. Krew uciekła mu do serca, czuł, że ziemia chwieje się mu pod nogami.

On ma rozpędzić najlepszą część wojska!... On, który chciałby mieć dwa razy większą armję i ze cztery razy tyle walecznych pułków najemnych!....

„Bez miłosierdzia są nade mną!...“ pomyślał.

— Mów, z nieba zesłany Pentuerze — odezwał się Mefres.

— Tak więc, święci mężowie — ciągnął Pentuer — poznaliśmy dwa nieszczęścia Egiptu: zmniejszyły się dochody faraona i jego armja...

— Co tam armja!... — mruknął arcykapłan, pogardliwie wstrząsając ręką.

— A teraz za łaską bogów i waszem zezwoleniem okażę wam: dlaczego tak się stało i z jakich powodów skarb i wojska będą zmniejszały się w przyszłości.

Książę podniósł głowę i patrzał na mówiącego. Już nie myślał o człowieku, mordowanym w podziemiach.

Pentuer przeszedł kilkanaście kroków wzdłuż amfiteatru, za nim dostojnicy.

— Czy widzicie u stóp waszych ten długi a wąski pas zieloności, zakończony szerokim trójkątem? Po obu stronach pasa leżą wapienie, piaskowce i granity, a za niemi obszary piasku. Środkiem płynie struga, która w trójkącie rozdziela się na kilka odnóg...

— To Nil!... To Egipt!... — wołali kapłani.

— Uważajcie-no — przerwał wzruszony Mefres. — Obnażam rękę... Czy widzicie te dwie niebieskie żyły, biegnące od łokcia do pięści?... Nie jest-że to Nil i jego kanał, który poczyna się na-

przeciw gór Alabastrowych i płynie aż do Fayum?... A spojrzyjcie na wierzch mojej pięści: jest tu tyle żył, na ile odnóg dzieli się święta rzeka za Memfisem. A moje palce, czyliż nie przypominają liczby odnóg, któremi Nil wlewa się do morza?...

— Wielka prawda!... — wołali kapłani, oglądając swoje ręce.

— Otóż mówię wam — ciągnął rozgorączkowany arcykapłan. — Że Egipt jest... śladem ręki Ozyrisa... Tu na tej ziemi wielki bóg oparł rękę: w Tebach leżał jego boski łokieć, morza dosięgnęły palce, a Nil jest jego żyłami... I dziwić się, że ten kraj nazywamy błogosławionym!

— Oczywiście — mówili kapłani: — Egipt jest wyraźnym odciskiem ręki Ozyrisa...

— Czyliż — wtrącił książę — Ozyris ma siedem palców u ręki? Bo przecie Nil siedmiu odnogami wpada do morza...

Nastało głuche milczenie.

— Młodzieńcze — odparł Mefres z dobrotliwą ironją — czy sądzisz, że Ozyris nie mógłby mieć siedmiu palców, gdyby mu się tak podobało?...

— Naturalnie!... — potakiwali kapłani.

— Mów dalej, znakomity Pentuerze — wtrącił Mentezufis.

— Macie słuszność, dostojnicy—zaczął znowu Pentuer. — Ta struga, ze swemi rozgałęzieniami, jest obrazem Nilu: wąski pasek murawy, obsaczony kamieniami i piaskiem, to Egipt Górny, a ten trójkąt, poprzecinany żyłkami wody, to wizerunek

Egiptu Dolnego, najobszerniejszej i najbogatszej części państwa.

Otóż w początkach 19-ej dynastji, cały Egipt, od katarakt Nilowych do morza, obejmował pięćset tysięcy miar ziemi. Zaś na każdej miarze ziemi żyło szesnastu ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. Lecz przez czterysta lat następnych, prawie z każdem pokoleniem ubywało Egiptowi po kawałku ziemi żyznej...

Mówca dał znak. Kilkunastu młodych kapłanów wybiegło z budynku i poczęli sypać piasek na rozmaite punkta murawy.

— Za każdem pokoleniem — ciągnął kapłan — ubywało ziemi żyznej, a wąski pasek zwężał się coraz bardziej.

Dziś — tu podniósł głos — ojczyzna nasza, zamiast pięciuset tysięcy miar, posiada tylko czterysta tysięcy miar... Czyli, że przez ciąg panowania dwu dynastyj Egipt stracił ziemię, która wykarmiała blisko dwa miljony ludzi!...

W zgromadzeniu znowu podniósł się szmer zgrozy.

— A wiesz, sługo boży, Ramzesie, gdzie podziały się te pola, na których niegdyś rosła pszenica i jęczmień, albo pasły się stada bydła?... O tem wiesz, że — zasypał je piasek pustyni. Ale czy mówiono ci: dlaczego tak się stało?... Bo — zabrakło chłopów, którzy zapomocą wiadra i pługa od świtu do nocy walczyli z pustynią. Nareszcie, czy wiesz, dlaczego zabrakło tych robotników bożych?... Gdzie oni się podzieli? co ich wymiotło z kraju?... Oto —

wojny zagraniczne. Nasi rycerze zwyciężali nieprzyjaciół, nasi faraonowie uwieczniali swoje czcigodne nazwiska aż nad brzegami Eufratu, a nasi chłopi, jak pociągowe bydło, nosili za nimi żywność, wodę i inne ciężary i po drodze marli tysiącami.

To też za te kości, rozrzucone po pustyniach wschodnich, piaski zachodnie pożarły nasze grunta, i dziś trzeba niezmiernej pracy i wielu pokoleń, ażeby powtórnie wydobyć czarną ziemię egipską z pod mogiły piasków...

— Słuchajcie!... słuchajcie!... — wołał Mefres — jakiś bóg mówi przez usta tego człowieka. Tak, nasze triumfalne wojny były grobem Egiptu...

Ramzes nie mógł zebrać myśli. Zdawało mu się, że te góry piasku sypią się dziś na jego głowę.

— Powiedziałem — mówił Pentuer — że potrzeba wielkiej pracy, ażeby odkopać Egipt i wrócić mu dawne bogactwa, które pożarła wojna. Ale czy my posiadamy siły do wykonania tego zamiaru?...

Znowu posunął się kilkanaście kroków wzdłuż amfiteatru, a za nim wzruszeni słuchacze. Jak Egipt Egiptem, jeszcze nikt tak dosadnie nie odmalował klęsk kraju, choć wszyscy wiedzieli o nich.

— Za czasów 19-ej dynastji Egipt posiadał ośm miljonów ludności. Gdyby każdy ówczesny człowiek, kobieta, starzec i dziecko, rzuciło na ten oto plac po ziarnie fasoli, ziarna utworzyłyby taką figurę...

Wskazał ręką dziedziniec, gdzie w dwu rzę-

dach, jeden przy drugim, leżało ośm wielkich kwadratów, ułożonych z czerwonej fasoli.

— Figura ta ma sześćdziesiąt kroków długości, trzydzieści szerokości i, jak widzicie, pobożni ojcowie, składa się z jednakowych ziarn; niby ówczesna ludność, kiedy wszyscy byli z dziada-pradziada Egipcjanami.

A dziś spojrzyjcie!...

Poszedł dalej i wskazał inną grupę kwadratów rozmaitej barwy.

— Widzicie figurę, która ma także trzydzieści kroków szerokości, ale tylko czterdzieści pięć długości. Dlaczego? Bo jest w niej tylko sześć kwadratów, bo dzisiejszy Egipt nie ma ośmiu, lecz tylko sześć miljonów mieszkańców...

Zważcie przytem, że gdy poprzednia figura składała się wyłącznie z czerwonej fasoli, egipskiej, w tej obecnej są ogromne pasy z ziarn czarnych, żółtych i białych. Bo jak w armji naszej, tak i w narodzie znajduje się dziś bardzo wielu cudzoziemców: czarni Etjopowie, żółci Syryjczycy i Fenicjanie, biali Grecy i Libijczycy...

Przerwano mu. Kapłani słuchający zaczęli go ściskać, Mefres płakał.

— Nie było jeszcze podobnego proroka!... — wołano.

— W głowie nie mieści się, kiedy on mógł porobić takie rachunki!... — mówił najlepszy matematyk świątyni Hator.

— Ojcowie! — rzekł Pentuer — nie przeceniajcie moich zasług. W naszych świątyniach, daw-

nemi laty, zawsze w ten sposób przedstawiano gospodarkę państwową... Ja tylko odgrzebałem to, o czem trochę zapomniały następne pokolenia...

— Ale rachunki?... — spytał matematyk.

— Rachunki nieustannie prowadzą się we wszystkich nomesach i świątyniach — odparł Pentuer. — Ogólne sumy znajdują się w pałacu jego świątobliwości...

— A figury?... figury!... — wołał matematyk.

— Przecież na takie figury dzielą się nasze pola, a geometrowie państwowi uczą się o nich w szkołach.

— Niewiadomo, co więcej podziwiać w tym człowieku: jego mądrość, czy pokorę!... — rzekł Mefres. — O, nie zapomnieli o nas bogowie, jeżeli mamy takiego...

W tej chwili strażnik, czuwający na wieży świątyni, wezwał obecnych na modlitwę.

— Wieczorem dokończę objaśnień, — mówił Pentuer — teraz powiem jeszcze niedużo słów.

Spytajcie, czcigodni, dlaczego do tych obrazów użyłem ziarn? Bo jak ziarno, rzucone w ziemię, co rok przynosi plon swemu gospodarzowi, tak człowiek składa co rok podatki skarbowi.

Gdyby w którym nomesie zasiano o dwa miljony mniej ziarn fasoli, niż w latach dawnych, następny jej zbiór byłby znakomicie mniejszy, i gospodarze mieliby złe dochody. Podobnież w państwie: gdy ubędą dwa miljony ludności, musi zmniejszyć się wpływ podatków.

Ramzes słuchał z uwagą i odszedł milczący.

ROZDZIAŁ III.

Kiedy wieczorem kapłani i następca wrócili na dziedziniec, zapalono kilkaset pochodni tak jasnych, że było widno jak w dzień.

Na znak Mefresa znowu wystąpiła procesja muzykantów, tancerek i młodszych kapłanów z posągiem bogini Hator z krową głową. A gdy odpędzono złe duchy, Pentuer znowu zaczął kazanie.

— Widzieliście, dostojnicy, że od czasów 19-ej dynastji ubyło nam sto tysięcy miar ziemi i dwa miljony ludności. To wyjaśnia, dlaczego dochód państwa zmniejszył się o trzydzieści dwa tysiące talentów, i o tem wiemy wszyscy. Jest to przecie dopiero początek klęsk Egiptu i skarbu. Napozór bowiem zostało jego świątobliwości jeszcze dziewięćdziesiąt ośm tysięcy talentów dochodu. Czy jednak sądzicie, że faraon otrzymuje cały ten dochód...

Za przykład opowiem wam, co jego dostojność Herhor odkrył w powiecie zajęczym.

Za 19-tej dynastji mieszkało tam dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy płacili podatku trzysta pięćdziesiąt talentów rocznie. Dziś mieszka zaledwie piętnaście tysięcy, i ci naturalnie płacą na rzecz skarbu tylko dwieście siedmdziesiąt talentów. Tymczasem faraon, zamiast dwustu siedmdziesięciu, otrzymuje sto siedmdziesiąt talentów!...

„Dlaczego?...“ — spytał dostojny Herhor — a oto co pokazało śledztwo.

Za 19-ej dynastji było w powiecie około stu urzędników, i ci brali po tysiąc drachm rocznej

pensji. Dziś na tem samem terytorjum, pomimo ubytku ludności, znajduje się przeszło dwustu urzędników, którzy biorą po dwa tysiące pięćset drachm na rok.

Jego dostojności, Herhorowi, niewiadomo, czy tak jest w każdym powiecie. To przecież pewne, że skarb faraona, zamiast dziewięćdziesięciu ośmiu, ma tylko siedmdziesiąt cztery tysiące talentów rocznie...

— Powiedz, ojcze święty: pięćdziesiąt tysięcy... — wtrącił Ramzes.

— I to objaśnię — odparł kapłan. — W każdym razie zapamiętaj, książę, iż skarb faraona oddaje dziś dwadzieścia cztery tysiące talentów urzędnikom, gdy za dynastji 19-ej wydawał tylko dziesięć tysięcy.

Wielkie milczenie panowało wśród dostojników: niejeden bowiem miał krewnego na urzędzie, w dodatku dobrze płatnym.

Ale Pentuer był nieustraszony.

— Teraz — mówił — pokażę ci, następco, byt urzędników i dolę ludu za dawnych lat i dzisiaj.

— Czy nie szkoda czasu?... To przecie każdy sam może zobaczyć... — zaszemrali kapłani.

— Ja chcę to wiedzieć! — rzekł stanowczo następca.

Szmer ucichł. Pentuer po stopniach amfiteatru zeszedł na dziedziniec, a za nim książę, arcykapłan Mefres i reszta kapłanów.

Zatrzymali się przed długą zasłoną z mat, która tworzyła jakby parkan. Na znak Pentuera, przybie-

gło kilkunastu młodych kapłanów z jarzącemi pochodniami. Drugi znak — i część zasłony spadła.

Z ust obecnych wyrwał się okrzyk zdziwienia. Mieli przed sobą jasno oświetlony żywy obraz, do którego wchodziło około stu figurantów.

Obraz dzielił się na trzy kondygnacje: dolną, gdzie stali rolnicy, wyższą — urzędnicy i najwyższą, gdzie znajdował się złoty tron faraona, oparty na dwu lwach, których głowy były poręczami.

— Tak było — mówił Pentuer — za dynastji 19-ej. Spojrzyjcie na rolników. Przy ich pługach widzicie woły lub osły, ich motyki i łopaty są bronzowe, a więc mocne. Patrzcie, jacy to tędzy ludzie! dziś podobnych można spotkać tylko w gwardji jego świątobliwości. Potężne ręce i nogi, piersi wypukłe, twarze uśmiechnięte. Wszyscy są namaszczeni oliwą, wykąpani. Ich żony zajmują się przygotowywaniem pokarmu i odzieży, lub myciem sprzętów dla rodziny; dzieci — bawią się lub chodzą do szkoły.

Ówczesny chłop, jak widzicie, jadał chleb pszenny, bób, mięso, ryby i owoce, a pijał piwo i wino, i — spojrzyjcie, jak piękne były dzbany i misy! Przypatrzcie się czepkom, fartuszkom i pelerynom mężczyzn: wszystko ozdobione różnokolorowym haftem. Jeszcze piękniej haftowano koszule kobiet... A czy uważacie, jak one starannie czesały się, jakie nosiły szpilki, zausznice, pierścienie i bransolety? Ozdoby te są robione z bronzu i kolorowej emalji; trafia się jednak między niemi i złoto, choćby w postaci drucików.

Podnieście teraz oczy wyżej, na urzędników
Chodzą oni w pelerynach, ale każdy chłop w dniu
świątecznym przywdziewa taką samą. Żywią się
zupełnie tak samo jak chłopi, to jest dostatnio, ale
skromnie. Sprzęty mają trochę ozdobniejsze od
chłopskich i częściej trafiają się w ich skrzyniach
złote pierścienie. Podróże odbywają na osłach lub
wozach, ciągnionych przez woły.

Pentuer klasnął i w żywym obrazie zapanował
ruch. Chłopi zaczęli podawać urzędnikom kosze wi
nogron, wory jęczmienia, grochu i pszenicy, dzbany
wina, piwa, mleka i miodu, mnóstwo zwierzyny
i liczne sztuki białych lub kolorowych tkanin. Urzęd-
nicy odebrali te produkta, część ich zostawiali so-
bie, ale przedmioty najpiękniejsze i najkosztowniej-
sze odsunęli wyżej, dla tronu. Platforma, gdzie znaj-
dował się symbol władzy faraona, była zasypana
produktami, tworzącemi jakby pagórek.

— Widzicie, dostojni — rzekł Pentuer — że
w owych czasach, kiedy chłopi byli syci i zamożni
skarb jego świątobliwości ledwo mógł pomieścić
dary poddanych. A teraz zobaczcie: co jest dzisiaj...

Nowe hasło, spadła druga część zasłony, i uka-
zał się inny obraz, w ogólnych zarysach podobny
do poprzedniego.

— Oto są teraźniejsi chłopi — mówił Pentuer,
a w głosie jego czuć było wzburzenie. — Ciało ich
składa się ze skóry i kości, wyglądają jak chorzy, są
brudni i już zapomnieli namaszczać się oliwą. Zato
grzbiety ich są poranione kijami.

Nie widać przy nich wołów ani osłów, bo i na

co, jeżeli pług ich ciągnie żona i dzieci?... Ich motyki i łopaty są drewniane, co łatwo psuje się i powiększa pracę. Odzieży nie mają żadnej, tylko kobiety chodzą w grubych koszulach i nawet we śnie nie widują tych haftów, jakiemi stroili się ich dziadowie i babki.

Spojrzyjcie: co jada chłop? Czasem jęczmień i suszone ryby, zawsze ziarna lotosu, rzadko pszenny placek, nigdy mięsa, piwa lub wina. Spytacie: gdzie podziały się jego naczynia i sprzęty? Niema żadnych, prócz dzbanka na wodę, bo też i nic więcej nie zmieściłoby się w norze, którą zamieszkuje...

Przebaczcie mi to, na co teraz zwrócę waszą uwagę. Tam kilkoro dzieci leży na ziemi: oznacza to, że pomarły... Dziwna rzecz, jak często teraz umierają chłopskie dzieci — z głodu i pracy! I te są jeszcze najszczęśliwsze: inne bowiem, które zostały przy życiu, idą pod kij dozorcy, albo sprzedają się Fenicjanom, niby jagnięta...

Wzruszenie zatamowało mu głos. Lecz chwilę odpoczął i ciągnął dalej, wśród gniewnego milczenia kapłanów:

— A teraz spojrzyjcie na urzędników: jacy oni czerstwi, uróżowani, jak pięknie ubrani!... Żony ich noszą złote bransolety i zausznice i tak cienkie szaty, że książęta mogliby ich zazdrościć. Wśród chłopów nie widać wołu ani osła; zato urzędnicy podróżują na koniach albo w lektykach... Piją zaś tylko wino, i to — dobre wino...

Klasnął w ręce i znowu zrobił się ruch. Chłopi zaczęli podawać urzędnikom: wory zboża, kosze

owoców, wino, zwierzęta... Przedmioty te urzędnicy, jak pierwej, ustawiali obok tronu, ale — w ilości znacznie mniejszej. Na kondygnacji królewskiej już nie było pagórka produktów. Zato kondygnacja urzędników była zasypana.

— Oto jest Egipt dzisiejszy — mówił Pentuer. — Nędzni chłopi, bogaci pisarze, skarb nie tak pełny, jak dawniej. A teraz...

Dał znak i stała się rzecz nieoczekiwana. Jakieś ręce poczęły zabierać: zboże, owoce, tkaniny — z platformy faraona i urzędników. A gdy ilość towarów bardzo się zmniejszyła, te same ręce zaczęły chwytać i uprowadzać chłopów, ich żony i dzieci...

Widzowie ze zdumieniem patrzyli na szczególne zabiegi tajemniczych osób. Nagle ktoś zawołał:

— To Fenicjanie!... Oni nas tak obdzierają!...

— Tak jest, święci ojcowie — rzekł Pentuer.— To są ręce ukrytych między nami Fenicjan. Obdzierają oni króla i pisarzów, a chłopów zabierają w niewolę, gdy im nic już wydrzeć nie można...

— Tak!... To szakale!... Przekleństwo im!... Wygnać nędzników!... — wołali kapłani. — Oni to najwięcej szkody wyrządzają państwu...

Nie wszyscy jednak wołali w ten sposób.

Gdy ucichło, Pentuer kazał zanieść pochodnie w inną stronę dziedzińca i tam zaprowadził swoich słuchaczów. Nie było tu żywych obrazów, ale jakby wystawa przemysłowa.

— Raczcie spojrzeć, dostojni — mówił. — Za 19-ej dynastji te rzeczy przysyłali nam cudzoziemcy:

z kraju Punt mieliśmy wonności, z Syrji złoto, żelazną broń i wozy wojenne. Oto wszystko.

Lecz wówczas Egipt wyrabiał... Spojrzyjcie na te olbrzymie dzbany: ile tu kształtów, a jakie rozmaite kolory!...

Albo sprzęty: to krzesełko wyłożone jest dziesięciu tysiącami kawałków złota, perłowej masy i kolorowych drzew... Zobaczcie ówczesne szaty: jaki haft, jaka delikatność tkanin, ile kolorów!... A miecze bronzowe, a szpilki, bransolety, zausznice, a narzędzia rolnicze i rzemieślnicze!... Wszystko to robiono u nas, za 19-ej dynastji.

Przeszedł do następnej grupy przedmiotów.

— A dziś — patrzcie: Dzbany są małe i prawie bez ozdób, sprzęty proste, tkaniny grube i jednostajne. Ani jeden z tegorocznych wyrobów nie może równać się pod względem rozmiarów, trwałości czy piękności z dawnemi. Dlaczego?...

Posunął się znowu kilka kroków i, otoczony pochodniami, mówił:

— Oto jest wielka liczba towarów, które nam przywożą Fenicjanie z rozmaitych okolic świata. Kilkadziesiąt pachnideł, kolorowe szkła, sprzęty, naczynia, tkaniny, wozy, ozdoby, wszystko to przychodzi do nas z Azji i jest przez nas kupowane.

Czy rozumiecie teraz, dostojnicy: za co Fenicjanie wydzierali zboże, owoce i bydło pisarzom i faraonowi?... Za te właśnie obce wyroby, które zniszczyły naszych rzemieślników, jak szarańcza trawę.

Kapłan odpoczął i ciągnął dalej:

— Między towarami, dostarczanemi jego świątobliwości przez Fenicjan, nomarchom i pisarzom, pierwsze miejsce zajmuje złoto. Ten rodzaj handlu jest najdokładniejszym obrazem klęsk, jakie Azjaci wyrządzają Egiptowi.

Gdy kto bierze od nich złota za talent, obowiązany jest, po trzech latach, zwrócić dwa talenty. Najczęściej jednak Fenicjanie, pod pozorem zmniejszenia kłopotów dłużnikowi, sami wyręczają go w wypłacie, w ten sposób, że — dłużnik, za każdy talent pożyczony, oddaje im w dzierżawę, na trzy lata, trzydziestu dwóch ludzi i dwie miary ziemi...

Spojrzyjcie tam, dostojni — mówił, wskazując na lepiej oświetloną część dziedzińca. Ten kwadrat ziemi, mający sto ośmdziesiąt kroków długości i tyleż szerokości, znaczy dwie miary; ta zaś gromada mężczyzn, kobiet i dzieci tworzy ośm rodzin. Wszystko to zaś razem: ludzie i grunt, idą na trzy lata w okropną niewolę. Przez ten czas ich właściciel — faraon czy nomarcha, nie ma z nich żadnego pożytku; po upływie zaś terminu odbiera ziemię wyjałowioną, a ludzi... najwyżej dwudziestu... Reszta bowiem zmarła w męczarniach!

Obecni szemrali ze zgrozy.

— Powiedziałem, że dwie miary gruntu i trzydziestu dwóch ludzi bierze Fenicjanin na trzy lata dzierżawy, za pożyczenie jednego talentu złotem. Przypatrzcie się, jaki to kawał ziemi i jaka gromada ludzi, a teraz — spojrzyjcie na moją rękę...

Ten kawałek złota, który trzymam, ta bryłka, mniejsza od kurzego jaja, to talent!...

Czy wy oceniacie, dostojni, całą nikczemność Fenicjan w podobnym handlu? Ten mały kawałek złota naprawdę nie posiada żadnych cennych zalet: jest żółty, ciężki, nie śniedzieje i — na tem koniec. Ale człowiek nie odzieje się złotem i nie zaspokoi niem głodu ani pragnienia... Gdybym posiadał bryłę złota, wielkości piramidy, będę obok niej takim nędzarzem, jak Libijczyk, błąkający się po zachodniej pustyni, gdzie niema daktyla ani wody.

I patrzcie, za bryłkę tego jałowego materjału, Fenicjanin bierze kawał ziemi, który może wykarmić i odziać trzydziestu dwóch ludzi, a nadto — bierze i tych ludzi!... Przez lat trzy wyzyskuje władzę nad istotami, które umieją uprawiać i obsiewać grunta, zbierać ziarno, robić mąkę i piwo, tkać odzież, budować domy i sprzęty...

Jednocześnie faraon czy nomarcha jest pozbawiony na trzy lata usług tych ludzi. Nie płacą mu oni podatku, nie noszą ciężarów za wojskiem, lecz pracują na dochody łakomego Fenicjanina.

Wiecie, dostojnicy, że obecnie niema roku, ażeby w tym czy owym nomesie nie wybuchnął bunt chłopów, wyniszczonych głodem, przeciążonych pracą, bitych kijami. I otóż część tych ludzi ginie, inni ostają się do kopalń, a kraj wyludnia się coraz barziej, dlatego tylko, że Fenicjanin dał komuś bryłkę złota!... Czy można wyobrazić sobie większe nieszczęście?... I czy w podobnych warunkach Egipt nie będzie co roku tracił ziemi i ludzi? Szczęśliwe wojny podkopały nasz kraj, ale dobija go fenicki handel złotem.

Na twarzach kapłanów malowało się zadowolenie: chętniej słuchali o przewrotności Fenicjan, aniżeli o zbytkach pisarzów.

Pentuer chwilę odpoczął, potem zwrócił się do księcia:

— Od kilku miesięcy — mówił — z niepokojem zapytujesz, sługo boży, Ramzesie: dlaczego zmniejszyły się dochody jego świątobliwości? Mądrość bogów pokazała ci, że zmniejszył się nietylko skarb, ale i wojsko, i że oba te źródła królewskiej potęgi zmniejszać się będą ciągle. I albo skończy się to na zupełnej ruinie państwa, albo — niebiosa ześlą Egiptowi władcę, który zatrzyma powódź klęsk, od kilkuset lat zalewających ojczyznę.

Skarb faraonów był wówczas pełny, gdy mieliśmy dużo ziemi i ludności. Trzeba zatem wydrzeć pustyni te grunta urodzajne, które nam pożarła, a z ludu zdjąć te ciężary, które go osłabiają i zmniejszają liczbę mieszkańców.

Kapłani znowu zaczęli się niepokoić, z obawy, aby Pentuer po raz drugi nie wspomniał o klasie pisarzów.

— Widziałeś, książę, na własne oczy i przy świadkach, że w tej epoce, gdy lud był syty, dorodny i zadowolony, skarb królewski był pełen. Gdy zaś lud zaczął wyglądać nędznie, gdy jego żony i dzieci musiały zaprzęgać się do pługa, gdy ziarna lotosu zastąpiły pszenicę i mięso, skarb — zubożał. Jeżeli więc chcesz doprowadzić państwo do tej potęgi, jaką posiadało przed wojnami 19-tej dynastji, jeżeli pragniesz, aby faraon, jego pisarze i wojsko

opływali w dostatki, zapewnij krajowi długowieczną spokojność, a ludowi dobry byt. Niech znowu dorośli edzą mięso i ubierają się w haftowane szaty, i niech dzieci, zamiast jęczeć pod plagami i umierać z pracy, bawią się lub chodzą do szkoły.

Pamiętaj wreszcie, że Egipt na piersiach swoich nosi jadowitego węża...

Obecni słuchali z ciekawością i obawą.

— Tym wężem, który wysysa krew ludu, mątki nomarchów, potęgę faraona, są Fenicjanie!...

— Precz z nimi!... — zawołali obecni. — Przekreślić wszystkie długi... Nie dopuszczać ich kupców okrętów...

Uciszył ich arcykapłam Mefres, który ze łzami w oczach zwrócił się do Pentuera:

— Nie mam wątpliwości — mówił — że przez usta twoje odzywa się do nas święta Hator. Nietylko dlatego, że człowiek nie potrafiłby być tak mądrym i wszystko wiedzącym, jak ty, ale nadto, że spostrzegałem nad głową twoją płomyki w formie rogów...

Dziękuję ci za wielkie słowa, któremi rozproszyłeś naszą niewiadomość... Błogosławię cię i proszę bogów, aby, gdy mnie powołają na swój sąd, iebie mianowali moim następcą...

Przeciągły okrzyk reszty słuchaczów poparł łogosławieństwo najwyższego dostojnika. Kapłani em więcej byli zadowoleni, że nieustannie wisiała ad nimi trwoga, aby Pentuer po raz drugi nie zaczepił o kwestję pisarzów. Ale mędrzec umiał być owściągliwym: wskazał wewnętrzną ranę pań-

stwa, lecz nie zaognił jej, i dlatego odniósł zupełny triumf.

Książę Ramzes nie dziękował Pentuerowi, tylko przytulił jego głowę do swej piersi. Nikt jednak nie wątpił, że kazanie wielkiego proroka wstrząsnęło duszą następcy i że jest ziarnem, z którego może wyrosnąć chwała i pomyślność Egiptu.

Nazajutrz Pentuer, nie żegnając się z nikim, o wschodzie słońca opuścił świątynię i odjechał do Memfis.

Ramzes przez kilka dni z nikim nie rozmawiał: siedział w celi, albo przechadzał się po cienistych korytarzach i rozmyślał. W jego duszy odbywała się praca.

W gruncie rzeczy Pentuer nie powiedział nic nowego: wszyscy narzekali na ubytek ziemi i ludności w Egipcie, na nędzę chłopów, nadużycia pisarzów i wyzysk Fenicjan. Ale kazanie proroka uporządkowało w nim dotychczasowe bezładne wiadomości, nadało im dotykalne formy i lepiej oświetliło pewne fakta.

Fenicjanie przerazili go: książę nie oceniał dotychczas ogromu nieszczęść, wyrządzonych przez ten naród państwu. Zgroza była tem silniejszą, że przecie on sam swoich własnych poddanych wypuścił w dzierżawę Dagonowi i — był świadkiem, w jaki sposób bankier wybierał od nich należności!...

Lecz to splątanie księcia z wyzyskiem Fenicjan wywołało dziwny skutek: Ramzes—nie chciał myśleć o Fenicjanach, a ile razy zapalił się w nim gniew na tych ludzi, tyle razy gasiło go uczucie

wstydu. W pewnej części był przecie on sam ich wspólnikiem.

Natomiast książę doskonale zrozumiał ważność ubytku ziemi i ludności i na te punkta położył główny nacisk w swoich samotnych medytacjach:

— Gdybyśmy posiadali — mówił w sobie — te dwa miljony ludzi, które Egipt utracił, możnaby za ich pomocą odzyskać od pustyni urodzajne grunta, nawet powiększyć obszary... A wówczas, pomimo Fenicjan, nasi chłopi mieliby się lepiej, a dochody państwa wzrosłyby...

Ale skąd wziąć ludzi?

Wypadek nasunął mu odpowiedź. Pewnego wieczora, książę, przechadzając się po ogrodach świątyni, spotkał gromadę niewolników, których generał Nitager pochwycił na granicy wschodniej i przysłał bogini Hator. Ludzie ci byli doskonale zbudowani, pracowali więcej niż Egipcjanie, a ponieważ ich karmiono dobrze, więc byli nawet zadowoleni ze swego losu.

Na ich widok błyskawica oświeciła umysł następcy: prawie utracił przytomność ze wzruszenia. Egipt potrzebuje ludzi, dużo ludzi, setki tysięcy, a nawet miljon i dwa miljony ludzi... I otóż ludzie są!... Trzeba tylko wkroczyć do Azji, zabierać wszystko, co się spotka na drodze — i odsyłać do Egiptu... Dopóty zaś nie kończyć wojny, dopóki nie zbierze się tylu, ażeby każdy chłop egipski miał swego niewolnika...

Tak urodził się plan prosty i kolosalny, dzięki któremu państwo miało pozyskać ludność, chłopi

pomocników w pracy, a skarb faraona niewyczer pane źródło dochodu.

Książę był zachwycony, choć następnego dni zbudziła się w nim nowa wątpliwość.

Pentuer z wielkim naciskiem głosił, a jeszcz dawniej Herhor twierdził to samo, że źródłem nie szczęść Egiptu były — zwycięskie wojny.

Z czego wypadało, że zapomocą nowej wojn nie można podźwignąć Egiptu.

„Pentuer jest wielki mędrzec i Herhor wielk mędrzec — myślał książę. — Jeżeli oni uważaj wojnę za szkodliwą, jeżeli tak samo sądzi arcyka płan Mefres i inni kapłani, to może naprawdę wojn jest rzeczą niebezpieczną?...“

I musi nią być, skoro tak utrzymuje tylu ludz mądrych i świętych.

Książę był głęboko strapiony. Wymyślił prost sposób podźwignięcia Egiptu, a tymczasem kapła utrzymywali, że właśnie to mogłoby do reszty zru nować Egipt.

Kapłani, ludzie najmędrsi i najświętsi.

Lecz trafił się wypadek, który nieco ochłodz wiarę księcia w prawdomówność kapłanów, a ra czej — rozbudził w nim dawniejszą do nich nie ufność.

Raz szedł z jednym lekarzem do bibljotek Droga wypadła przez ciasny i ciemny korytar z którego następca cofnął się ze wstrętem.

— Nie pójdę tędy! — rzekł.

— Dlaczego?... — spytał zdziwiony lekarz.

— Czyliż nie pamiętacie, ojcze święty, że t

końcu tego korytarza jest loch, w którym okrutnie zamęczyliście jakiegoś zdrajcę?...

— Aha!... — odparł lekarz. — Jest tu loch, do którego przed kazaniem Pentuera wlewaliśmy roztopioną smołę...

— I zabiliście człowieka...

Lekarz uśmiechnął się. Był to człowiek dobry i wesoły. To też, widząc oburzenie księcia, rzekł po pewnym namyśle:

— Tak, nie wolno nikomu zdradzać świętych tajemnic... Rozumie się... Przed każdą większą uroczystością przypominamy to młodym kandydatom na kapłanów.

Ton jego był tak szczególny, że Ramzes zażądał objaśnień.

— Nie mogę zdradzać tajemnic — odparł lekarz — ale... Jeżeli wasza dostojność przyrzekniesz zachować to przy sobie, opowiem ci historję...

Ramzes przyrzekł, lekarz opowiedział:

— Pewien kapłan egipski, zwiedzając świątynie pogańskiego kraju Aram, przy jednej z nich spotkał człowieka, który wydał się mu bardzo tłustym i zadowolonym, choć nosił nędzne szaty.

„Wytłumacz się—spytał kapłan wesołego biedaka—czem się to dzieje, że choć jesteś ubogi, jednak ciało twoje wygląda, jakbyś był przełożonym świątyni?“

Zaś ów człowiek, obejrzawszy się, czy go kto nie podsłuchuje, odparł:

„Bo ja mam wielce żałosny głos, więc jestem przy tej świątyni męczennikiem. Gdy lud zejdzie

się na nabożeństwo, ja włażę do lochu i jęczę, il mi sił starczy; za co dają mi wcale obfite jedze nie przez cały rok, a dzban piwa za każdy dzie męczeństwa...'

— Tak bywa w pogańskim kraju Aram — za kończył lekarz, kładąc palec na usta. — Pamiętaj książę, coś mi obiecał i myśl o naszej smole roz topionej co ci się podoba...

Opowiadanie to znowu poruszyło księcia. Czu pewną ulgę, że w świątyni nie zamordowano czło wieka, lecz i ocknęły się w nim wszystkie dawn podejrzenia względem kapłanów.

Że oni łudzą prostaków, o tem wiedział. Pa miętał przecie, będąc w kapłańskiej szkole, proce sje świętego wołu Apisa. Lud był pewny, że t Apis prowadzi kapłanów; tymczasem każdy ucze wiedział, że boskie zwierzę idzie tam, gdzie chcą ka płani.

Któż wie zatem, czy kazanie Pentuera nie był ową procesją Apisa, przeznaczoną dla niego? Ta przecie łatwo nasypać na ziemię fasoli czerwone i różnokolorowej i również nietrudno ustawić żyw obrazy. O ileż wspanialsze widywał on przedsta wienia: choćby walkę Seta z Ozyrisem, do które wchodziło kilkaset osób... A czyliż i w tym wy padku nie oszukiwali kapłani? Miała to być walk bogów, tymczasem prowadzili ją poprzebierani lu dzie. Ginął w niej Ozyris, a tymczasem kapłan, uda jący Ozyrisa, był zdrów jak nosorożec. Jakich tan nie pokazywano cudów!... Woda wznosiła się, biły pioruny, ziemia drżała i wyrzucała ogień! I t

wszystko było oszukaństwem. Dlaczegóżby więc przedstawienie Pentuera miało być prawdą?

Zresztą książę miał silne poszlaki, że chciano go oszukać. Już był oszustwem człowiek, jęczący w podziemiach, niby to oblewany smołą przez kapłanów. Ale mniejsza o niego. Ważnem było to, o czem książę przekonał się niejednokrotnie, że Herhor nie chciał wojny, Mefres także nie chciał wojny, a Pentuer był jednego z nich pomocnikiem, a drugiego ulubieńcem.

Taka walka toczyła się w księciu: to zdawało mu się, że wszystko rozumie, to znowu ogarniała go ciemność; raz był pełen nadziei, drugi raz zwątpił o wszystkiem. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień, dusza jego przybierała i opadała, jak wody Nilu przez ciąg całego roku.

Powoli jednak, Ramzes odzyskał równowagę, a gdy nadszedł czas opuszczenia świątyni, miał już sformułowane pewne poglądy.

Przedewszystkiem jasno pojmował, czego potrzeba Egiptowi: więcej gruntów i więcej ludzi.

Powtóre wierzył, że najprostszym sposobem zdobycia ludzi jest — wojna z Azją. Pentuer jednak dowodził mu, że wojna może tylko powiększyć klęski państwa. Rodzi się tedy nowa kwestja: czy Pentuer mówił prawdę, czy kłamał?

Jeżeli mówił prawdę, pogrążył księcia w rozpaczy: Ramzes bowiem nie widział innego sposobu podźwignięcia państwa, tylko wojnę. Bez wojny Egipt z roku na rok będzie tracił ludność, a skarb faraona będzie powiększał swoje długi. Aż cały ten

proces skończy się jakąś okropną katastrofą, może nawet za przyszłego panowania.

A jeżeli Pentuer kłamał? Dlaczegoby to robił? Oczywiście namówiony przez Herhora, Mefresa i całe ciało kapłańskie. Z jakich jednak racyj kapłani nie chcieli wojny? co mieli w tem za interes? Przecie każda wojna im i faraonowi największe przynosi zyski.

Czy zresztą kapłani mogli go oszukiwać w sprawie tak doniosłej? Prawda, że robili tak bardzo często, lecz w wypadkach drobnych, nie zaś kiedy chodziło o przyszłość i byt państwa. Nie można też twierdzić, że oszukiwali zawsze. Są oni przecie sługami bogów i stróżami wielkich tajemnic. W ich świątyniach mieszkają duchy, o czem Ramzes sam się przekonał, pierwszej nocy po osiedleniu się w tem miejscu.

A jeżeli bóstwa nie pozwalają profanom zbliżać się do swoich ołtarzy, jeżeli tak pilnie czuwają nad świątyniami, dlaczego nie mieliby czuwać nad Egiptem, który jest największą ich świątynią?

Gdy w kilka dni później, Ramzes po uroczystem nabożeństwie, wśród błogosławieństwa kapłanów, opuszczał świątynię Hator, nurtowały w nim dwa pytania:

Czy wojna z Azją naprawdę mogłaby zaszkodzić Egiptowi?

Czy kapłani w tej sprawie mogliby oszukiwać jego, następcę faraona?

ROZDZIAŁ IV.

Konno, w towarzystwie kilku oficerów, jechał ksiażę do Pi-Bast, sławnej stolicy nomesu Habu.

Minął miesiąc Paoni, zaczynał się Epifi (kwiecień, maj). Słońce stało wysoko, zapowiadając najgorszą dla Egiptu porę upałów. Już w tym czasie kilka razy zrywał się straszny wiatr pustyni; ludzie i zwierzęta padali z gorąca, a na polach i drzewach zaczął osiadać szary pył, pod którym umierają rośliny.

Zebrano róże i przerabiano je na olejek; sprzątnięto zboża i drugi ukos koniczyny. Żórawie z kubłami pracowały ze zdwojoną gorliwością, rozlewając brudną wodę po ziemi, aby ją przygotować do nowego siewu. Zaczynano też zrywać figi i winogrona.

Woda Nilu opadła, kanały były płytkie i cuchnące. Nad całym krajem unosił się delikatny pył, wśród potoków palącego słońca.

Mimo to książę jechał zadowolony. Znudziło go pokutnicze życie w świątyni; zatęsknił do uczt, kobiet i zgiełku.

Przytem okolica, choć płaska i jednostajnie porzecinana siecią kanałów, była interesująca. W nomesie Habu mieszkała inna ludność: nie rodowici Egipcjanie, ale potomkowie walecznych Hyksosów, którzy ongi zdobyli Egipt i rządzili nim przez kilka wieków.

Prawowici Egipcjanie gardzili tą resztką wygnanych zdobywców; ale Ramzes patrzał na nich

z przyjemnością. Byli to ludzie rośli, silni, z dumną postawą i męską energją w fizjognomji. Wobec księcia i oficerów nie padali na twarz, jak Egipcjanie; lecz przypatrywali się dostojnikom bez niechęci, ale i bez trwogi. Nie mieli także pleców okrytych bliznami po kijach; pisarze bowiem szanowali ich, wiedząc, że bity Hyksos oddaje plagi, a niekiedy morduje swego ciemiężcę. Wreszcie posiadali Hyksosowie łaskę faraona, ich bowiem ludność dostarczała najlepszych żołnierzy.

Im bardziej orszak następcy zbliżał się do Pi-Bast, którego świątynie i pałace, jak przez muślin widać było przez mgłę pyłu, tem okolica stawała się ruchliwszą. Szerokim gościńcem i pobliskiemi kanałami transportowano: bydło, pszenicę, owoce, wino, kwiaty, chleby i mnóstwo innych przedmiotów codziennego użytku. Potok ludzi i towarów, dążących w stronę miasta, hałaśliwy i gęsty, jak pod Memfisem w dni świąteczne, w tem miejscu był zjawiskiem zwykłem. Dokoła Pi-Bastu przez cały rok panował zgiełk jarmarczny, który uspakajał się tylko w nocy.

Przyczyna tego była prosta: miasto cieszyło się posiadaniem starej i sławnej świątyni Astarty, czczonej przez całą Azję zachodnią i ściągającej tłumy pielgrzymów. Bez przesady można powiedzieć, że pod Pi-Bast codziennie obozowało ze trzydzieści tysięcy cudzoziemców: Saschu czyli Arabów, Fenicjan, żydów, Filistynów, Chetów, Asyryjczyków i innych. Rząd egipski życzliwie zachowywał się wobec pielgrzymów, którzy przynosili mu znaczne dochody; kapłani tolerowali ich, a ludność kilku

sąsiednich nomesów prowadziła z nimi żwawy handel.

Już na godzinę drogi przed miastem, widać było lepianki i namioty przybyszów, rozbite na nagiej ziemi. W miarę zbliżania się do Pi-Bast liczba ich wzrastała, i coraz gęściej roili się ich czasowi mieszkańcy. Jedni pod otwartem niebem przygotowywali pokarm, inni kupowali wciąż napływające towary, inni szli procesją do świątyni. Tu i owdzie skupiały się wielkie gromady przed miejscami zabaw, gdzie popisywali się pogromcy zwierząt, zaklinacze węży, atleci, tancerki i kuglarze.

Ponad tem zgromadzeniem ludzi unosił się upał i wrzawa.

Przy miejskiej bramie powitali Ramzesa jego dworzanie, tudzież nomarcha Habu z urzędnikami. Powitanie jednak było, mimo życzliwości, tak chłodne, że zdziwiony namiestnik szepnął do Tutmozisa:

— Cóż to znaczy, że patrzycie na mnie, jakbym przyjechał kary wymierzać?

— Bo wasza dostojność — odpowiedział faworyt — masz oblicze człowieka, który przestawał z bogami.

Mówił prawdę. Czy to skutkiem ascetycznego życia, czy towarzystwa uczonych kapłanów, czy może długich rozmyślań, książę zmienił się. Wychudł, cera mu pociemniała, a z postawy i fizjognomji biła wielka powaga. W ciągu kilku tygodni postarzał się o kilka lat.

Na jednej z głównych ulic miasta tłoczyła się tak gęsta ciżba ludu, że policjanci musieli utoro-

wać drogę następcy i jego świcie. Ale ten lud nie witał księcia, tylko skupiał się dokoła niewielkiego pałacyku, jakby oczekując na kogoś.

— Co to jest? — spytał Ramzes nomarchy niemile bowiem dotknęła go obojętność tłumu.

— Tu mieszka Hiram — odparł nomarcha — książę tyryjski, człek wielkiego miłosierdzia. Co dzień rozdaje hojną jałmużnę, więc zbiega się ubóstwo.

Książę odwrócił się na koniu, popatrzył i rzekł:

— Widzę tu robotników królewskich. Więc i oni przychodzą po jałmużnę do fenickiego bogacza?

Nomarcha milczał. Na szczęście, zbliżali się do pałacu rządowego i Ramzes zapomniał o Hiramie.

Przez kilka dni ciągnęły się uczty na cześć namiestnika; ale książę nie był niemi zachwycony. Brakło na nich wesołości i zdarzały się nieprzyjemne zajścia.

Raz, jedna z książęcych kochanek, tańcząca przed nim, rozpłakała się. Ramzes pochwycił ją w objęcia i zapytał: co jej jest?

Z początku wzdragała się z odpowiedzią, lecz ośmielona łaskawością pana, odparła, zalewając się jeszcze obficiej łzami:

— Jesteśmy, władco, twoje kobiety, pochodzimy z wielkich rodów i należy nam się uszanowanie...

— Prawdę mówisz — wtrącił książę.

— Ale tymczasem twój skarbnik ogranicza nasze wydatki. Owszem, chciałby nawet pozbawić

nas dziewcząt służebnych, bez których przecie nie możemy umyć się, ani uczesać.

Ramzes wezwał skarbnika i surowo zapowiedział mu, ażeby jego kobiety miały wszystko, co należy się ich urodzeniu i wielkim stanowiskom.

Skarbnik upadł na twarz przed księciem i obiecał spełnić rozkazy kobiet. Zaś w parę dni później wybuchnął bunt między dworskimi niewolnikami, którzy skarżyli się, że ich pozbawiają wina.

Następca kazał im wydawać wino. Lecz nazajutrz, w czasie przeglądu wojsk, przyszły do niego deputacje pułków, z najpokorniejszą skargą, że zmniejszono im porcje mięsa i chleba.

Książę i tym razem polecił spełnić żądania proszących.

W parę dni później obudził go z rana wielki hałas pod pałacem. Ramzes spytał o przyczynę, a oficer dyżurny objaśnił, że zebrali się robotnicy królewscy i wołają o zaległy żołd.

Wezwano skarbnika, na którego książę wpadł z wielkim gniewem.

— Co się tu dzieje?... — wołał. — Od chwili mego przyjazdu niema dnia, aby nie skarżono się na krzywdy. Jeżeli jeszcze raz powtórzy się coś podobnego, ustanowię śledztwo i położę kres waszym złodziejstwom!...

Drżący skarbnik znowu upadł na twarz i jęknął:

— Zabij mnie, panie!... Ale cóż poradzę, gdy twój skarbiec, stodoły i śpiżarnie są puste?...

Pomimo gniewu, książę zmiarkował, że skarb-

nik może być niewinnym. Kazał mu więc odejść, a wezwał Tutmozisa.

— Słuchajno — rzekł Ramzes do ulubieńca — dzieją się tu rzeczy, których nie rozumiem i do których nie przywykłem. Moje kobiety, niewolnicy, wojsko i robotnicy królewscy nie otrzymują należności, lub są ograniczeni w wydatkach. Gdym zaś spytał skarbnika: co to znaczy? — odpowiedział, że nic już nie mamy w skarbcu ani stodołach.

— Powiedział prawdę.

— Jakto?... — wybuchnął książę. — Na moją podróż jego świątobliwość przeznaczył dwieście talentów w towarach i złocie. Miałożby to być zmarnowanem?...

— Tak jest — odrzekł Tutmozis.

— Jakim sposobem?... na co?... — wołał namiestnik. — Przecież na całej drodze podejmowali nas nomarchowie?...

— Ale myśmy im za to płacili.

— Więc to są filuci i złodzieje, jeżeli niby przyjmują nas jak gości, a potem obdzierają!...

— Nie gniewaj się — rzekł Tutmozis — a wszystko ci wytłumaczę.

— Siadaj.

Tutmozis usiadł i mówił:

— Czy wiesz, że od miesiąca jadam z twej kuchni, pijam wino z twoich dzbanów i ubieram się z twojej szatni...

— Masz prawo czynić tak.

— Alem nigdy tego nie robił: żyłem, ubierałem się i bawiłem na własny koszt, aby nie obcią-

żać twego skarbu. Prawda, że nieraz płaciłeś moje długi. Była to jednak tylko część moich wydatków.

— Mniejsza o długi.

— W podobnem położeniu — ciągnął Tutmozis — znajduje się kilkunastu szlachetnej młodzieży tego dworu. Utrzymywali się sami, aby podtrzymać blask władcy; lecz dziś, podobnie jak ja, żyją na twój koszt, bo już nie mają czego wydawać.

— Kiedyś wynagrodzę ich.

— Otóż — mówił Tutmozis — bierzemy z twego skarbu, bo nas gniecie niedostatek i — to samo robią nomarchowie. Gdyby mieli, wyprawialiby dla ciebie uczty i przyjęcia na swój koszt; ale że nie mają, więc przyjmują wynagrodzenie.

Czy i teraz nazwiesz ich filutami?...

Książę chodził zamyślony.

— Za prędko potępiłem ich—odparł.—Gniew, jak dym, zasłonił mi oczy. Wstydzę się tego, com powiedział, niemniej jednak chcę, ażeby ani ludzie dworscy, ani żołnierze i robotnicy nie doznawali krzywdy...

A ponieważ moje zasoby są wyczerpane, trzeba więc pożyczyć... Chyba sto talentów wystarczy, jak myślisz?

— Ja myślę, że nam nikt nie pożyczy stu talentów — szepnął Tutmozis.

Namiestnik wyniośle spojrzał na niego.

— Także się to odpowiada synowi faraona?— spytał.

— Wypędź mnie od siebie — rzekł smutnym

głosem Tutmozis — ale mówiłem prawdę. Dziś nikt nam nie pożyczy, bo już nie ma kto...

— Od czegóż jest Dagon?... — zdziwił się książę. — Niema go przy moim dworze, czy umarł?

— Dagon mieszka w Pi-Bast, ale całe dni, razem z innymi kupcami fenickimi, przepędza w świątyni Astarty na pokucie i modłach...

— Skądże taka pobożność? Czy dlatego, że ja byłem w świątyni, to i mój bankier uważa za potrzebne naradzać się z bogami?

Tutmozis kręcił się na taborecie.

— Fenicjanie — rzekł — są zatrwożeni, nawet zgnębieni wieściami...

— O czem?

— Ktoś rozpuścił plotkę, że gdy wasza dostojność wstąpisz na tron, Fenicjanie będą wygnani, a ich majątki zabrane na rzecz skarbu...

— No to mają jeszcze dosyć czasu—uśmiechnął się książę.

Tutmozis wciąż wahał się.

— Słychać — mówił zniżonym głosem — że zdrowie jego świątobliwości (oby żył wiecznie!...) mocno zachwiało się w tych czasach...

— To fałsz! — przerwał zaniepokojony książę. — Przecież wiedziałbym o tem...

— A jednak kapłani odprawiają w tajemnicy nabożeństwa za przywrócenie zdrowia faraonowi— szeptał Tutmozis.—Wiem o tem z pewnością...

Książę stanął zdumiony.

— Jak to — rzekł — więc ojciec mój jest cięż-

ko chory, kapłani modlą się za niego, a mnie nic o tem nie mówią?

— Słychać, że choroba jego świątobliwości może przeciągnąć się rok...

Ramzes machnął ręką.

— Eh!... słuchasz bajek i mnie niepokoisz. Powiedz mi lepiej o Fenicjanach, bo to ciekawsze.

— Słyszałem — ciągnął Tutmozis — tylko to, co i wszyscy, że wasza dostojność, przekonawszy się w świątyni o szkodliwości Fenicjan, zobowiązałeś się wypędzić ich.

— W świątyni?... — powtórzył następca. — A któż może wiedzieć, o czem ja przekonałem się i co postanowiłem w świątyni?...

Tutmozis wzruszył ramionami i milczał.

— Czyliżby zdrada i tam?... — szepnął książę. — W każdym razie zawołasz do mnie Dagona— rzekł głośno.—Muszę poznać źródło tych kłamstw i, przez bogi, położyć im koniec!...

— Dobrze uczynisz, panie — odparł Tutmozis — gdyż cały Egipt jest zaniepokojony. Już dziś niema u kogo pożyczać pieniędzy, a gdyby te pogłoski trwały dłużej, ustałby handel. Dziś już nasza arystokracja wpadła w biedę, z której nie widać wyjścia, a i twój dwór, panie, odczuwa niedostatek. Za miesiąc może to samo zdarzyć się w pałacu jego świątobliwości...

— Milcz — przerwał książę — i natychmiast zawołaj mi Dagona.

Tutmozis wybiegł, ale bankier zjawił się u na-

miestnika dopiero wieczorem. Miał na sobie białą płachtę w czarne pasy.

— Poszaleliście?... — zawołał następca na ten widok. — Zaraz ja cię tu rozchmurzę... Potrzebuję natychmiast stu talentów. Idź i nie pokazuj mi się dopóki tego nie załatwisz.

Ale bankier zasłonił swoje oblicze i zapłakał.

— Co to znaczy?—spytał niecierpliwie książę.

— Panie — odparł Dagon, klękając — weź mój majątek, sprzedaj mnie i moją rodzinę... Wszystko weź, nawet życie nasze. Ale sto talentów... skądbym ja dostał dziś taki majątek?... Już ani z Egiptu ani z Fenicji... — mówił wśród łkań.

— Set opętał cię, Dagonie! — roześmiał się następca. — Czyliż i ty uwierzyłbyś, że ja myślę o wygnaniu was?...

Bankier po raz drugi upadł mu do nóg.

— Ja nic nie wiem... ja jestem zwyczajny kupiec i twój niewolnik... Tyle dni, ile jest między nowiem a pełnią wystarczyło, ażeby zrobić ze mnie proch, a z mego majątku ślinę...

— Ależ wytłumacz mi, co to znaczy?—pyta niecierpliwie następca.

— Ja nie potrafię nic powiedzieć, a choćbym nawet umiał, mam wielką pieczęć na ustach... Dziś modlę się tylko i płaczę...

„Czy i Fenicjanie modlą się?“ pomyślał książę.

— Nie mogąc ci oddać żadnej usługi, panie mój — ciągnął Dagon — dam ci przynajmniej dobrą radę... Jest tu w Pi-Bast sławny książę tyryjski Hiram, człowiek stary, mądry i strasznie bogaty...

Wezwij go erpatre i zażądaj stu talentów, a może on potrafi dogodzić waszej dostojności...

Ponieważ Ramzes żadnych objaśnień nie mógł wydobyć z bankiera, uwolnił go więc i obiecał, że wyśle poselstwo do Hirama.

ROZDZIAŁ V.

Na drugi dzień rano, Tutmozis, z wielką świta oficerów i dworzan, złożył wizytę fenickiemu księciu i zaprosił go do namiestnika.

W południe przed pałacem zjawił się Hiram, w prostej lektyce, niesionej przez ośmiu ubogich Egipcjan, którym udzielał jałmużny. Otaczali go znakomitsi kupcy feniccy, i ten sam tłum ludu, który codzień wystawał przed jego domem.

Ramzes z niejakiem zdziwieniem przywitał starca, któremu z oczu patrzyła mądrość, a z całej postaci powaga. Hiram miał na sobie biały płaszcz, na głowie złotą obrączkę. Ukłonił się namiestnikowi z godnością i, wzniósłszy ręce nad jego głową, odmówił krótkie błogosławieństwo. Obecni byli głęboko wzruszeni.

Gdy namiestnik wskazał mu fotel i kazał odejść dworzanom, Hiram odezwał się:

— Wczoraj, sługa waszej dostojności, Dagon, powiedział mi, że książę potrzebujesz stu talentów. Zaraz wysłałem moich kurjerów do Sabne-Chetam, Sethroe, Pi-uto i innych miast, gdzie stoją fenickie okręty, ażeby wyładowały wszystek towar. I my-

ślę, że za parę dni wasza dostojność otrzyma tę drobną sumkę.

— Drobna!—przerwał książę ze śmiechem.— Szczęśliwy jesteś, wasza dostojność, jeżeli sto talentów nazywasz drobną sumką!

Hiram pokiwał głową.

— Dziad waszej dostojności — rzekł po namyśle — wiecznie żyjący Ramesses-sa-Ptah zaszczycał mnie swoją przyjaźnią; znam też jego świątobliwość waszego ojca (oby żył wiecznie!) i nawet spróbuję złożyć mu hołd, jeżeli będę dopuszczonym...

— Skądże ta wątpliwość?...—przerwał książę.

— Są tacy — odparł gość — którzy jednych dopuszczają, innych nie dopuszczają do oblicza faraonowego, ale mniejsza o nich... Wasza dostojność nie jesteś temu winien, więc ośmielę się zadać wam jedno pytanie... jako stary przyjaciel waszego dziada i ojca.

— Słucham.

— Co to znaczy — mówił powoli Hiram — co to znaczy, że następca i namiestnik faraona musi pożyczać sto talentów, gdy jego państwu należy się przeszło sto tysięcy talentów?...

— Skąd?... — zawołał Ramzes.

— Jakto, skąd? Z danin od ludów azjatyckich... Fenicja winna wam pięć tysięcy, no i ja ręczę że odda, jeżeli nie trafią się jakieś wypadki. Ale oprócz niej, Izrael winien trzy tysiące, Filistyn i Moabici po dwa tysiące, Chetowie trzydzieści tysięcy... Wreszcie nie pamiętam pozycyj szczegóło-

wych, ale wiem, że ogół wynosi sto trzy, czy sto pięć tysięcy talentów.

Ramzes gryzł wargi; na jego ruchliwej twarzy widać było bezsilny gniew. Spuścił oczy i milczał.

— Więc to prawda!... — nagle westchnął Hiram, wpatrując się w namiestnika. — Więc to prawda?... Biedna Fenicja, ale i Egipt...

— Co mówisz, wasza dostojność? — zapytał książę, marszcząc brwi. — Nie rozumiem twoich biadań...

— Książę wiesz, o czem mówię, skoro nie odpowiadasz na moje pytanie — odparł Hiram i powstał, jakby z zamiarem odejścia. — Mimo to... nie cofnę obietnicy... Będziesz książę miał sto talentów.

Nisko ukłonił się, lecz namiestnik zmusił go do zajęcia miejsca.

— Wasza dostojność ukrywasz coś przede mną — rzekł głosem, w którym czuć było obrazę.— Chcę, ażebyś mi wytłumaczył: jaka to bieda grozi Fenicji, czy Egiptowi?...

— Nie wiedziałżebyś o tem, wasza dostojność? — pytał Hiram z wahaniem.

— Nic nie wiem. Spędziłem przeszło miesiąc w świątyni.

— Właśnie tam można było dowiedzieć się o wszystkiem...

— Wasza dostojność mi powiesz! — zawołał namiestnik, uderzając pięścią w stół. — Nie lubię, ażeby bawiono się moim kosztem...

— Powiem, jeżeli wasza dostojność dasz mi

wielkie przyrzeczenie, że nie zdradzisz się przed nikim. Chociaż... nie mogę uwierzyć, aby księcia następcy, nie zawiadomiono o tem...

— Nie ufasz mi? — zapytał zdumiony książę.

— W takiej sprawie, żądałbym przyrzeczenia nawet faraona — odparł Hiram stanowczo.

— A więc... przysięgam na mój miecz i sztandary naszych wojsk, że nikomu nie powiem o tem, co mi wasza dostojność odkryjesz...

— Dosyć — rzekł Hiram.

— Słucham.

— Książę wie, co się w tej chwili dzieje w Fenicji?

— Nawet i o tem nie wiem! — przerwał zirytowany namiestnik.

— Nasze okręty—szepnął Hiram—ze wszystkich krańców świata ściągają do ojczyzny, ażeby na pierwsze hasło przewieźć ludność i skarby gdzieś... za morza... na zachód...

— Dlaczego? — zdziwił się namiestnik.

— Bo Asyrja ma nas wziąć pod swoje panowanie.

Książę wybuchnął śmiechem.

— Oszalałeś, czcigodny mężu!...—zawołał.— Asyrja ma zabrać Fenicję!... A cóż my na to? my— Egipt?

— Egipt już się zgodził.

Namiestnikowi krew uderzyła do głowy.

— Upał plącze twoje myśli, stary człowieku— rzekł do Hirama spokojnym głosem.—Zapominasz

nawet, że podobna sprawa nie mogłaby się obyć bez pozwolenia faraona i... mego!

— I to nastąpi. Tymczasem zawarli układ kapłani.

— Z kim?... Jacy kapłani?...

— Z arcykapłanem chaldejskim, Beroesem, umocowanym przez króla Assara—odparł Hiram.— A kto z waszej strony?... Nie twierdzę na pewno, ale zdaje się, że jego dostojność Herhor, jego dostojność Mefres i święty prorok Pentuer.

Książę zbladł.

— Uważaj, Fenicjaninie — rzekł — że oskarżasz o zdradę najwyższych dostojników państwa...

— Mylisz się książę, to wcale nie jest zdrada: najstarszy arcykapłan Egiptu i minister jego świątobliwości mają prawo prowadzić układy z sąsiednimi mocarzami. Wreszcie, skąd wie wasza dostojność, że wszystko to nie dzieje się z woli faraona?

Ramzes musiał przyznać w duszy, że układ podobny nie byłby zdradą państwa, tylko — lekceważeniem jego, następcy tronu. Więc to w taki sposób traktują go kapłani, jego, który za rok może być faraonem?... Więc dlatego Pentuer ganił wojny, a Mefres popierał go!...

— Kiedy to się miało stać? gdzie?...—spytał książę.

— Podobno zawarli układ w nocy, w świątyni Seta pod Memfisem — odpowiedział Hiram. — A kiedy?... Dobrze nie wiem, lecz zdaje się, że tego

dnia, kiedy wasza dostojność wyjeżdżałeś z Mem fisu.

„A, nędznicy!... — myślał namiestnik. — T oni tak szanują moje stanowisko!... Więc oni mni oszukiwali i opisem stanu państwa?... Jakiś dobry bóg budził moje wątpliwości w świątyni Hator...“

Po chwili wewnętrznej walki, rzekł głośno:

— Niepodobna!... I dopóty nie uwierzę temu co mówisz wasza dostojność, dopóki nie dasz m dowodu.

— Dowód będzie — odparł Hiram. — Lad dzień przyjeżdża do Pi-Bast wielki pan asyryjsk Sargon, przyjaciel króla Assara. Przyjeżdża po pozorem pielgrzymki do świątyni Astoreth, złoży dary wam, książę, i jego świątobliwości, a potem— zawrzecie układ... Naprawdę zaś przypieczętujecie to, co postanowili kapłani na zgubę Fenicjan, a mo że i wasze własne nieszczęście...

— Nigdy! — rzekł książę. — Jakież to wyna grodzenie musiałaby Asyrja dać Egiptowi!...

— Oto jest mowa godna króla: jakie wyna grodzenie dostałby Egipt? Bo dla państwa każdy układ jest dobry, byle coś na nim zyskało... I to właśnie dziwi mnie — ciągnął Hiram — że Egipt zrobi zły interes: Asyrja bowiem zagarnia, oprócz Fenicji, prawie całą Azję; a wam, jakby z łaski zostawia: Izraelitów, Filistynów i półwysep Synai... Rozumie się, że w takim razie przepadną należne Egiptowi daniny, i faraon nigdy nie odbierze tych stu pięciu tysięcy talentów.

Namiestnik potrząsnął głową.

— Nie znasz — odparł — wasza dostojność kapłanów egipskich: żaden z nich nie przyjąłby takiego układu.

— Dlaczego? Fenickie przysłowie mówi: lepszy jęczmień w stodole, niż złoto w pustyni. Mogłoby się więc zdarzyć, że Egipt, gdyby czuł się bardzo słabym, wolałby darmo Synai i Palestynę, aniżeli wojnę z Asyrją. Ale otóż to mnie zastanawia... Bo nie Egipt, lecz Asyrja dzisiaj jest łatwą do pokonania: ma zatarg na północnym wschodzie, posiada mało wojsk i te są liche. Gdyby napadł ją Egipt, zniszczyłby państwo, zabrałby niezmierne skarby z Niniwy i Babelu i, raz na zawsze, utrwaliłby swoją władzę w Azji.

— Więc widzisz, że taki układ nie może istnieć — wtrącił Ramzes.

— W jednym tylko wypadku rozumiałbym podobne układy, gdyby kapłani... chcieli znieść władzę królewską w Egipcie... Do czego wreszcie dążą od czasów waszego dziada, książę...

— Znowu mówisz od rzeczy — wtrącił naniestnik, ale w sercu uczuł niepokój.

— Może mylę się — odparł Hiram, bystro patrząc mu w oczy. — Ale posłuchaj, wasza dostojność...

Przysunął swój fotel do księcia i mówił zniżonym głosem:

— Gdyby faraon wydał wojnę Asyrji i wygrał ją, miałby:

Wielką armję przywiązaną do jego osoby.

Sto tysięcy talentów zaległych danin.

Ze dwieście tysięcy talentów z Niniwy i Babelu.

Nareszcie — ze sto tysięcy talentów rocznie z krajów zdobytych.

Tak ogromny majątek pozwoliłby mu wykupić dobra zastawione u kapłanów i raz na zawsze położyć koniec ich mieszaniu się do władzy.

Ramzesowi błyszczały oczy. Hiram mówił dalej:

— Dzisiaj zaś armja zależy od Herhora, a więc od kapłanów i, z wyjątkiem pułków cudzoziemskich, faraon, w razie walki, liczyć na nią nie może.

Nadto zaś, skarb faraona jest pusty, a większa część jego dóbr należy do świątyń. Król, choćby na utrzymanie dworu, musi co rok zaciągać nowe długi; a że Fenicjan już u was nie będzie, więc musicie brać od kapłanów... Tym sposobem za dziesięć lat jego świątobliwość (oby żył wiecznie!...) straci resztę swoich dóbr, a co później?...

Na czoło Ramzesa wystąpił pot kroplisty.

— Widzisz więc, dostojny panie — mówił Hiram — że w jednym wypadku kapłani mogliby, a nawet musieliby przyjąć najsromotniejszy układ z Asyrją: jeżeli chodziłoby im o poniżenie i zniesienie władzy faraona... No — może istnieć i drugi wypadek: gdyby Egipt był tak słaby, że za wszelką cenę potrzebowałby spokoju...

Książę zerwał się.

— Milcz! — zawołał. — Wolałbym zdradę najwierniejszych sług, aniżeli podobną niemoc kraju!... Egipt musiałby Asyrji oddać Azję... Ależ w rok

później sam wpadłby pod jej jarzmo; bo, podpisując hańbę, przyznałby się do bezsilności...

Chodził wzburzony, a Hiram patrzył na niego z litością, czy współczuciem...

Nagle Ramzes zatrzymał się przed Fenicjaninem i rzekł:

— To fałsz!... Jakiś zręczny hultaj oszukał cię, Hiramie, pozorami prawdy, i ty mu uwierzyłeś. Gdyby istniał taki traktat, układanoby go w największej tajemnicy. A w takim razie, jeden z czterech kapłanów, których wymieniłeś, byłby zdrajcą nietylko króla, lecz nawet swoich współspiskowców...

— Mógł przecie być ktoś piąty, który ich podsłuchiwał — wtrącił Hiram.

— I tobie sprzedał tajemnicę?...

— Dziwno mi — rzekł — że książę jeszcze nie poznałeś potęgi złota.

— Ależ zastanów się, wasza dostojność, że nasi kapłani mają więcej złota, aniżeli ty, choć jesteś bogacz nad bogacze!...

— Ja jednak nie gniewam się, gdy mi przybędzie drachma. Dlaczego inni mieliby odrzucać talenty?...

— Bo oni są sługami bogów — mówił rozgorączkowany książę — bo oni lękaliby się ich kary...

Fenicjanin uśmiechnął się.

— Widziałem — odparł — wiele świątyń różnych narodów, a w świątyniach duże i małe posągi: drewniane, kamienne, nawet złote. Ale bogów nie spotkałem nigdy...

— Bluźnierco!... — zawołał Ramzes. — Jam widział bóstwo, czułem na sobie jego rękę i słyszałem głos...

— Gdzie to było?

— W świątyni Hator: w jej przedsionku i w mojej celi.

— W dzień?... — pytał Hiram.

— W nocy... — odparł książę i zastanowił się.

— W nocy książę słyszał mowę bogów i czuł ich rękę — powtarzał Fenicjanin, wybijając pojedyńcze wyrazy. — W nocy wiele rzeczy można widzieć. Jak to było?...

— Byłem chwytany w świątyni za głowę, ramiona i nogi, a przysięgam...

— Psyt!... — przerwał Hiram z uśmiechem.— Nie należy przysięgać nadaremnie.

Uporczywie wpatrywał się w Ramzesa swemi bystremi i mądremi oczyma, a widząc, że w młodzieńcu budzą się wątpliwości, rzekł:

— Ja ci coś powiem, panie. Jesteś niedoświadczony, otoczony siecią intryg, ja zaś byłem przyjacielem twego dziada i ojca. Otóż oddam ci jedną usługę. Przyjdź kiedy w nocy do świątyni Astoreth, ale... zobowiązawszy się do zachowania tajemnicy... Przyjdź sam, a przekonasz się, jacy to bogowie odzywają się i dotykają nas w świątyniach.

— Przyjdę — rzekł Ramzes po namyśle.

— Uprzedź mnie, książę, którego dnia z rana, a ja powiem ci hasło wieczorne świątyni i będziesz tam dopuszczony. Tylko nie zdradź mnie, ani siebie — mówił z dobrodusznym uśmiechem Fenicja-

nin. — Bogowie niekiedy przebaczają zdradę swoich tajemnic, ludzie nigdy...

Ukłonił się, a potem, wzniósłszy oczy i ręce do góry, zaczął szeptać błogosławieństwo.

— Obłudniku!... — zawołał książę. — Modlisz się do bogów, w których nie wierzysz?...

Hiram dokończył błogosławieństwa i rzekł:

— Tak jest: nie wierzę w bogów egipskich, asyryjskich, nawet fenickich, lecz wierzę w Jedynego, który nie mieszka w świątyniach i nie jest znane jego imię.

— Nasi kapłani wierzą także w Jedynego — wtrącił Ramzes.

— I chaldejscy także, a jednak i ci, i tamci sprzysięgli się przeciw nam... Niema prawdy na świecie, mój książę!...

Po odejściu Hirama, książę zamknął się w najodleglejszym pokoju, pod pozorem odczytywania świętych papirusów.

Prawie w okamgnieniu, w jego ognistej wyobraźni uporządkowały się nowo otrzymane wiadomości i utworzył się plan.

Przedewszystkiem zrozumiał, że między Fenicjanami i kapłanami toczy się cicha walka na życie i śmierć. O co?... Naturalnie, o wpływy i skarby. Prawdę rzekł Hiram, że gdyby Fenicjan zabrakło w Egipcie, wszystkie majątki faraona, nawet nomarchów i całej arystokracji, przeszłyby pod panowanie świątyń.

Ramzes nigdy nie lubił kapłanów i oddawna wiedział i widział, że większa część Egiptu już na-

leży do kapłanów, że ich miasta są najbogatsze, pola najlepiej uprawiane, ludność zadowolona. Rozumiał też, że połowa skarbów, należących do świątyń, wydobyłaby faraona z nieustannych kłopotów i podźwignęłaby jego władzę.

Książę wiedział o tem i niejednokrotnie wypowiadał to z goryczą. Lecz gdy za sprawą Herhora został namiestnikiem i otrzymał dowództwo korpusu Menfi, pogodził się z kapłanami i we własnem sercu tłumił stare niechęci do nich.

Dziś wszystko odżyło.

Więc kapłani nietylko nie powiedzieli mu o swoich układach z Asyrją, ale nawet nie uprzedzili go o poselstwie jakiegoś Sargona?...

Może wreszcie być, że ta kwestja stanowiła najwyższą tajemnicę świątyń i państwa. Lecz dlaczego ukrywali przed nim cyfrę danin, zalegających u rozmaitych azjatyckich narodów?... Sto tysięcy talentów, ależ to suma, która mogła odrazu poprawić majątkowy stan faraona!... Dlaczegoż oni to ukrywali, o czem nawet wiedział tyryjski książę, jeden z członków rady tego miasta?...

Co za wstyd dla niego, następcy tronu i namiestnika, że dopiero obcy ludzie otwierają mu oczy!

Lecz była rzecz jeszcze gorsza: Pentuer i Mefres na wszelki sposób dowodzili mu, że Egipt musi unikać wojny.

Już w świątyni Hator nacisk ten wydawał mu się podejrzanym: wojna bowiem mogła dostarczyć państwu kroci tysięcy niewolników i podźwignąć ogólny dobrobyt kraju. Dzisiaj zaś wydaje się tem

konieczniejszą, że przecież Egipt ma do odebrania sumy zaległe i do zdobycia nowe.

Książę podparł się rękoma na stole i rachował:

„Mamy — myślał — do odebrania sto tysięcy talentów danin... Hiram liczy, że złupienie Babilonu i Niniwy przyniosłoby ze dwieście tysięcy — razem trzysta tysięcy jednorazowo. Taką sumą można pokryć koszta największej wojny, a zostanie jako zysk — kilkakroć sto tysięcy niewolników i sto tysięcy rocznej daniny z krajów nowo podbitych.

Potem zaś — dokończył książę — obrachowalibyśmy się z kapłanami!...“

Ramzes był rozgorączkowany. Mimo to, przyszła mu refleksja:

„A gdyby Egipt nie mógł przeprowadzić zwycięskiej wojny z Asyrją?...

Lecz przy tem pytaniu zagotowała się w nim krew. Jakto Egipt?... jak Egipt może nie zdeptać Asyrji, gdy na czele wojsk stanie on, Ramzes, on, potomek Ramzesa Wielkiego, który sam jeden rzucił się na chetyjskie wozy wojenne i rozbił je!...

Książę wszystko mógł pojąć, wyjąwszy tego, ażeby mógł być pokonanym, aby mógł nie wydrzeć zwycięstwa największym mocarzom. Czuł w sobie bezmiar odwagi i zdziwiłby się, gdyby jakikolwiek nieprzyjaciel nie uciekł na widok jego rozpuszczonych koni. Przecież na wojennym wozie faraona stają sami bogowie, ażeby go zasłaniać tarczą, a nieprzyjaciół razić niebieskiemi pociskami!

„Tylko co ten Hiram mówił mi o bogach?... — myślał książę. I co on mi ma pokazać w świątyni Astoreth?... Zobaczymy“.

ROZDZIAŁ VI.

Hiram dotrzymał tajemnicy. Codzień do książęcego pałacu w Pi-Bast przychodziły tłumy niewolników i długie szeregi osłów, dźwigających: pszenicę, jęczmień, suszone mięso, tkaniny i wino. Złoto zaś i drogie kamienie przynosili kupcy feniccy pod dozorem urzędników domu Hirama.

Tym sposobem namiestnik w ciągu pięciu dni otrzymał przyrzeczone mu sto talentów. Hiram policzył sobie niewielki procent: jeden talent od czterech na rok i nie żądał zastawu, lecz poprzestał na kwicie księcia, poświadczonym przez sąd.

Potrzeby dworu były hojnie zaopatrzone. Trzy kochanki namiestnika otrzymały nowe szaty, mnóstwo pachnideł i po kilka niewolnic rozmaitej barwy. Służba miała obfitość jedzenia i wina, robotnicy królewscy odebrali zaległy żołd, wojsku wydawano nadzwyczajne porcje.

Dwór był zachwycony, tem bardziej, że Tutmozis i inni szlachetni młodzieńcy, na rozkaz Hirama, otrzymali od Fenicjan dość wysokie pożyczki, a nomarcha prowincji Habu i jego wyżsi urzędnicy dostali kosztowne prezenta.

To też uczta następowała po uczcie, zabawa po zabawie, mimo ciągle wzrastającego upału. Namiestnik, widząc powszechną radość, sam był zadowolony. Trapiła go tylko jedna rzecz: zachowanie się Mefresa i innych kapłanów. Książę myślał, iż dostojnicy ci będą mu robili wymówki zato, że zaciągnął tak wielki dług u Hirama, wbrew naukom,

jakie odebrał w świątyni. Tymczasem święci ojcowie milczeli i nawet nie pokazywali się u dworu.

— Co to znaczy — rzekł pewnego dnia do Tutmozisa — że kapłani nie udzielają nam upomnień?... Przecież takich zbytków, jak obecnie, nie dopuszczaliśmy się nigdy. Muzyka gra od rana do nocy, a my pijemy od wschodu słońca i zasypiamy z kobietami w objęciach, albo ze dzbanami pod głową...

— Za co mieliby nas upominać? — odparł oburzony Tutmozis. — Czyliż nie przebywamy w mieście Astarty, dla której najmilszem nabożeństwem jest zabawa, a najpożądańszą ofiarą — miłość? Zresztą, kapłani rozumieją, że po tak długich umartwieniach i postach należy ci się odpoczynek.

— Mówili ci co? — spytał z niepokojem książę.

— I nieraz. Wczoraj, nie dawniej, święty Mefres rzekł do mnie, śmiejąc się, że tak młodego mężczyznę, jak ty, więcej pociąga zabawa, aniżeli nabożeństwo, albo kłopoty rządzenia państwem.

Ramzes zamyślił się. Więc kapłani uważają go za lekkomyślnego młodzieniaszka pomimo, że on, dzięki Sarze, dziś — jutro zostanie ojcem?... Ale tem lepiej, będą mieli niespodziankę, gdy przemówi do nich swoim własnym językiem...

Coprawda, książę samemu sobie robił lekkie wyrzuty: od chwili, gdy opuścił świątynię Hatory, ani przez jeden dzień nie zajmował się sprawami nomesu Habu. Kapłani mogą przypuszczać, że albo jest zupełnie zadowolony z objaśnień Pentuera, albo że znudził się już mieszaniem do rządów.

— Tem lepiej!... — szeptał. — Tem lepiej!...

W jego młodej duszy, pod wpływem ciągłych intryg otoczenia, albo podejrzeń o intrygi, zaczynał budzić się instynkt obłudy. Ramzes czuł, że kapłani nie domyślają się, o czem on rozmawiał z Hiramem i jakie plany rozsnuwał w swej głowie. Tym zaślepionym wystarczało, że on bawi się; z czego wnosili, że rządy państwem pozostaną w ich rękach.

— Bogowie tak zamącili im rozum — mówił do siebie Ramzes — że nawet nie pytają się: dlaczego Hiram udzielił mi tak wielkiej pożyczki?... A może ten chytry Tyryjczyk potrafił uśpić ich podejrzliwe serca?... Tem lepiej!... tem lepiej!

Robiło mu to dziwną przyjemność, gdy myślał, że kapłani oszukali się na jego rachunek. Postanowił i nadal utrzymywać ich w błędzie, więc bawił się, jak szalony.

Istotnie kapłani, a przedewszystkiem Mefres i Mentezufis, oszukali się i na Ramzesie i na Hiramie. Przebiegły Tyryjczyk udawał wobec nich człowieka bardzo dumnego ze swoich stosunków z następcą tronu, a książę z niemniejszem powodzeniem grał rolę rozhulanego młodzika.

Mefres był nawet pewny, że książę poważnie myśli o wypędzeniu Fenicjan z Egiptu, a tymczasem i on sam, i jego dworzanie zaciągają długi, aby ich nigdy nie spłacić.

Przez ten czas świątynia Astarty, jej liczne ogrody i dziedzińce roiły się od tłumu pobożnych. Codzień, jeżeli nie co godzina, z głębi Azji, mimo

strasznego upału, nadciągała do wielkiej bogini jakaś kompanja pielgrzymów.

Dziwni to byli pielgrzymowie. Zmęczeni, zlani potem, okryci kurzem, szli z muzyką, tańcząc i śpiewając niekiedy bardzo wszeteczne piosenki. Dzień upływał im na wyuzdanej rozpuście, ku czci bogini Astoreth. Każdą taką kompanję można było nietylko poznać, ale wyczuć zdaleka: nieśli bowiem ogromne bukiety ciągle świeżych kwiatów w rękach, a — zdechłe w ciągu roku koty w węzełkach.

Koty te oddawali pobożni do balsamowania lub wypychania paraszytom, mieszkającym pod Pi-Bast, a następnie odnosili je zpowrotem do domów, jako szanowne relikwje.

W początkach miesiąca Misori (maj—czerwiec) książę Hiram zawiadomił Ramzesa, że tego dnia wieczorem może przyjść do fenickiej świątyni Astoreth. Gdy po zachodzie słońca ściemniło się na ulicach, namiestnik, przypiąwszy krótki miecz do boku, włożył płaszcz z kapturem i niedostrzeżony przez nikogo ze służby, wymknął się do domu Hirama.

Stary magnat czekał na niego.

— Cóż — rzekł z uśmiechem — nie boisz się wasza dostojność wchodzić do fenickiej świątyni, gdzie na ołtarzu zasiada okrucieństwo, a służy mu przewrotność?

— Bać się?... — spytał Ramzes, patrząc na niego prawie z pogardą. — Astoreth nie jest Baalem, ani ja dzieckiem, które można rzucić w rozpalony brzuch waszego boga.

— I książę wierzysz temu?

Ramzes wzruszył ramionami.

— Naoczny i wiarogodny świadek — odparł — opowiadał mi o waszych ofiarach z dzieci. Pewnego czasu burza rozbiła wam kilkanaście statków. Natychmiast kapłani tyryjscy ogłosili nabożeństwo, na które zebrał się tłum ludu...

Książę mówił z widocznem wzburzeniem.

— Przed świątynią Baala, na wzniesieniu, siedział ogromny śpiżowy posąg, z głową wołu. Jego brzuch był rozpalony do czerwoności. Wtedy, na rozkaz waszych kapłanów, głupie matki fenickie zaczęły składać najpiękniejsze dzieci u stóp okrutnego boga...

— Samych chłopców — wtrącił Hiram.

— Tak, samych chłopców — powtórzył książę. — Kapłani skrapiali każde dziecko wonnościami, ubierali w kwiaty, a wówczas posąg chwytał je śpiżowemi rękoma, otwierał paszczę i pożerał krzyczącego w niebogłosy... Za każdym razem z ust boga wybuchały płomienie...

Hiram śmiał się cicho.

— I wasza dostojność wierzysz temu?

— Opowiadał mi to, powtarzam, człowiek, który nigdy nie kłamie.

— Mówił to, co istotnie widział — odparł Hiram. — Czy jednak nie zastanowiło go, że żadna z matek, której palono dzieci, nie płakała?

— Istotnie, zadziwiła go ta obojętność kobiet, zawsze gotowych do wylewania łez, nawet nad zdechłą kurą. Dowodzi to jednak wielkiego okrucieństwa w waszym narodzie.

Stary Fenicjanin kiwał głową.

— Dawnoż to było? — spytał.

— Przed kilku laty.

— No — powoli mówił Hiram — jeżeli wasza dostojność zechcesz kiedy odwiedzić Tyr, będę miał zaszczyt pokazać wam taką uroczystość...

— Nie chcę jej widzieć!...

— Następnie zaś pójdziemy na inne podwórze świątyni, gdzie książę zobaczy bardzo piękną szkołę, a w niej — zdrowych i wesołych tych samych chłopców, których przed kilku laty spalono...

— Jakto?... — zawołał Ramzes — wiec oni nie zginęli?...

— Żyją i rosną na tęgich marynarzy. Gdy wasza dostojność zostaniesz świątobliwością — obyś żył wiecznie! — może niejeden z nich będzie prowadził twoje okręty.

— Więc oszukujecie wasz lud?... — roześmiał się książę.

— My nikogo nie oszukujemy — odparł z powagą Tyryjczyk. — Oszukuje każdy sam siebie, gdy nie pyta o objaśnienie uroczystości, której nie rozumie.

— Ciekawym... — rzekł Ramzes.

— Istotnie — mówił Hiram — jest u nas zwyczaj, że ubogie matki, chcąc zapewnić dobry los swoim synom, ofiarują je na usługi państwu. Rzeczywiście dzieci te są porywane przez posąg Baala, w którym mieści się piec rozpalony. Obrządek ten nie znaczy, że dzieci są naprawdę palone, lecz — że stały się własnością świątyni i tak zginęły dla swoich matek, jakgdyby wpadły w ogień.

Naprawdę jednak nie idą one do pieca, ale do mamek i nianiek, które je przez kilka lat wychowują. Gdy zaś podrosną, zabiera je szkoła kapłanów Baala i kształci. Najzdolniejsi z tych wychowańców zostają kapłanami lub urzędnikami; mniej obdarzeni idą do marynarki i nieraz zdobywają wielkie bogactwa.

Teraz chyba książę nie będziesz dziwił się, że matki tyryjskie nie opłakują swoich dzieci. Więcej powiem: teraz, panie, zrozumiesz, dlaczego w naszych prawach niema kar na rodziców, zabijających swoje potomstwo, jak się to zdarza w Egipcie...

— Nikczemnicy znajdą się wszędzie — wtrącił namiestnik.

— Ale u nas niema dzieciobójców — mówił dalej Hiram — bo u nas dziećmi, których nie mogą wykarmić ich matki, zajmuje się państwo i świątynia.

Książę zamyślił się. Nagle uścisnął Hirama i zawołał wzruszony:

— Jesteście o wiele lepsi, aniżeli ci, którzy opowiadają o was tak straszne historje... Bardzo cieszę się z tego...

— I w nas jest niemało złego — odparł Hiram — ale wszyscy będziemy wiernymi sługami twoimi, panie, gdy nas zawołasz...

— Czy tak?... — spytał książę, bystro patrząc mu w oczy.

Starzec położył rękę na sercu.

— Przysięgam ci, następco egipskiego tronu i przyszły faraonie, że kiedykolwiek rozpoczniesz

walkę z naszymi wspólnymi nieprzyjaciółmi, cała Fenicja, jak jeden mąż, pośpieszy ci z pomocą...

A oto — weź na pamiątkę naszej dzisiejszej rozmowy.

Wyjął z pod szat złoty medal, pokryty tajemnemi znakami i, szepcąc modlitwy, zawiesił go na szyi Ramzesa.

— Z tym amuletem — mówił Hiram — możesz objechać cały świat... A gdziekolwiek spotkasz Fenicjanina, będzie ci służył radą, złotem, nawet mieczem... A teraz idźmy.

Upłynęło już kilka godzin po zachodzie słońca, ale noc była widna, gdyż wszedł księżyc. Straszliwy upał dzienny ustąpił miejsca chłodowi; w czystem powietrzu nie było szarego pyłu, który zatruwał oddech i gryzł w oczy. Na błękitnem niebie tu i ówdzie świeciły gwiazdy, rozpływające się w powodzi księżycowych blasków.

Na ulicach ustał ruch, ale dachy wszystkich domów były napełnione bawiącymi się ludźmi. Zdawało się, że Pi-Bast jest jedną salą od brzegu do brzegu wypełnioną muzyką, śpiewem, śmiechem i dźwiękami puharów.

Książę i Fenicjanin szli prędko, za miasto, wybierając mniej oświetlone strony ulic. Mimo to, ludzie, ucztujący na tarasach, niekiedy spostrzegali ich, a spostrzegłszy, zapraszali do siebie, lub sypali im kwiaty na głowę.

— Hej, wy tam nocne włóczęgi! — wołano z dachów. — Jeżeli nie jesteście złodziejami, których noc wywabiła na zarobek, przyjdźcie tu do nas... Mamy dobre wino i kobiety...

Dwaj wędrowcy nie odpowiadali na te uprzejme wezwania, śpiesząc swoją drogą. Nareszcie wyszli w stronę miasta, gdzie było mniej domów a więcej ogrodów, których drzewa, dzięki wilgotnym podmuchom morskim, rozrastały się wyżej i bujniej, aniżeli w południowych prowincjach Egiptu.

— Już niedaleko — rzekł Hiram.

Książę podniósł oczy i, ponad zbitą zielonością drzew, zobaczył kwadratową wieżę, barwy niebieskawej, na niej — szczuplejszą, białą. Była to świątynia Astoreth. Niebawem weszli w głąb ogrodu, skąd można było ogarnąć wzrokiem całą budowlę.

Składała się ona z kilku kondygnacyj. Pierwszą — tworzył taras kwadratowy, o bokach, mających po 400 kroków długości; spoczywał on na murze wysokości kilku metrów, pomalowanym na czarno. Przy boku wschodnim znajdował się występ, na który z dwu stron prowadziły szerokie schody. Wzdłuż innych boków stały wieżyczki, po 10 przy każdym; między każdą parą wieżyczek znajdowało się pięć okien.

Mniej więcej na środku tarasu wznosił się również kwadratowy budynek, z bokami po dwieście kroków. Ten miał pojedyńcze schody, wieże na rogach i był barwy purpurowej.

Na płaskim dachu tej budowli stał znowu kwadratowy taras, wysoki na parę metrów, barwy złotej, a na nim, jedna na drugiej, dwie wieże: niebieska i biała.

Całość wyglądała tak, jakby na ziemi postawił kto ogromną kostkę czarną, na niej mniejszą pur-

purową, na niej złotą, wyżej niebieską, a najwyżej srebrną. Na każde zaś z tych wzniesień prowadziły schody, albo podwójne boczne, albo pojedyńcze frontowe, zawsze od strony wschodniej.

Przy schodach i przy drzwiach, stały naprzemian wielkie sfinksy egipskie, albo skrzydlate asyryjskie byki z ludzkiemi głowami.

Namiestnik z przyjemnością patrzał na ten gmach, który przy blasku księżyca, na tle bujnej roślinności wyglądał prześlicznie. Był on wzniesiony w stylu chaldejskim i stanowczo różnił się od świątyń egipskich, naprzód — systemem kondygnacyj, powtóre — pionowemi ścianami. U Egipcjan każda poważna budowla miała ściany pochyłe, jakby zbiegające się ku górze.

Ogród nie był pusty. W różnych punktach widać było domki i pałacyki, płonęły światła, rozlegał się śpiew i muzyka. Między drzewami kiedy niekiedy mignął cień zakochanej pary.

Nagle zbliżył się do nich stary kapłan; zamienił kilka słów z Hiramem i, złożywszy niski ukłon księciu, rzekł:

— Racz, panie, udać się za mną.

— I niech bogowie czuwają nad waszą dostojnością — dorzucił Hiram, zostawiając ich.

Ramzes poszedł za kapłanem. Nieco zboku świątyni, między największym gąszczem, stała kamienna ławka, a może o sto kroków od niej, niewielki pałacyk, pod którym rozlegały się śpiewy.

— Tam się modlą? — zapytał książę.

— Nie!... — odparł kapłan, nie ukrywając nie-

chęci. — To zbierają się wielbiciele Kamy, naszej kapłanki, pilnującej ognia przed ołtarzem Astoreth.

— Któregoż ona dziś przyjmie?

— Żadnego nigdy!... — odparł zgorszony przewodnik. — Gdyby kapłanka od ognia nie dotrzymała ślubu czystości, musiałaby umrzeć.

— Okrutne prawo! — rzekł książę.

— Racz, panie, zaczekać na tej ławce — odezwał się zimno kapłan fenicki. — A gdy usłyszysz trzy uderzenia w śpiżowe blachy, idź do świątyni, wejdź na taras, a stamtąd do purpurowego gmachu

— Sam?

— Tak.

Książę usiadł na ławce, w cieniu oliwki, i słuchał śmiechów kobiecych, rozlegających się w pałacyku.

„Kama" — myślał. — Ładne imię!... Musi być młoda, a może jest piękna, i ci głupi Fenicjanie grożą jej śmiercią, gdyby... Czy w ten sposób pragną zapewnić sobie posiadanie choćby kilkunastu dziewic na cały kraj?..."

Śmiał się, ale było mu smutno. Niewiadomo dlaczego żałował tej nieznanej kobiety, dla której miłość była wejściem do grobu.

„Wyobrażam sobie Tutmozisa, gdyby go mianowano kapłanką Astoreth!... Musiałby biedak umrzeć pierwej, nim przed boginią wypaliłaby się jedna lampa..."

W tej chwili pod pałacykiem rozległ się dźwięk fletu i odegrał jakąś tęskną melodję, której towarzyszyły głosy kobiet śpiewających:

— Aha-a!... aha-a!“ — jakby przy kołysaniu dzieci.

Ucichł flet, umilkły kobiety, a odezwał się piękny głos męski, greckim językiem:

— Kiedy na ganku błyśnie twoja szata, bledną gwiazdy i milkną słowiki, a w mojem sercu budzi się taka cisza, jak na ziemi, gdy ją powita biały świt!...

— Aha-a!... aha-a!... aha-a!... nuciły kobiety, flet znowu odegrał zwrotkę.

— A gdy rozmodlona udajesz się do świątyni, fiołki otaczają cię wonnym obłokiem, motyle krążą około twoich ust, palmy przed twoją pięknością schylają głowy...

— Aha-a!... aha-a!... aha-a!...

— Gdy cię nie widzę, patrzę na niebo, ażeby przypomnieć sobie słodki spokój twojego oblicza. Daremna praca! Niebo nie posiada twojej pogody, a jego żar jest zimnem, wobec płomieni, które spopieliły moje serce.

— Aha-a!... aha-a!...

— Jednego dnia stanąłem między różami, które blask twoich spojrzeń obleka w białość, szkarłaty i złoto. Każdy ich listek przypomniał mi jedną godzinę, każdy kwiat — jeden miesiąc, przepędzony u twoich stóp. A krople rosy to moje łzy, któremi poi się okrutny wiatr pustyni.

Daj znak, a porwę cię i uniosę do mojej miłej ojczyzny. Morze oddzieli nas od prześladowców, mirtowe gaje ukryją nasze pieszczoty, i czuwać będą nad naszem szczęściem litościwsi dla zakochanych bogowie.

— Aha-a!... aha-a!...

Ramzes przymknął oczy i marzył. Przez zapuszczone rzęsy już nie widział ogrodu, tylko powódź księżycowego światła, wśród której rozpływały się czarne cienie i śpiew nieznanego człowieka do nieznanej kobiety. Chwilami ten śpiew tak go ogarniał, tak głęboko wdzierał mu się w duszę, że Ramzes miał chęć zapytać: czy to nie on sam śpiewa, a nawet czy — on sam nie jest tą pieśnią miłosną?...

W tym momencie jego tytuł, władza i ciężkie zagadnienia państwowe, wszystko wydawało mu się nędznym drobiazgiem wobec tej nocy księżycowej i tych okrzyków zakochanego serca. Gdyby mu dano do wyboru: całą potęgę faraona, czy ten duchowy nastrój, w jakim znajdował się obecnie, wolałby swoje rozmarzenie, w którem zniknął cały świat, on sam, nawet czas, a została tęsknota, lecąca w wieczność, na skrzydłach pieśni.

Wtem książę ocknął się, śpiew umilkł, w pałacyku pogasły światła, a na jego białych ścianach ostro odbijały czarne, puste okna. Można było myśleć, że tu nikt nigdy nie mieszkał. Nawet ogród opustoszał i ucichł, nawet lekki wiatr przestał poruszać listkami.

Raz!... dwa!... trzy!... Ze świątyni odezwały się trzy potężne odgłosy śpiżu.

„Aha! muszę tam iść...“ — pomyślał książę, dobrze nie wiedząc, dokąd ma iść i poco.

Skierował się jednak w stronę świątyni, której srebrzysta wieża górowała nad drzewami, jakby wzywając go do siebie.

Szedł odurzony, pełen dziwacznych zachceń. Między drzewami było mu ciasno; pragnął wejść na szczyt tej wieży i odetchnąć, ogarnąć wzrokiem jakiś szerszy horyzont. To znowu, przypomniawszy sobie, że jest miesiąc Misori, że już rok upłynął od manewrów w pustyni, uczuł tęsknotę po pustyni. Jakżeby chętnie siadł na swój lekki wóz, zaprzężony w parę koni, i leciał gdzieś naprzód, gdzie nie było tak duszno, a drzewa nie zasłaniały widnokręgu!

Był już u stóp świątyni, więc wszedł na taras. Cicho i pusto, jakby wszyscy wymarli; tylko zdaleka szemrała woda fontanny. Na drugich schodach rzucił swój burnus i miecz, jeszcze raz spojrzał na ogród, jakby mu żal było księżyca, i wszedł do świątyni. Ponad nim wznosiły się jeszcze trzy kondygnacje.

Śpiżowe drzwi były otwarte, z obu stron wejścia stały skrzydlate figury byków z ludzkiemi głowami, na których twarzach panował dumny spokój.

„To królowie asyryjscy“ — pomyślał książę, przypatrując się ich brodom, splecionym w drobne warkoczyki.

Wnętrze świątyni było czarne, jak najczarniejsza noc; ciemność tę potęgowały jeszcze białe smugi księżycowego światła, wpadające przez wąskie a wysokie okna.

W głębi paliły się dwie lampy przed posągiem bogini Astoreth. Jakieś dziwne oświetlenie zgóry sprawiało, że posąg był doskonale widzialny. Ramzes patrzał. Była to olbrzymia kobieta, ze strusiemi

skrzydłami. Miała na sobie długą, fałdzistą szatę, na głowie śpiczastą czapkę, w prawej ręce parę gołębi. Jej piękna twarz i spuszczone oczy miały wyraz takiej słodyczy, takiej niewinności, że księcia ogarnęło zdumienie: była to bowiem patronka zemsty i najbardziej wyuzdanej rozpusty.

Fenicja ukazała mu jeszcze jedną ze swych tajemnic.

„Osobliwy naród! — pomyślał. — Ich ludożerczy bogowie nie zjadają, a ich wszeteczeństwem opiekują się dziewicze kapłanki i boginie z dziecięcą twarzą..."

Wtem uczuł, że po nogach prędko przesunęło mu się coś, jakby wielki wąż. Ramzes cofnął się i stanął w smudze księżycowego światła.

„Przywidzenie!..." — rzekł do siebie.

Prawie w tej chwili usłyszał szept:

— Ramzesie!... Ramzesie!...

Niepodobna było poznać: czyj to głos — męski czy kobiecy — i skąd pochodzi?

— Ramzesie!... Ramzesie! — rozległ się szept, jakby od podłogi.

Książę wszedł w miejsce nieoświetlone i, nasłuchując, pochylił się. Nagle poczuł na swej głowie dwie delikatne ręce.

Zerwał się, aby je złapać, ale chwycił tylko powietrze.

— Ramzesie! — szepnięto zgóry.

Podniósł głowę i uczuł na ustach kwiat lotosu, a gdy wyciągnął ku niemu ręce, ktoś lekko oparł się na jego ramionach.

— Ramzesie!... zawołano od ołtarza.

Książę odwrócił się i osłupiał. W smudze światła, o parę kroków, stał prześliczny człowiek, zupełnie podobny do niego. Ta sama twarz, oczy, młodzieńczy zarost, ta sama postawa, ruchy i odzienie...

Książę przez chwilę myślał, że stoi przed wielkiem lustrem, jakiego nawet faraon nie posiadał. Wnet jednak przekonał się, że jego sobowtór nie jest wizerunkiem, ale żywym człowiekiem.

W tej chwili uczuł pocałunek na szyi. Znowu odwrócił się, lecz nie było nikogo, a tymczasem i jego sobowtór zniknął.

— Kto tu jest?... Chcę wiedzieć!... — zawołał rozgniewany książę.

— To ja... Kama... — odpowiedział słodki głos.

I w świetlnej smudze ukazała się prześliczna kobieta, naga, w złotej przepasce około bioder.

Ramzes pobiegł i schwycił ją za rękę. Nie uciekała.

— Ty jesteś Kama?... Nie, ty jesteś... Tak, ciebie niegdyś przysłał Dagon, ale wówczas nazywałaś się Pieszczotą...

— Bo ja jestem i Pieszczota — odpowiedziała naiwnie.

— Ty mnie dotykałaś rękoma?...

— Ja.

— Jakim sposobem?...

— A o! takim... — odpowiedziała, zarzucając mu ręce na szyję i całując go.

Ramzes pochwycił ją w objęcia, ale wydarła

mu się z siłą, jakiej nie można było podejrzewać w tak drobnej postaci.

— Więc to ty jesteś kapłanka Kama?... Więc to do ciebie śpiewał dzisiaj ten Grek?... — mówił książę, namiętnie ściskając jej rękę. — Co za jeden ten śpiewak?...

Kama pogardliwie wzruszyła ramionami.

— On jest przy naszej świątyni — rzekła.

Ramzesowi płonęły oczy, rozszerzyły się nozdrza, szumiało mu w głowie. Ta sama kobieta przed kilku miesiącami zrobiła na nim małe wrażenie, ale dziś gotów był dla niej popełnić nawet szaleństwo. Zazdrościł Grekowi, a jednocześnie czuł nieopisany żal na myśl, że gdyby ona została jego kochanką, musiałaby umrzeć.

— Jakaś ty piękna! — mówił. — Gdzie mieszkasz?... Ach, wiem, w tamtym pałacyku... Czy można cię odwiedzić?... Naturalnie, jeżeli przyjmujesz wizyty śpiewaków, musisz i mnie przyjąć... Czy naprawdę jesteś kapłanką pilnującą ognia?...

— Tak.

— I wasze prawa są tak okrutne, że nie pozwalają ci kochać?... Eh, to są pogróżki!... Dla mnie zrobisz wyjątek...

— Przeklęłaby mnie cała Fenicja, zemściliby się bogowie... — odparła ze śmiechem.

Ramzes znowu przyciągnął ją do siebie, ona znowu się wydarła.

— Strzeż się, książę — mówiła z wyzywającem spojrzeniem. — Fenicja jest potężna, a jej bogowie...

— Co mnie obchodzą twoi bogowie, albo Fenicja!... Gdyby ci włos spadł, zdeptałbym Fenicję, jak złą gadzinę...

— Kama!... Kama!... — odezwał się od posągu głos.

Przeraziła się.

— O widzisz wołają mnie... Może nawet słyszeli twoje bluźnierstwa...

— Bodajby nie usłyszeli mego gniewu!... — wybuchnął książę.

— Gniew bogów jest straszniejszy...

Szarpnęła się i znikła w cieniach świątyni. Ramzes rzucił się za nią, lecz nagle cofnął się. Całą świątynię, między ołtarzem i nim, zalał ogromny, krwawy płomień, wśród którego zaczęły ukazywać się potworne figury: wielkie nietoperze, gady z ludzkiemi twarzami, cienie...

Płomień szedł prosto na niego, całą szerokością gmachu, a oszołomiony nieznanym sobie widokiem książę cofał się wstecz. Nagle owionęło go świeże powietrze. Odwrócił głowę — był już nazewnątrz świątyni, a jednocześnie śpiżowe drzwi z łoskotem zatrzasnęły się za nim.

Przetarł oczy, rozejrzał się. Księżyc z najwyższego punktu na niebie zniżał się już ku zachodowi. Obok kolumny Ramzes znalazł swój miecz i burnus. Podniósł je i zeszedł ze schodów, jak pijany.

Kiedy późno wrócił do pałacu, Tutmozis, widząc jego pobladłą twarz i mętne spojrzenie, zawołał z trwogą:

— Przez bogi! gdzieżeś to był, erpatre?... Cały twój dwór nie śpi zaniepokojony...

— Oglądałem miasto. Ładna noc...

— Wiesz — dodał spiesznie Tutmozis, jakby lękając się, aby go kto inny nie uprzedził. — Wiesz, Sara powiła ci syna...

— Doprawdy?... Chcę, ażeby nikt z orszaku nie niepokoił się o mnie, ile razy wyjdę na przechadzkę.

— Sam?

— Gdybym nie mógł wychodzić sam, gdzie mi się podoba, byłbym najnieszczęśliwszym niewolnikiem w tem państwie — odparł cierpko namiestnik.

Oddał miecz i burnus Tutmozisowi i poszedł do swojej sypialni, nie wzywając nikogo. Jeszcze wczoraj wiadomość o urodzeniu się syna napełniłaby go radością. Lecz w tej chwili przyjął ją obojętnie. Całą duszę wypełniły mu wspomnienia dzisiejszego wieczora, najdziwniejszego, jaki dotychczas poznał w życiu.

Jeszcze widział światło księżyca, w uszach rozlegała się pieśń Greka. A ta świątynia Astarty!...

Nie mógł zasnąć do rana.

ROZDZIAŁ VII.

Na drugi dzień książę wstał późno, sam się wykąpał i ubrał i kazał przyjść do siebie Tutmozisowi.

Wystrojony, namaszczony wonnościami, elegant ukazał się natychmiast, pilnie przypatrując się

księciu, aby poznać, w jakim jest humorze, i, odpowiednio do tego, ułożyć swoją fizjognomję.

Ale na twarzy Ramzesa malowało się tylko znużenie.

— Cóż — spytał Tutmozisa, ziewając — czy jesteś pewny, że urodził mi się syn?

— Mam tę wiadomość od świętego Mefresa.

— Oho!... Od jakże to dawna prorocy zajmują się moim domem?

— Od czasu, kiedy wasza dostojność okazujesz im swoją łaskę.

— Tak?... — spytał książę i zamyślił się.

Przypomniał sobie wczorajszą scenę w świątyni Astoreth i porównywał ją z podobnemi zjawiskami w świątyni Hator.

„Wołano na mnie — mówił do siebie — i tu, i tam. Ale tam moja cela była bardzo ciasna i grube mury, tu zaś wołający, a właściwie Kama, mogła schować się za kolumnę i szeptać... Wreszcie tu było strasznie ciemno, a w mojej celi widno..."

Nagle rzekł do Tutmozisa:

— Kiedyż się to stało?

— Kiedy urodził się dostojny syn twój?... Podobno już z dziesięć dni temu... Matka i dziecko zdrowe, doskonale wyglądają... Przy urodzeniu był sam Menes, lekarz twojej czcigodnej matki i dostojnego Herhora...

— No, no...—odparł książę i znowu myślał:— „Dotykano mnie tu i tam, jednakowo zręcznie... Czy była jaka różnica?... Zdaje się, że była, może dlatego, że tu byłem, a tam nie byłem przygoto-

wany na zobaczenie cudu... Ale tu pokazano mi drugiego m n i e, czego tam nie potrafili zrobić... Bardzo mądrzy są kapłani!... Ciekawym, kto — mnie — tak dobrze udawał, bożek czy człowiek?... O! bardzo mądrzy są kapłani, i nawet nie wiem, którym z nich lepiej wierzyć: naszym czy fenickim?..."

— Słuchaj, Tutmozis — rzekł głośno — słuchaj, Tutmozis... Trzeba, ażeby tu przyjechali... Muszę przecie zobaczyć mego syna... Nareszcie już nikt nie będzie miał prawa uważać się za lepszego ode mnie...

— Czy zaraz mają przyjechać dostojna Sara z synem?...

— A niech przyjadą jak najprędzej, jeżeli tylko zdrowie im pozwoli. W granicach pałacu jest dużo wygodnych budowli. Trzeba wybrać miejsce wśród drzew, zaciszne i chłodne, gdyż nadchodzi czas upałów... Niechże i ja pokażę światu mego syna!...

I znowu wpadł w zadumę, która nawet zaczęła niepokoić Tutmozisa.

„Tak, mądrzy są! — myślał Ramzes. — Że lud oszukują, nawet grubemi sposobami, o tem wiedziałem. Biedny święty Apis! ile on ukłuć dostaje w czasie procesji, kiedy chłopi leżą przed nim na brzuchach... Ale ażeby oszukiwali mnie, temubym nie uwierzył... Głosy bogów, niewidzialne ręce, człowiek oblewany smołą, to były przygrywki!... Poczem nastąpiła pieśń Pentuera: o ubytku ziemi i ludności, o urzędnikach, Fenicjanach, a wszystko— ażeby obmierzić mi wojnę..."

— Tutmozisię — rzekł nagle,

— Padam przed tobą na twarz...

— Trzeba powoli ściągnąć pułki z nadmorskich miast — tutaj... Chcę zrobić przegląd i wynagrodzić ich wierność.

— A my, szlachta, nie jesteśmyż ci wierni? — spytał zmieszany Tutmozis.

— Szlachta i wojsko, to jedno.

— A nomarchowie, urzędnicy?...

— Wiesz Tutmozis, że nawet i urzędnicy są wierni — mówił książę. — Co mówię, nawet Fenicjanie!... Chociaż na wielu innych stanowiskach są zdrajcy...

— Przez bogi ciszej!... — szepnął Tutmozis i lękliwie wyjrzał do drugiej komnaty.

— Oho!... — śmiał się książę — skądże ta trwoga? Więc i dla ciebie nie jest tajemnicą, że mamy zdrajców...

— Wiem, o kim wasza dostojność mówisz — odparł Tutmozis — bo zawsze byłeś źle uprzedzony...

— Do kogo?...

— Do kogo!... Domyślam się. Ale sądziłem, że po ugodzie z Herhorem, po długim pobycie w świątyni...

— Cóż świątynia?... I tam, i w całym zresztą kraju przekonywałem się zawsze o jednem, że najlepsze ziemie, najdzielniejsza ludność i niezmierne bogactwa nie są własnością faraona...

— Ciszej!... ciszej!... — szeptał Tutmozis.

— Ależ ciągle milczę, ciągle mam twarz pogodną, więc pozwól mi się wygadać choć tu... Zrę-

sztą nawet w najwyższej radzie miałbym prawo powiedzieć, że w tym Egipcie, który niepodzielnie należy do mego ojca, ja, jego następca i namiestnik musiałem pożyczyć sto talentów od jakiegoś tyryjskiego książątka... Nie jestże to hańba!...

— Ale skądże ci to dziś przyszło?... — szeptał Tutmozis, pragnąc jak najrychlej zakończyć niebezpieczną rozmowę.

— Skąd?... — powtórzył książę i umilkł, aby znowu pogrążyć się w zadumie.

„Niewiele jeszcze znaczyłoby—myślał—gdyby tylko mnie oszukiwali: jestem dopiero następcą faraona i nie do wszystkich tajemnic mogę być dopuszczany. Ale kto mi powie, że oni w taki sam sposób nie postępowali z moim czcigodnym ojcem?... Trzydzieści kilka lat ufał im nieograniczenie, korzył się przed cudami, składał hojne ofiary bogom, poto... ażeby jego majątek i władza przeszły w ręce ambitnych filutów! I nikt mu oczu nie otworzył... Boć faraon nie może, jak ja, wchodzić w nocy do świątyń fenickich, bo wkońcu do jego świątobliwości nikt nie ma przystępu...

„A kto mnie dziś zapewni, że kapłaństwo nie dąży do obalenia tronu, jak to powiedział Hiram?... Wszakże ojciec ostrzegł mnie, że Fenicjanie są najprawdomówniejsi, gdy mają w tem interes. Z pewnością, że mają interes, ażeby nie być wypędzonymi z Egiptu i nie dostać się pod władzę Asyrji... Asyrja, stado wściekłych lwów!... Kędy oni przejdą, nic nie zostanie, oprócz zwalisk i trupów, jak po pożarze!...

Nagle Ramzes podniósł głowę: zdaleka doleciał go odgłos fletów i rogów.

— Co to znaczy? — zapytał Tutmozisa.

— Wielka nowina!...—odparł dworak z uśmiechem. — Azjaci witają znakomitego pielgrzyma, aż z Babilonu...

— Z Babilonu?... Kto on?...

— Nazywa się Sargon...

— Sargon?... — przerwał książę. — Sargon!... a cha! cha!... — zaczął się śmiać. — Czemże on jest?...

— Ma być wielkim dostojnikiem na dworze króla Assara. Prowadzi z sobą dziesięć słoni, stada najpiękniejszych rumaków pustynnych, tłumy niewolników i sług.

— A poco on tu przyjeżdża?

— Pokłonić się cudownej bogini Astoreth, którą czci cała Azja — odparł Tutmozis.

— Cha!... cha!... cha!... — śmiał się książę, przypomniawszy sobie zapowiedź Hirama o przyjeździe asyryjskiego posła. — Sargon... cha!... cha!... Sargon, powinowaty króla Assara, zrobił się nagle tak pobożnym, że na całe miesiące puszcza się w niewygodną podróż, byle uczcić boginię Astoreth w Pi-Bast... Ależ w Niniwie znalazłby większych bogów i uczeńszych kapłanów... Cha! cha! cha!

Tutmozis ze zdumieniem patrzał na księcia.

— Co tobie, Ramzesie?...

— Oto cud! —mówił książę — jakiego chyba nie zapisały kroniki żadnej świątyni. Tylko pomyśl, Tutmozisie... W chwili, gdy najbardziej za-

stanawiasz się nad pytaniem: w jaki sposób złapać złodzieja, który cię wciąż okrada? — w takiej chwili, ów złodziej znowu pakuje rękę do twojej skrzyni, w twoich oczach, przy tysiącu świadków... Cha! cha! cha!... Sargon — pobożny pielgrzym!...

— Nic nie rozumiem... — szeptał zakłopotany Tutmozis.

— I nie potrzebujesz rozumieć — odparł namiestnik. — Zapamiętaj tylko, że Sargon przyjechał tu na pobożne praktyki, do świętej Astoreth...

— Zdaje mi się, że wszystko, o czem mówisz— rzekł, zniżając głos, Tutmozis — że wszystko to są rzeczy bardzo niebezpieczne....

— To też nie wspominaj o nich nikomu.

— Że ja nie wspomnę, tego chyba jesteś pewny, ale czy ty książę sam się nie zdradzisz... Jesteś prędki, jak błyskawica...

Następca położył mu rękę na ramiona.

— Bądź spokojny — rzekł, patrząc mu w oczy. — Obyście mi tylko dochowali wierności. wy, szlachta i wojsko, a zobaczycie dziwne wypadki i... skończą się dla was ciężkie czasy!...

— Wiesz, że zginiemy na twój rozkaz — odparł Tutmozis, kładąc rękę na piersiach.

Na jego obliczu była tak niezwykła powaga, iż książę zrozumiał, wreszcie nie po raz pierwszy. że w tym rozhukanym elegancie kryje się dzielny mąż, na którego mieczu i rozumie można polegać.

Od tej pory książę nigdy już nie prowadził z Tutmozisem tak dziwnych rozmów. Ale wierny przyjaciel i sługa odgadł, że poza przyjazdem Sar-

gona kryją się jakieś wielkie interesa państwowe, samowolnie rozstrzygane przez kapłanów.

Zresztą od pewnego czasu cała egipska arystokracja, nomarchowie, wyżsi urzędnicy i dowódcy, bardzo cicho, ale to bardzo cicho... szeptali między sobą, że nadchodzą ważne wypadki. Fenicjanie bowiem, pod przysięgą dochowania tajemnicy, opowiadali im o jakowychś traktatach z Asyrją, przy których Fenicja zginie, a Egipt okryje się hańbą i bodaj, że kiedyś stanie się lennikiem Asyrji.

Wzburzenie między arystokracją było ogromne, lecz nikt się nie zdradził. Owszem, zarówno na dworze następcy, jak i u nomarchów Dolnego Egiptu, bawiono się doskonale. Można było sądzić, że wraz z gorącem spadło na nich szaleństwo, nietylko zabaw, ale rozpusty. Nie było dnia bez igrzysk, uczt i triumfalnych pochodów, nie było nocy bez iluminacji i wrzasków. Nietylko w Pi-Bast, ale w każdem mieście wytworzyła się moda przebiegania ulic z pochodniami, muzyką, a nadewszystko z pełnemi dzbanami. Wpadano do domów i wyciągano śpiących mieszkańców na pijatykę; a że Egipcjanie mieli duży pociąg do hulanek, więc bawił się kto żył.

Przez cały czas pobytu Ramzesa w świątyni Hator, Fenicjanie, zdjęci jakimś panicznym strachem, spędzali dni na modlitwach i wszystkim odmawiali kredytu. Lecz po rozmowie Hirama z namiestnikiem pobożność i ostrożność nagle opuściła Fenicjan, i zaczęli panom egipskim hojniej udzielać pożyczek, aniżeli kiedykolwiek.

Takiej obfitości złota i towarów, jaka panowała w Dolnym Egipcie, a nadewszystko tak małych procentów, nie pamiętali najstarsi ludzie.

Surowy i mądry stan kapłański zwrócił uwagę na szaleństwa najwyższych klas społecznych. Lecz omylili się w ocenianiu jego źródeł, a święty Mentezufis, który co kilka dni wysyłał rano raport do Herhora, wciąż donosił mu, że następca, znudzony praktykami religijnemi w świątyni Hator, bawi się teraz bez pamięci, a z nim cała arystokracja.

Dostojny minister nawet nie odpowiadał na te wzmianki, co dowodziło, że hulatykę księcia uważa za rzecz naturalną, a może nawet pożyteczną.

Przy takim nastroju najbliższego otoczenia, Ramzes zyskał dużo swobody. Prawie każdego wieczora, gdy przepici winem dworzanie zaczynali tracić świadomość, książę — wymykał się z pałacu.

Okryty ciemnym burnusem oficera, przebiegał puste ulice i wydostawał się za miasto, do ogrodów świątyni Astoreth.

Tam odnajdował swoją ławkę naprzeciw pałacyku Kamy i, ukryty między drzewami, patrzył na płonące pochodnie; słuchał śpiewu wielbicieli kapłanki i — marzył o niej.

Księżyc wschodził coraz później, zbliżając się do nowiu, noce były szare, efekta świetlne przepadły, ale Ramzes mimo to wciąż widział jasność owej pierwszej nocy i słyszał namiętne strofy Greka.

Nieraz powstawał z ławki, ażeby wprost pójść do mieszkania Kamy; ale ogarniał go wstyd. Czuł on, że nie wypada następcy tronu ukazywać się

w domu kapłanki, który odwiedzał każdy pielgrzym, byle złożył hojniejszą dla świątyni ofiarę. Co dziwniejsza — bał się, ażeby widok Kamy, otoczonej dzbanami i nieszczęśliwymi wielbicielami, nie zatarł mu cudownego obrazu księżycowej nocy.

Wówczas, gdy ją przysłał Dagon, ażeby odwrócić gniew księcia, Kama wydała się Ramzesowi młodą dziewczyną, dosyć powabną, dla której jednak można nie tracić głowy. Lecz gdy pierwszy raz w życiu, on, wódz i namiestnik, musiał siedzieć pod domem kobiety, gdy go rozmarzyła noc, gdy usłyszał gorące oświadczyny innego mężczyzny, wtedy, także pierwszy raz w życiu, zrodziło się w nim szczególne uczucie: mieszanina pożądania, tęsknoty i zazdrości.

Gdyby mógł mieć Kamę na każde zawołanie. sprzykrzyłaby mu się bardzo prędko, a może nawet nie ubiegałby się o nią. Ale śmierć, stojąca na progu jej sypialni, zakochany śpiewak, a nareszcie to upokarzające stanowisko najwyższego dostojnika wobec kapłanki, wszystko to wytwarzało sytuację Ramzesowi dotychczas nieznaną, a więc ponętną.

I oto dlaczego, prawie co wieczór, od dziesięciu dni przychodził do ogrodów bogini Astoreth, zasłaniając twarz wobec przechodniów.

Pewnego wieczora, kiedy na uczcie w swoim pałacu wypił dużo wina, Ramzes wymknął się ze stanowczym zamiarem. Powiedział sobie, że dzisiaj wejdzie do mieszkania Kamy, a jej wielbiciele — niech sobie śpiewają pod oknami.

Szedł prędko przez miasto, lecz w ogrodach należących do świątyni zwolnił kroku, znowu bowiem uczuł wstyd.

„Czy słyszano kiedykolwiek — myślał—ażeby następca faraona biegał za kobietami, jak biedny pisarz, który znikąd nie może pożyczyć dziesięciu drachm? Wszystkie przychodziły do mnie, więc i ta przyjść powinna...“

I już chciał wrócić.

„A jednak ta nie może przyjść — mówił w duchu — gdyż zabiliby ją...“

Stanął i wahał się.

„Ktoby ją zabił?... Hiram, który w nic nie wierzy, czy Dagon, który już sam nie wie, czem jest?... Tak, ale jest tu mnóstwo innych Fenicjan i przewijają się setki tysięcy pielgrzymów fanatycznych i dzikich. W oczach tych głupców, Kama, odwiedzając mnie, popełniłaby świętokradztwo...“

Więc znowu poszedł w stronę pałacyku kapłanki. Ani pomyślał, że jemu grozić tu może niebezpieczeństwo. Jemu, który, nie wydobywając miecza, samem spojrzeniem, cały świat może powalić do swych stóp. On, Ramzes, i niebezpieczeństwo!...

Gdy książę wyszedł z pośród drzew, spostrzegł, że dom kapłanki jest bardziej oświetlony i hałaśliwszy, niż zwykle. Istotnie w pokojach i na tarasach było pełno gości, a i dokoła pałacyku kręciły się tłumy.

„Co to za banda?“ — pomyślał książę.

Zebranie było niecodzienne. Niedaleko domu stał ogromny słoń, dźwigający na grzbiecie złoconą

lektykę z purpurowemi firankami. Obok słonia rżało, kwiczało i wogóle niecierpliwiło się kilkanaście koni o grubych szyjach i nogach, z przewiązanemi u dołu ogonami, z metalowemi niby hełmami na głowach.

Między niespokojnemi, prawie dzikiemi zwierzętami, kręciło się kilkudziesięciu ludzi, jakich Ramzes jeszcze nie widział. Mieli oni kudłate włosy, wielkie brody, śpiczaste czapki z klapami na uszach, Jedni byli odziani w długie szaty z grubego sukna, spadające do kostek, inni w krótkie surduty i spodnie, a niektórzy w buty z cholewami. Wszystko to było uzbrojone w miecze, łuki i włócznie.

Na widok tych cudzoziemców, silnych, niezgrabnych, śmiejących się ordynaryjnie, cuchnących łojem i gadających nieznanym a twardym językiem, w księciu zagotowało się. Jak lew, kiedy zobaczy obce zwierzę, choć niegłodny, zabiera się jednak do skoku, tak Ramzes, chociaż ludzie ci nic mu nie zawinili, uczuł do nich straszną nienawiść. Drażnił go ich język, ich ubiory, ich zapach, nawet ich konie. Krew uderzyła mu do głowy i sięgnął po miecz, aby wpaść na tych ludzi i wymordować ich i ich zwierzęta. Ale ocknął się.

„Set rzucił na mnie urok!...“ — pomyślał.

W tej chwili przeszedł koło niego nagi Egipcjanin w czepcu na głowie i opasce dokoła bioder. Książę czuł, że ten człowiek jest mu miły, nawet drogi w tej chwili, bo to Egipcjanin. Wydobył z worka złoty pierścionek wartości kilkunastu drachm i dał go niewolnikowi.

— Słuchaj — spytał — co to za ludzie?...

— Asyryjczycy — szepnął Egipcjanin i nienawiść zabłysła mu w oczach.

— Asyryjczycy!... powtórzył książę. — Więc to są Asyryjczycy?... A co oni tu robią?...

— Ich pan, Sargon, zaleca się do kapłanki, do świętej Kamy, a oni go pilnują... Oby ich trąd stoczył, świńskich synów!...

— Możesz odejść.

Nagi człowiek nisko ukłonił się Ramzesowi i pobiegł zapewne do kuchni.

„Więc to są Asyryjczycy?... — myślał książę, przypatrując się dziwacznym postaciom i wsłuchując się w nienawistny, choć niezrozumiały język. — Więc Asyryjczycy już są nad Nilem, ażeby zbratać się z nami, czy oszukać nas, a ich dostojnik Sargon zaleca się do Kamy?...“

Zawrócił do domu. Jego rozmarzenie zgasło przy blasku nowej, choć dopiero budzącej się namiętności. On, człowiek szlachetny i łagodny, poczuł śmiertelną nienawiść do odwiecznych wrogów Egiptu, z którymi zetknął się po raz pierwszy.

Kiedy dawniej po opuszczeniu świątyni Hator i rozmowie z Hiramem począł rozmyślać o rozpoczęciu wojny z Azją, to były tylko rozmyślania. Egipt potrzebował ludzi a faraon skarbów; — a że wojna była najłatwiejszym sposobem zdobycia ich, że wreszcie dogadzała jego potrzebie sławy, więc projektował sobie wojnę.

Ale w tej chwili nie obchodziły go skarby, niewolnicy, ani sława, bo odezwał się w nim potężniejszy nad wszystko głos nienawiści. Faraonowie tak

długo walczyli z Asyryjczykami, obie strony tyle przelały krwi, walka tak głębokie zapuściła korzenie w serca, że książę na sam widok żołnierzy asyryjskich chwytał za miecz. Zdawało się, że wszystkie duchy poległych wojowników, wszystkie ich trudy i cierpienia zmartwychwstały w duszy królewskiego dziecięcia i wołały o zemstę.

Gdy książę wrócił do pałacu, wezwał Tutmozisa. Jeden z nich był przepity, drugi wściekły.

— Czy wiesz, com teraz widział? — rzekł książę do ulubieńca.

— Może który z kapłanów... — szepnął Tutmozis.

— Widziałem Asyryjczyków... O bogowie!... com ja uczuł... Cóż to za podły lud... Ciało ich od stóp do głów okręcone wełną, jak dzikich zwierząt, śmierdzą starym łojem, a co to za mowa, jakie brody, włosy!...

Szybko chodził po komnacie, zadyszany, rozgorączkowany.

— Myślałem — mówił Ramzes — że pogardzam złodziejstwami pisarzów, obłudą nomarchów, że nienawidzę chytrych i ambitnych kapłanów... Miałem wstręt do żydów i lękałem się Fenicjan... Ale dziś przekonywam się, że tamto były zabawki. Teraz dopiero wiem, co jest nienawiść, kiedym zobaczył i usłyszał Asyryjczyków; teraz rozumiem, dlaczego pies rozdziera kota, który mu przeszedł drogę...

— Do żydów i Fenicjan przywykłeś, wasza

dostojność, zaś Asyryjczyków spotkałeś po raz pierwszy — wtrącił Tutmozis.

— Głupstwo Fenicjanie!... — ciągnął jakby do siebie książę. — Fenicjanin, Filistyn, Saszu, Libijczyk, nawet Etjopa, to jakby członkowie naszej rodziny. Kiedy nie płacą danin, gniewamy się na nich, gdy zapłacą, zapominamy...

Ale Asyryjczyk jest to coś tak obcego, tak wrogiego, że... Nie będę szczęśliwym, dopóki nie naliczę ze 100 tysięcy odciętych rąk!...

Tutmozis nigdy nie widział Ramzesa w podobnym nastroju.

ROZDZIAŁ VIII.

W parę dni książę wysłał swego ulubieńca z wezwaniem do Kamy. Przybyła natychmiast w szczelnie zasłoniętej lektyce.

Ramzes przyjął ją w osobnym pokoju.

— Byłem — rzekł — jednego wieczoru pod twoim domem.

O Astoreth!... — zawołała kapłanka. — Czemuż zawdzięczam najwyższą łaskę?... I co przeszkodziło ci, dostojny panie, że nie raczyłeś zawołać twojej niewolnicy?...

— Stały tam jakieś bydlęta. Podobno Asyryjczykowie.

— Więc wasza dostojność trudziłeś się wieczorem?... Nigdy nie śmiałabym przypuścić, że nasz władca znajduje się o kilka kroków ode mnie pod gołem niebem.

Książę zarumienił się. Jakżeby była zdziwiona, dowiedziawszy się, że książę z dziesięć wieczorów przepędził pod jej oknami!

A może ona i wiedziała o tem, gdyby sądzić z jej półuśmiechniętych ust i obłudnie spuszczonych oczu.

— Więc teraz, Kamo — mówił książę — przyjmujesz u siebie Asyryjczyków?

— To wielki magnat!... — zawołała Kama. — To powinowaty króla, Sargon, który pięć talentów ofiarował naszej bogini...

— A ty mu wywzajemniasz się, Kamo — szydził następca. — I ponieważ jest tak hojnym magnatem, bogowie feniccy nie ukarzą cię śmiercią.

— Co mówisz, panie?... — odparła, składając ręce. — Czyliż nie wiesz, że Azjata, choćby mnie znalazł w pustyni, nie podniesie na mnie ręki, gdybym nawet oddała mu się sama. Oni lękają się bogów...

— Pocóż więc przychodzi do ciebie, ten śmierdzący... nie — ten pobożny Azjata?

— Chce mnie namówić, ażebym wyjechała do świątyni Astoreth babilońskiej.

— I pojedziesz?...

— Pojadę... jeżeli ty, panie, każesz... — odpowiedziała Kama, zasłaniając twarz welonem.

Książę milczał, ujął ją za rękę. Usta mu drżały.

— Nie dotykaj mnie, panie — szeptała wzruszona. — Jesteś władcą i oporą moją i wszystkich Fenicjan w tym kraju, ale... bądź miłosierny...

Namiestnik puścił ją i zaczął chodzić po pokoju.

— Gorący dzień, prawda? — rzekł. — Podobno są kraje, gdzie w miesiącu Mechir spada z nieba na ziemię biały puch, który na ogniu zmienia się w wodę i robi zimno. O, Kamo, poproś twoich bogów, ażeby zesłali mi trochę tego pierza!... Choć, co ja mówię?... Gdyby pokryli nim cały Egipt, wszystek ten puch zamieniłby się na wodę, ale — nie ostudziłby serca....

— Bo jesteś jak boski Amon, jesteś słońce ukryte w ludzkiej postaci — odparła Kama. — Ciemność pierzchła stamtąd, gdzie zwrócisz twoje oblicze, a pod blaskiem twoich spojrzeń rosną kwiaty...

Książę znowu zbliżył się do niej.

— „Ale bądź miłosierny — szepnęła. — Przecież ty dobry bóg, więc nie możesz zrobić krzywdy twojej kapłance...

Książę znowu odsunął się i otrząsnął, jakby pragnąc zrzucić z siebie ciężar. Kama patrzała na niego z pod opuszczonej powieki i uśmiechnęła się nieznacznie.

Gdy milczenie trwało zbyt długo, spytała:

— Kazałeś mnie wezwać, władco. Oto jestem i czekam, abyś mi objawił wolę twoją.

— Aha!... — ocknął się książę. — Powiedz-no mi, kapłanko... Aha!... Kto to był ten, tak podobny do mnie, którego widziałem w waszej świątyni, wówczas?...

Kama położyła palec na ustach.

— Święta tajemnica... — szepnęła.

— Jedno jest tajemnicą, drugiego nie wolno —

odparł Ramzes. — Niechże przynajmniej dowiem się kto on taki: człowiek, czy duch?...

— Duch.

— A jednak ten duch wyśpiewywał pod twojemi oknami?...

Kama uśmiechnęła się.

— Nie chcę gwałcić tajemnic waszej świątyni... — ciągnął książę.

— Przyrzekłeś to panie Hiramowi — wtrąciła kapłanka.

— Dobrze... dobrze! — przerwał rozdrażniony namiestnik. — Dlatego ani z Hiramem, ani z kim innym, nie będę rozmawiał o tym cudzie, tylko z tobą... Otóż Kamo, powiedz duchowi czy człowiekowi, który jest tak do mnie podobny, ażeby jak najprędzej wyjechał z Egiptu i nikomu się nie pokazywał. Bo widzisz... w żadnem państwie nie może być dwu następców tronu...

Nagle uderzył się w czoło. Dotychczas mówił tak, ażeby zakłopotać Kamę, lecz teraz przyszła mu myśl całkiem poważna:

— Ciekawym — rzekł, ostro patrząc na Kamę — dlaczego twoi rodacy pokazali mi mój żywy wizerunek?... Czy chcą ostrzec, że mają dla mnie zastępcę?... Istotnie, zadziwia mnie ich czyn.

Kama upadła mu do nóg.

— O panie! — szepnęła. — Ty, który nosisz na piersiach nasz najwyższy talizman, czy możesz przypuścić, ażeby Fenicjanie robili co na twoją szkodę?... Ale pomyśl tylko... W wypadku, gdyby groziło ci niebezpieczeństwo, albo gdybyś chciał

omylić swoich nieprzyjaciół, czy taki człowiek nie przyda się?... Fenicjanie to tylko chcieli pokazać ci w świątyni...

Książę pomyślał i wzruszył ramionami.

— Tak — rzekł do siebie. — Gdybym potrzebował czyjejkolwiek opieki!... Ale czy Fenicjanie sądzą, że ja sam nie dam sobie rady?... W takim razie złego wybrali protektora dla siebie.

— Panie — szepnęła Kama — alboż nie jest ci wiadome, że Ramzes Wielki miał, oprócz swojej własnej postaci, dwie inne dla wrogów?... I tamte dwa cienie królewskie zginęły, a on żył...

— No, dosyć... — przerwał książę. — Aby zaś ludy Azji wiedziały, że jestem łaskawy, przeznaczam, Kamo, pięć talentów na igrzyska na cześć Astoreth, a kosztowny puhar do jej świątyni. Dziś jeszcze odbierzesz to.

Skinieniem głowy pożegnał kapłankę.

Po jej wyjściu opanowała go nowa fala myśli:

„Zaprawdę, przebiegli są Fenicjanie. Jeżeli ten mój żyjący wizerunek jest człowiekiem, mogą mi zrobić z niego wielki podarunek, a ja czyniłbym kiedyś cuda, o jakich bodaj że nie słyszano w Egipcie. Faraon mieszka w Memfis, a jednocześnie ukazuje się w Tebach albo w Tanis!... Faraon posuwa się z armją do Babilonu, Asyryjczycy tam gromadzą główne siły, a jednocześnie — faraon z inną armją zdobywa Niniwę... Sądzę, że Asyryjczycy byliby bardzo zdumieni takim wypadkiem...“

I znowu obudziła się w nim głucha nienawiść do potężnych Azjatów, i znowu widział swój trium-

falny wóz, przejeżdżający pobojowisko pełne asyryjskich trupów i całe kosze odciętych rąk.

Teraz wojna stała się dla jego duszy taką koniecznością, jak chleb dla ciała. Bo nietylko mógł przez nią zbogacić Egipt, napełnić skarb i zdobyć wiecznotrwałą sławę, ale jeszcze — mógł zaspokoić, dotychczas nieświadomy, dziś potężnie rozbudzony instynkt zniszczenia Asyrji.

Dopóki nie zobaczył tych wojowników z kudłatemi brodami, nie myślał o nich. Ale dziś zawadzali mu. Było mu tak ciasno z nimi na świecie, że ktoś musiał ustąpić: oni, albo on.

Jaką rolę w obecnym jego nastroju odegrał Hiram i Kama? — z tego nie zdawał sobie sprawy. Czuł tylko, że musi mieć wojnę z Asyrją, jak ptak przelotny czuje, że w miesiącu Pachono musi odejść na północ.

Namiętność wojny szybko ogarniała księcia. Mniej mówił, rzadziej uśmiechał się, przy ucztach siedział zamyślony, a zarazem coraz częściej przestawał z wojskiem i arystokracją. Widząc łaski, jakie namiestnik zlewał na tych, którzy noszą broń, szlachecka młodzież, a nawet ludzie starsi, poczęli zaciągać się do pułków. Zwróciło to uwagę świętego Mentezufisa, który wysłał do Herhora list tej treści:

„Od przybycia Asyryjczyków do Pi-Bast, następca tronu jest rozgorączkowany, a jego dwór usposobiony bardzo wojowniczo. Piją i grają w kości, jak poprzednio; ale wszyscy odrzucili cienkie

szaty i peruki i, bez względu na straszny upał, chodzą w żołnierskich czepcach i kaftanach.

„Obawiam się, ażeby ta zbrojna gotowość nie obraziła dostojnego Sargona".

Na to Herhor natychmiast odpowiedział:

„Nic nie szkodzi, że nasza zniewieściała szlachta polubiła wojskowość, na czas przyjazdu Asyryjczyków, gdyż ci będą mieli o nas lepsze wyobrażenie. Najdostojniejszy namiestnik, widać oświecony przez bogów, odgadł, że właśnie teraz trzeba dzwonić mieczami, kiedy mamy u siebie posłów tak wojennego narodu.

„Jestem pewny, że to dzielne usposobienie naszej młodzieży da Sargonowi do myślenia i zrobi go miększym w układach".

Pierwszy raz, jak Egipt Egiptem, zdarzyło się, że młody książę oszukał czujność kapłanów... Coprawda, stali za nim Fenicjanie i — wykradziona przez nich tajemnica traktatu z Asyrją, czego kapłani nawet nie podejrzewali.

Najlepszą wreszcie maską następcy wobec kapłańskich dostojników była ruchliwość jego charakteru. Wszyscy pamiętali, jak łatwo, w roku zeszłym, przerzucił się od manewrów pod Pi-Bailos do cichego folwarku Sary i, jak w ostatnich czasach, kolejno zapalał się do uczt, do zajęć administracyjnych, do pobożności, aby znowu powrócić do uczt. To też, z wyjątkiem Tutmozisa, niktby nie uwierzył, że ten zmienny młodzieniec posiada jakiś plan, jakieś hasło, do którego będzie dążył z niepokonanym uporem.

Tym razem nawet, nie trzeba było długo czekać na nowy dowód zmienności upodobań Ramzesa.

Do Pi-Bast, pomimo upału, przyjechała Sara, z całym dworem i synem. Była trochę mizerna, dziecko trochę niezdrowe czy zmęczone, ale oboje wyglądali bardzo ładnie.

Książę był zachwycony. W najpiękniejszej części pałacowego ogrodu wyznaczył Sarze dom i prawie całe dni przesiadywał przy kolebce swego syna...

Poszły w kąt uczty, manewry i posępne zamyślenia Ramzesa; panowie z jego świty musieli pić i bawić się sami, bardzo prędko odpasali miecze i przebrali się w najwykwintniejsze szaty. Zmiana kostjumu była dla nich tem niezbędniejszą, że książę po kilku z nich prowadził do mieszkania Sary, aby pokazać im syna, swego syna...

— Patrz, Tutmozisie — mówił raz do ulubieńca — jakie to piękne dziecko: istny płatek róży. No, i z tego ma kiedyś wyrosnąć człowiek, z tego drobiazgu!... I to różowe pisklę będzie kiedyś chodziło, rozmawiało, nawet uczyło się mądrości w kapłańskich szkołach.

Czy ty widzisz jego rączyny, Tutmozisie?...— wołał zachwycony Ramzes. — Zapamiętaj sobie te drobne ręce, ażebyś opowiedział o nich kiedyś, gdy mu daruję pułk i każę nosić za sobą mój topór... I to jest mój syn, mój syn rodzony!...

Nic dziwnego, że gdy tak mówił pan, jego dworzanie martwili się, że nie mogą zostać niańkami, a nawet mamkami dziecka, które, lubo nie miało

żadnych praw dynastycznych, było jednak pierwszym synem przyszłego faraona.

Lecz ta sielanka skończyła się bardzo prędko, gdyż — nie dogadzała interesom Fenicjan.

Pewnego dnia dostojny Hiram przybył do pałacu z wielką świtą kupców, niewolników, tudzież ubogich Egipcjan, którym dawał jałmużnę, i, stanąwszy przed następcą, rzekł:

— Miłościwy panie nasz! Ażeby dać dowód, że serce twoje i dla nas, Azjatów, jest pełne łaski, darowałeś nam pięć talentów, celem urządzenia igrzysk na cześć boskiej Astoreth. Wola twoja jest spełniona, igrzyska przygotowaliśmy, a teraz przychodzimy błagać cię, ażebyś raczył zaszczycić je swoją obecnością.

To mówiąc, siwowłosy książę tyryjski uklęknął przed Ramzesem i, na złotej tacy, podał mu złoty klucz do loży cyrku.

Ramzes chętnie zgodził się na zaprosiny, a święci kapłani Mefres i Mentezufis nic nie mieli przeciw temu, aby książę wziął udział w uroczystości na cześć bogini Astoreth.

— Przedewszystkiem Astoreth — mówił dostojny Mefres do Mentezufisa — jest tem samem, co nasza Izyda, tudzież Istar chaldejska. Powtóre, jeżeli pozwoliliśmy Azjatom wybudować świątynię na naszej ziemi, wypada, kiedy niekiedy, być uprzejmymi dla ich bogów.

— Mamy nawet obowiązek zrobić małą grzeczność Fenicjanom po zawarciu takiego traktatu

z Asyrją!... — wtrącił, śmiejąc się dostojny Mentezufis.

Cyrk, do którego namiestnik, wraz z nomarchą i najprzedniejszymi oficerami udał się o godzinie czwartej popołudniu, był zbudowany w ogrodzie świątyni Astoreth. Składał się on z okrągłego placu, który otaczał parkan wysoki na dwu ludzi, zaś dokoła parkanu było mnóstwo lóż i ławek, wznoszących się amfiteatralnie. Dachu budynek nie posiadał; natomiast nad lożami rozciągały się różnokolorowe płachty w formie motylich skrzydeł, które skrapiano pachnącą wodą i poruszano dla chłodzenia powietrza.

Gdy namiestnik ukazał się w swej loży, zgromadzeni w cyrku Azjaci i Egipcjanie wydali wielki krzyk. Potem zaczęło się widowisko procesją muzyków, śpiewaków i tancerek.

Książę się rozejrzał. Miał po prawej ręce lożę Hirama i najznakomitszych Fenicjan, na lewo lożę fenickich kapłanów i kapłanek, między któremi Kama, zajmująca jedno z pierwszych miejsc, zwracała na siebie uwagę bogatym strojem i pięknością. Miała przezroczystą szatę, ozdobioną różnokolorowemi haftami, złote bransolety na ręku i nogach, a na głowie przepaskę z kwiatem lotosu, wyrobionym bardzo kunsztownie z drogich kamieni.

Kama, oddawszy wraz z kolegami swymi głęboki ukłon księciu, zwróciła się do loży na lewo i zaczęła ożywioną rozmowę z cudzoziemcem o wspaniałej postawie i nieco szpakowatych wło-

sach. Człowiek ten i jego towarzysze mieli brody i włosy, zaplecione w mnóstwo warkoczyków.

Ramzes, który przyszedł do cyrku prawie wprost z pokoju swego syna, był w wesołem usposobieniu. Lecz gdy zobaczył, że Kama rozmawia z jakimś obcym człowiekiem, spochmurniał.

— Czy nie wiesz — zapytał Tutmozisa — co to za drab, do którego wdzięczy się kapłanka?...

— To jest właśnie ów znakomity pielgrzym babiloński, dostojny Sargon.

— Ależ to stary dziad! — rzekł książę.

— Jest zapewne starszy od nas obu, ale to piękny człowiek.

— Czyliż taki barbarzyńca może być pięknym!... — oburzył się namiestnik. — Jestem pewny, że śmierdzi łojem...

Obaj umilkli: książę z gniewu, Tutmozis ze strachu, że ośmielił się pochwalić człowieka, który nie podoba się jego panu.

Tymczasem na arenie widowisko szło za widowiskiem. Kolejno występowali: gimnastycy, poskramiacze węży, tancerze, kuglarze i błazny, wywołując okrzyki widzów.

Ale namiestnik był chmurny. W jego duszy odżyły chwilowo uśpione namiętności: nienawiść do Asyryjczyków i zazdrość o Kamę.

„Jak może — myślał — ta kobieta mizdrzyć się do człowieka starego, który w dodatku ma twarz koloru wyprawnej skóry, niespokojne czarne oczy i brodę capa?...

Raz tylko książę zwrócił pilniejszą uwagę na arenę.

Weszło kilku nagich Chaldejczyków. Najstarszy osadził w ziemi trzy krótkie włócznie, ostrzami do góry, i zapomocą ruchów rąk uśpił najmłodszego. Poczem inni wzięli go na ręce i położyli na włóczniach w ten sposób, że jedna podpierała mu głowę, druga krzyż, trzecia — nogi.

Śpiący był sztywny, jak drewno. Wówczas starzec zrobił nad nim jeszcze kilka ruchów rękoma i wysunął włócznię, podpierającą nogi. Po chwili wyjął włócznię, na której leżały plecy, a nareszcie— odtrącił tę, na której spoczywała głowa.

I stało się, w jasny dzień, przy kilku tysiącach świadków, że śpiący Chaldejczyk unosił się poziomo w powietrzu, bez żadnej podpory, o parę łokci nad ziemią. Wreszcie starzec popchnął go ku ziemi i rozbudził.

W cyrku panowało zdumienie; nikt nie śmiał krzyknąć ani klasnąć. Tylko z niektórych lóż rzucono kwiaty.

Ramzes był także zdziwiony. Pochylił się do loży Hirama i szepnął staremu księciu:

— A ten cud potrafilibyście zrobić w świątyni Astoreth?

— Nie znam wszystkich tajemnic naszych kapłanów — odparł zmieszany — ale wiem, że Chaldejczycy są bardzo przebiegli...

— Jednak wszyscy widzieliście, że ten młodzian wisiał w powietrzu.

— Jeżeli nie rzucono na nas uroku — rzekł niechętnie Hiram i — stracił humor.

Po krótkiej przerwie, podczas której po lożach dostojników roznoszono świeże kwiaty, zimne wino i ciastka, rozpoczęła się najważniejsza część widowiska — walka byków.

Przy odgłosie trąb, bębnów i fletów wprowadzono na arenę tęgiego byka, z płachtą na głowie, ażeby nic nie widział. Potem wbiegło kilku ludzi nagich, zbrojnych we włócznie i jeden z krótkim mieczem.

Na znak, dany przez księcia, uciekli przewodnicy, a jeden ze zbrojnych zdarł bykowi płachtę. Zwierzę przez kilka chwil stało oszołomione, następnie poczęło uganiać się za włóczniarzami, którzy drażnili je kłuciem.

Ta walka jałowa ciągnęła się kilka minut. Ludzie dręczyli byka, a on zapieniony, oblany krwią, stawał dęba i gonił po całej arenie swoich nieprzyjaciół, nie mogąc żadnego dosięgnąć.

Wreszcie padł wśród śmiechu publiczności.

Znudzony książę, zamiast na arenę, patrzał na lożę kapłanów fenickich. I widział, że Kama, przesiadłszy się bliżej Sargona, prowadziła z nim żywą rozmowę. Asyryjczyk pożerał ją wzrokiem, a ona uśmiechnięta i zawstydzona, niekiedy szeptała z nim, pochylając się tak, że jej włosy mieszały się z kudłami barbarzyńcy, niekiedy zaś odwracała się od niego z udanym gniewem.

Ramzes uczuł ból w sercu. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że jakaś kobieta innemu mężczyźnie

przed nim dawała pierwszeństwo. W dodatku człowiekowi prawie staremu, Asyryjczykowi!...

Tymczasem między publicznością rozległ się szmer. Na arenie człowiek, uzbrojony mieczem, kazał sobie przywiązać do piersi lewą rękę, inni obejrzeli swoje włócznie i — wprowadzono drugiego byka.

Kiedy jeden zbrojny zerwał mu płachtę z oczu, byk obrócił się i obejrzał wkoło, jakby chcąc porachować przeciwników. A gdy zaczęli go kłuć, cofnął się pod parkan dla zabezpieczenia sobie tyłu. Potem zniżył głowę i z pod oka śledził ruchy napastujących go ludzi.

Początkowo zbrojni ostrożnie skradali się z boków, ażeby go ukłuć. Lecz gdy zwierzę wciąż stało nieporuszone, ośmielili się i zaczęli przebiegać mu przed oczyma, coraz bliżej.

Byk jeszcze bardziej pochylił głowę, lecz stał, jak wkopany w ziemię. Publiczność zaczęła się śmiać, lecz nagle wesołość jej zamieniła się w okrzyk trwogi. Byk wypatrzył chwilę, ciężko podskoczył naprzód, trafił we włóczniarza i jednem uderzeniem rogów wyrzucił go do góry.

Człowiek spadł na ziemię z pogruchotanemi kośćmi, a byk pocwałował na drugą stronę areny i znowu stanął w pozycji obronnej.

Włóczniarze znowu go otoczyli i zaczęli drażnić, a przez ten czas wbiegli na arenę słudzy cyrkowi, aby podnieść rannego, który jęczał. Byk, pomimo zdwojonych pchnięć włóczniami, stał bez ruchu; lecz gdy trzej słudzy wzięli na ramiona omdla-

łego bojownika, z szybkością wichru rzucił się na tę grupę, poprzewracał ich i zaczął straszliwie kopać nogami.

Między publicznością powstał zamęt: kobiety płakały, mężczyźni klęli i rzucali na byka, czem kto miał pod ręką. Na arenę zaczęły padać kije, noże, nawet deski z ław.

Wówczas przybiegł do rozjuszonego zwierzęcia człowiek z mieczem. Ale włóczniarze potracili głowy i nie wspierali go należycie, więc byk powalił go i zaczął ścigać innych.

Stała się rzecz niesłychana dotychczas w cyrkach: na arenie leżało pięciu ludzi, inni, źle broniąc się, uciekali przed zwierzęciem, a publiczność ryczała z gniewu lub ze strachu.

Wtem — wszystko ucichło, widzowie powstali i wychylili się ze swych miejsc, przerażony Hjram zbladł i rozkrzyżował ręce... Na arenę, z lóż dostojników, wyskoczyli dwaj: książę Ramzes z dobytym mieczem i Sargon z krótką siekierką.

Byk, ze spuszczonym łbem i zadartym ogonem, biegł wkoło areny, wzniecając tuman kurzu. Pędził prosto na księcia. Lecz jakby odepchnięty przez majestat królewskiego dziecięcia, wyminął Ramzesa, rzucił się na Sargona i... padł na miejscu!... Zręczny, a olbrzymio silny Asyryjczyk powalił go jednem uderzeniem toporka między oczy.

Publiczność zawyła z radości i poczęła sypać kwiaty na Sargona i jego ofiarę. Ramzes tymczasem stał z wydobytym mieczem zdziwiony i roz-

gniewany, patrząc, jak Kama wydzierała swoim sąsiadom kwiaty i rzucała je na Asyryjczyka.

Sargon obojętnie przyjmował objawy publicznego zachwytu. Trącił nogą byka, aby przekonać się, czy jeszcze żyje, a potem zbliżył się na parę kroków do księcia i, coś przemówiwszy w swoim języku, ukłonił się z godnością wielkiego pana.

Ramzesowi przed oczyma przesunęła się krwawa mgła: chętnie wbiłby miecz w piersi temu zwycięzcy. Ale opanował się, chwilę pomyślał i, zdjąwszy ze swej szyi złoty łańcuch, podał go Sargonowi.

Asyryjczyk znowu skłonił się, pocałował łańcuch i włożył go sobie na szyję. A książę, z sinawemi rumieńcami na policzkach, skierował się do furtki, którą wchodzili na arenę aktorowie i, wśród okrzyków publiczności, głęboko upokorzony, opuścił cyrk.

ROZDZIAŁ IX.

Był już miesiąc Tot (koniec czerwca, początek lipca). W mieście Pi-Bast i jego okolicach zaczął zmniejszać się napływ ludności, z powodu gorąca. Ale na dworze Ramzesa wciąż jeszcze bawiono się i rozpowiadano o wypadkach w cyrku.

Dworzanie wychwalali odwagę księcia, niezręczni podziwiali siłę Sargona, kapłani z poważnemi minami szeptali, że jednak następca tronu nie powinien był mieszać się do walki z bykami. Od tego

bowiem są inni ludzie, płatni i bynajmniej nie cieszący się publicznym szacunkiem.

Ramzes albo nie słyszał tych rozmaitych zdań, albo nie zwracał na nie uwagi. W jego pamięci z widowiska utrwaliły się dwa epizody: Asyryjczyk wydarł mu zwycięstwo nad bykiem i — umizgał się do Kamy, która bardzo życzliwie przyjmowała jego zaloty.

Ponieważ nie wypadało mu sprowadzać do siebie fenickiej kapłanki, więc pewnego dnia wysłał do niej list, w którym donosił, że chce ją zobaczyć i pytał: kiedy go przyjmie? Przez tego samego posłańca Kama odpowiedziała, że będzie czekać na niego dziś wieczorem.

Ledwie ukazały się gwiazdy, książę w największej tajemnicy (według swego przekonania), wysunął się z pałacu i poszedł.

Ogród świątyni Astoreth był prawie pusty, szczególniej w okolicach, otaczających dom kapłanki. Dom był cichy i paliło się w nim zaledwie parę światełek.

Kiedy książę nieśmiało zapukał, kapłanka otworzyła mu sama. W ciemnym przysionku ucałowała mu ręce, szepcąc, że umarłaby, gdyby wtedy, w cyrku, rozjuszone zwierzę zrobiło mu jaką krzywdę.

— Ale teraz musisz być spokojna — odparł z gniewem następca — skoro ocalił mnie twój kochanek...

Kiedy weszli do komnaty oświetlonej, książę spostrzegł, że Kama płacze.

— Cóż to znaczy? — zapytał.

— Odwróciło się ode mnie serce pana mego — rzekła. — A może i słusznie.

Następca gorzko roześmiał się.

— Więc już jesteś jego kochanką, czy dopiero masz nią zostać ty, święta dziewico?...

— Kochanką?... nigdy!... Ale mogę zostać żoną tego strasznego człowieka.

Ramzes zerwał się z siedzenia.

— Śpię?... — zawołał — czy Set rzucił na mnie przekleństwo?... Ty, kapłanka, która pilnujesz ognia przy ołtarzu Astoreth i pod grozą śmierci musisz być dziewicą, ty wychodzisz zamąż?... Zaprawdę, fenickie kłamstwo gorsze jest, aniżeli opowiadają o niem ludzie!...

— Posłuchaj mnie, panie — rzekła, ocierając łzy — i potęp, jeżeli zasłużyłam. Sargon chce mnie pojąć za żonę, za swoją pierwszą żonę. Według naszych ustaw, kapłanka, w bardzo wyjątkowych wypadkach, może zostać żoną, ale tylko mężczyzny, pochodzącego ze krwi królewskiej. Sargon zaś jest powinowatym króla Assara...

— I ty wyjdziesz za niego?

— Jeżeli najwyższa rada kapłanów tyryjskich rozkaże mi, cóż poczne?... — odparła, znowu zalewając się łzami.

— A cóż tę radę może obchodzić Sargon? — spytał książę.

— Podobno obchodzi ją bardzo wiele — mówiła z westchnieniem. — Fenicję mają podobno zabrać Asyryjczycy, a Sargon ma zostać jej satrapą...

— Tyś oszalała!... — zawołał książę.

— Mówię, co wiem. Już w naszej świątyni po raz drugi zaczynają się modły o odwrócenie nieszczęścia od Fenicji... Pierwszy raz odprawialiśmy je, nimeś ty przyjechał do nas, panie...

— Dlaczego znowu teraz?...

— Bo podobno w tych dniach przybył do Egiptu chaldejski kapłan Istubar, z listami, w których król Assar mianuje Sargona swoim posłem i pełnomocnikiem do zawarcia traktatu z wami o zabór Fenicji.

— Ależ ja... — przerwał książę.

Chciał powiedzieć: „nic nie wiem", lecz wstrzymał się. Zaczął się śmiać i odparł:

— Kamo, przysięgam ci na cześć mego ojca, że dopóki ja żyję, Asyrja nie zabierze Fenicji. Czy to dość?

— O panie!... panie!... — zawołała, upadając mu do nóg.

— Więc chyba teraz nie zostaniesz żoną tego gbura?

— Och!... — otrząsnęła się. — Czy możesz o to pytać?

— I będziesz moją... — szepnął książę.

— Zatem chcesz mojej śmierci?... — odparła przerażona. — Ha!... jeżeli tego chcesz, jestem gotowa...

— Chcę, ażebyś żyła... — szeptał roznamiętniony — abyś żyła, należąc do mnie...

— To być nie może...

— A najwyższa rada kapłanów tyryjskich?

— Może mnie tylko wydać zamąż...

— Wszak wejdziesz do mego domu?

— Gdybym weszła tam, nie jako żona twoja— umrę... Ale jestem gotowa... nawet na to, aby nie ujrzeć jutrzejszego słońca...

— Bądź spokojna — odpowiedział z powagą książę. — Kto posiadł moją łaskę, nie dozna krzywdy...

Kama znowu uklękła przed nim.

— Jak się to może stać?... — spytała, składając ręce.

Ramzes był tak podniecony, tak już zapomniał o swojem stanowisku i obowiązkach, iż gotów był przyrzec kapłance małżeństwo. Powstrzymywał go od tego kroku nie rozsądek, ale jakiś głuchy instynkt.

— Jak to może być?... Jak to może być?... — szeptała Kama, pożerając go wzrokiem i całując jego nogi.

Książę podniósł ją, posadził zdaleka od siebie i odparł z uśmiechem:

— Pytasz, jak to być może?... Zaraz cię objaśnię. Ostatnim moim nauczycielem, nim doszedłem do pełnoletności, był pewien stary kapłan, który umiał napamięć mnóstwo dziwnych historyj z życia bogów, królów, kapłanów, nawet niskich urzędników i chłopów.

Starzec ten, słynny z pobożności i cudów, nie wiem dlaczego, nie lubił kobiet, nawet obawiał się ich. To też najczęściej opisywał przewrotność kobiecą, a raz, aby dowieść mi, jak potężną macię

władzę nad męskim rodzajem, opowiedział taką historję:

Młody i ubogi pisarz, nie mający w torbie miedzianego utena, tylko jęczmienny placek, wędrował z Tebów do Dolnego Egiptu, szukać zarobku. Mówiono mu, że w tej części państwa mieszkają najbogatsi panowie i kupcy i, byle dobrze trafił, może znaleźć posadę, na której zrobi duży majątek.

Szedł tedy brzegiem Nilu (za miejsce na statku nie miałby czem zapłacić) i myślał:

— Jakże nieopatrznymi są ludzie, którzy, odziedziczywszy po ojcach talent, dwa talenty, nawet dziesięć, zamiast rozmnożyć skarb, bądź zapomocą handlu towarami, bądź wypożyczania na wysokie procenta, marnują, niewiadomo na co, swój majątek? Ja gdybym miał drachmę... No, drachma za mało... Ale gdybym miał talent, albo lepiej kilka zagonów ziemi, zwiększałbym go z roku na rok, a pod koniec życia byłbym tak bogaty, jak najbogatszy nomarcha.

Lecz co począć!...—mówił z westchnieniem.— Bogowie snadź opiekują się tylko głupimi; mnie zaś napełnia mądrość od peruki do bosych pięt. A jeżeli i w mojem sercu kryje się jakie ziarno głupstwa, to chyba pod tym jednym względem, że, zaprawdę, nie umiałbym strwonić fortuny, a nawet nie wiedziałbym: jak zabrać się do spełnienia podobnie bezbożnego czynu?

Tak medytując, ubogi pisarz mijał lepiankę, przed którą siedział jakiś człowiek, nie młody i nie stary, z bardzo bystrem spojrzeniem, które sięgało

aż do głębi serca. Pisarz, mądry jak bocian, zaraz zmiarkował, że to musi być któryś z bogów i, skłoniwszy się, rzekł:

— Pozdrawiam cię, czcigodny właścicielu tego pięknego domu, i martwię się, że nie posiadam wina ani mięsa, aby podzielić je z tobą, na znak, że cię szanuję i że wszystko, co mam, należy do ciebie.

Amonowi — on to był w ludzkiej postaci — podobała się uprzejmość młodego pisarza. Popatrzał więc na niego i spytał:

— O czem myślałeś, idąc tutaj? Widzę bowiem mądrość na twojem czole, a należę do tych, którzy, jak kuropatwa pszenicę, zbierają słowa prawdy.

Pisarz westchnął.

— Myślałem—mówił—o mojej nędzy i o tych lekkomyślnych bogaczach, którzy niewiadomo na co i jakim sposobem trwonią majątki.

— A tybyś nie strwonił?—zapytał bóg, wciąż mający na sobie ludzką figurę.

— Spojrzyj na mnie, panie — rzekł pisarz. — Mam dziurawą płachtę i zgubiłem w drodze sandały, ale papirus i kałamarz ciągle noszę z sobą, jak własne serce. Albowiem, wstając i kładąc się spać, powtarzam, że: lepszą jest uboga mądrość, niż głupie bogactwo.

Jeżeli więc jestem taki, jeżeli umiem wysłowić się dwoma pismami i wykonać najzawilszy rachunek, jeżeli znam wszystkie rośliny i wszystkie zwierzęta, jakie tylko są pod niebem, to — czy mo-

żesz sądzić, abym ja, który posiadam taką mądrość, był zdolny do marnowania majątku?

Bożek zamyślił się i rzekł:

— Wymowa twoja płynie wartko, jak Nil pod Memfisem: lecz jeżeli naprawdę jesteś tak mądry, to napisz mi dwoma sposobami: Amon.

Pisarz wydobył kałamarz, pendzel i w niedługim czasie na drzwiach lepianki napisał dwoma sposobami: Amon, tak wyraźnie, że nawet nieme stworzenia zatrzymywały się, aby złożyć hołd Panu.

Bożek był kontent i dodał:

— Jeżeli jesteś równie biegły w rachunkach, jak w piśmiennictwie, to wyrachuj mi następującą sprawę handlową: Gdy za jedną kuropatwę dają mi cztery kurze jaja, to za siedm kuropatw ile powinni dać kurzych jaj?

Pisarz zebrał kamyki, układał je w rozmaite szeregi i, nim słońce zaszło, odpowiedział, że za siedm kuropatw należy się — dwadzieścia ośm jaj kurzych.

Wszechmocny Amon aż uśmiechnął się, że widzi przed sobą mędrca tak niepospolitej miary i rzekł:

— Poznaję, żeś mówił prawdę o swojej mądrości. Jeżeli zaś okażesz się równie wytrwałym w cnocie, uczynię tak, że będziesz do końca życia szczęśliwym, a po śmierci synowie twoi umieszczą twój cień w pięknym grobowcu. A teraz powiedz: jakiego chcesz bogactwa, któregobyś nietylko nie strwonił, ale jeszcze pomnożył?

Pisarz upadł do nóg miłosiernemu bóstwu i odparł:

— Gdybym choć posiadał tę lepiankę i ze cztery miary gruntu, byłbym bogaty.

— Dobrze — mówi bóg — ale pierwej rozejrzyj się, czy ci to wystarczy.

Zaprowadził go do chaty i prawił:

— Masz tu cztery czepce i fartuszki, dwie płachty na niepogodę i dwie pary sandałów. Tu masz ognisko, tu ławę, na której można sypiać, stępę do tłuczenia pszenicy i dzieżę do ciasta...

— A to co jest? — zapytał pisarz, wskazując jakąś figurę, okrytą płótnem.

— Otóż to jedno jest — odparł bóg — czego nie powinieneś dotykać, bo stracisz cały majątek.

— Aj!... — krzyknął pisarz. — Może to sobie stać przez tysiąc lat, i nie zaczepię go... Za pozwoleniem waszej czci: co to za folwark widać tam?...

I wychylił się przez okno lepianki.

— Mądrze powiedziałeś — rzekł Amon.—Jest to bowiem folwark, i nawet piękny. Ma obszerny dom, pięćdziesiąt miar gruntu, kilkanaście sztuk bydła i dziesięciu niewolników. Gdybyś wolał posiadać tamten folwark...

Pisarz upadł do nóg bogu.

— Jestże — spytał — taki człowiek pod słońcem, który, zamiast jeczmiennego placka, nie wolałby bułki pszennej?...

Usłyszawszy to, Amon wymówił zaklęcie, i w tejże chwili obaj znaleźli się w okazałym domu folwarcznym.

— Masz tu — mówił bóg — rzeźbione łoże, pięć stolików i dziesięć krzeseł. Masz tu haftowane szaty, stągwie i szklanki na wino, masz tu oliwną lampę i lektykę...

— A to co jest? — zapytał pisarz, wskazując figurę, która stała w kącie, okryta muślinem.

— Tego jednego — odparł bóg — nie zaczepiaj, bo stracisz cały majątek.

— Choćbym dziesięć tysięcy lat żył — zawołał pisarz — nie tknę tej rzeczy!... Uważam bowiem, że po mądrości najlepszem jest bogactwo.

— Ale co to tam widać? — spytał po chwili, wskazując ogromny pałac w ogrodzie.

— To są dobra książęce — odparł bóg. — Jest pałac, pięćset miar ziemi, stu niewolników i paręset sztuk bydła. Wielki to majątek, lecz jeżeli sądzisz, że podoła mu twoja mądrość...

Pisarz znowu upadł do nóg Amonowi, zalewając się łzami radości.

— O panie!... — wołał. — A gdzież jest taki szaleniec, który zamiast kubka piwa nie wolałby kadzi wina?

— Słowa twoje godne są mędrca, który rozwiązuje najtrudniejsze rachunki — rzekł Amon.

Wymówił wielkie słowa zaklęcia, i obaj z pisarzem znaleźli się w pałacu.

— Masz tu — mówił dobry bóg — salę jadalną, w niej złocone kanapy i krzesła, tudzież stoliki, wykładane różnokolorowem drzewem. Pod spodem jest kuchnia dla pięciu kucharzów, śpiżarnia, gdzie znajdziesz wszelkie mięsiwo, ryby i ciasta

wreszcie piwnica z najdoskonalszem winem. Masz tu sypialnię z ruchomym dachem, którym twoi niewolnicy będą chłodzili cię podczas snu. Zwracam twoją uwagę na łoże, które jest z cedrowego drzewa i opiera się na czterech lwich łapach, kunsztownie odlanych z bronzu. Masz tu szatnię, pełną lnianych i wełnianych szat; zaś w skrzyniach znajdziesz pierścienie, łańcuchy i bransolety...

— A to co jest?...—zapytał nagle pisarz, wskazując figurę, okrytą welonem, haftowanym złotemi i purpurowemi nićmi.

— Toć jest właśnie, czego najbardziej strzec się powinieneś — odparł bóg. — Jeżeli tego dotkniesz, twój ogromny majątek przepadnie. A zaprawdę mówię ci, że niewiele jest podobnych dóbr w Egipcie. Muszę ci bowiem dodać, że w skarbcu leży dziesięć talentów złotem i drogiemi kamieniami.

— Władco mój!... — krzyknął pisarz. — Pozwól, ażeby w tym pałacu na pierwszem miejscu stanął twój święty posąg, przed którym trzy razy dziennie paliłbym wonności...

— Ale tamtego unikaj! — odparł Amon, wskazując figurę, okrytą welonem.

— Chyba straciłbym rozum i byłbym gorszy od dzikiej świni, dla której wino znaczy tyle, co pomyje — rzekł pisarz. — Niech ta figura w welonie pokutuje tu sto tysięcy lat, a nie dotknę jej, jeżeli taka twoja wola...

— Pamiętaj, że straciłbyś wszystko!... — zawołał bóg i zniknął.

Uszczęśliwiony pisarz zaczął chodzić po swo-

im pałacu i wyglądać oknami. Obejrzał skarbiec i zważył w rękach złoto: było ciężkie; przypatrzył się drogim kamieniom — były prawdziwe. Kazał sobie podać jedzenie: natychmiast wbiegli niewolnicy, wykąpali go, ogolili i ubrali w cienkie szaty.

Najadł się i napił, jak nigdy: jego głód bowiem łączył się z doskonałością potraw w jeden smak przedziwny. Zapalił wonności przed posągiem Amona i ubrał go w świeże kwiaty. Później siadł w oknie.

Na dziedzińcu rżało parę koni, zaprzężonych do rzeźbionego wozu. W innem miejscu gromada ludzi, z włóczniami i sieciami, uspokajała niesforne psy myśliwskie, rwące się do polowania. Przed śpichrzem jeden pisarz odbierał ziarno od rolników. przed oborą drugi pisarz przyjmował rachunek od dozorcy pastuchów.

Wdali widać było gaj oliwny, wysokie wzgórze, zarosłe winogradem, łany pszenicy, a po wszystkich polach gęsto rozsadzone palmy daktylonośne.

— Zaiste! — rzekł do siebie — jestem dziś bogaty, tak właśnie, jak mi się należało. I jedno dziwi mnie, że tyle lat mogłem wytrzymać w upodleniu i nędzy! Muszę też wyznać — ciągnął w duchu — że nie wiem, czy potrafię zwiększyć ten ogromny majątek, bo i nie potrzebuję więcej i nie będę miał czasu uganiać się za spekulacjami.

Zaczęło mu jednak nudzić się w pokojach, więc obejrzał ogród, objechał pola, porozmawiał ze sługami, którzy padali przed nim na brzuchy, choć byli tak ubrani, że on wczoraj jeszcze uważałby sobie za zaszczyt ucałować ich ręce; lecz że i tam było

mu nudno, więc wrócił do pałacu i przypatrywał się zapasom swojej śpiżarni i piwnicy, tudzież sprzętom w komnatach.

— Ładne to — mówił do siebie — ale piękniejsze byłyby sprzęty z samego złota, a dzbany z drogich kamieni.

Oczy jego machinalnie zwróciły się w ten kąt, gdzie stała figura, okryta haftowanym welonem i — wzdychała.

„Wzdychaj sobie, wzdychaj! — myślał, biorąc kadzielnicę, aby spalić wonności przed posągiem Amona.

Dobry to bóg — myślał — który ocenia przymioty mędrców, nawet bosych, i wymierza im sprawiedliwość. Jaki on mi dał piękny majątek!... No, prawda, że i ja go uczciłem, wypisując podwójnem pismem imię: A m o n na drzwiach tej chałupy. Albo jak ja mu to pięknie wyrachowałem: ile dostanie kurzych jaj za siedm kuropatw? Mieli słuszność moi mistrze, twierdząc, że mądrość nawet bogom otwiera usta".

Spojrzał znowu w kąt. Postać okryta welonem znowu westchnęła.

— Ciekawy jestem — mówił do siebie pisarz— dlaczego mój przyjaciel Amon zabronił mi dotykać tej oto sztuczki, co tam stoi w kącie? No, za taki majątek miał prawo nakładać mi warunki; chociaż ja nic podobnego nie zrobiłbym mu. Bo jeżeli cały ten pałac jest moją własnością, jeżeli wszystkiego, co tu jest, mogę używać, dlaczego tamtej rzeczy nie miałbym nawet dotknąć?...

Tak się mówi: nie wolno dotykać! Wolno wreszcie zobaczyć...

Zbliżył się do figury, zdjął ostrożnie welon, patrzał... jest coś bardzo ładnego. Niby piękny młody chłopiec, ale nie chłopiec... Ma włosy długie do kolan, drobne rysy i pełne słodyczy wejrzenie.

— Co ty jesteś? — mówił do figury.

— Ja jestem kobieta — odpowiada mu postać, głosem tak cienkim, że wniknął mu w serce, niby sztylet fenicki.

— Kobieta?... — myśli pisarz. — Tego mnie nie uczono w kapłańskiej szkole. Kobieta?... — powtórzył. — A to co masz o tutaj?...

— To moje oczy.

— Oczy?... Cóż ty zobaczysz takiemi oczyma, które od lada światła mogą się rozpłynąć?

— Bo moje oczy nie są do tego, żebym ja niemi patrzała, tylko żebyś ty w nie patrzał — odpowiedziała figura.

— Dziwne oczy! — rzekł do siebie pisarz, chodząc po pokoju.

Znowu przystanął przed postacią i zapytał:

— A to co masz?

— To moje usta.

— Przez bogi! umrzesz z głodu — zawołał — bo tak małemi ustami najeść się nie można!...

— One też nie są do jedzenia — odparła figura — tylko żebyś ty je całował.

— Całował? — powtórzył pisarz. — I tego nie uczono mnie w kapłańskiej szkole... A to o... co to masz?

— To moje rączki.

— Rączki?... Dobrze, żeś nie powiedziała, że to ręce, bo takiemi rękoma nicbyś zrobić nie potrafiła, nawet udoić owcy.

— Moje rączki nie są do roboty.

— Tylko do czego? — zdziwił się pisarz, rozstawiając jej palce...

(Jak ja twoje, Kamo — rzekł następca, pieszcząc drobną rączkę kapłanki).

— Tylko do czego są takie ręce? — pytał pisarz figury.

— Ażebym niemi ciebie obejmowała za szyję.

— Chcesz mówić: za kark?...—wrzasnął przerażony pisarz, którego kapłani zawsze chwytali za kark, gdy miał otrzymać plagi.

— Nie za kark — rzekła postać — tylko o tak...

I objęła go — ciągnął książę — rękoma za szyję, o tak... (Tu otoczył się rękoma kapłanki). — I przytuliła go do swej piersi... o tak... — (Tu przytulił się do Kamy).

— Panie, co robisz?... — szepnęła Kama. — Wszakże to śmierć moja...

— Bądź spokojna — odparł książę — ja ci tylko pokazuję, co tamta postać robiła z pisarzem...

„Wtem zadrżała ziemia, pałac zniknął, znikły psy, konie i niewolnicy. Wzgórze, pokryte winogradem, zmieniło się w opokę, drzewa oliwne w ciernie, a pszenica w piasek...

Pisarz, gdy ocknął się w objęciach kochanki,

zrozumiał, że jest takim nędzarzem, jakim był wczoraj na gościńcu. Ale nie żałował swoich bogactw, ponieważ miał kobietę, która kochała go i pieściła!...

— Więc wszystko znikło, a ona nie znikła!...— zawołała naiwnie Kama.

— Litościwy Amon zostawił mu ją na pociechę — rzekł książę.

— O, to Amon był tylko dla pisarzów litościwym! — odparła Kama. — Ale co ma znaczyć ta historja?

— Zgadnij. Wreszcie słyszałaś, czego biedny pisarz wyrzekł się za pocałunek kobiety...

— Ale tronu nie wyrzekłby się! — przerwała kapłanka.

— Kto wie?... gdyby go bardzo o to proszono— szeptał namiętnie Ramzes.

— O nie!... — zawołała Kama, wydzierając mu się z objęć. — Tronu niech się nie wyrzeka, bo w takim razie cóżby zostało z jego obietnic dla Fenicji!...

Oboje spojrzeli sobie w oczy długo... długo... W tej chwili książę uczuł niby ranę w sercu i niby, że z tej rany uciekło mu jakieś uczucie. Nie namiętność, bo namiętność została, ale — szacunek i wiara w Kamę.

„Dziwne te Fenicjanki — pomyślał następca— można za niemi szaleć, lecz niepodobna im ufać!...“

Uczuł się znużonym i pożegnał Kamę. Spojrzał po komnacie, jakby trudno mu było rozstać się z nią i, odchodząc, rzekł do siebie:

„A jednak ty zostaniesz moją, i bogowie fe-

niccy nie zabiją cię, jeżeli dbają o swoje świątynie i kapłanów...“

Ledwie Ramzes opuścił willę Kamy, do pokoju kapłanki wpadł młody Grek, uderzająco piękny i uderzająco podobny do egipskiego księcia. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

— Lykon!... — zawołała przerażona Kama. — Co tu robisz?...

— Podła gadzino!... — odparł Grek dźwięcznym głosem. — Jeszcze miesiąc nie upłynął od wieczoru, kiedy przysięgłaś, że mnie kochasz, że uciekniesz ze mną do Grecji, a już drugiemu kochankowi rzucasz się na szyję... Czy pomarli bogowie, czy uciekła od nich sprawiedliwość?...

— Szalony zazdrośniku — przerwała kapłanka — ty mnie zabijesz...

— Z pewnością, że ja cię zabiję, nie twoja skamieniała bogini... Temi rękoma — wołał, wyciągając ręce, jak szpony — uduszę cię, gdybyś została kochanką...

— Czyją?...

— Alboż ja wiem!... Zapewne obu: tego starego Asyryjczyka i tego książątka, któremu kamieniem łeb rozwalę, jeżeli będzie się tu włóczył... Książę!... ma wszystkie niewiasty z całego Egiptu i... jeszcze mu się zachciewa cudzych kapłanek... Kapłanki są dla kapłanów, nie dla obcych...

Kama odzyskała już zimną krew.

— A ty nie jesteś dla nas obcy? — rzekła wyniośle.

— Żmijo!... — wybuchnął Grek powtórnie. —

Ja nie mogę być obcym dla was, gdy dar mego głosu, którym ozdobili mnie bogowie, obracam na służbę waszym bogom... A ileż to razy, zapomocą mej postaci, oszukiwaliście głupich Azjatów, że następca egipskiego tronu potajemnie wyznaje waszą wiarę?...

— Cicho!... cicho!... — zasyczała kapłanka, zamykając mu ręką usta.

Coś w jej doknięciu musiało być czarującego, gdyż Grek uspokoił się i począł mówić ciszej:

— Słuchaj, Kama. W tych czasach, przypłynie do zatoki Sebenickiej grecki statek, prowadzony przez mego brata. Postarajże się, aby cię arcykapłan wysłał do Pi-uto, skąd uciekniemy nareszcie do północnej Grecji, w takie miejsce, które jeszcze nie widziało Fenicjan...

— Zobaczy ich, jeśli ja się tam skryję — przerwała kapłanka.

— Gdyby tobie włos spadł—szeptał rozwścieczony Grek — przysięgam, że Dagon... że wszyscy tutejsi Fenicjanie oddadzą głowy, lub zdechną w kopalniach! Poznają oni, co może Grek...

— A ja ci mówię — odparła tym samym głosem kapłanka — że dopóki nie zbiorę dwudziestu talentów, nie ruszę się stąd... A mam dopiero ośm...

— Skądże weźmiesz resztę?

— Dadzą mi — Sargon i namiestnik.

— Na Sargona zgoda, ale księcia nie chcę!...

— Głupi Lykonie, czyli nie widzisz, dlaczego trochę podoba mi się ten młodzik?... Ciebie przypomina!...

Grek zupełnie uspokoił się.

— No, no!... — mruczał. — Rozumiem, że gdy kobieta ma do wyboru między następcą tronu i takim, jak ja, śpiewakiem, nie mam potrzeby lękać się... Ale jestem zazdrosny i gwałtowny, więc proszę cię, ażebyś go jak najmniej spoufalała do siebie.

Ucałował ją, wymknął się z willi i zniknął w ciemnym ogrodzie.

Kama wyciągnęła za nim zaciśniętą pięść.

— Nikczemny pajacu!... — szepnęła — który zaledwie mógłbyś być u mnie śpiewającym niewolnikiem...

ROZDZIAŁ X.

Kiedy Ramzes przyszedł nazajutrz odwiedzić swego syna, znalazł Sarę rozpływającą się we łzach. Zapytał o powód. Z początku odpowiedziała, że nic jej nie jest, potem, że jej smutno, wreszcie — upadła do nóg Ramzesowi z wielkiem płaczem.

— Panie... panie mój!... — szeptała. — Wiem, że mnie już nie kochasz, ale przynajmniej siebie nie narażaj...

— Kto powiedział, że cię już nie kocham? — spytał zdziwiony książę.

— Masz przecie trzy nowe kobiety w swym domu... panny wielkich rodów...

— A... więc o to chodzi...

— I jeszcze narażasz się dla czwartej... dla przewrotnej Fenicjanki...

Książę zmieszał się. Skąd Sara mogła dowiedzieć się o Kamie i odgadnąć, że jest przewrotna?...

— Jak pył wciska się do skrzyni, tak niegodziwe wieści wpadają do najspokojniejszych domów — rzekł Ramzes. — Któż ci mówił o Fenicjance?...

— Czy ja wiem kto? Zła wróżba i serce moje.

— Więc są nawet i wróżby?...

— Straszne! Jedna stara kapłanka dowiedziała się, podobno z kryształowej kuli, że wszyscy zginiemy przez Fenicjan, a przynajmniej ja i... mój syn!... — wybuchnęła Sara.

— I ty, która wierzysz w Jedynego, w Jehowę, ty lękasz się bajań jakieś głupiej staruchy, a może intrygantki?... Gdzież twój wielki Bóg?...

— Mój Bóg jest tylko moim, a tamci — twoimi, więc muszę ich szanować.

— Zatem ta stara mówiła ci o Fenicjanach?— pytał Ramzes.

— Ona wróżyła mi dawniej, jeszcze pod Memfisem, że powinnam wytrzegać się Fenicjanki — odparła Sara. — Ale dopiero tu wszyscy mówią o jakiejś kapłance fenickiej. Czy ja wiem, może tylko coś majaczy mi się w stroskanej głowie. Powiadali nawet, że gdyby nie jej uroki, nie skoczyłbyś, panie, wtedy do areny... Ach, gdyby cię byk zabił!... Jeszcze i teraz, kiedy myślę o nieszczęściu, jakie cię mogło spotkać, serce we mnie zastyga...

— Śmiej się z tego, Saro — przerwał wesoło książę. — Kogo ja przygarnę do siebie, stoi tak wyso-

ko, że go żaden strach nie powinien dosięgać... Tem mniej głupie wieści.

— A nieszczęście? Czyliż jest dość wysoka góra, na którą nie doleciałby jego pocisk?...

— Macierzyństwo zmęczyło cię, Saro — rzekł książę — a gorąco rozstraja twoje myśli, i dlatego frasujesz się bez powodu. Bądź spokojna i czuwaj nad moim synem. Człowiek — mówił w zamyśleniu — kimkolwiek on jest: Fenicjaninem, czy Grekiem, może szkodzić tylko podobnym sobie istotom, ale nie nam, którzy jesteśmy bogami tego świata.

— Co powiedziałeś o Greku?... Jaki Grek?...— spytała niespokojnie Sara.

— Ja powiedziałem: Grek?... Nic o tem nie wiem. Może wymknął mi się podobny wyraz, a może ty przesłyszałaś się.

Ucałował Sarę i swego syna i pożegnał ich. Ale nie odpędził niepokoju.

„Raz trzeba sobie powiedzieć — myślał — że w Egipcie nie ukryje się żadna tajemnica. Mnie śledzą kapłani i moi dworzanie, nawet wówczas, gdy są, czy tylko udają pijanych, a nad Kamą czuwają wężowe źrenice Fenicjan. Jeżeli dotychczas nie ukryli jej przede mną, niewiele muszą dbać o jej cnotę. Zresztą wobec kogo?... Wobec mnie, któremu sami odsłonili oszustwa swojej świątyni!... Kama będzie należała do mnie... Zbyt wiele mają w tem interesu, ażeby chcieli ściągnąć mój gniew na siebie...“

W parę dni przyszedł do księcia święty kapłan Mentezufis, pomocnik dostojnego Herhora w ministerjum wojny. Ramzes, patrząc na bladą twarz

i spuszczone oczy proroka, odgadł, że i ten już wie o Fenicjance, a może nawet, z kapłańskiego stanowiska, zechce mu robić wymówki. Ale Mentezufis tym razem nie dotknął sercowych spraw następcy.

Przywitawszy księcia z urzędową miną, prorok usiadł na wskazanem miejscu i zaczął:

— Z memfiskiego pałacu pana wieczności zawiadomiono mnie, że w tych czasach przyjechał do Pi-Bast wielki kapłan chaldejski Istubar, nadworny astrolog i doradca jego miłości króla Asara.

Książę chciał podpowiedzieć Mentezufisowi cel przybycia Istubara, ale przygryzł wargi i milczał.

— Zaś znakomity Istubar — ciągnął kapłan — przywiózł ze sobą dokumenta, na mocy których dostojny Sargon, powinowaty i satrapa jego miłości króla Asara, zostaje u nas posłem i pełnomocnikiem tegoż potężnego króla...

Ramzes o mało nie wybuchnął śmiechem. Powaga, z jaką Mentezufis raczył odsłonić cząstkę tajemnic, oddawna znanych księciu, napełniła go wesołością i — pogardą.

„Więc ten kuglarz — myślał następca — nawet nie przeczuwa w sercu swojem, że ja znam wszystkie ich szalbierstwa?...“

— Dostojny Sargon i czcigodny Istubar — mówił Mentezufis — udadzą się do Memfis ucałować nogi jego świątobliwości. Pierwej jednak wasza dostojność, jako namiestnik, raczysz przyjąć łaskawie obu tych dygnitarzy, tudzież ich świtę.

— Bardzo chętnie — odparł książę — a przy

sposobności spytam ich: kiedy Asyrja zapłaci nam zaległe daniny?

— Wasza dostojność zrobiłbyś to? — rzekł kapłan, patrząc mu w oczy.

— Przedewszystkiem to!... Nasz skarb potrzebuje danin...

Mentezufis nagle powstał z siedzenia i, uroczystym, choć zniżonym głosem, rzekł:

— Namiestniku pana naszego i rozdawcy życia: w imieniu jego świątobliwości, zabraniam ci mówić z kimkolwiek o daninach, a nadewszystko z Sargonem, Istubarem i kimkolwiek z ich świty.

Książę pobladł.

— Kapłanie — rzekł, również powstając — na jakiej zasadzie przemawiasz do mnie tonem zwierzchnika?...

Mentezufis odchylił szatę i zdjął z szyi łańcuszek, na którym był jeden z pierścieni faraona.

Namiestnik obejrzał go, pobożnie ucałował i, zwróciwszy kapłanowi, odparł:

— Spełnię rozkazy jego świątobliwości, mego pana i ojca.

Znowu obaj usiedli, i książę zapytał kapłana:

— Czy wasza dostojność nie mógłbyś mnie objaśnić: dlaczego Asyrja nie ma nam płacić danin, które odrazu wydobyłyby skarb państwa z kłopotów?

— Bo my nie mamy sił zmusić Asyrji do płacenia nam danin — odparł zimno Mentezufis. — Mamy sto dwadzieścia tysięcy wojska, Asyrja zaś około trzystu tysięcy. Mówię to waszej dostojności

całkiem poufnie, jako wysokiemu urzędnikowi państwa.

— Rozumiem. Ale dlaczegc ministerjum wojny, w którem służysz, zmniejszyło naszą waleczną armję o sześćdziesiąt tysięcy ludzi?

— Ażeby dochody na dwór jego świątobliwości powiększyć o dwanaście tysięcy talentów — rzekł kapłan.

— Aha!... Powiedz-że mi, wasza dostojność— ciągnął książę — w jakim tedy celu jedzie Sargon do stóp faraona?

— Nie wiem.

— Aha! Ale dlaczego ja nie mam wiedzieć, ja następca tronu?...

— Bo są tajemnice państwa, które zna zaledwie kilku dostojników...

— I których mógłby nawet nie znać mój najczcigodniejszy ojciec?...

— Z pewnością — odparł Mentezufis — że są rzeczy, o których mógłby nie wiedzieć nawet jego świątobliwość, gdyby nie posiadał najwyższych święceń kapłańskich.

— Dziwna rzecz! — mówił książę po namyśle — Egipt jest własnością faraona i, mimo to, mogą dziać się w państwie sprawy, nieznane faraonowi?... Wytłumacz mi to, wasza dostojność.

— Egipt jest przedewszystkiem, a nawet: jedynie i wyłącznie własnością Amona — rzekł kapłan. — Jest zatem konieczne, aby ci tylko znali najwyższe tajemnice, którym Amon objawią swoją wolę i plany.

Książę, słuchając, doznawał takich uczuć, jakby go przewracano na łożu, wybitem sztyletami i jeszcze podkładano ogień.

Mentezufis chciał podnieść się, namiestnik zatrzymał go.

— Jeszcze słowo — mówił łagodnie. — Jeżeli Egipt jest tak słabym, że nie wolno nawet wspominać o asyryjskich daninach...

Zadyszał się.

...Jeżeli jest tak nędznym — ciągnął — to jakaż pewność, że nas nie napadną Asyryjczycy?

— Od tego można zabezpieczyć się traktatami — odparł kapłan.

Następca machnął ręką.

— Niema traktatów dla słabych! — rzekł. — Nie zasłonią granic srebrne tablice, zapisane ugodami, jeżeli za niemi nie staną włócznie i miecze!...

— A któż waszej dostojności powiedział, że u nas nie staną?

— Ty sam. Sto dwadzieścia tysięcy ludzi musi ustąpić przed trzystu tysiącami. No, a gdyby Asyryjczycy raz do nas weszli, z Egiptu zostałaby pustynia...

Mentezufisowi zapłonęły oczy.

— Gdyby weszli do nas — zawołał — kości ich nigdy nie zobaczyłyby swej ziemi!... Uzbroilibyśmy całą szlachtę, pułki robotnicze, nawet przestępców z kopalń... Wydobylibyśmy skarby ze wszystkich świątyń... I spotkałaby się Asyrja z pięciuset tysiącami egipskich wojowników...

Ramzes był zachwycony tym wybuchem patrjotyzmu kapłana. Schwycił go za rękę i rzekł:

— Więc jeżeli możemy mieć taką armję, dlaczego nie napadamy na Babilon?... Czyliż wielki wojownik Nitager nie błaga nas o to od kilku lat?... Czyliż jego świątobliwość nie niepokoi się wrzeniem Asyrji?... Gdy im pozwolimy zebrać siły, walka będzie trudniejsza, ale gdy rozpoczniemy sami...

Kapłan przerwał mu.

— Czy ty wiesz, książę — mówił — co to jest wojna, do której trzeba iść przez pustynię? Kto zaręczy, że nim dotarlibyśmy do Eufratu, połowa naszej armji i tragarzy nie wyginęłaby z trudów?

— Wyrównalibyśmy to jedną bitwą — wtrącił Ramzes.

— Bitwa!... — powtórzył kapłan. — A czy wiesz książę, co to jest bitwa?...

— Spodziewam się! — odparł dumnie następca, uderzając w miecz.

Mentezufis wzruszył ramionami.

— A ja ci mówię, panie, że ty nie wiesz, co to jest bitwa. Owszem, masz nawet o niej całkiem fałszywe pojęcie z manewrów, na których zawsze bywałeś zwycięzcą, choć nieraz powinieneś być zwyciężonym...

Książę spochmurniał. Kapłan wsunął rękę za swoją szatę i nagle spytał:

— Zgadnij wasza dostojność, co trzymam?

— Co?... — powtórzył zdziwiony książę.

— Zgadnij prędko i dobrze — nalegał kapłan— bo jeżeli omylisz się, zginą dwa twoje pułki...

— Trzymasz pierścień — odparł rozweselony następca.

Mentezufis otworzył rękę: był w niej kawałek papirusa.

— A teraz co mam?... — spytał znowu kapłan.

— Pierścień.

— Otóż nie pierścień, tylko amulet boskiej Hator — rzekł kapłan.

— Widzisz, panie — mówił dalej — oto jest bitwa. W czasie bitwy los co chwila wyciąga do nas rękę i każe jak najśpieszniej odgadywać zamknięte w niej niespodzianki. Mylimy się lub zgadujemy, ale biada temu, kto częściej omylił się, aniżeli odgadł!... A stokroć biada tym, przeciw komu los odwraca się i zmusza do omyłek!...

— A jednak ja wierzę, ja czuję tu... — zawołał następca, bijąc się w piersi — że Asyrja musi być zdeptana!

— Oby przez usta twoje przemawiał bóg Amon rzekł kapłan. — I tak jest — dodał — Asyrja będzie poniżona, może nawet twojemi rękoma, panie, ale nie zaraz... nie zaraz...

Mentezufis pożegnał go, książę został sam. W jego sercu i głowie huczało.

„A więc miał słuszność Hiram, że oni nas oszukują — myślał Ramzes. — Teraz i ja już jestem pewny, że nasi kapłani zawarli z chaldejskimi jakąś umowę, którą jego świątobliwość będzie musiał zatwierdzić. Będzie musiał!... czy słyszano o podobnej potworności?... On, pan żyjącego i zachod-

niego świata, on musi podpisywać umowy wymyślone przez intrygantów!...

Tchu mu brakło.

„Swoją drogą święty Mentezufis zdradził się. Więc to tak jest, że, w razie potrzeby, Egipt może wystawić półmiljonową armję?... Nawet nie marzyłem o podobnej sile!... I oni myślą, że ja będę lękał się ich bajek o losie, który nam każe rozwiązywać zagadki... Niechbym miał tylko dwieście tysięcy wojska, wymustrowanego jak nasze greckie i libijskie pułki, a podejmę się rozwiązać wszystkie zagadki na ziemi i niebie".

Zaś czcigodny prorok Mentezufis, wracając do swej celi, mówił do siebie:

„Zapalona to głowa, kobieciarz, awanturnik, ale potężny charakter. Po słabym, dzisiejszym faraonie, bodaj że ten przypomni nam czasy Ramzesa Wielkiego. Za dziesięć lat złe gwiazdy odmienią się, on dojrzeje i skruszy Asyrję. Z Niniwy zostaną gruzy, święty Babilon odzyska należne dostojeństwo, a jeden najwyższy Bóg, Bóg egipskich i chaldejskich proroków, zapanuje od pustyni libijskiej aż het do najświętszej rzeki Gangesu...

„Byle tylko nasz młodzik nie ośmieszył się nocnemi wędrówkami do kapłanki fenickiej!... Gdyby go zobaczono w ogrodzie Astoreth, lud mógłby myśleć, że następca tronu nakłania uszu do fenickiej wiary... A Dolnemu Egiptowi już niewiele potrzeba, aby wyprzeć się starych bogów... Cóż to za mieszanina narodów!..."

W kilka dni później dostojny Sargon urzędow-

nie zawiadomił księcia o swej roli asyryjskiego posła, oświadczył chęć powitania następcy tronu i prosił o orszak egipski, któryby go odprowadził ze wszelkiem bezpieczeństwem i honorami do stóp jego świątobliwości faraona.

Książę zatrzymał się z odpowiedzią dwa dni i wyznaczył Sargonowi posłuchanie znowu po upływie dwu dni. Asyryjczyk, przywykły do wschodniej powolności w podróżach i interesach, wcale się tem nie martwił i nie marnował czasu. Pił od rana do wieczora, grał w kości z Hiramem i innymi azjatyckimi bogaczami, a w chwilach wolnych, podobnie jak Ramzes, wymykał się do Kamy.

Tam, jako człowiek starszy i praktyczny, za każdą wizytą ofiarowywał kapłance bogate podarunki. Swoje zaś uczucia dla niej wyrażał w ten sposób:

— Co ty, Kamo, siedzisz w Pi-Bast i chudniesz? Dopókiś młoda, bawi cię służba przy ołtarzach bogini Astoreth; ale gdy się zestarzejesz, nędzna czeka cię dola. Obedrą z ciebie kosztowne szaty, na twoje miejsce przyjmą młodszą, a ty musisz zarabiać, na garstkę prażonego jęczmienia, wróżbami lub dozorowaniem położnic.

— Ja — ciągnął Sargon — gdyby bogowie za karę stworzyli mnie kobietą, wolałbym sam być położnicą, aniżeli pielęgnować takowe.

Dlatego mówię ci, jak człowiek mądry, rzuć świątynię i przystań do mego haremu. Dam za ciebie dziesięć talentów złotem, czterdzieści krów i sto mierzyc pszenicy. Kapłani z początku będą obawiali

się kary bogów, ażeby więcej wyłudzić ode mnie. Ale że ja nie postąpię już ani drachmy, co najwyżej dorzucę kilka owieczek, więc odprawią uroczyste nabożeństwo, i zaraz objawi się im niebiańska Astoreth, która zwolni cię od ślubów, bylem jeszcze dorzucił złoty łańcuch, albo puhar.

Kama, słuchając tych poglądów, gryzła wargi ze śmiechu, a on ciągnął:

— Gdy zaś pojedziesz ze mną do Niniwy, zostaniesz wielką panią. Dam ci pałac, konie, lektykę, służebne i niewolników. Przez jeden miesiąc więcej wylejesz na siebie wonności, aniżeli tu przez cały rok ofiarujecie ich bogini. A kto wie — kończył — może spodobasz się królowi Asarowi i on zechce cię wziąć do haremu? W takim razie i ty byłabyś szczęśliwsza, i ja odzyskałbym to, co wydam na ciebie.

W dniu, wyznaczonym na posłuchanie dla Sargona, pod pałacem następcy tronu stanęły wojska egipskie i tłum ludu, chciwego widowisk.

Około południa, w czasie największego skwaru, ukazał się orszak asyryjski. Przodem szli uzbrojeni w miecze i kije policjanci, za nimi kilku nagich szybkobiegaczów i trzej konni. Byli to — trębacze i woźny. Na rogu każdej ulicy trębacze wygrywali sygnał, a po nich odzywał się wielkim głosem woźny:

— Oto zbliża się poseł i pełnomocnik potężnego króla Asara, Sargon, powinowaty królewski, pan wielkich włości, zwycięzca w bitwach, rządca

prowincji. Ludu, oddaj mu hołd należny, jako przyjacielowi jego świątobliwości, władcy Egiptu!...

Za trębaczami jechało kilkunastu kawalerzystów asyryjskich, w śpiczastych czapkach, w kurtkach i obcisłych spodniach. Ich kudłate a wytrwałe konie na łbach i piersiach miały mosiężne zbroje w rybią łuskę.

Później szła piechota w kaskach i długich płaszczach do ziemi. Jeden oddziałek zbrojny był w ciężkie maczugi, następny w łuki, trzeci we włócznie i tarcze. Prócz tego każdy miał miecz i zbroję.

Za żołnierstwem szły konie, wozy i lektyki Sargona, otoczone służbą w szatach białych, czerwonych, zielonych... Potem ukazało się pięć słoni z lektykami na grzbietach: na jednym jechał Sargon, na drugim chaldejski kapłan Istubar.

Pochód zamykali znowu piesi i konni żołnierze i przeraźliwa muzyka asyryjska, złożona z trąb, bębnów, blach i piskliwych fletów.

Książę Ramzes w otoczeniu kapłanów, oficerów i szlachty, odzianej barwnie i bogato, czekał na posła w wielkiej sali audjencjonalnej, która była ze wszystkich stron otwarta. Następca był wesół, wiedząc, że Asyryjczycy niosą z sobą podarunki, które w oczach egipskiego ludu mogą uchodzić za wypłatę daniny. Ale gdy na dziedzińcu usłyszał ogromny głos woźnego, wychwalający potęgę Sargona, książę spochmurniał. Gdy zaś doleciało go zdanie, że król Asar jest przyjacielem faraona, rozgniewał się. Nozdrza rozszerzyły mu się, jak roz-

drażnionemu bykowi, a w oczach zapłonęły iskry. Widząc to, oficerowie i szlachta zaczęli robić groźne miny i poprawiać miecze. Święty Mentezufis spostrzegł ich nieukontentowanie i zawołał:

— W imieniu jego świątobliwości rozkazuję szlachcie i oficerom, aby dostojnego Sargona przyjęli z szacunkiem, jaki należy się posłowi wielkiego króla!...

Następca tronu zmarszczył brwi i począł niecierpliwie chodzić po estradzie, na której stał jego namiestnikowski fotel. Ale karni oficerowie i szlachta uciszyli się, wiedząc, że z Mentezufisem, pomocnikiem ministra wojny, niema żartów.

Tymczasem na dziedzińcu, ogromni, ciężko odziani żołnierze asyryjscy stanęli trzema szeregami naprzeciw półnagich i zwinnych żołnierzy egipskich. Obie strony patrzyły na siebie, jak stado tygrysów na stado nosorożców. W sercu tych i tamtych tliła się starodawna nienawiść. Ale nad nienawiścią górowała komenda.

W tej chwili wtoczyły się słonie, wrzasnęły trąby egipskie i asyryjskie, oba wojska wgórę podniosły broń; lud upadł na twarz, a dygnitarze asyryjscy: Sargon i Istubar zstąpili z lektyk na ziemię.

W sali, książę Ramzes zasiadł na wzniesionym fotelu pod baldachimem, a u wejścia ukazał się woźny.

— Najdostojniejszy panie! — zwrócił się do następcy. — Poseł i pełnomocnik wielkiego króla Asara, znakomity Sargon i jego towarzysz, pobożny prorok Istubar, pragną powitać ciebie i złożyć

cześć tobie, namiestnikowi i następcy faraona, który oby żył wiecznie...

— Poproś tych dostojników, ażeby weszli i ucieszyli serce moje swym widokiem — odparł książę.

Ze szczękiem i brzękiem wszedł do sali Sargon, w długiej zielonej szacie, gęsto wyszytej złotem. Obok, w płaszczu śnieżnej białości kroczył pobożny Istubar, a za nimi strojni panowie asyryjscy nieśli dary dla księcia.

Sargon zbliżył się do podwyższenia i rzekł w języku asyryjskim, co natychmiast tłumacz powtórzył w egipskim:

— Ja, Sargon, wódz, satrapa i powinowaty najpotężniejszego króla Asara, przychodzę pozdrowić cię, namiestniku najpotężniejszego faraona, i na znak wiecznej przyjaźni ofiarować ci dary...

Następca oparł dłonie na kolanach i siedział nieporuszony, jak posągi jego królewskich przodków.

— Tłumaczu — rzekł Sargon — czy źle powtórzyłeś księciu moje uprzejme powitanie?

Mentezufis, stojący obok wzniesienia, pochylił się ku Ramzesowi.

— Panie — szepnął — dostojny Sargon czeka na łaskawą odpowiedź...

— Więc mu odpowiedz — wybuchnął książę— iż nie rozumiem, na mocy jakiego prawa przemawia do mnie, niby równy mi dostojeństwem?...

Mentezufis zmieszał się, co jeszcze więcej rozgniewało księcia, któremu wargi zaczęły drżeć

i znowu zapłonęły oczy. Ale Chaldejczyk Istubar, rozumiejąc po egipsku, rzekł prędko do Sargona:

— Upadnijmy na twarze!...

— Dlaczego ja mam padać na twarz? — spytał oburzony Sargon.

— Upadnij, jeżeli nie chcesz stracić łaski naszego króla, a może i głowy...

To powiedziawszy, Istubar legł na posadzce jak długi, a obok niego Sargon.

— Dlaczego ja mam leżeć na moim brzuchu przed tym chłystkiem? — mruczał oburzony.

— Bo to namiestnik — odparł Istubar.

— A ja nie byłem namiestnikiem pana mego?

— Ale on będzie królem, a ty nim nie będziesz.

— O co spierają się posłowie najpotężniejszego króla Asara? — zapytał już udobruchany książę tłumacza.

— O to, czy mają waszej dostojności pokazać dary, przeznaczone dla faraona, czy tylko oddać przesłane dla was — odparł zręczny tłumacz.

— Owszem, chcę widzieć dary dla mego świątobliwego ojca — rzekł książę i pozwalam posłom wstać.

Sargon podniósł się, czerwony z gniewu czy zmęczenia, i usiadł, podwinąwszy pod siebie nogi, na podłodze.

— Nie wiedziałem — zawołał — że ja, krewny i pełnomocnik wielkiego Asara, będę musiał szatami mojemi wycierać pył z posadzki egipskiego namiestnika!...

Mentezufis, który umiał po asyryjsku, nie pytając Ramzesa, kazał natychmiast przynieść dwie ławki, pokryte dywanami, na których wnet zasiedli: zadyszany Sargon i spokojny Istubar.

Wysapawszy się, Sargon kazał podać wielki szklany puhar, stalowy miecz i przyprowadzić przed ganek dwa konie, okryte złocistemi rzędami. A gdy spełniono jego rozkazy, podniósł się i z ukłonem rzekł do Ramzesa:

— Pan mój, król Asar, przysyła ci, książę, parę cudnych koni, które oby nosiły cię tylko do zwycięstw. Przysyła kielich, z którego niech zawsze radość spływa ci do serca — i miecz, jakiego nie znajdziesz poza zbrojownią najpotężniejszego władcy.

Wydobył z pochwy dość długi miecz, błyszczący niby srebro, i począł zginać go w ręku. Miecz wygiął się jak łuk, a potem nagle wyprostował się.

— Zaiste! cudna to broń... — rzekł Ramzes.

— Jeżeli pozwolisz, namiestniku, okażę ci jeszcze inną jej zaletę — mówił Sargon, który, mogąc pochwalić się wyborną na owe czasy bronią asyryjską, zapomniał o gniewie.

Na jego żądanie, jeden z egipskich oficerów wydobył swój miecz śpiżowy i trzymał go, jak do ataku. Wtedy Sargon podniósł miecz stalowy, uderzył i odciął kawałek broni przeciwnika.

W sali rozległ się szmer zdziwienia, a na twarz Ramzesa wystąpiły silne rumieńce.

„Ten cudzoziemiec — myślał książę — odebrał

mi byka w cyrku, chce ożenić się z Kamą i pokazuje mi broń, która kraje nasze miecze, jak wióry!...“

I jeszcze gorszą poczuł nienawiść do króla Asara, do wszystkich Asyryjczyków wogóle, a do Sargona w szczególności.

Mimo to usiłował panować nad sobą i z całą uprzejmością poprosił posła o pokazanie mu darów dla faraona.

Wnet przyniesiono ogromne paki z wonnego drzewa, z których wyżsi urzędnicy asyryjscy wydobywali sztuki wzorzystych materyj, puhary, dzbany, stalową broń, łuki z rogów koziorożca, złociste zbroje i puklerze, wysadzone drogiemi kamieniami.

Najwspanialszym jednak darem był model pałacu króla Asara, wyrobiony ze srebra i złota. Wyglądał on, jak cztery gmachy, coraz mniejsze, postawione jeden na drugim, z których każdy był otoczony gęsto kolumnami, a zamiast dachu posiadał taras. Każdego wejścia pilnowały lwy albo skrzydlate byki z ludzkiemi głowami. Po obu stronach schodów stały posągi lenników króla, niosących dary, po obu stronach mostu były rzeźbione konie w najrozmaitszych postawach. Sargon odsunął jedną ścianę modelu i ukazały się bogate pokoje, zapełnione bezcennemi sprzętami. Szczególny zaś podziw obudziła sala audjencjonalna, gdzie znajdowały się figurki, przedstawiające króla na wysokim tronie, tudzież jego dworzan, żołnierzy i lenników, składających hołdy.

Cały model miał długość dwu ludzi, a wysokość prawie wzrostu człowieka. Egipcjanie szeptali,

że ten jeden dar króla Asara wart był ze sto pięćdziesiąt talentów.

Kiedy wyniesiono paki, namiestnik zaprosił obu posłów i ich orszak na ucztę, podczas której goście byli sowicie obdarowani. Ramzes tak daleko posunął swoją uprzejmość, że gdy Sargonowi podobała się jedna z kobiet następcy, książę darował ją posłowi, rozumie się za jej zgodą i przyzwoleniem jej matki.

Był więc grzeczny i hojny, ale czoła swego nie rozchmurzał. A gdy Tutmozis zapytał go: czy nie piękny pałac ma król Asar? — książę odpowiedział:

— Piękniejszemi wydałyby mi się jego gruzy na zgliszczach Niniwy...

Asyryjczycy przy uczcie byli bardzo powściągliwi. Mimo obfitości wina, pili mało i nie więcej wydawali okrzyków. Sargon ani razu nie wybuchnął hucznym śmiechem, jak to było w jego zwyczaju; przysłonił powiekami oczy, a w swem sercu głęboko rozmyślał.

Tylko dwaj kapłani, Chaldejczyk Istubar i Egipcjanin Mentezufis byli spokojni, jak ludzie, którym dana jest wiedza przyszłości i władza nad nią.

ROZDZIAŁ XI.

Po przyjęciu u namiestnika, Sargon zatrzymał się jeszcze w Pi-Bast, czekając na listy faraona z Memfisu, a jednocześnie między oficerami i szlachtą zaczęły na nowo krążyć dziwaczne pogłoski.

Fenicjanie opowiadali, pod największym rozumie się sekretem, że kapłani, niewiadomo z jakiego powodu, nietylko darowali Asyrji zaległe daniny, nietylko uwolnili ją raz na zawsze od ich płacenia, ale nadto, ażeby ułatwić Asyryjczykom jakąś wojnę północną, zawarli z nimi traktat pokojowy na długie lata.

— Faraon — mówili Fenicjanie — aż mocniej zachorował, dowiedziawszy się o ustępstwach, robionych barbarzyńcom. Książę Ramzes martwi się i chodzi smutny, lecz obaj muszą ulegać kapłanom, nie będąc pewni uczuć szlachty i wojska.

To najwięcej oburzało egipską arystokrację.

— Jakto — szeptali między sobą zadłużeni magnaci — więc dynastja już nam nie ufa?... Więc kapłani uwzięli się, ażeby zhańbić i zrujnować Egipt?... Bo przecie jasne jest, że jeżeli Asyrja ma wojnę gdzieś na dalekiej północy, to właśnie teraz trzeba ją napaść i zdobytemi łupami podźwignąć zubożały skarb królewski i arystokrację...

Ten i ów z młodych panów ośmielał się zapytywać następcy: co myśli o asyryjskich barbarzyńcach? Książę milczał, ale błysk jego oczu i zacięte usta dostatecznie wyrażały uczucia.

— Oczywiście — szeptali panowie w dalszym ciągu — że dynastja jest opętana przez kapłanów, nie ufa szlachcie, Egiptowi zaś grożą wielkie nieszczęścia...

Ciche gniewy prędko zamieniły się w ciche narady, mające nawet pozór spisku. Ale choć bardzo wiele osób brało w tem udział, pewny siebie, czy

zaślepiony stan kapłański nic o nich nie wiedział, a Sargon, choć przeczuwał nienawiść, nie przywiązywał do niej wagi.

Poznał on, że książę Ramzes jest mu niechętny, ale przypisywał to wypadkowi w cyrku, a więcej zazdrości o Kamę. Ufny jednak w swoją poselską nietykalność, pił, ucztował i prawie co wieczór wymykał się do fenickiej kapłanki, która coraz łaskawiej przyjmowała jego zaloty i dary.

Taki był nastrój kół najwyższych, gdy pewnej nocy wpadł do mieszkania Ramzesa święty Mentezufis i oświadczył, że natychmiast musi zobaczyć się z księciem.

Dworzanie odpowiedzieli, że u księcia znajduje się jedna z jego kobiet, że więc nie śmią niepokoić swego pana. Lecz gdy Mentezufis coraz natarczywiej nalegał, wywołali następcę.

Książę po chwili ukazał się, nawet nierozgniewany.

— Cóż to — zapytał kapłana — czy mamy wojnę, że wasza cześć trudzisz się do mnie o tak późnej porze?

Mentezufis pilnie przypatrzył się Ramzesowi i głęboko odetchnął.

— Książę nie wychodziłeś cały wieczór? — zapytał.

— Ani na krok.

— Więc mogę dać na to kapłańskie przyrzeczenie?

Następca zdziwił się.

— Zdaje mi się — odparł dumnie — że twoje

słowo już nie jest potrzebne, gdy ja dałem moje. Cóż to znaczy?...

Wyszli do osobnego pokoju.

— Czy wiesz, panie — mówił wzburzony kapłan — co zdarzyło się, może przed godziną.. Jego dostojność Sargona jacyś młodzieńcy napadli i obili kijami...

— Jacy?... gdzie?...

— Pod willą fenickiej kapłanki, nazwiskiem Kamy — ciągnął Mentezufis, pilnie śledząc fizjognomję następcy.

— Odważne chłopaki! — odparł książę, wzruszając ramionami.—Napadać takiego siłacza!... Przypuszczam, że musiała tam pęknąć niejedna kość.

— Ale napadać posła... Uważ, dostojny panie, posła, którego osłania majestat Asyrji i Egiptu... — mówił kapłan.

— Ho! ho!... — roześmiał się książę. — Więc król Asar wysyła swoich posłów nawet do fenickich tancerek?...

Mentezufis stropił się. Nagle uderzył się w czoło i zawołał również ze śmiechem:

— Patrz, książę, jaki ze mnie prostak, nieoswojony z politycznemi ceremonjami. Wszakże ja zapomniałem, że Sargon, włóczący się po nocach, około domu podejrzanej kobiety, nie jest posłem, ale zwyczajnym człowiekiem!...

Lecz po chwili dodał:

— W każdym razie niedobrze się stało... Sargon może nabrać do nas niechęci...

— Kapłanie!... kapłanie!... — zawołał książę,

kiwając głową. — Ty zapominasz daleko ważniejszej rzeczy, iż Egipt nie potrzebuje ani lękać się, ani nawet dbać o dobre lub złe usposobienie dla niego nietylko Sargona, ale nawet króla Asara...

Mentezufis był tak zmieszany trafnością uwag królewskiego młodzieńca, że zamiast odpowiedzieć kłaniał się, mrucząc:

— Bogowie obdarzyli cię, książę, mądrością arcykapłanów... niechaj imię ich będzie błogosławione!... Już chciałem wydać rozkazy, aby poszukano i osądzono tych młodych awanturników; lecz teraz wolę zasięgnąć twojej rady, bo jesteś mędrcem nad mędrce.

Powiedz zatem, panie, co mamy począć z Sargonem i tymi zuchwalcami?...

— Przedewszystkiem zaczekać do jutra — odparł następca. — Jako kapłan, wiesz najlepiej, że boski sen często przynosi dobre rady.

— A jeżeli i do jutra nic nie obmyślę? — pytał Mentezufis.

— W każdym razie ja odwiedzę Sargona i postaram się zatrzeć w jego pamięci ten drobny wypadek.

Kapłan pożegnał Ramzesa z oznakami czci. Zaś wracając do siebie, myślał:

„Serce dam sobie wydrzeć z piersi, że do tego nie należał książę: ani sam bił, ani namawiał, a nawet nie wiedział o wypadku. Kto tak chłodno i trafnie sądzi sprawę, nie może być współwinnym. A w takim razie mogę zacząć śledztwo i, jeżeli nie ułagodzimy kudłatego barbarzyńcy, oddam zawa-

djaków pod sąd. Piękny traktat przyjaźni między dwoma państwami, który zaczyna się sponiewieraniem posła!...

Nazajutrz wspaniały Sargon do południa leżał na wojłokowem posłaniu, co wreszcie zdarzało mu się dosyć często, bo po każdej pijatyce. Obok niego, na niskiej sofie, siedział pobożny Istubar, z oczyma utkwionemi w sufit, szepcąc modlitwy.

— Istubarze — westchnął dostojnik — czy jesteś pewny, że nikt z naszego dworu nie wie o mojem nieszczęściu?

— Któż może wiedzieć, jeżeli cię nikt nie widział?

— Ale Egipcjanie!... — jęknął Sargon.

— Z Egipcjan wie o tem Mentezufis i książę, no i ci szaleńcy, którzy zapewne długo będą pamiętali twoje pięści.

— Może trochę... może!... Ale zdaje mi się, że był między nimi następca i ma nos rozbity, jeżeli nie złamany...

— Następca ma cały nos i on tam nie był, zapewniam cię.

— W takim razie — wzdychał Sargon — powinien książę kilku z nich wbić na pal. Przecieżem ja poseł!... ciało moje jest święte...

— A ja mówię ci — radził Istubar — wyrzuć złość z serca twego i nawet nie skarż się. Bo gdy hultaje pójdą pod sąd, cały świat dowie się, że poseł najdostojniejszego króla Asara wdaje się z Fenicjanami, a co gorsza, odwiedza ich samotny, wśród nocy. Co zaś odpowiesz, gdy twój śmiertelny wróg,

kanclerz Lik-Bagus, zapyta cię: „Sargonie, z jakimiż to widywałeś się Fenicjanami i o czem mówiłeś z nimi, pod ich świątynią, wśród nocy?...“

Sargon wzdychał, jeżeli można wzdychaniem nazwać odgłosy podobne do mruczenia lwa.

Wtem wpadł jeden z oficerów asyryjskich. Uklęknął, uderzył czołem o podłogę i rzekł do Sargona:

— Światło źrenic pana naszego!... Przed gankiem pełno magnatów i dostojników egipskich, a na ich czele sam następca tronu... Chce tu wejść, widocznie z zamiarem złożenia ci hołdu...

Lecz nim Sargon zdążył wydać polecenie, we drzwiach komnaty ukazał się książę. Odepchnął olbrzymiego Asyryjczyka, który trzymał wartę i szybko zbliżył się do wojłoków, kędy zmieszany poseł, szeroko otworzywszy oczy, nie wiedział, co robić ze sobą: uciec nago do innej izby, czy schować się pod pościel?

Na progu stało kilku oficerów asyryjskich, zdumionych wtargnięciem następcy, wbrew wszelkiej etykiecie. Ale Istubar dał im znak i znikli za kotarą.

Książę był sam; zostawił świtę na dziedzińcu.

— Bądź pozdrowiony — rzekł — pośle wielkiego króla i gościu faraona. Przyszedłem odwiedzić cię i spytać: czy nie masz jakich potrzeb? Jeżeli zaś pozwoli ci czas i ochota, chcę, ażebyś w moem towarzystwie, na koniu ze stajni mego ojca, przejechał się po mieście, otoczony naszą świtą, jak

przystało na posła potężnego Asara, który oby żył wiecznie!

Sargon słuchał, leżąc i nie rozumiejąc ani słowa. Gdy zaś Istubar przetłumaczył mu mowę księcia, poseł wpadł w taki zachwyt, że zaczął bić głową o wojłoki, powtarzając wyrazy: „Asar i Ramzes".

Kiedy uspokoił się i przeprosił księcia za nędzny stan, w jakim go znalazł gość tak znakomity i dostojny, dodał:

— Nie miej za złe, o panie, że ziemny robak i podnóżek tronu, jakim ja jestem, w tak niezwykły sposób okazuje radość z twego przybycia. Ale ucieszyłem się podwójnie. Raz, że spadł na mnie nadziemski zaszczyt, powtóre — żem myślał w mojem głupiem i nikczemnem sercu, iż to ty, panie, byłeś sprawcą mojej wczorajszej niedoli. Zdawało mi się, że między kijami, które spadły na moje plecy, czuję twój kij, zaprawdę tęgo bijący...

Spokojny Istubar wyraz po wyrazie przetłumaczył to księciu. Na to następca, z iście królewską godnością odparł:

— Omyliłeś się, Sargonie. Gdyby nie to, żeś sam poznał swój błąd, kazałbym ci natychmiast wyliczyć pięćdziesiąt kijów, ażebyś zapamiętał, że tacy, jak ja, nie napadają jednego człowieka gromadą, ani po nocy.

Nim światły Istubar dokończył tłumaczenia tej odpowiedzi, już Sargon przypełznął do księcia i objął jego nogi, wołając:

— Wielki pan!... wielki król!... Chwała Egiptowi, że posiada takiego władcę!

A na to znowu książę:

— Więcej powiem ci, Sargonie. Jeżeli zostałeś napadnięty wczoraj, zapewniam cię, że nie uczynił tego żaden z moich dworzan. Sądzę bowiem, że taki, jakim jesteś, mocarz musiał niejednemu rozbić czaszkę. Zaś moi bliscy są zdrowi.

— Prawdę rzekł i mądrze powiedział! — szepnął Sargon do Istubara.

— Lecz jakkolwiek — ciągnął książę — szpetny czyn stał się nie z mojej i mego dworu winy, jednak czuję się w obowiązku osłabić twój żal do miasta, w którem cię tak niegodnie przyjęto. Dlatego osobiście nawiedziłem twoją sypialnię, dlatego otwieram ci mój dom o każdej porze, ile razy zechcesz mnie odwiedzić. Dlatego... proszę cię, abyś przyjął ode mnie ten mały dar...

To mówiąc, książę sięgnął za tunikę i wydobył łańcuch, wysadzony rubinami i szafirami.

Olbrzymi Sargon aż zapłakał, co wzruszyło księcia, lecz nie rozczuliło obojętności Istubara. Kapłan wiedział, że Sargon ma łzy, radość i gniew na każde zawołanie, jako poseł mądrego króla.

Namiestnik siedział jeszcze chwilę i pożegnał posła. Zaś wychodząc, pomyślał, że jednak Asyryjczycy, pomimo barbarzyństwa, nie są złymi ludźmi, skoro umieją odczuć wspaniałomyślność.

Sargon zaś był tak podniecony, że kazał natychmiast przynieść wina i pił, pił, od południa aż do wieczora.

Dobrze po zachodzie słońca, kapłan Istubar wyszedł na chwilę z komnaty Sargona i—niebawem wrócił, ale ukrytemi drzwiami. Za nim ukazali się dwaj ludzie w ciemnych płaszczach. Gdy zaś odsunęli z twarzy kaptury, Sargon poznał w jednym arcykapłana Mefresa, w drugim proroka Mentezufisa.

— Przynosimy ci, dostojny pełnomocniku, dobrą nowinę — rzekł Mefres.

— Obym mógł wam udzielić podobnej! — zawołał Sargon. — Siadajcie, święci i dostojni mężowie. A choć mam zaczerwienione oczy, mówcie do mnie, jakgdybym był zupełnie trzeźwy... Bo ja i po pijanemu mam rozum, może nawet lepszy... Prawda, Istubarze?...

— Mówcie — poparł go Chaldejczyk.

— Dziś — zabrał głos Mentezufis — otrzymałem list od najdostojniejszego ministra Herhora. Pisze nam, że jego świątobliwość faraon (oby żył wiecznie!) oczekuje na wasze poselstwo w swym cudownym pałacu pod Memfisem i, że jego świątobliwość (oby żył wiecznie!) jest dobrze usposobiony do zawarcia z wami traktatu.

Sargon chwiał się na wojłokowych materacach, ale oczy miał prawie przytomne.

— Pojadę — odparł — do jego świątobliwości faraona (oby żył wiecznie), położę w imieniu pana mego pieczęć na traktacie, byle był spisany na cegłach, klinowem pismem... bo ja waszego nie rozumiem... Będę leżał choćby cały dzień na brzuchu przed jego świątobliwością (oby żył wiecznie!)

i traktat podpiszę... Ale jak wy go tam wykonacie... cha!... cha!... cha!... tego już nie wiem... — zakończył grubym śmiechem.

— Jak śmiesz, sługo wielkiego Asara, wątpić o dobrej woli i wierze naszego władcy?... — zawołał Mentezufis.

Sargon nieco wytrzeźwiał.

— Ja nie mówię o jego świątobliwości — odparł — ale o następcy tronu...

— Jest to pełen mądrości młodzian, który bez wahania wykona wolę ojca i najwyższej rady kapłańskiej — rzekł Mefres.

— Cha!... cha!... cha!... — zaśmiał się znowu pijany barbarzyńca. — Wasz książę... O bogowie, powykręcajcie mi stawy członków, jeżeli mówię nieprawdę, że chciałbym, ażeby Asyrja miała takiego następcę...

Nasz asyryjski następca to mędrzec, to kapłan... On, nim wybierze się na wojnę, zagląda naprzód w gwiazdy na niebie, później kurom pod ogony... Zaś wasz zobaczyłby: ile ma wojska? dowiedziałby się: gdzie obozuje nieprzyjaciel? i spadłby mu na kark, jak orzeł na barana. Oto wódz!... oto król!... On nie z tych, którzy słuchają rady kapłanów... On radzić się będzie własnego miecza, a wy musicie spełniać jego rozkazy...

I dlatego, choć podpiszę z wami traktat, opowiem memu panu, że, poza chorym królem i mądrymi kapłanami, kryje się tu młody następca tronu, lew i byk w jednej osobie... który ma miody w ustach, a pioruny w sercu...

— I powiesz nieprawdę — wtrącił Mentezufis. — Bo nasz książę, aczkolwiek popędliwy i trochę hulaka, jak zwyczajnie młody, umie jednak uszanować i radę i mędrców, i najwyższe urzędy w kraju.

Sargon pokiwał głową.

— Oj wy mędrcy!... uczeni w piśmie!... znawcy gwiazdowych obrotów!... — mówił, szydząc. — Ja prostak, zwyczajny sobie generał, który bez pieczęci niezawsze umiałbym wyżłobić moje nazwisko... Wy mędrcy, ja prostak, ale na brodę mego króla, nie zamieniłbym się na waszą mądrość...

Bo wy jesteście ludźmi, dla których otworzył się świat cegieł i papirusów, ale zamknął się ten prawdziwy, na którym wszyscy żyjemy... Ja prostak! ale ja mam psi węch. A jak pies zdala wyczuje niedźwiedzia, tak ja, moim zaczerwienionym nosem, poznam bohatera.

Wy będziecie radzić księciu!... Ależ on was już dzisiaj zaczarował, jak wąż gołębie. Ja przynajmniej nie oszukuję samego siebie, i choć książę jest dla mnie dobry, jak ojciec rodzony, czuję przez skórę, że mnie i moich Asyryjczyków nienawidzi, jak tygrys słonia... Cha!... cha!... Dajcie mu tylko armję, a za trzy miesiące stanie pod Niniwą, byle w drodze rodzili mu się żołnierze, zamiast ginąć...

— Choćbyś mówił prawdę — przerwał Mentezufis — choćby książę chciał iść pod Niniwę, nie pójdzie.

— A któż go powstrzyma, gdy zostanie faraonem?

— My.

— Wy?... wy!... Cha!... cha!... cha! — śmiał się Sargon. — Wy wciąż myślicie, że ten młodzik nawet nie przeczuwa naszego traktatu... A ja... a ja... cha!... cha!... cha!... ja pozwolę się obedrzeć ze skóry i wbić na pal, że on już wszystko wie...

Czyliż Fenicjanie byliby tak spokojni, gdyby nie mieli pewności, że młody lew egipski zasłoni ich przed asyryjskim bykiem?

Mentezufis i Mefres spojrzeli na siebie ukradkiem. Ich prawie przeraził genjusz barbarzyńcy, który śmiało wypowiadał to, czego oni wcale nie brali pod rachunek.

I rzeczywiście: coby też było, gdyby następca tronu odgadł ich zamiary, a nawet chciał je powikłać?...

Lecz z chwilowego kłopotu wybawił ich milczący dotychczas Istubar.

— Sargonie — rzekł — mieszasz się w nieswoje sprawy. Twoim obowiązkiem jest zawrzeć z Egiptem traktat, jakiego chce pan nasz. A co wie, czego nie wie, co zrobi, a czego nie zrobi ich następca tronu, to już nie twoja sprawa, skoro najwyższa, wiecznie żyjąca rada kapłanów zapewnia nas, że traktat będzie wykonany. Jakim zaś zrobi się to sposobem? nie naszej głowy rzecz.

Oschły ton, z jakim wypowiedział to Istubar, uspokoił rozhukaną wesołość asyryjskiego pełnomocnika. Sargon pokiwał głową i mruknął:

— W takim razie szkoda chłopca!... Wielki to wojownik, wspaniałomyślny pan...

ROZDZIAŁ XII.

Po wizycie u Sargona, dwaj święci mężowie, Mefres i Mentezufis, okrywszy się starannie burnusami, wracali zamyśleni do domu.

— Kto wie — rzekł Mentezufis — czy ten pijak Sargon nie ma słuszności co do naszego następcy?...

— W takim razie Istubar będzie miał lepszą słuszność — twardo odpowiedział Mefres.

— Jednak nie uprzedzajmy się. Trzeba pierwej wybadać księcia — odparł Mentezufis.

— Uczyń to, wasza cześć.

Istotnie, nazajutrz obaj kapłani, z bardzo poważnemi minami, przyszli do następcy, prosząc go o poufną rozmowę.

— Cóż się stało? — zapytał książę — czy znowu jego dostojność Sargon odbył jakie nocne poselstwo?

— Niestety, nie chodzi nam o Sargona — odparł arcykapłan Mefres. — Ale... między ludem krążą pogłoski, że ty, najdostojniejszy panie, utrzymujesz ścisłe stosunki z niewiernymi Fenicjanami...

Po tych słowach książę zaczął już domyślać się celu wizyty proroków i — krew w nim zakipiała. Lecz jednocześnie ocenił, że jest to początek gry między nim a stanem kapłańskim i, jak przystało na królewskiego syna, opanował się w jednej chwili. Jego twarz przybrała wyraz zaciekawionej naiwności.

— A Fenicjanie to niebezpieczni ludzie, urodzeni wrogowie państwa!... — dodał Mefres.

Następca uśmiechnął się.

— Gdybyście wy, święci mężowie—odparł—pożyczali mi pieniędzy i mieli przy świątyniach ładne dziewczęta, z wami musiałbym się widywać częściej. A tak z biedy muszę przyjaźnić się z Fenicjanami!

— Mówią, że wasza dostojność odwiedzasz w nocy tę Fenicjankę...

— I muszę tak robić, dopóki dziewczyna, nabrawszy rozumu, nie przeprowadzi się do mego domu. Ale nie bójcie się, chodzę z mieczem i gdyby mi kto zastąpił drogę...

— Przez tę jednak Fenicjankę nabrałeś wasza dostojność wstrętu do pełnomocnika asyryjskiego króla.

— Wcale nie przez nią, tylko że Sargon śmierdzi łojem... Wreszcie do czego to prowadzi?... Wy, święci ojcowie, nie jesteście dozorcami moich kobiet; sądzę, że dostojny Sargon nie powierzył wam swoich, więc — czego chcecie?...

Mefres tak zmieszał się, że aż na wygolonem czole zapłonął mu rumieniec.

— Rzekłeś wasza dostojność prawdę — odparł — że nie do nas należą wasze miłostki i sposoby, jakich do tego używacie. Ale... jest rzecz gorsza: lud dziwi się, że chytry Hiram tak łatwo pożyczył wam sto talentów, nawet bez zastawu...

Księciu drgnęły usta, lecz znowu rzekł spokojnie:

— Nie moja wina, że Hiram więcej ufa memu słowu, aniżeli egipscy bogacze! On wie, że raczej wyrzekłbym się mojej zbroi po dziadzie, niż nie zapłacił mu tego, com winien. A zdaje się, że i o procent musi być spokojny, gdyż wcale mi o nim nie wspominał.

Nie myślę taić przed wami, święci mężowie, że Fenicjanie mają więcej zręczności od Egipcjan. Nasz bogacz, zanimby mi pożyczył sto talentów, robiłby surowe miny, nastękałby się, wytrzymałby mnie z miesiąc, a wkońcu — wziąłby ogromny zastaw i jeszcze większy procent. Zaś Fenicjanie, którzy lepiej znają serca książąt, dają nam pieniądze nawet bez sędziego i świadków.

Arcykapłan był tak zirytowany spokojnem szyderstwem Ramzesa, że umilkł i zaciął usta. Wyręczył go Mentezufis, zapytawszy nagle:

— Cobyś wasza dostojność rzekł, gdybyśmy zawarli z Asyrją traktat, oddający jej północną Azję razem z Fenicją?...

Mówiąc to, utkwił oczy w twarz następcy. Ale książę odparł całkiem spokojnie:

— Powiedziałbym, że tylko zdrajcy mogliby namawiać faraona do podobnego traktatu.

Obaj kapłani poruszyli się: Mefres podniósł ręce do góry, Mentezufis zacisnął pięści.

— A gdyby wymagało tego bezpieczeństwo państwa?... — nalegał Mentezufis.

— Czego wy ode mnie chcecie?... — wybuchnął książę. — Wtrącacie się do moich długów i kobiet, otaczacie mnie szpiegami, ośmielacie się

robić mi wymówki, a teraz jeszcze zadajecie mi jakieś podstępne pytania?... Otóż mówię wam: ja, choćbyście mnie mieli otruć, nie podpisałbym takiego traktatu... Na szczęście, nie zależy to ode mnie, tylko od jego świątobliwości, którego wolę wszyscy musimy spełniać.

— Więc cóżbyś zrobił wasza dostojność, będąc faraonem?...

— To, czego wymagałaby cześć i interes państwa.

— O tem nie wątpię — rzekł Mentezufis. — Ale co wasza dostojność uważasz za interes państwa?... Gdzie mamy szukać wskazówek?...

— A od czegóż jest najwyższa rada?... — zawołał książę, tym razem z udanym gniewem. — Powiadacie, że składa się z samych mędrców... Więc niechby oni wzięli na swoją odpowiedzialność traktat, który ja uważam za hańbę i zgubę Egiptu...

— Skądże wiesz, wasza dostojność — odparł Mentezufis — że właśnie tak nie postąpił wasz boski rodzic?...

— Więc poco wy mnie o to pytacie?... Co to za śledztwo?... Kto wam daje prawo zaglądać w głąb mego serca?...

Ramzes udawał tak mocno oburzonego, że aż uspokoili się obaj kapłani..

— Mówisz książę — odezwał się Mefres — jak przystało na dobrego Egipcjanina. Przecie i nas bolałby podobny traktat, ale bezpieczeństwo państwa niekiedy wymaga chwilowego poddania się okolicznościom...

— Ale co was zmusza do tego?... — wołał książę. — Czy przegraliśmy wielką bitwę, czy już nie mamy wojsk?...

— Wiośłarzami okrętu, na którym Egipt płynie przez rzekę wieczności, są bogowie — odparł uroczystym tonem arcykapłan — a sternikiem Najwyższy pan wszelkiego stworzenia. Nieraz zatrzymują oni, albo i skręcają statek, ażeby ominąć niebezpieczne wiry, których my nawet nie dostrzegamy. W takich wypadkach z naszej strony potrzebną jest tylko cierpliwość i posłuszeństwo, za które wcześniej lub później spotyka nas hojna nagroda, przewyższająca wszystko, co może wymyślić śmiertelny człowiek.

Po tej uwadze kapłani pożegnali księcia, pełni otuchy, że choć gniewa się na traktat, lecz go nie złamie i zapewni Egiptowi czas potrzebnego mu spokoju. Po ich odejściu Ramzes wezwał do siebie Tutmozisa. A gdy znalazł się sam na sam z ulubieńcem, długo hamowany gniew i żal wybuchnął. Książę rzucił się na kanapę, wił się jak wąż, uderzał pięściami w głowę i płakał!...

Wylękniony Tutmozis czekał, aż księcia ominie atak wściekłości. Następnie podał mu wody z winem, okadził go kojącemi wonnościami, wreszcie usiadł przy nim i zapytał o przyczynę niemęskiej rozpaczy.

— Siądź tu — rzekł następca, nie podnosząc się. — Czy wiesz, dzisiaj jestem już pewny tego, że nasi kapłani zawarli z Asyrją jakiś haniebny trak-

tat... Bez wojny, nawet bez żadnych żądań z tamtej strony!... Czy domyślasz się, ile tracimy?...

— Mówił mi Dagon, że Asyrja chce zagarnąć Fenicję. Lecz Fenicjanie już mniej są zatrwożeni, gdyż król Asar ma wojnę na północno-wschodnich granicach. Siedzą tam ludy bardzo waleczne i mnogie, więc niewiadomo, jak się skończy wyprawa. W każdym razie, Fenicjanie będą mieli parę lat spokoju, co im wystarczy do przygotowania obrony i znalezienia sprzymierzeńców...

Książę niecierpliwie machnął ręką.

— Oto widzisz — przerwał Tutmozisowi — nawet Fenicja uzbroi siebie, a może i wszystkich sąsiadów, którzy ją otaczają. Na wszelki zaś sposób my tracimy choćby tylko zaległe daniny z Azji, które wynoszą (czy słyszałeś coś podobnego?...) wynoszą przeszło sto tysięcy talentów!...

— Sto tysięcy talentów...—powtórzył książę.— O bogowie! ależ ta suma odrazu wypełniłaby skarbiec faraona... A gdybyśmy jeszcze napadli Asyrję w porze właściwej, w samej Niniwie, w samym pałacu Asara, znaleźlibyśmy niewyczerpane skarby...

Pomyśl teraz, ilu moglibyśmy nabrać niewolników?... Pół miljona... miljon... ludzi olbrzymio silnych, a tak dzikich, że niewola w Egipcie, że najcięższa praca przy kanałach lub w kopalniach wydałaby się im zabawką...

Płodność ziemi podniosłaby się w ciągu kilku lat, wynędzniały nasz lud odpocząłby i, zanim umarłby ostatni niewolnik, już państwo odzyskałoby dawną potęgę i bogactwa...

I to wszystko zniweczą kapłani, zapomocą kilku zapisanych blach srebrnych i kilku cegieł, pociętych znakami w formie strzał, których nikt z nas nie rozumie!...

Wysłuchawszy żalów księcia, Tutmozis podniósł się z krzesła, z uwagą przejrzał sąsiednie komnaty, czy kto w nich nie podsłuchuje, potem znowu usiadł przy Ramzesie i począł szeptać:

— Bądź dobrej myśli, panie! O ile wiem, cała arystokracja, wszyscy nomarchowie, wszyscy wyżsi oficerowie słyszeli coś o tym traktacie i są oburzeni. Daj więc znak, a rozbijemy traktatowe cegły na łbach Sargona, nawet Asara...

— Ależ to byłby bunt przeciw jego świątobliwości?... — równie cicho odparł książę.

Tutmozis zrobił smutną minę.

— Nie chciałbym — rzekł — zakrwawiać ci serca, ale... Twój, równy najwyższym bogom, ojciec jest ciężko chory.

— To nieprawda!... — zerwał się książę.

— Prawda, tylko nie zdradź się, że wiesz o tem. Jego świątobliwość jest bardzo zmęczony pobytem na tej ziemi i już pragnie odejść. Lecz kapłani zatrzymują go, a ciebie nie wzywają do Memfisu, ażeby bez przeszkód podpisać umowę z Asyrją...

— Ależ to są zdrajcy!... zdrajcy... — szeptał rozwścieczony książę.

— Dlatego nie będziesz miał trudności z zerwaniem umowy, gdy obejmiesz władzę po ojcu (oby żył wiecznie!).

Książę zadumał się.

— Łatwiej — rzekł — podpisać traktat, aniżeli go zerwać...

— I zerwać łatwo! — uśmiechnął się Tutmozis. — Czyliż w Azji niema plemion niesfornych, które wpadną w nasze granice?... Czyliż boski Nitager nie czuwa ze swoją armją, aby odparł ich i przeniósł wojnę do ich krajów?... A czy myślisz, że Egipt nie znajdzie ludzi do oręża i skarbów na wojnę?... Pójdziemy wszyscy, bo każdy może coś zyskać i jako tako ubezpieczyć sobie życie... Skarby zaś leżą w świątyniach... A w Labiryncie!...

— Kto je wydobędzie stamtąd! — wtrącił z powątpiewaniem książę.

— Kto?... Każdy nomarcha, każdy oficer, każdy szlachcic zrobi to, byle miał rozkaz faraona, a... młodsi kapłani pokażą nam drogę do kryjówek...

— Nie ośmielą się... Kara bogów...

Tutmozis pogardliwie machnął ręką.

— Albożeśmy to chłopi czy pastuchy, ażeby lękać się bogów, z których drwią żydzi, Fenicjanie i Grecy, a lada najemny żołnierz znieważa ich bezkarnie?...

Kapłani to wymyślili brednie o bogach, w których sami nie wierzą. Przecie wiesz, że w świątyniach uznają tylko Jedynego... Oni też robią cuda, z których się śmieją...

Tylko chłop po dawnemu bije czołem przed posągami. Ale już robotnicy wątpią o wszechmocności Ozyrisa, Horusa i Seta, pisarze oszukują bogów w rachunkach, a kapłani posługują się nimi, jak

łańcuchem i zamkiem do zabezpieczenia swoich skarbów.

Oho! minęły te czasy — ciągnął Tutmozis — kiedy cały Egipt wierzył we wszystko, co mu donoszono ze świątyń. Dziś my obrażamy bogów fenickich, Fenicjanie naszych, i jakoś na nikogo nie spadają pioruny...

Namiestnik uważnie przypatrywał się Tutmozisowi.

— Skąd tobie takie myśli przychodzą do głowy? — spytał. — Wszakże nie tak dawno bladłeś na samą wzmiankę o kapłanach...

— Bo byłem jeden. Ale dziś, gdym poznał, że cała szlachta ma to samo rozumienie, co ja, jest mi raźniej...

— A kto szlachcie i tobie mówił o traktatach z Asyrją?

— Dagon i inni Fenicjanie — odparł Tutmozis. — Oni nawet ofiarowali się, gdy przyjdzie czas, podbuntować azjatyckie plemiona, aby nasze wojska miały pozór do przekroczenia granic. A gdy raz wejdziemy na drogę do Niniwy, Fenicjanie i ich sprzymierzeńcy połączą się z nami... I będziesz miał armję, jakiej nie posiadał Ramzes Wielki!

Księciu nie podobała się ta gorliwość Fenicjan; zamilczał jednak o niej. Natomiast spytał:

— A co będzie, jeżeli kapłani dowiedzą się o waszych gadaninach?... Zaprawdę żaden z was nie uniknie śmierci!

— O niczem nie dowiedzą się — wesoło odparł Tutmozis. — Zanadto ufają swej potędze, źle

płacą szpiegom i zniechęcili cały Egipt swoją chciwością i pychą. To też arystokracja, wojsko, pisarze, robotnicy, nawet niżsi kapłani, czekają tylko hasła, ażeby wpaść do świątyń, zabrać skarby i złożyć je u stóp tronu. Gdy im zaś skarbów zabraknie, święci mężowie utracą wszelką władzę. Nawet przestaną robić cuda, bo do tego potrzebne są złote pierścienie...

Książę skierował rozmowę na inne przedmioty, wreszcie dał znak Tutmozisowi, że może odejść.

Gdy został sam, począł rozmyślać.

Byłby zachwycony wrogiem usposobieniem szlachty do kapłanów i wojowniczemi instynktami najwyższych klas, gdyby zapał nie wybuchnął tak nagle i gdyby poza nim nie ukrywali się... Fenicjanie.

To kazało następcy być ostrożnym; rozumiał bowiem, że w sprawach Egiptu lepiej ufać patrjotyzmowi kapłanów, aniżeli przyjaźni Fenicjan.

Lecz przypomniał sobie słowa ojca, że Fenicjanie są prawdomówni i wierni, gdy chodzi o ich interes. Otóż bez kwestji Fenicjanie mieli wielki interes w tem, ażeby nie dostać się pod władzę Asyryjczyków. I można było polegać na nich, jako na sprzymierzeńcach, w razie wojny, gdyż przegrana Egipcjan odbiłaby się przedewszystkiem na Fenicji.

Z drugiej strony Ramzes nie przypuszczał, że kapłani, nawet zawierając tak szpetny traktat z Asyrją, dopuszczali się zdrady. Nie, to nie byli zdrajcy, ale — rozleniwieni dygnitarze. Dogadza im pokój, gdyż i wśród spokoju mnożą swoje skarby i rozszerzają władzę. Nie chcą wojny, gdyż wojna spotęgo-

wałaby władzę faraona, a ich samych naraziłaby na ciężkie wydatki.

I stało się, że młody książę, pomimo braku doświadczenia, rozumiał, że musi być ostrożnym, nie spieszyć się, nikogo nie potępiać, ale też i nikomu nie ufać zbytecznie. On już postanowił wojnę z Asyrją, nie dlatego, że pragnęła jej szlachta i Fenicjanie, lecz że Egipt potrzebował skarbów i niewolników.

Ale postanowiwszy wojnę, chciał działać rozważnie. Chciał powoli przekonać do niej stan kapłański, a dopiero w razie oporu — zgnieść go zapomocą wojska i szlachty.

I właśnie wówczas, gdy święty Mefres i Mentezufis żartowali z przepowiedni Sargona, że: następca nie podda się kapłanom, ale ich zmusi do posłuszeństwa, już wówczas książę miał gotowy plan ujarzmienia ich i widział, jakie posiada do tego środki. Zaś chwilę rozpoczęcia walki i sposób przeprowadzenia jej pozostawiał przyszłości.

— Czas przynosi najlepsze rady! — rzekł do siebie.

Był spokojny i zadowolony, jak człowiek, który, po długiem wahaniu się, wie co ma robić, i posiada wiarę we własne siły. To też, ażeby pozbyć się nawet śladów niedawnego wzburzenia, poszedł do Sary.

Zabawa z synkiem zawsze koiła jego troski i pogodą napełniała mu serce.

Minął ogród, wszedł do willi swej pierwszej kochanki i zastał ją — znowu we łzach.

— O Saro! — zawołał — gdybyś miała Nil w twojej piersi, potrafiłabyś go wypłakać.

— Już nie będę... — odparła, lecz jeszcze obfitszy strumień polał się jej z oczu.

— Cóż to? — spytał książę — czy znowu sprowadziłaś sobie jaką wróżkę, która straszy cię Fenicjankami?

— Nie Fenicjanek lękam się, ale Fenicji... — rzekła. — O, ty nie wiesz, panie, jacy to nikczemni ludzie...

— Palą dzieci? — roześmiał się namiestnik.

— Myślisz, że nie?... — odpowiedziała, patrząc na niego wielkiemi oczyma.

— Bajki! Wiem przecie od księcia Hirama, że to bajki...

— Hiram?... — krzyknęła Sara. — Hiram, ależ to największy zbrodniarz!... Spytaj mego ojca, a on powie ci, panie, w jaki sposób Hiram zwabia na swoje statki młode dziewczęta dalekich krajów i — rozpiąwszy żagle, uwozi, aby je sprzedać... Była przecie u nas jasnowłosa niewolnica, którą porwał Hiram. Szalała z tęsknoty do swego kraju, ale nie umiała powiedzieć nawet gdzie leży jej ojczyzna. I umarła!... Takim jest Hiram, takim nędzny Dagon i wszyscy ci nikczemnicy...

— Może być, ale co nas to obchodzi? — spytał książę.

— Bardzo wiele — mówiła Sara. — Ty, panie, słuchasz dzisiaj rad fenickich, a tymczasem nasi żydzi wykryli, że Fenicja chce wywołać wojnę między Egiptem i Asyrją... Podobno nawet co naj-

przedniejsi kupcy i bankierzy feniccy zobowiązali się do tego strasznemi przysięgami...

— Nacóż im wojna?... — wtrącił książę z udaną obojętnością.

— Naco!... — zawołała Sara. — Będą wam i Asyryjczykom dostarczali broni, towarów i wiadomości, a za wszystko każą sobie dziesięć razy drożej płacić... Będą obdzierali poległych i ranionych obu stron... Będą od waszych i asyryjskich żołnierzy wykupywali zrabowane przedmioty i niewolników... Czyliż tego mało?... Egipt i Asyrja zrujnują się, ale Fenicja pobuduje nowe składy na bogactwa.

— Któż ci wyłożył taką mądrość?...—uśmiechnął się książę.

— Alboż nie słyszę, jak mój ojciec, nasi krewni i znajomi szepcą o tem, trwożnie oglądając się, aby ich kto nie podsłuchał? Czyliż wreszcie ja nie znam Fenicjan? Przed tobą, panie, oni leżą na brzuchach, ty nie widzisz ich obłudnych spojrzeń, ale ja nieraz przypatrzyłam się ich oczom, zielonym z chciwości, albo żółtym z gniewu.

O strzeż się, panie, Fenicjan, jak jadowitej żmii!...

Ramzes patrzał na Sarę i mimowoli porównał jej szczerą miłość — z wyrachowaniem Fenicjanki, jej tkliwe wybuchy — z podstępnym chłodem Kamy.

„Zaprawdę! — myślał — Fenicjanie są jadowitemi gadami. Ale jeżeli Ramzes Wielki posługiwał się na wojnie lwem, dlaczego ja przeciw wrogom Egiptu nie miałbym użyć żmii?“

I im plastyczniej wyobrażał sobie przewrotność

Kamy, tem bardziej pożądał jej. Dusze bohaterskie niekiedy szukają niebezpieczeństwa.

Pożegnał Sarę i nagle, niewiadomo skąd, przypomniał sobie, że Sargon jego podejrzewał o udział w napadzie.

Książę uderzył się w czoło.

— Czyby to ten mój sobowtór — rzekł—urządził bijatykę posłowi?... A w takim razie kto go namówił?... Chyba Fenicjanie?... A jeżeli oni chcieli do tak brudnej rzeczy wmieszać moją osobę, więc słusznie mówi Sara, że to są nikczemnicy, których powinienem się wystrzegać!...

Znowu odezwał się w nim gniew, i książę postanowił kwestję rozstrzygnąć natychmiast. A ponieważ właśnie zapadał wieczór, więc Ramzes, nie wstępując do siebie, poszedł do Kamy.

Mało obchodziło go, że może być poznany; na wypadek zaś niebezpieczeństwa miał przecie miecz...

W pałacyku kapłanki świeciło się, ale ze służby nikt nie kręcił się w przedsionku.

„Dotychczas — pomyślał — Kama wyprawiała swoją służbę, kiedy ja miałem przyjść do niej. Dziś — czy przeczuwa mnie, czy może przyjmuje szczęśliwszego ode mnie kochanka?...“

Wszedł na piętro, stanął przed komnatą Fenicjanki i nagle odsunął kotarę. W pokoju była Kama i Hiram i o czemś szeptali.

— O!... w zły czas przychodzę... — roześmiał się następca. — Cóż to i wy, książę, zalecacie się do kobiety, której pod karą śmierci nie wolno być łaskawą dla mężczyzn?

Hiram i kapłanka oboje zerwali się z taburetów.

— Widocznie — rzekł Fenicjanin, kłaniając się — jakiś dobry duch ostrzegł cię, panie, że o tobie mówimy...

— Przygotowujecie mi jaką niespodziankę? — spytał namiestnik.

— Może!... Kto to wie?... — odparła Kama, patrząc na niego w sposób wyzywający.

Ale książę odparł chłodno:

— Oby ci, którzy zechcą nadal robić mi niespodzianki, nie zawadzili własną szyją o topór albo powróz... Toby więcej ich zdziwiło, aniżeli mnie ich postępki.

Kamie uśmiech zastygł na półotwartych ustach; Hiram pobladł i pokornie odezwał się:

— Czem zasłużyliśmy na gniew pana i opiekuna naszego?...

— Chcę wiedzieć prawdę — rzekł książę, siadając i groźnie patrząc na Hirama. — Chcę wiedzieć: kto urządził napad na asyryjskiego posła i wmieszał w tę nikczemność człowieka, tak podobnego do mnie, jak moja ręka prawa jest podobna do lewej.

— Widzisz, Kamo — odezwał się struchlały Hiram — mówiłem, że poufałość tego łotra do ciebie może sprowadzić wielkie nieszczęście... A oto masz!... Nawet nie czekaliśmy długo.

Fenicjanka rzuciła się do nóg księciu.

— Wszystko powiem — zawołała, jęcząc — tylko wyrzuć panie ze swego serca urazę do Fe-

nicji... Mnie zabij, mnie uwięź, ale nie gniewaj się na nich.

— Kto napadł Sargona?

— Lykon, Grek, który śpiewa w naszej świątyni — odparła, wciąż klęcząc, Fenicjanka.

— Aha!... więc to on wtedy śpiewał pod twoim domem i on jest tak podobny do mnie?...

Hiram schylił głowę i położył rękę na sercu.

— Hojnie płaciliśmy temu człowiekowi — rzekł — zato, że jest podobny do ciebie, panie... Sądziliśmy, że nędzna jego figura może przydać ci się na wypadek nieszczęścia...

— I przydał się!... — przerwał następca. — Gdzie on jest? Chcę widzieć tego doskonałego śpiewaka... ten mój żywy obraz...

Hiram rozłożył ręce.

— Uciekł łotr, ale my go znajdziemy — odparł. — Chyba, że zamieni się w muchę, albo w glistę ziemną...

— A mnie przebaczysz, panie?... — szepnęła Fenicjanka, opierając się na kolanach księcia.

— Wiele przebacza się kobietom — rzekł następca.

— I wy nie będziecie mścili się na mnie?... — trwożnie zapytała Hirama.

— Fenicja — odparł starzec powoli i dobitnie — największy występek zapomni temu, kto posiądzie łaskę pana naszego Ramzesa — oby żył wiecznie!

Co się zaś tyczy Lykona — dodał, zwracając

się do następcy — będziesz go miał, panie, żywego lub umarłego...

To powiedziawszy, Hiram nisko ukłonił się i opuścił pokój, zostawiając kapłankę z księciem.

Ramzesowi krew uderzyła do głowy. Objął klęczącą Kamę i szepnął:

— Słyszałaś, co powiedział dostojny Hiram?... Fenicja zapomni ci największego występku!... Zaprawdę, ten człowiek jest mi wierny... A jeżeli on tak powiedział, jaką znajdziesz wymówkę?...

Kama całowała jego rękę, szepcąc:

— Zdobyłeś mnie... jestem twoją niewolnicą... Ale dziś zostaw mnie w spokoju... uszanuj dom, który należy do boskiej Astoreth...

— Więc przeprowadzisz się do mego pałacu? — spytał książę.

— O bogowie, co wyrzekłeś?... Od czasu, jak słońce wschodzi i zachodzi, nie było jeszcze wypadku, ażeby kapłanka Astoreth...

Ale trudno!... Fenicja, panie, daje ci taki dowód czci i przywiązania, jakiego nigdy nie otrzymał żaden z jej synów...

— Więc... — przerwał książę, tuląc ją.

— Tylko nie dziś i nie tutaj... — błagała.

•

ROZDZIAŁ XIII.

Dowiedziawszy się od Hirama, że Fenicjanie darowali mu kapłankę, następca jak najprędzej chciał ją mieć w swym domu, nie dlatego, ażeby bez niej nie mógł żyć, lecz że stanowiła dla niego nowość.

Ale Kama ociągała się z przybyciem, błagając księcia, aby zostawił ją w spokoju, dopóki nie zmniejszy się napływ pielgrzymów, a nadewszystko dopóki z Pi-Bast nie wyjadą najznakomitsi. Gdyby bowiem za ich bytności została kochanką księcia, mogłyby zmniejszyć się dochody świątyni, a kapłance groziłoby niebezpieczeństwo.

— Nasi mądrzy i wielcy — mówiła Ramzesowi — przebaczą mi zdradę. Ale pospólstwo będzie wzywało pomsty bogów na moją głowę, a ty, panie, wiesz, że bogowie mają długie ręce...

— Oby ich nie stracili, gdy wsuną je pod mój dach! — odparł książę.

Nie nalegał jednak, mając w tym czasie uwagę bardzo zajętą.

Posłowie asyryjscy: Sargon i Istubar, już wyjechali do Memfis, dla podpisania traktatu. Jednocześnie faraon wezwał Ramzesa o złożenie mu raportu z podróży.

Książę kazał pisarzom dokładnie opisać wszystko, co zdarzyło się od chwili, gdy opuścił Memfis, a więc: przeglądy rzemieślników, zwiedzanie fabryk i pól, rozmowy z nomarchami i urzędnikami. Do odwiezienia zaś raportu przeznaczył Tutmozisa.

— Przed obliczem faraona — rzekł do niego książę — będziesz mojem sercem i ustami. A oto, co masz zrobić:

Gdy najdostojniejszy Herhor zapyta: co myślę o przyczynach nędzy Egiptu i skarbu? — odpowiedz ministrowi, ażeby zwrócił się do swego pomocnika Pentuera, a on objaśni moje poglądy w ten

sam sposób, jak to uczynił w świątyni boskiej Hator.

Gdy Herhor zechce wiedzieć: jakie jest moje zdanie o traktacie z Asyrją? — odpowiedz, że moim obowiązkiem jest spełnić rozkazy naszego pana.

Tutmozis kiwał głową, na znak, że rozumie.

— Ale — ciągnął namiestnik — gdy staniesz przed obliczem mego ojca (oby żył wiecznie!) i przekonasz się, że was nikt nie podsłuchuje, upadnij mu do nóg w mem imieniu i powiedz:

Panie nasz, to mówi syn i sługa twój, nędzny Ramzes, któremu dałeś życie i — władzę.

Przyczyną klęsk Egiptu jest ubytek ziemi urodzajnej, którą zagarnęła pustynia i ubytek ludności, która mrze z pracy i niedostatku.

Ale wiedz, o panie nasz, że niemniejszą szkodę, niż mór i pustynia, wyrządzają skarbowi twemu — kapłani. Gdyż nietylko świątynie ich są wypełnione złotem i klejnotami, któremi możnaby wszystkie długi spłacić, ale jeszcze święci ojcowie i prorocy mają najlepsze folwarki, najdzielniejszych chłopów i robotników, a ziemi daleko więcej niż bóg-faraon.

To ci mówi syn i sługa twój, Ramzes. który przez cały czas podróży miał oczy ciągle otwarte, jak ryba, i uszy nastawione, jak u roztropnego osła.

Książę odpoczął, Tutmozis powtarzał sobie w pamięci jego słowa.

— Gdy zaś — mówił dalej namiestnik — jego świątobliwość spyta: jakie jest moje zdanie o Asyryjczykach? — padnij na twarz i odpowiedz:

Sługa Ramzes, jeżeli pozwolisz, ośmiela się mniemać, że Asyryjczycy są to wielkie i silne chło-

py i mają doskonałą broń; ale widać po nich, że są źle mustrowani.

Za piętami Sargona chodzili przecie najlepsi wojownicy asyryjscy: łucznicy, topornicy, kopijnicy, a jednak nie było takich sześciu, którzy potrafiliby maszerować zgodnie, w jednym szeregu. Przytem włócznie noszą krzywo, miecze źle przywiązane, topory trzymają, jak cieśle albo rzeźnicy. Ich odzież jest ciężka, ich grube sandały odparzają nogi, a ich tarcze, choć mocne, niewiele dadzą im pożytku, gdyż żołnierz jest niezgrabny.

— Prawdę mówisz — wtrącił Tutmozis. — To samo i ja spostrzegłem i to samo słyszę od naszych oficerów, którzy twierdzą, że takie wojsko asyryjskie, jakie tu widzieli, słabszy stawi opór, aniżeli hordy libijskie.

— Powiedz też — ciągnął Ramzes — panu naszemu, który nas obdarza życiem, iż cała szlachta i wojsko egipskie burzy się na samą wieść, że Asyryjczycy mogliby zagarnąć Fenicję. Przecież Fenicja to port Egiptu, a Fenicjanie — najlepsi majtkowie naszej floty.

Powiedz wreszcie, jakom słyszał od Fenicjan (o czem jego świątobliwość lepiej musi wiedzieć), że Asyrja jest dziś słaba: ma bowiem wojnę na północy i wschodzie, a całą zachodnią Azję ma przeciw sobie. Gdybyśmy więc ją dziś napadli, moglibyśmy zdobyć wielkie skarby i mnóstwo niewolników, którzy naszym chłopom pomagaliby w pracy.

Zakończ jednak, że mądrość ojca mego jest większa, aniżeli wszystkich ludzi, i że zatem będę

postępował tak, jak on mi rozkaże, byle nie oddał Fenicji w ręce Asara, bo inaczej zginiemy. Fenicja to drzwi śpiżowe do naszego skarbca, a gdzie jest człowiek, któryby złodziejowi oddawał swoje drzwi?

Tutmozis odjechał do Memfisu w miesiącu Paofi (lipiec, sierpień).

Nil zaczął mocno przybierać, skutkiem czego zmniejszył się napływ azjatyckich pielgrzymów do świątyni Astoreth. Ludność też miejscowa wylegla na pola, aby czem prędzej uprzątnąć winogrona, len i pewien gatunek rośliny, wydającej bawełnę.

Słowem, okolica uspokoiła się, a ogrody, otaczające świątynię Astoreth, były prawie puste.

W tej porze, książę Ramzes, wolny od zabaw i obowiązków państwowych, zajął się sprawą swej miłości dla Kamy. Pewnego dnia odbył tajemną naradę z Hiramem, który z jego polecenia ofiarował świątyni Astoreth 12 talentów w złocie, posążek bogini cudnie wyrzeźbiony z malachitu, 50 krów i 150 miar pszenicy. Był to dar tak hojny, że sam arcykapłan świątyni przyszedł do namiestnika, ażeby upaść przed nim na brzuch swój i podziękować za łaskę, o której, jak mówił, po wsze wieki nie zapomną ludy, kochające boginię Astoreth.

Załatwiwszy się ze świątynią, książę wezwał do siebie naczelnika policji w Pi-Bast i przepędził z nim długą godzinę. Zaś w kilka dni później, całe miasto zatrzęsło się pod wpływem nadzwyczajnej nowiny.

Kama, kapłanka Astoreth, została porwana,

gdzieś uprowadzona i przepadła, jak ziarno piasku w pustyni!...

Niesłychany ten wypadek zdarzył się w następnych warunkach:

Arcykapłan świątyni wysłał Kamę do miasta Sabne-Chetam nad jeziorem Menzaleh, z ofiarami dla tamtejszej kaplicy Astoreth. Kapłanka odbywała podróż czółnem, w nocy, już to by uniknąć letniego skwaru, już dla zabezpieczenia się przed ciekawością i hołdami mieszkańców.

Nad ranem, kiedy czterej wioślarze zmęczeni zdrzemnęli się, z pomiędzy zarośli nadbrzeżnych wypłynęły nagle czółna, prowadzone przez Greków i Chetów, otoczyły łódź wiozącą kapłankę i porwały Kamę. Napad był tak szybki, że feniccy wioślarze nie stawiali żadnego oporu; kapłance zaś widocznie zatkano usta, nawet bowiem nie zdążyła krzyknąć.

Dokonawszy świętokradzkiego czynu, Chetowie i Grecy zniknęli w zaroślach, aby następnie wydobyć się na morze. Celem zaś zabezpieczenia się od pościgu, wywrócili czółno, należące do świątyni Astoreth.

W Pi-Bast zawrzało, jak w ulu: cała ludność mówiła tylko o tem. Nawet domyślano się sprawców zbrodni. Jedni posądzali Asyryjczyka Sargona, który ofiarował Kamie tytuł małżonki, byle chciała opuścić świątynię i pojechać z nim do Niniwy. Inni zaś podejrzewali Greka Lykona, który był śpiewakiem Astoreth i oddawna gorzał namiętnością do Kamy. Był też na tyle bogaty, że mógł pozwolić sobie na wynajęcie greckich rabusiów, a o tyle bez-

bożny, że zapewne nie wahałby się porwać kapłanki.

Rozumie się, że w świątyni Astoreth natychmiast zwołano radę najbogatszych i najpobożniejszych wyznawców. Rada zaś przedewszystkiem uchwaliła, ażeby: uwolnić Kamę od kapłańskich obowiązków i zdjąć z niej klątwy, grożące dziewicom, które, w służbie bogini, utraciły niewinność.

Było to rozporządzenie świątobliwe i mądre: jeżeli bowiem ktoś gwałtem porwał kapłankę i pozbawił święceń wbrew jej woli, toż nie godziłoby się jej karać.

W parę dni później, przy odgłosie rogów, ogłoszono wiernym w świątyni Astoreth, że kapłanka Kama umarła, i że gdyby kto spotkał kobietę podobną do niej, nie ma prawa mścić się, a nawet czynić jej wyrzutów. Nie ona bowiem, nie kapłanka, opuściła boginię, ale porwały ją złe duchy, za co będą ukarane.

Tego zaś samego dnia dostojny Hiram był u księcia Ramzesa i ofiarował mu, w złotej puszce, pergamin, opatrzony mnóstwem pieczęci kapłańskich i podpisami najznakomitszych Fenicjan.

Był to wyrok duchownego sądu Astoreth, który uwalniał Kamę od ślubów i zdejmował z niej klątwę niebios, byle tylko wyrzekła się swego kapłańskiego imienia.

Z tym dokumentem, gdy słońce zaszło, udał się książę do pewnej samotnej willi w swoim ogrodzie. Otworzył drzwi nieznanym sposobem i wszedł na piętro do niewielkiego pokoju.

Przy świetle rzeźbionego kagańca, w którym paliła się wonna oliwa, książę zobaczył Kamę.

— Nareszcie!... — zawołał, oddając jej złotą puszkę. — Masz wszystko, czego chciałaś.

Fenicjanka była rozgorączkowana; płonęły jej oczy. Porwała puszkę i, obejrzawszy ją, rzuciła na podłogę.

— Myślisz, że ona jest złota?... — rzekła. — Oddam mój naszyjnik, że ta puszka jest miedziana i tylko pokryta z obu stron cienkiemi blaszkami!...

— Tak że mnie witasz?... — spytał zdziwiony książę.

— Bo znam moich braci — odparła. — Oni fałszują nietylko złoto, ale i rubiny i szafiry...

— Kobieto... — przerwał następca—ależ w tej puszce jest twoje bezpieczeństwo...

— Co mi tam bezpieczeństwo!... — odparła.— Nudzę się i boję... Siedzę tu już ze cztery dni, jak w więzieniu...

— Brakuje ci czego?

— Brakuje mi światła... oddechu... śmiechów, śpiewów, ludzi... O mściwa bogini, jakże mnie ciężko karzesz!...

Książę słuchał zdumiony. We wściekłej kobiecie nie mógł poznać tej Kamy, którą widział w świątyni, tej kobiety, nad którą unosiła się namiętna pieśń Greka.

— Jutro — rzekł książę — będziesz mogła wyjść do ogrodu... A gdy pojedziemy do Memfis, do Tebów, będziesz bawiła się jak nigdy... Spojrzyj na

mnie. Czyliż nie kocham cię i czyliż kobiecie nie wystarcza zaszczyt, że należy do mnie?...

— Tak — odparła nadąsana — ale cztery miałeś przede mną.

— Jeżeli ciebie kocham najlepiej...

— Gdybyś mnie kochał najlepiej, uczyniłbyś mnie pierwszą, osadziłbyś mnie w pałacu, który zajmuje ta... żydówka Sara i mnie dałbyś wartę, nie jej... Tam, przed posągiem Astoreth, byłam najpierwszą... Ci, którzy składali hołd bogini, klękając przed nią, patrzali na mnie... A tu co?... Wojsko bębni i gra na fletach, urzędnicy składają ręce na piersiach i schylają głowy przed domem żydówki...

— Przed moim pierworodnym synem — przerwał zniecierpliwiony książę — a on nie jest żydem...

— Jest żydem!... — wrzasnęła Kama.

Ramzes zerwał się.

— Szalona jesteś?... — rzekł, nagle uspokoiwszy się. — Czy nie wiesz, że mój syn żydem być nie może?...

— A ja ci mówię, że jest!... — krzyczała, bijąc pięścią w stolik. — Jest żydem, jak jego dziad, jak jego wujowie i nazywa się Izaak...

— Coś powiedziała Fenicjanko?... Czy chcesz, ażebym cię wypędził?...

— Dobrze, wypędź mnie, jeżeli kłamstwo wyszło z ust moich... Ale jeżeli rzekłam prawdę, wypędź tamtą... żydówkę, razem z jej pomiotem i mnie oddaj pałac... Ja chcę, ja zasługuję na to, ażeby być pierwszą w twoim domu... Bo tamta oszukuje cię...

drwi z ciebie... A ja dla ciebie wyparłam się mojej bogini... narażam się na jej zemstę...

— Daj mi dowód, a pałac będzie twoim... Nie, to fałsz!... — mówił książę. — Sara nie dopuściłaby się takiej zbrodni... Mój pierworodny syn!...

— Izaak... Izaak!... — krzyczała Kama. — Idź do niej i przekonaj się...

Ramzes, nawpół nieprzytomny, wybiegł od Kamy i skierował się do willi, gdzie mieszkała Sara. Pomimo gwiaździstej nocy zbłądził i przez pewien czas tułał się po ogrodzie. Lecz otrzeźwiło go chłodne powietrze, odnalazł drogę i do domu Sary wszedł prawie spokojny.

Pomimo późnego wieczoru czuwano tam. Sara własnemi rękoma prała pieluszki syna, a jej służba skracała sobie czas jedzeniem, piciem i muzyką.

Kiedy Ramzes blady ze wzruszenia, stanął na progu, Sara krzyknęła, lecz wnet się uspokoiła.

— Bądź pozdrowiony, panie — rzekła, ocierając zmoczone ręce i chyląc mu się do nóg.

— Saro, jak na imię twemu synowi?... — spytał.

Przerażona chwyciła się za głowę.

— Jak na imię twemu synowi?...—powtórzył.

— Wszak wiesz, panie, że Seti... — odparła ledwie dosłyszanym głosem.

— Spojrzyj mi w oczy...

— O Jehowo!... — szepnęła Sara.

— Widzisz, że kłamiesz. A teraz ja ci powiem: nój syn, syn następcy egipskiego tronu, nazywa się zaak... i jest żydem... podłym żydem...

— Boże!... Boże!... miłosierdzia!...—zawołała, rzucając się do nóg księciu.

Ramzes ani na chwilę nie podniósł głosu, tylko twarz jego była szara.

— Ostrzegano mnie — mówił — abym nie brał do mego domu żydówki... Moje wnętrzności skręcały się, kiedy widziałem folwark napełniony żydami... Alem powściągnął odrazę, bom tobie ufał. I ty, razem z twymi żydami ukradłaś mi syna, złodziejko dzieci!...

— Kapłani rozkazali, ażeby został żydem... — szepnęła Sara, szlochając u nóg księcia.

— Kapłani?... Jacy?...

— Najdostojniejszy Herhor... najdostojniejszy Mefres... Mówili, że tak trzeba, bo twój syn musi zostać pierwszym królem żydowskim...

— Kapłani?... Mefres?...—powtórzył książę.— Królem żydowskim?... Ależ ja mówiłem ci, że twój syn może zostać dowódcą moich łuczników, moim pisarzem... Ja ci to mówiłem!... a ty nędzna myślałaś, że tytuł żydowskiego króla równa się dostojeństwu mego łucznika i pisarza?... Mefres... Herhor!... Niech będą dzięki bogom, że nareszcie zrozumiałem tych dostojników i wiem, jaki los przeznaczają memu potomstwu...

Przez chwilę rozmyślał, gryzł wargi. Nagle zawołał potężnym głosem:

— Hej!... służba... żołnierze!...

W okamgnieniu komnata zaczęła napełniać się. Weszły, płacząc, służebnice Sary, pisarz i rządca

jej domu, potem niewolnicy, wreszcie kilku żołnierzy z oficerem.

— Śmierć!... — krzyknęła Sara rozdzierającym głosem.

Rzuciła się do kołyski, porwała syna i, stanąwszy w kącie komnaty, zawołała:

— Mnie zabijcie... ale jego nie dam!...

Ramzes uśmiechnął się.

— Setniku — rzekł do oficera — weź tę kobietę z jej dzieckiem i zaprowadź do budynku, gdzie mieszczą się niewolnicy mego domu. Ta żydówka już nie będzie panią, ale sługą tej, która ją zastąpi.

A ty, rządco — dodał, zwracając się do urzędnika — pamiętaj, aby żydówka nie zapomniała, jutro z rana, umyć nóg swej pani, która tu zaraz przyjdzie. Gdyby zaś ta służebnica okazała się krnąbrną, na rozkaz swej pani powinna otrzymać chłostę. Wyprowadzić tę kobietę do izby czeladnej!...

Oficer i rządca zbliżyli się do Sary, lecz zatrzymali się, nie śmiejąc jej dotknąć. Ale też i nie było potrzeby. Sara owinęła płachtą kwilące dziecko i opuściła komnatę, szepcąc:

— Boże Abrahama, Izaaka, Jakóba, zmiłuj się nad nami...

Nisko skłoniła się przed księciem, a z jej oczu płynęły ciche łzy. Jeszcze w sieniach słyszał Ramzes jej słodki głos:

— Boże Abrahama, Iza...

Gdy wszystko uspokoiło się, namiestnik odezwał się do oficera i rządcy:

— Pójdziecie z pochodniami do domu między figowe drzewa...

— Rozumiem — odparł rządca.

— I natychmiast przeprowadzicie tu kobietę, która tam mieszka...

— Stanie się tak.

— Ta kobieta będzie odtąd waszą panią i panią Sary, żydówki, która każdego poranku ma swojej pani myć nogi, oblewać ją wodą, i trzymać przed nią zwierciadło. To jest moja wola i rozkaz.

— Stanie się — odparł rządca.

— I jutro z rana powiesz mi, czy nowa sługa nie jest krnąbrną...

Wydawszy te polecenia, namiestnik wrócił do siebie, ale całą noc nie spał. W jego głębokiej duszy rozpalał się płomień zemsty.

Czuł, że nie podniósłszy ani na chwilę głosu, zmiażdżył Sarę, nędzną żydówkę, która ośmieliła się oszukać go. Ukarał ją, jak król, który jednem drgnieniem powieki strąca ludzi ze szczytu — w otchłań służalstwa. Ale Sara była tylko narzędziem kapłanów, a następca miał za wiele poczucia sprawiedliwości, aby, połamawszy narzędzie, mógł przebaczyć właściwym sprawcom.

Jego wściekłość potęgowała się tem bardziej, że kapłani byli nietykalni. Książę mógł Sarę z dzieckiem, wśród nocy — wypędzić do izby czeladniej, ale nie mógł pozbawić Herhora jego władzy, ani Mefresa arcykapłaństwa. Sara padła u nóg jego, jak zdeptany robak; ale Herhor i Mefres, którzy wydarli mu pierworodnego syna, wznosili się nad Egip-

tem i (o wstydzie!) nad nim samym, nad przyszłym faraonem, jak piramidy...

I, niewiadomo który już raz w tym roku, przypominał sobie krzywdy, jakich doznał od kapłanów. W szkole bili go kijami, aż mu grzbiet pękał, albo morzyli głodem, aż brzuch przyrastał mu do krzyża.

Na zeszłorocznych manewrach, Herhor popsuł mu cały plan, a potem złożył winę na niego i pozbawił dowództwa korpusu. Tenże Herhor przyprawił go o niełaskę jego świątobliwości, zato, że wziął do domu Sarę, i nieprędzej przywrócił go do zaszczytów, aż upokorzony książę przepędził parę miesięcy na dobrowolnem wygnaniu.

Zdawało się, że gdy zostanie wodzem korpusu i namiestnikiem, kapłani przestaną uciskać go swoją opieką. Lecz właśnie teraz wystąpili z podwójnemi siłami. Zrobili go namiestnikiem, poco?... Aby usunąć go od faraona i zawrzeć haniebny traktat z Asyrją. Zmusili go, że po informacje o stanie państwa udał się, jak pokutnik, do świątyni; tam oszukiwali go zapomocą cudów i postrachów i udzielili — najzupełniej fałszywych objaśnień.

Potem mieszali się do jego rozrywek, kochanek, stosunków z Fenicjanami, długów, a nareszcie, aby go upokorzyć, ośmieszyć w oczach Egiptu, zrobili mu pierworodnego syna żydem!...

Gdzie jest chłop, gdzie niewolnik, gdzie więzień z kopalń, Egipcjanin, który nie miałby prawa powiedzieć:

— Jestem lepszy od ciebie, namiestniku, bo żaden mój syn nie był żydem...

Czując ciężar obelgi, Ramzes jednocześnie pojmował, że nie może jej natychmiast pomścić. Więc postanowił odsunąć sprawę do przyszłości. W szkole kapłańskiej nauczył się panować nad sobą, na dworze nauczył się cierpliwości i obłudy; te przymioty staną się jego tarczą i zbroją w walce z kapłaństwem... Do czasu będzie wprowadzał ich w błąd, a gdy przyjdzie odpowiednia chwila, uderzy tak, że nie podniosą się więcej.

Na dworze zaczęło świtać. Następca twardo zasnął, a gdy obudził się, pierwszą osobą, którą spostrzegł, był rządca pałacu Sary.

— Cóż żydówka? — zapytał książę.

— Stosownie do rozkazu waszej dostojności, umyła nogi swej nowej pani — odparł urzędnik.

— Czy była krnąbrną?

— Była pełną pokory, ale niedość zręczną, więc rozgniewana pani uderzyła ją nogą między oczy...

Książę rzucił się.

— I cóż na to Sara?... — zapytał prędko.

— Upadła na ziemię. A gdy nowa pani kazała jej iść precz, wyszła, cicho płacząc...

Książę zaczął chodzić po komnacie.

— Jakże noc spędziła?...

— Nowa pani?...

— Nie!... — przerwał następca. — Pytam o Sarę...

— Stosownie do rozkazu, Sara poszła z dzieckiem do izby czeladnej. Tam służebne, z litości, odstąpiły jej świeżą matę, ale Sara nie położyła się

spać, tylko przesiedziała całą noc, z dzieckiem na kolanach.

— A dziecko?... — spytał książę.

— Dziecko jest zdrowe. Dziś z rana, kiedy żydówka poszła na służbę do nowej pani, inne kobiety wykąpały maleństwo w ciepłej wodzie, a żona pastucha, która także ma niemowlę, dała mu ssać.

Książę stanął przed rządcą.

— Źle jest — rzekł — gdy krowa, zamiast karmić swoje cielątko, idzie do pługa i jest bita kijem. Więc choć ta żydówka popełniła wielki występek, nie chcę, ażeby cierpiał jej niewinny pomiot... Dlatego Sara nie będzie już myła nóg nowej pani i nie będzie przez nią kopana w oczy. W czeladnim domu dasz jej osobną izbę, parę sprzętów i pokarm, jaki należy się niedawnej położnicy. I niech w spokoju karmi swoje dziecko.

— Obyś żył wiecznie, władco nasz! — odparł rządca i szybko pobiegł spełnić rozkazy namiestnika.

Cała bowiem służba lubiła Sarę, a w ciągu kilku godzin miała sposobność znienawidzić gniewną i wrzaskliwą Kamę.

ROZDZIAŁ XIV.

Kapłanka fenicka niewiele szczęścia przyniosła Ramzesowi.

Gdy pierwszy raz przyszedł odwiedzić ją w pałacyku, dotychczas zajmowanym przez Sarę, myślał, że będzie powitany z zachwytem i wdzięcz-

nością. Tymczasem Kama przyjęła go prawie z gniewem.

— Cóż to? — zawołała — już po upływie pół dnia przywróciłeś do łask nędzną żydówkę?...

— Czyliż nie mieszka w izbie czeladnej? — odparł książę.

— Ale mój rządca powiedział, że już nie będzie mi nóg myła...

Pan, słuchając tego, doznał uczucia niesmaku.

— Nie jesteś, widzę, zadowolona — rzekł.

— I nie będę nią!... — wybuchła — dopóki nie upokorzę tej żydówki... Dopóki służąc mi i klęcząc u moich nóg, nie zapomni, że niegdyś była twoją pierwszą kobietą i panią tego domu.... Dopóki moja służba nie przestanie patrzeć na mnie ze strachem i nieufnością, a na nią z litością...

Ramzesowi coraz mniej zaczęła podobać się Fenicjanka.

— Kamo — rzekł — rozważ, co ci powiem. Gdyby w moim domu sługa kopnął w zęby sukę, która karmi szczenięta, wygnałbym go... Ty zaś uderzyłaś nogą między oczy kobietę i matkę... A w Egipcie, Kamo, matka, to wielkie słowo. Bo dobry Egipcjanin trzy rzeczy najbardziej szanuje na ziemi: bogów, faraona i matkę...

— O biada mi!... — zawołała Kama, rzucając się na łóżko. — Oto mam nagrodę, nędzna, żem zaparła się mojej bogini... Jeszcze tydzień temu składano mi kwiaty u nóg i okadzano wonnościami, a dziś...

Książę cicho wysunął się z komnaty i odwiedził Fenicjankę dopiero po kilku dniach.

Lecz znowu zastał ją w złym humorze.

— Błagam cię, panie, — wykrzyknęła — dbaj o mnie trochę więcej!... Bo już i służba zaczyna mnie lekceważyć, żołnierze patrzą zpodełba i lękam się, ażeby w kuchni nie zatruł mi kto potraw...

— Byłem zajęty wojskiem — odparł książę — więc nie mogłem odwiedzać cię...

— To prawda!... — odparła gniewnie Kama. — Byłeś wczoraj pod moim gankiem, a następnie poszedłeś ku czeladnej izbie, gdzie mieszka ta żydówka... Chciałeś mi pokazać...

— Dość! — przerwał następca. — Nie byłem ani pod gankiem, ani pod izbą. Jeżeli więc zdawało ci się, iż widziałaś mnie, to znaczy, że twój kochanek, ten nikczemny Grek, nietylko nie opuścił Egiptu, ale nawet śmie krążyć po moim ogrodzie...

Fenicjanka słuchała go przerażona.

— O Astoreth!... — krzyknęła nagle — ratuj mnie... O ziemio, ukryj mnie!... Bo jeżeli nędzny Lykon powrócił, grozi mi wielkie nieszczęście...

Książę roześmiał się, ale już nie miał cierpliwości słuchać biadań ex-kapłanki.

— Zostań w spokoju — rzekł, wychodząc — i nie dziw się, jeżeli w tych dniach przyprowadzą ci twego Lykona, związanego, jak szakala. Zuchwalec ten już wyczerpał moją cierpliwość.

Wróciwszy do siebie, książę wezwał natychmiast Hirama i naczelnika policji w Pi-Bast. Opowiedział im obydwom, że Lykon, Grek, z twarzy podobny do niego, kręci się około pałaców, i rozkazał

schwytać go. Hiram przysiągł, że gdy Fenicjanie połączą się z policją, Grek musi wpaść w ich ręce. Ale naczelnik policji począł trząść głową.

— Wątpisz? — spytał go książę.

— Tak, panie. W Pi-Bast mieszka wielu bardzo pobożnych Azjatów, według których zdania, kapłanka, rzucająca ołtarz, zasługuje na śmierć. Jeżeli więc ten Grek zobowiązał się zabić Kamę, oni będą mu pomagali, ukryją go i ułatwią mu ucieczkę.

— Cóż wy na to, książę? — spytał następca Hirama.

— Dostojny naczelnik policji mądrze mówi — odparł starzec.

— Wszakże uwolniliście Kamę od klątwy! — zawołał Ramzes.

— Za Fenicjan — odparł Hiram — ręczę, że nie tkną K my i będą ścigali Greka. Ale co zrobić z innymi wyznawcami Astoreth?...

— Ośmielę się mniemać — rzekł naczelnik policji — że tymczasem kobiecie tej nic nie grozi. Gdyby zaś była odważną, moglibyśmy użyć jej do zwabienia Greka i złapania go tu, w pałacach waszej dostojności.

— Idźże więc do niej — rzekł książę — i przedstaw plan, jaki obmyśliłeś. A jeżeli schwycisz łotra, dam ci dziesięć talentów...

Gdy następca pożegnał ich, Hiram odezwał się do naczelnika:

— Dostojniku, wiem, że znasz oba pisma i nie obca ci jest kapłańska mądrość. Gdy chcesz, słyszysz przez mury i widzisz w ciemnościach. Z tego

powodu znasz myśli zarówno chłopa, pracującego kubłem, rzemieślnika, który na targ przynosi sandały, i wielkiego pana, który, w otoczeniu swoich sług, czuje się bezpiecznym, jak dziecko w łonie matki...

— Prawdę mówisz, wasza cześć — odparł urzędnik — że bogowie udzielili mi cudnego daru jasnowidzenia.

— Otóż to — ciągnął Hiram — dzięki nadprzyrodzonym zaletom swoim, odgadłeś już zapewne, że świątynia Astoreth wyznaczy ci dwadzieścia talentów, jeżeli złapiesz tego nędznika, który ośmiela się przybierać postawę księcia, pana naszego. Nadto zaś, w każdym razie, świątynia ofiaruje ci dziesięć talentów, jeżeli wieść o podobieństwie nędznego Lykona do następcy nie rozgłosi się po Egipcie. Rzecz to bowiem gorsząca i nieprzystojna, ażeby zwykły śmiertelnik przypominał obliczem swojem osoby, które od bogów pochodzą.

Niech więc to, co słyszysz o nędznym Lykonie, i cała nasza gonitwa za bezbożnikiem nie wyjdzie poza serca nasze.

— Rozumiem — odparł urzędnik. — Może się bowiem trafić, że taki zbrodniarz straci życie, zanim oddamy go sądowi...

— Powiedziałeś — rzekł Hiram, ściskając go za rękę. — Wszelka zaś pomoc, jakiej zażądasz od Fenicjan, będzie ci udzielona.

Rozstali się, jak dwaj przyjaciele, polujący na grubego zwierza, którzy wiedzą, że nie o to chodzi: czyj oszczep trafi, lecz, ażeby zdobycz była dobrze trafiona i nie wpadła w obce ręce.

Po kilku dniach, Ramzes znowu odwiedził Kamę, lecz znalazł ją w stanie, który graniczył z obłędem. Kryła się w najciemniejszej izbie swego pałacu głodna, nieczesana, nawet nieumyta, i wydawała najsprzeczniejsze rozkazy swojej służbie. Raz kazała się zgromadzić wszystkim, drugi raz wypędzała wszystkich od siebie. W nocy wołała do siebie wartę żołnierską, a po chwili uciekała od żołnierzy na strych, krzycząc, że ją chcą zabić.

Wobec takich postępków, z duszy księcia zniknęła miłość, a zostało tylko uczucie wielkiego kłopotu. Schwycił się za głowę, gdy rządca pałacu i oficer opowiedzieli mu o tych dziwach i szepnął:

— Zaprawdę, źle uczyniłem, odbierając tę kobietę jej bogini. Gdyż tylko bogini mogła cierpliwie znosić jej kaprysy!...

Mimo to, poszedł do Kamy i znalazł ją potarganą i drżącą.

— Biada mi!... — zawołała. — Żyję między samymi wrogami... Moja szatna chce mnie otruć, a fryzjerka nabawić jakieś ciężkiej choroby... Żołnierze tylko czekają okazji, ażeby w mej piersi utopić włócznie i miecze, a w kuchni, jestem pewna, że zamiast potraw, gotują się czarodziejskie zioła... Wszyscy dybią na moje życie...

— Kamo... — przerwał książę.

— Nie nazywaj mnie tak!... — szepnęła przerażona — bo mi to nieszczęście przyniesie...

— Ale skąd ci te myśli przychodzą do głowy?..

— Skąd!... Czy sądzisz, że w dzień nie widuję obcych ludzi, którzy ukazują się pod pałacem i zni-

kają, nim zdołam zawołać na służbę?... A w nocy, czy nie słyszę szeptów za ścianą?...

— Zdaje ci się.

— Przeklęci!... przeklęci!... — zawołała z płaczem. — Wszyscy mówicie, że mi się zdaje... A przecież onegdaj, jakaś zbrodnicza ręka podrzuciła mi do sypialni welon, który nosiłam pół dnia, nim poznałam, że to nie mój... żem nigdy nie miała takiego...

— Gdzież ten welon? — spytał już zaniepokojony książę.

— Spaliłam go, alem go pierwej pokazała moim służebnicom.

— Więc choćby był nie twój, cóż ci się stało?

— Jeszcze nic. Ale gdybym tę szmatę przez parę dni potrzymała w domu, z pewnością otrułabym się, albo zapadłabym w nieleczącą się chorobę... Znam Azjatów i ich sposoby!...

Znudzony i zirytowany książę opuścił ją czem prędzej, pomimo błagań, aby został. Gdy jednak spytał służbę o ów welon, szatna przyznała, że to nie był welon Kamy, ale ktoś go podrzucił.

Następca kazał podwoić warty w pałacu i dokoła pałacu i zdesperowany wracał do swego mieszkania.

„Nigdybym nie uwierzył — myślał — że jedna słaba kobieta może narobić tyle zamętu!... Cztery świeżo złapane hieny nie dorównają w niespokojności tej Fenicjance!...“

U siebie znalazł książę Tutmozisa, który właśnie przyjechał z Memfis i ledwie miał czas wykąpać się i przebrać po podróży.

— Co mi powiesz? — spytał książę ulubieńca, odgadując, że nie przywiózł dobrych nowin. — Widziałeś jego świątobliwość?

— Widziałem słonecznego boga Egiptu — odparł Tutmozis, — a oto, co mi rzekł...

— Mów — wtrącił następca.

— Tak mówił pan nasz... — ciągnął Tutmozis, złożywszy ręce na piersiach i schyliwszy głowę. — Tak mówi pan: Przez trzydzieści cztery lata prowadziłem ciężki wóz Egiptu i tak jestem zmęczony, że już tęsknię do moich wielkich przodków, którzy zamieszkują kraj zachodni. Niebawem opuszczę tę ziemię, a wówczas syn mój, Ramzes, zasiądzie na tronie i czynić będzie z państwem to, co mu podyktuje mądrość...

— Tak powiedział mój świątobliwy ojciec?

— To są jego słowa wiernie powtórzone — odparł Tutmozis. — Po kilka razy wyraźnie mówił mi pan, że nie zostawia ci żadnych rozkazów na przyszłość, abyś mógł rządzić Egiptem, jak sam zechcesz...

— O święty!... Czyliż jego niemoc jest naprawdę tak ciężką?... Dlaczego nie pozwala mi przyjechać do siebie?... — pytał rozżalony książę.

— Musisz być tu, bo tu możesz się przydać.

— A traktat z Asyrją?... — zapytał następca.

— Jest zawarty w tym sensie, że Asyrja może bez przeszkód z naszej strony prowadzić wojnę na wschodzie i północy. Ale sprawa Fenicji została w zawieszeniu, dopóki ty nie wstąpisz na tron...

— O błogosławiony!... o święty władco!... —

wołał książę. — Od jakiej strásznej uchroniłeś mnie spuścizny...

— Fenicja więc zostaje w zawieszeniu — prawił Tutmozis. — Lecz obok tego stała się niedobra rzecz, bo jego świątobliwość, aby dać dowód Asyrji, że nie będzie jej przeszkadzać w wojnie z ludami północnemi, rozkazał zmniejszyć naszą armję o dwadzieścia tysięcy wojsk najemnych...

— Co powiedziałeś?... — wykrzyknął zdumiony następca.

Tutmozis chwiał głową na znak smutku.

— Prawdę mówię — rzekł — i już nawet rozpuszczono cztery libijskie pułki...

— Ależ to szaleństwo!... — prawie zawył następca, łamiąc ręce. — Poco my się tak osłabiamy i dokąd pójdą ci ludzie?...

— Otóż to, że już poszli na pustynię libijską i albo napadną Libijczyków, co nam narobi kłopotu, albo połączą się z nimi i razem uderzą na nasze zachodnie granice...

— Nic o tem nie słyszałem! Co oni porobili?... i kiedy to zrobili?... Żadna wieść do nas nie doszła— wołał książę.

— Bo rozpuszczeni najemnicy poszli w pustynię od Memfisu, a Herhor zabronił mówić o tem komukolwiek...

— Więc nawet Mefres i Mentezufis nie wiedzą o tem?... — spytał namiestnik.

— Oni wiedzą — odparł Tutmozis.

— Oni wiedzą, a ja nie!...

Książę nagle uspokoił się, ale pobladł, a na jego

młodem obliczu odmalowała się straszna nienawiść. Schwycił za obie ręce swego powiernika i, mocno ściskając je, szeptał:

— Słuchaj... Na świętą głowę mego ojca i matki... na pamięć Ramzesa Wielkiego... na wszystkich bogów, jeżeli jacy są, przysięgam, że gdy—za moich rządów — kapłani nie ugną się przed moją wolą, zgniotę ich...

Tutmozis słuchał przerażony.

— Ja, albo oni!... — zakończył książę. — Egipt nie może mieć dwóch panów.

— I zwykle miewał tylko jednego: faraona — wtrącił powiernik.

— Zatem będziesz mi wierny?...

— Ja, cała szlachta, wojsko, przysięgam ci!...

— Dosyć — zakończył następca. — Niechże sobie teraz uwalniają najemne pułki... niech podpisują traktaty... niech kryją się przede mną, jak nietoperze, i niech oszukują nas wszystkich... Ale przyjdzie czas...

A teraz, Tutmozisie, odpocznij po podróży i bądź u mnie na uczcie dziś w wieczór... Ci ludzie tak mnie spętali, że mogę tylko bawić się... Więc będę się bawił...

Ale kiedyś pokażę im, kto jest władcą Egiptu: oni, czy ja!....

Od tego dnia znowu zaczęły się uczty. Książę, jakby wstydząc się wojska, nie odbywał z niem ćwiczeń. Natomiast pałac jego roił się szlachtą, oficerami, sztukmistrzami i śpiewaczkami, a po nocach odbywały się wielkie orgje, wśród których dźwięki

arf mieszały się z wrzaskami pijanych biesiadników i spazmatycznym śmiechem kobiet.

Na jedną z tych uczt Ramzes zaprosił Kamę, ale odmówiła. Książę obraził się na nią, co spostrzegłszy, Tutmozis rzekł:

— Mówiono mi, panie, że Sara straciła twoje łaski?

— Nie wspominaj mi o tej żydówce — odparł następca. — Wszak chyba wiesz, co zrobiła z moim synem?

— Wiem — mówił ulubieniec — ale zdaje mi się, że stało się to nie z jej winy. Słyszałem w Memfis, że czcigodna matka twoja, pani Nikotris, i dostojny minister Herhor uczynili syna twego żydem w tym celu, aby kiedyś panował nad Izraelitami...

— Ależ Izraelici nie mają króla, tylko kapłanów i sędziów!... — przerwał książę.

— Nie mają, lecz chcą mieć. Im także obmierzły rządy kapłańskie.

Następca pogardliwie machnął ręką.

— Woźnica jego świątobliwości — odparł — znaczy więcej, niźli wszyscy królowie, a tem bardziej jakiś tam król izraelski, którego jeszcze niema...

— W każdym razie wina Sary nie jest tak wielką — wtrącił Tutmozis.

— To też wiedz, że kiedyś zapłacę i kapłanom.

— W tym wypadku i oni nie są zbyt winni. Naprzykład dostojny Herhor uczynił tak, pragnąc zwiększyć sławę i potęgę twojej dynastji. Zresztą działał z wiedzą pani Nikotris...

— A Mefres poco miesza się do moich

spraw?... — spytał książę. — Przecie on chyba powinien pilnować tylko świątyni, a nie wpływać na losy faraonowego potomstwa...

— Mefres jest starcem, który już zaczyna dziwaczeć. Cały dwór jego świątobliwości drwi dziś z Mefresa, z powodu jego praktyk, o których ja sam nic nie wiedziałem, choć prawie codzień widywałem i widuję świętego męża...

— A to ciekawe... Cóż on robi?...

— Po kilka razy na dobę — odparł Tutmozis — odprawia solenne nabożeństwa w najtajemniejszej części świątyni i nakazuje swoim kapłanom, aby uważali: czy bogowie nie podnoszą go w powietrze, podczas modlitwy?...

— Cha!... cha!... cha!... — zaśmiał się następca. — I to wszystko dzieje się tu, w Pi-Bast pod naszem okiem, a ja nic nie wiem...

— Tajemnica kapłańska...

— Tajemnica, o której mówią wszyscy w Memfis!... Cha... cha... cha!... W cyrku widziałem chaldejskiego kuglarza, który unosił się w powietrzu...

— I ja widziałem — wtrącił Tutmozis — ale to była sztuka. Tymczasem Mefres chce naprawdę wznieść się nad ziemię, na skrzydłach swej pobożności...

— Niesłychane błazeństwo!... — mówił książę. — Cóż na to inni kapłani?

— Podobno w naszych świętych papirusach są wzmianki, że dawnemi czasy bywali u nas prorocy, posiadający dar wznoszenia się w powietrze, więc kapłanów nie dziwią chęci Mefresa. A że, jak ci wiadomo, u nas podwładni widzą to, co podoba się

zwierzchnikom, więc niektórzy święci mężowie twierdzą, że Mefres naprawdę podnosi się w czasie modlitwy na grubość paru palców nad ziemią...

— Cha!... cha!... cha!... I tą wielką tajemnicą bawi się cały dwór, a my, jak chłopi albo kopacze, nawet nie domyślamy się cudów, sprawianych pod naszym bokiem... Nędzna dola następcy egipskiego tronu!... — śmiał się książę.

Gdy zaś uspokoił się, na powtórną prośbę Tutmozisa, rozkazał: przenieść Sarę z dzieckiem z izby czeladniej do pałacyku, który w pierwszych dniach zajmowała Kama.

Służba następcy była zachwycona tem rozporządzeniem pana, a wszystkie służebne, niewolnicy i nawet pisarze odprowadzili Sarę do nowej siedziby z muzyką i okrzykami radości.

Fenicjanka, usłyszawszy hałas, spytała o przyczynę. A gdy jej odpowiedziano, że Sara wróciła już do łask następcy i że z domu niewolnic znowu przeniosła się do pałacu, rozwścieczona ex-kapłanka wezwała do siebie Ramzesa.

Książę przyszedł.

— Więc tak poczynasz sobie ze mną?... — wrzasnęła, nie panując nad sobą, Kama. — Więc to tak? Obiecałeś mi, że będę pierwszą twoją kobietą, lecz nim księżyc obiegł połowę nieba, złamałeś przyrzeczenie?... Może myślisz, że zemsta Astoreth pada tylko na kapłanki, a nie dosięga książąt?...

— Powiedz swojej Astoreth — odparł spokojnie następca — ażeby nigdy nie groziła książętom, bo i ona pójdzie do izby czeladniej.

— Rozumiem! — wołała Kama. — Ja pójdę do czeladzi, może nawet do więzienia, a ty przez ten czas będziesz spędzał noce u swojej żydówki!... Zato, żem dla ciebie wyparła się bogów... ściągnęła na moją głowę przekleństwo... Zato, że nie mam godziny spokojnej, że zmarnowałam dla ciebie młodość, życie, nawet duszę, ty tak mi płacisz!...

Książę przyznał w sercu, że istotnie Kama wiele poświęciła dla niego i uczuł skruchę.

— Nie byłem i nie będę u Sary — odparł. — Ale co tobie szkodzi, że nieszczęśliwa kobieta odzyska wygody i będzie mogła wykarmić swoje dziecko?

Fenicjanka zatrzęsła się. Podniosła wgórę zaciśnięte pięści, włosy jej najeżyły się, a w oczach zapłonął brudny ogień nienawiści.

— Tak że mi odpowiadasz?... Żydówka jest nieszczęśliwą, boś ją wygnał z pałacu; a ja muszę być zadowoloną, chociaż bogowie wygnali mnie ze wszystkich swoich świątyń... A dusza moja... dusza kapłanki, tonącej we łzach i obawie, czyliż nie znaczy więcej u ciebie, aniżeli ten żydowski pomiot, to dziecko, które... oby już nie żyło... oby go!...

Milcz!... — krzyknął książę, zamykając jej usta.

Cofnęła się wylękniona.

— Więc nie wolno nawet skarżyć się na moją nędzę?... — spytała. — Lecz jeżeli aż tak dbasz o to dziecko, pocóż wykradłeś mnie ze świątyni, dlaczego obiecywałeś, że będę u ciebie pierwszą kobietą?...

Strzeż się — znowu podniosła głos — ażeby Egipt, poznawszy moją dolę, nie nazwał cię wiarołomcą!...

Książę kręcił głową i uśmiechał się. Wreszcie usiadł i rzekł:

— Zaiste mój nauczyciel miał słuszność, ostrzegając mnie przed kobietami. Jesteście jak dojrzała brzoskwinia, w oczach człowieka, któremu język wysuszyło pragnienie... Lecz tylko napozór... Bo biada głupcowi, który ośmieli się rozgryźć ten piękny owoc: zamiast chłodzącej słodyczy, znajdzie gniazdo os, które poranią mu nietylko wargi, ale i serce.

— Już narzekasz?... Nawet tego nie oszczędzasz mi wstydu?... Zato, żem ci poświęciła godność kapłanki i cnotę!...

Następca ciągle trząsł głową i uśmiechał się.

— Nigdybym nie myślał — rzekł po chwili — ażeby sprawdziła się bajka, opowiadana przez chłopów, zabierających się do snu. Ale dziś widzę, że tak jest. Posłuchaj więc, Kamo, a może zastanowisz się i nie zmusisz mnie do cofnięcia życzliwości, jaką mam dla ciebie...

— Jemu się chce teraz bajki opowiadać!... — odparła z goryczą kapłanka. — Jużeś mi jedną mówił i dobrzem wyszła, usłuchawszy jej...

— Ta z pewnością wyjdzie ci na pożytek, byleś ją chciała zrozumieć:

— Będzie w niej co o żydowskich bachorach?...

— I o kapłankach, tylko uważnie posłuchaj:

Działo się to już dawno, w tem samem mieście Pi-Bast *). Pewnego dnia książę Satm, na placu, przed świątynią Ptah, zobaczył bardzo piękną ko-

*) Historyjka autentyczna.

bietę. Była ona piękniejszą od wszystkich, jakie dotychczas spotykał, a co ważniejsza, miała na sobie dużo złota.

Księciu ogromnie podobała się ta osoba. Dowiedział się, co ona za jedna, a gdy mu powiedziano, że jest to córka arcykapłana w Pi-Bast, posłał do niej swego koniuszego, z taką ofiarą:

„Dam ci dziesięć złotych pierścieni, jeżeli przepędzisz ze mną godzinkę".

Koniuszy poszedł do pięknej Tbubui i powtórzył jej słowa księcia Satni. Dama, wysłuchawszy go życzliwie, odpowiedziała jak przystoi dobrze wychowanej panience:

„Jestem córką arcykapłana, jestem niewinna, nie zaś żadna podła dziewczyna. Jeżeli więc książę chce mieć przyjemność zapoznania się ze mną, niech przyjdzie do mego domu, gdzie wszystko będzie przygotowane, i nasza znajomość nie narazi mnie na plotki kumoszek z całej ulicy".

Poszedł tedy książę Satni za panną Tbubui, na górne piętro do jej pokojów, których ściany były wyłożone lapisem lazuli, tudzież blado-zielonawą emalją. Było tam wiele łóżek pokrytych królewskiem płótnem i niemało jednonożnych stolików, zastawionych złotemi puharami. Jeden z puharów napełniono winem i podano go księciu, a Tbubui rzekła: „Bądź łaskaw, napij się". Na to książę odparł: „Wiesz przecie, że nie przyszedłem na wino". Niemniej jednak zasiedli do uczty, podczas której Tbubui miała na sobie długą, nieprzezroczystą szatę, zapiętą pod szyję. Gdy zaś odurzony książę chciał ją pocałować, odsunęła go i odparła:

„Dom ten będzie twoim domem. Pamiętaj jednak, że nie jestem ulicznicą, lecz kobietą niewinną. Jeżeli więc chcesz, abym ci była posłuszną, zaprzysięgnij mi wierność i zapisz swój majątek".

„Więc niech przyjdzie tu pisarz!" — zawołał książę. A gdy go przyprowadzono, Satni kazał spisać akt ślubny, tudzież akt darowizny, którym wszystkie swoje pieniądze, ruchomości i dobra ziemskie przepisał na imię Tbubui.

W godzinę później, służba zawiadomiła księcia, że na dole czekają jego dzieci. Tbubui wówczas opuściła go, lecz wnet wróciła, ubrana w suknię z przezroczystej gazy. Satni znowu chciał ją uścisnąć, ale odsunęła go, mówiąc:

„Dom ten będzie twoim. Lecz ponieważ nie jestem ladacznicą, tylko dziewczyną niewinną, jeżeli więc chcesz mnie posiadać, to niech twoje dzieci zrobią akt zrzeczenia się majątku, aby później nie procesowały się z mojemi dziećmi".

Satni zawołał swoje dzieci na górę i kazał im podpisać akt zrzeczenia się majątku, co uczyniły. Lecz gdy odurzony długim oporem, chciał zbliżyć się do Tbubui, ta go znowu zatrzymała...

„Dom ten będzie twoim — rzekła. — Ale ja nie jestem pierwszą lepszą; jestem czystą dziewicą. Jeżeli więc kochasz mnie, każ pozabijać twoje dzieci, ażeby kiedyś nie wydarły majątku moim..."

— Jakaż to długa historja!... — przerwała niecierpliwie Kama.

— Zaraz się skończy — odparł następca. — I wiesz, Kamo, co odpowiedział Satni:

„Jeżeli pragniesz tego, więc... niech się spełni zbrodnia!...“

Tbubui nie trzeba było dwa razy powtarzać. W oczach ojca kazała pomordować dzieci, a okrwawione ich członki wyrzuciła przez okno psom i kotom. No, i dopiero wtedy Satni wszedł do jej pokoju i spoczął na jej hebanowem łożu, wykładanem kością słoniową...

— Tbubui dobrze robiła, nie wierząc zapewnieniom mężczyzn — rzekła zirytowana Fenicjanka.

— Ale Satni — odparł następca — zrobił jeszcze lepiej: obudził się... gdyż jego straszna zbrodnia była tylko snem...

I ty, Kamo, zapamiętaj sobie, że najpewniejszym sposobem obudzenia mężczyzny z miłosnych upojeń jest — miotać klątwy na jego syna...

— Bądź spokojny, panie, już ci nigdy nie wspomnę ani o mojej niedoli, ani o twoim synu — posępnie odpowiedziała Fenicjanka.

— A ja nie cofnę ci moich łask i będziesz szczęśliwą — zakończył Ramzes.

ROZDZIAŁ XV.

Już i między ludem miasta Pi-Bast zaczęły rozchodzić się groźne wieści o Libijczykach. Opowiadano, że rozpuszczeni przez kapłanów żołnierze barbarzyńcy, wracając do swej ojczyzny, z początku żebrali, potem kradli, a wkońcu zaczęli rabować i palić wsie egipskie, mordując przytem mieszkańców.

W ten sposób, w ciągu kilku dni, były napadnięte i zniszczone miasta: Chinensu, Pimat i Kasa na południe od jeziora Moeris. W ten sposób zginęła karawana kupców i pielgrzymów egipskich, wracających z oazy Uit-Mehe. Cała zachodnia granica państwa była w niebezpieczeństwie, a nawet z Teremethis zaczęli uciekać mieszkańcy. I w tamtej bowiem okolicy, od strony morza, ukazały się bandy libijskie, jakoby wysłane przez groźnego wodza Musawasę, który podobno w całej pustyni miał ogłosić świętą wojnę przeciw Egiptowi.

To też, jeżeli którego wieczora zachodni pas nieba czerwienił się zbyt długo, na mieszkańców Pi-Bast padała trwoga. Ludzie gromadzili się po ulicach, niektórzy wychodzili na płaskie dachy lub wdrapywali się na drzewa i stamtąd ogłaszali, że — widzą pożar w Menuf albo w Sechem. Byli nawet i tacy, którzy pomimo zmroku dostrzegali uciekających mieszkańców, albo libijskie bandy, maszerujące w kierunku Pi-Bast, długiemi, czarnemi szeregami.

Pomimo wzburzenia ludności, rządcy nomesu zachowywali się obojętnie; władza bowiem centralna nie przysłała im żadnych rozkazów.

Książę Ramzes wiedział o niepokoju tłumów i widział obojętność pi-basteńskich dygnitarzy. Wściekły gniew ogarniał go, że nie otrzymuje żadnych poleceń z Memfisu, i że ani Mefres ani Mentezufis nie rozmawiają z nim o tych alarmach, zagrażających państwu.

Lecz ponieważ obaj kapłani nie zgłaszali się do niego, a nawet jakby unikali rozmowy z nim, więc

i namiestnik nie szukał ich, ani nie robił żadnych przygotowań wojennych.

Wkońcu przestał odwiedzać stojące w Pi-Bast pułki, a natomiast, zgromadziwszy do pałacu całą szlachecką młodzież, bawił się i ucztował, tłumiąc w sercu oburzenie na kapłanów i obawę o losy państwa.

— Zobaczysz!... — powiedział raz do Tutmozisa. — Święci prorocy wykierują nas tak, że Musawasa zabierze Dolny Egipt, a my będziemy musieli uciekać do Tebów, jeżeli nie do Sunnu, o ile znowu stamtąd nie wypędzą nas Etjopowie...

— Prawdę rzekłeś — odparł Tutmozis — że nasi władcy poczynają sobie, jakoby byli zdrajcami.

Pierwszego dnia miesiąca Hator (sierpień — wrzesień), odbywała się w pałacu następcy największa uczta. Zaczęto bawić się od drugiej po południu, a nim słońce zaszło już wszyscy byli pijani. Doszło do tego, że mężczyźni i kobiety tarzali się po podłodze, zlanej winem, zasypanej kwiatami i skorupami potłuczonych dzbanów.

Książę był między nimi najprzytomniejszy. Jeszcze bowiem nie leżał, ale siedział na fotelu, trzymając na kolanach dwie piękne tancerki, z których jedna poiła go winem, druga oblewała mu głowę silnemi wonnościami.

W tej chwili wszedł na salę adjutant i, przelazłszy przez kilku pijanych biesiadników, zbliżył się do następcy.

— Dostojny panie — szepnął — święci Mefres i Mentezufis pragną natychmiast rozmówić się z wami...

Następca odepchnął dziewczęta i zarumieniony, w poplamionym kaftanie, chwiejnym krokiem potoczył się do swego pokoju, na górę

Na jego widok Mefres i Mentezufis spojrzeli po sobie.

— Czego chcecie, dostojnicy? — spytał książę, upadając na krzesło.

— Nie wiem, czy wasza dostojność będziesz mógł wysłuchać nas... — odparł zakłopotany Mentezufis.

— A!... myślicie, żem się upił? — zawołał książę. — Nie lękajcie się... Dziś cały Egipt jest tak oszalały, czy głupi, że jeszcze w pijakach najwięcej zostało rozsądku...

Kapłani zachmurzyli się, lecz Mentezufis zaczął:

— Wasza dostojność wie, że pan nasz i najwyższa rada postanowili uwolnić dwadzieścia tysięcy wojsk najemnych...

— No, niby nie wiem...—przerwał następca.— Nie raczyliście przecież nietylko zasięgnąć mojej rady w kwestji tak mądrego postanowienia, ale nawet nie raczyliście zawiadomić mnie, że już cztery pułki rozpędzono, i że ludzie ci z głodu napadają nasze miasta...

— Zdaje mi się, że wasza dostojność sądzisz rozkazy jego świątobliwości faraona... — wtrącił Mentezufis.

— Nie jego świątobliwości!... — zawołał książę, tupiąc nogą — ale tych zdrajców, którzy, korzystając z choroby mego ojca i władcy, chcą zaprzedać państwo Asyryjczykom i Libijczykom!...

Kapłani osłupieli. Podobnych wyrazów nie powiedział kapłanom żaden jeszcze Egipcjanin.

— Pozwól, książę, ażebyśmy wrócili za parę godzin... gdy się uspokoisz... — rzekł Mefres.

— Niema potrzeby. Wiem, co się dzieje na naszej zachodniej granicy... A raczej nie ja wiem, tylko moi kucharze, chłopcy stajenni i pomywaczki... Może więc, zechcecie teraz, czcigodni ojcowie, i mnie wtajemniczyć w wasze plany...

Mentezufis przybrał obojętną fizjognomję i mówił:

— Libijczycy zbuntowali się i zaczynają zbierać bandy z zamiarem napadu na Egipt.

— Rozumiem.

— Z woli zatem jego świątobliwości—ciągnął Mentezufis—i najwyższej rady, masz wasza dostojność zebrać wojska z Dolnego Egiptu i zniszczyć buntowników.

— Gdzie rozkaz?

Mentezufis wydobył z zanadrza pergamin, opatrzony pieczęciami, i wręczył go księciu.

— Więc od tej chwili jestem naczelnym wodzem i najwyższą władzą w tej prowincji? — spytał następca.

— Tak jest, jak rzekłeś.

— I mam prawo odbyć z wami naradę wojenną?...

— Koniecznie... — odparł Mefres. — Choć w tej chwili...

— Siadajcie — przerwał książę.

Obaj kapłani spełnili rozkaz.

— Pytam się was, bo to potrzebne jest do moich planów: dlaczego rozpuszczono libijskie pułki?

— I rozpuści się inne — podchwycił Mentezufis. — Otóż rada najwyższa dlatego chce pozbyć się dwudziestu tysięcy najkosztowniejszych żołnierzy, aby skarbowi jego świątobliwości dostarczyć rocznie czterech tysięcy talentów, bez czego dwór królewski może znaleźć się w niedostatku...

— Co jednak nie grozi najnędzniejszemu z egipskich kapłanów!... — wtrącił książę.

— Zapominasz, wasza dostojność, że kapłana nie godzi się nazywać „nędznym“ — odparł Mentezufis. — A że nie grozi żadnemu z nich niedostatek, to jest zasługą ich powściągliwego trybu życia.

— W takim razie chyba posągi wypijają wino, codzień odnoszone do świątyń, i kamienni bogowie stroją swoje kobiety w złoto i drogie klejnoty—szydził książę. — Ale mniejsza o waszą powściągliwość!... Rada kapłańska nie dlatego rozpędza dwadzieścia tysięcy wojska i otwiera bramy Egiptu bandytom, ażeby napełnić skarb faraona...

— Tylko?...

— Tylko dlatego, ażeby przypodobać się królowi Asarowi. A ponieważ jego świątobliwość nie zgodził się na oddanie Asyryjczykom Fenicji, więc wy chcecie osłabić państwo w inny sposób: przez rozpuszczenie najemników i wywołanie wojny na naszej zachodniej granicy...

— Biorę bogów na świadectwo, że zdumiewasz nas, wasza dostojność!...—zawołał Mentezufis.

— Cienie faraonów bardziej zdumiały się,

usłyszawszy, że w tym samym Egipcie, w którym spętano królewską władzę, jakiś chaldejski oszust wpływa na losy państwa...

— Uszom nie wierzę!...—odparł Mentezufis.— Co wasza dostojność mówisz o jakimś Chaldejczyku?...

Namiestnik śmiał się szyderczo.

— Mówię o Beroesie... Jeżeli ty, święty mężu, nie słyszałeś o nim, zapytaj czcigodnego Mefresa, a gdyby i on zapomniał o nim, niech odwoła się na Herhora i Pentuera...

Oto wielka tajemnica waszych świątyń!...

Obcy przybłęda, który, jak złodziej, dostał się do Egiptu, narzuca członkom najwyższej rady traktat, tak haniebny, że moglibyśmy podpisać go dopiero po przegraniu bitew, po utracie wszystkich pułków i obu stolic...

I pomyśleć, że zrobił to jeden człowiek, najpewniej szpieg króla Asara! A nasi mędrcy tak dali się oczarować jego wymowie, że gdy faraon nie pozwolił im wyrzec się Fenicji, to oni przynajmniej rozpuszczają pułki i wywołują wojnę na granicy zachodniej...

Słyszana rzecz?... — ciągnął już niepanujący nad sobą Ramzes. — Gdy jest najlepsza pora zwiększyć armję do trzystu tysięcy ludzi i popchnąć ją do Niniwy, ci pobożni szaleńcy rozpędzają dwadzieścia tysięcy wojsk i podpalają własny dom!...

Mefres, sztywny i blady, słuchał tych szyderstw. Wreszcie zabrał głos:

— Nie wiem, dostojny panie, z jakiego źródła

czerpałeś swoje wiadomości?... Oby ono było równie czyste, jak serca członków najwyższej rady! Przypuśćmy jednak, że masz słuszność, że jakiś chaldejski kapłan potrafił skłonić radę do podpisania ciężkiej umowy z Asyrją. Otóż gdyby tak się zdarzyło, to skąd wiesz, że ów kapłan nie był wysłannikiem bogów, którzy przez jego usta ostrzegali nas o wiszących nad Egiptem niebezpieczeństwach?...

— Odkądże to Chaldejczycy cieszą się takiem zaufaniem u was? — zapytał książę.

— Kapłani chaldejscy są starszymi braćmi egipskich — wtrącił Mentezufis.

— To może i król asyryjski jest władcą faraona? — wtrącił książę.

— Nie bluźnij, wasza dostojność — surowo przerwał Mefres. — Lekkomyślnie szperasz w najświętszych tajemnicach, a to bywało niebezpiecznem nawet dla większych od ciebie!...

— Dobrze, nie będę szperał. Po czem jednak można poznać, że jeden Chaldejczyk jest wysłannikiem bogów, a drugi szpiegiem króla Asara?

— Po cudach — odparł Mefres. — Gdyby na twój rozkaz, książę, ten pokój napełnił się duchami, gdyby niewidzialne moce uniosły cię w powietrze, powiedzielibyśmy, żeś jest narzędziem nieśmiertelnych i słuchalibyśmy twej rady...

Ramzes wzruszył ramionami.

— I ja widziałem duchy: robiła je młoda dziewczyna... I ja widziałem w cyrku leżącego w powietrzu kuglarza...

— Tylkoś nie dojrzał cienkich sznurków, które

trzymali w zębach czterej jego pomocnicy...—wtrącił Mentezufis.

Książę znowu roześmiał się i, przypomniawszy sobie, co mu Tutmozis opowiadał o nabożeństwach Mefresa, rzekł szyderczym tonem:

— Za króla Cheopsa pewien arcykapłan chciał koniecznie... latać po powietrzu!... W tym celu modlił się do bogów, a swoim podwładnym kazał uważać: czy go nie podnoszą niewidzialne siły? I co powiecie, święci mężowie: od tej pory nie było dnia, ażeby prorocy nie zapewniali arcykapłana, że... unosi się w powietrzu, wprawdzie niewysoko, bo tylko na palec od podłogi... Ale... co to waszej dostojności? — spytał nagle Mefresa.

Istotnie, arcykapłan, słuchając swojej własnej historji, zachwiał się na krześle i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go Mentezufis.

Ramzes zmieszał się. Podał starcowi wody do picia, natarł mu czoło i skronie octem, zaczął go chłodzić wachlarzem...

Wkrótce święty Mefres przyszedł do siebie. Powstał z krzesła i rzekł do Mentezufisa:

— Już chyba możemy odejść?

— I ja tak myślę.

— A ja co mam robić? — spytał książę, czując, że stało się coś złego.

— Spełnić obowiązki naczelnego wodza — odparł zimno Mentezufis.

Obaj kapłani ceremonjalnie ukłonili się księciu i wyszli. Namiestnik był już całkiem trzeźwy, ale na serce spadł mu wielki ciężar. W tej chwili

zrozumiał, że popełnił dwa ciężkie błędy: przyznał się kapłanom do tego, że zna ich wielką tajemnicę, i — niemiłosiernie zadrwił z Mefresa.

Oddałby rok życia, gdyby można zatrzeć w ich pamięci całą tę pijacką rozmowę. Ale już było za późno.

„Niema co — myślał — zdradziłem się i kupiłem sobie śmiertelnych wrogów. Ale trudno. Walka zaczyna się w chwili najniekorzystniejszej dla mnie... Lecz idźmy dalej. Niejeden przecie faraon walczył z kapłaństwem i zwyciężył je, nawet nie mając zbyt silnych sprzymierzeńców..."

Tak jednak uczuł niebezpieczeństwo swego położenia, że w tej chwili przysiągł, na świętą głowę ojca, nigdy już nie pić większej ilości wina.

Kazał zawołać Tutmozisa. Powiernik zjawił się natychmiast, zupełnie trzeźwy.

— Mamy wojnę i jestem naczelnym wodzem— rzekł następca.

Tutmozis ukłonił się do ziemi.

— I nigdy już nie będę upijał się — dodał książę. — A wiesz dlaczego?

— Wódz powinien wystrzegać się wina i odurzających woni — odparł Tutmozis.

— Nie pamiętałem o tem i... wygadałem się przed kapłanami...

— Z czem? — zawołał przestraszony Tutmozis.

— Że ich nienawidzę i żartuję z ich cudów...

— Nic nie szkodzi. Oni chyba nigdy nie rachują na ludzką miłość.

— I że znam ich polityczne tajemnice — dodał książę.

— Aj!... — syknął Tutmozis. — To jedno było niepotrzebne...

Mniejsza o to — mówił Ramzes. — Wyślij natychmiast szybkobiegaczów do pułków, ażeby jutro z rana dowódcy zjechali się na radę wojenną. Każ zapalić sygnały alarmowe, ażeby wszystkie wojska Dolnego Egiptu od jutra maszerowały ku zachodniej granicy. Pójdź do nomarchy i zapowiedz mu, aby uwiadomił innych nomarchów o potrzebie gromadzenia żywności, odzieży i broni.

— Będziemy mieli kłopot z Nilem — wtrącił Tutmozis.

— To też niech wszystkie czółna i statki zatrzymają na odnogach Nilowych dla przewozu wojsk. Trzeba też wezwać nomarchów, ażeby zajęli się przygotowaniem pułków rezerwowych...

Tymczasem Mefres i Mentezufis wracali do swych mieszkań, przy świątyni Ptah. Gdy znaleźli się sami, w celi, arcykapłan podniósł ręce do góry i zawołał:

— Trójco nieśmiertelnych bogów: Ozyrysie, Izydo i Horusie — ratujcie Egipt od zagłady!... Jak świat światem, żaden faraon nie wypowiedział tylu bluźnierstw, ile dziś usłyszeliśmy od tego dzieciaka!... Co mówię faraon?... Żaden wróg Egiptu, żaden Cheta, Fenicjanin, Libijczyk nie ośmieliłby się tak znieważać kapłańskiej nietykalności...

— Wino robi człowieka przezroczystym—odparł Mentezufis.

— Ależ w tem młodem sercu kłębi się gniazdo żmij... Poniewiera stan kapłański, szydzi z cudów, nie wierzy w bogów!...

— Najwięcej jednak zastanawia mnie to — rzekł zamyślony Mentezufis—skąd on wie o waszych układach z Beroesem? Bo że wie, na to przysięgnę.

— Dokonano okropnej zdrady — odparł Mefres, chwytając się za głowę.

— Rzecz bardzo dziwna! Było was czterech...

— Wcale nie czterech. Boć o Beroesie wiedziała starsza kapłanka Izydy, dwaj kapłani, którzy mu wskazali drogę do świątyni Seta, i kapłan, który go przyjął u wrót... Czekajno!... — mówił Mefres. — Ten kapłan wciąż siedział w podziemiach... A jeżeli podsłuchiwał?...

— W każdym razie nie sprzedał tajemnicy dzieciakowi, ale komuś poważniejszemu. A to jest niebezpieczne!...

Do celi zapukał arcykapłan świątyni Ptah, święty Sem.

— Pokój wam — rzekł, wchodząc.

— Błogosławieństwo sercu twemu.

— Przyszedłem, bo tak podnosicie głos, jakby stało się jakieś nieszczęście. Chyba nie przeraża was wojna z nędznym Libijczykiem?... — mówił Sem.

— Cobyś też myślał wasza cześć o księciu następcy tronu? — przerwał mu Mentezufis.

— Ja myślę — odparł Sem — że on musi być bardzo kontent z wojny i naczelnego dowództwa. Oto urodzony bohater! Gdy patrzę na niego, przychodzi mi na myśl lew Ramzesa... Ten chłopak go-

tów sam rzucić się na wszystkie bandy libijskie i zaprawdę — może je rozproszyć.

— Ten chłopak — odezwał się Mefres — może wywrócić wszystkie nasze świątynie i zmazać Egipt z oblicza ziemi.

Święty Sem szybko wyjął złoty amulet, który nosił na piersiach, i szepnął:

— Ucieknijcie, złe słowa, na pustynie... Oddalcie się i nie róbcie szkody sprawiedliwym!... Co też wygaduje wasza dostojność!... — rzekł głośniej, tonem wyrzutu.

— Dostojny Mefres mówi prawdę — odezwał się Mentezufis. — Głowaby cię zabolała i żołądek, gdyby ludzkie wargi mogły powtórzyć bluźnierstwa, jakie dziś usłyszeliśmy od tego młodzieniaszka.

— Nie żartuj, proroku—oburzył się arcykapłan Sem. — Prędzej uwierzyłbym, że woda płonie, a powietrze gasi, aniżeli w to, że Ramzes dopuszcza się bluźnierstw!...

— Robi to niby po pijanemu—wtrącił złośliwie Mefres.

— Choćby nawet. Nie przeczę, że jest to książę lekkomyślny i hulaka, ale bluźnierca!...

— Tak i myśmy sądzili—mówił Mentezufis.— A tak byliśmy pewni, że znamy jego charakter, iż gdy wrócił ze świątyni Hator, przestaliśmy nawet rozciągać nad nim kontroli...

— Żal ci było złota na opłacenie dozorców — wtrącił Mefres. — Widzisz, jakie skutki pociąga napozór drobne zaniedbanie!...

— Ale cóż się stało?—pytał niecierpliwie Sem.

— Krótko odpowiem: książę następca drwi z bogów...

— Och!...

— Sądzi rozkazy faraona...

— Czy podobna?...

— Najwyższą radę nazywa zdrajcami...

— Ależ...

— I od kogoś dowiedział się o przybyciu Beroesa, a nawet i o jego widzeniu się z Mefresem, Herhorem i Pentuerem w świątyni Seta...

Arcykapłan Sem porwał się oburącz za głowę i począł biegać po celi.

— Niepodobna... — mówił. — Niepodobna!... Chyba rzucił kto urok na tego młodzieńca... Może owa kapłanka fenicka, którą wykradł ze świątyni?...

Mentezufisowi uwaga ta wydała się trafną, że spojrzał na Mefresa. Ale rozdrażniony arcykapłan nie dał się zbić z tropu.

— Zobaczymy — odparł. — Pierwej jednak trzeba przeprowadzić śledztwo, ażebyśmy dzień po dniu wiedzieli: co robił książę od powrotu ze świątyni Hator? Za dużo miał swobody, za dużo stosunków z niewiernymi i nieprzyjaciółmi Egiptu. A ty, dostojny Semie, pomożesz nam...

Skutkiem tej uchwały, arcykapłan Sem zaraz nazajutrz kazał wzywać lud na uroczyste nabożeństwo do świątyni Ptah.

Stawali tedy na rogach ulic, na placach, nawet na polach heroldowie kapłańscy i zwoływali wszelki lud zapomocą trąb i fletów. A gdy zebrała się dostateczna liczba słuchaczów, donosili im, że w świą-

tyni Ptah przez trzy dni odbywać się będą modły i procesje, na intencję, żeby dobry bóg błogosławił orężowi egipskiemu i pognębił Libijczyków. Zaś na wodza ich, Musawasę, aby zesłał trąd. ślepotę i szaleństwo.

Stało się, jak chcieli kapłani. Od rana do późnej nocy, lud prosty wszelkiego zajęcia gromadził się dokoła murów świątyni, arystokracja i bogaci mieszczanie zbierali się w przysionku zewnętrznym, a kapłani miejscowi i sąsiednich nomesów składali ofiary bogu Ptah i zanosili modły w kaplicy najświętszej.

Trzy razy dziennie wychodziła uroczysta procesja, podczas której obnoszono w złotej łodzi, zasłonionej firankami, czcigodny posąg bóstwa. Przyczem lud padał na twarz i głośno wyznawał nieprawości swoje, a gęsto rozrzuceni w tłumie prorocy, zapomocą stosownych pytań, ułatwiali mu skruchę. To samo działo się w przysionku świątyni. Ponieważ jednak ludzie dostojni i bogaci nie lubili oskarżać się głośno, więc święci ojcowie brali żałujących na stronę i pocichu udzielali im rad i upomnień.

W południe nabożeństwo było najuroczystsze. O tej bowiem godzinie przychodziły wojska, maszerujące na zachód, aby otrzymać błogosławieństwa arcykapłana i odświeżyć potęgę swoich amuletów, mających własność osłabiania nieprzyjacielskich ciosów.

Niekiedy w świątyni rozlegały się grzmoty, a w porze nocnej nad pylonami błyskało się. Był to

znak, że bożek wysłuchał czyichś modłów, albo że rozmawiał z kapłanami.

Kiedy po zakończeniu uroczystości trzej dostojnicy: Sem, Mefres i Mentezufis zeszli się na poufną naradę, sytuacja była już wyjaśniona.

Nabożeństwo przyniosło świątyni około czterdziestu talentów dochodu; lecz około sześćdziesięciu talentów wydano na prezenta lub spłatę długów rozmaitych osób z arystokracji, tudzież wyższych sfer wojskowych.

Wiadomości zaś zebrano następujące:

Między wojskiem krążyła pogłoska, że, byle książę Ramzes wstąpił na tron, rozpocznie z Asyrją wojnę, która biorącym w niej udział zapewni wielkie zyski. Najniższy żołnierz, mówiono, nie wróci z tej wyprawy bez tysiąca drachm, jeżeli nie lepiej.

Między ludem szeptano, że gdy faraon po zwycięstwie wróci z Niniwy, wszystkich chłopów obdarzy niewolnikami i na pewną liczbę lat daruje Egiptowi podatki.

Arystokracja zaś sądziła, że nowy faraon przedewszystkiem—odbierze kapłanom, a zwróci szlachcie wszystkie dobra, które stały się własnością świątyń, jako pokrycie zaciągniętych długów. Mówiono też, że przyszły faraon będzie rządził samowładnie, bez udziału najwyższej rady kapłańskiej.

Wkońcu, we wszystkich warstwach społecznych panowało przekonanie, że książę Ramzes, aby zapewnić sobie pomoc Fenicjan, nawrócił się do bogini Istar i do niej szczególne okazywał nabożeństwo. W każdym razie było rzeczą pewną, że na-

stepca odwiedzał raz świątynię Istar w nocy i widział tam jakieś cuda. Zresztą między bogatymi Azjatami krążyły pogłoski, że Ramzes złożył świątyni wielkie dary, a wzamian dostał stamtąd kapłankę, która miała go utwierdzać w wierze.

Wszystkie te wiadomości zebrał najdostojniejszy Sem i jego kapłani. Zaś ojcowie święci, Mefres i Mentezufis zakomunikowali mu inną nowinę, która przyszła do nich z Memfisu.

Oto — kapłana chaldejskiego i cudotwórcę, Beroesa, przyjmował w podziemiach świątyni Seta kapłan Osochor, który we dwa miesiące później, wydając zamąż swoją córkę, obdarował ją bogatemi klejnotami i kupił nowożeńcom duży folwark. A ponieważ Osochor nie miał tak znacznych dochodów, rodziło się więc podejrzenie, że ów kapłan, podsłuchawszy rozmowę Beroesa z egipskimi dostojnikami, sprzedał następnie tajemnicę traktatu Fenicjanom i otrzymał od nich wielki majątek.

Wysłuchawszy tego, arcykapłan Sem rzekł:

— Jeżeli święty Beroes jest naprawdę cudotwórcą, to przedewszystkiem jego zapytajcie: czy Osochor zdradził tajemnicę?...

— Pytano się o to cudownego Beroesa — odparł Mefres — ale święty mąż powiedział, że w tej sprawie chce milczeć. Dodał też, że choćby nawet ktoś podsłuchał ich układów i doniósł o tem Fenicjanom, Egipt ani Chaldea nie poniosą żadnej szkody. Gdyby więc znalazł się winowajca, należy okazać mu miłosierdzie.

— Święty!... zaiste święty to mąż!...—szepnął Sem.

— A co wasza dostojność — rzekł Mefres do Sema — sądzisz o księciu następcy i niepokojach, jakie wywołało jego postępowanie?...

— Powiem to samo, co Beroes: następca nie zrobi szkody Egiptowi, więc trzeba mieć pobłażliwość...

— Młodzik ten drwi z bogów i cudów, wchodzi do obcych świątyń, buntuje lud... To nie są małe rzeczy!... — mówił z goryczą Mefres, który nie mógł zapomnieć Ramzesowi, że w grubjański sposób zażartował z jego pobożnych praktyk.

Arcykapłan Sem lubił Ramzesa, więc odparł z dobrotliwym uśmiechem:

— Który chłop w Egipcie nie radby mieć niewolnika, ażeby wyrzec się swojej ciężkiej pracy dla słodkiego próżnowania?

A czy jest na świecie człowiek, któryby nie marzył o niepłaceniu podatków? Za to bowiem, co płaci skarbowi jego żona, on sam i dzieci, mogliby sprawić sobie ozdobną odzież i użyć rozmaitych przyjemności.

— Próżniactwo i nadmierne wydatki psują człowieka — odezwał się Mentezufis.

— Który żołnierz — ciągnął Sem — nie chciałby wojny i nie pożądał tysiąca drachm zysku, a nawet i więcej?

Dalej pytam was ojcowie: który faraon, który nomarcha, który szlachcic chętnie płaci zaciągnięte

długi i nie spogląda krzywem okiem na bogactwa świątyń?...

— Bezbożna to pożądliwość!—szepnął Mefres.

— A nareszcie — mówił Sem — który następca tronu nie marzył o ograniczeniu powagi kapłanów? który faraon, w początkach panowania, nie chciał otrząsnąć się z pod wpływu najwyższej rady?

— Słowa twoje są pełne mądrości — rzekł Mefres — ale do czego one mogą nas doprowadzić?

— Do tego, abyście nie oskarżali następcy przed najwyższą radą. Bo przecie niema sądu, który potępiłby księcia zato, że chłopi radziby nie płacić podatków, albo że żołnierze chcą wojny. Owszem, was mogłaby spotkać wymówka. Bo gdybyście dzień po dniu śledzili księcia i hamowali jego drobne wybryki, nie byłoby dziś piramidy oskarżeń, w dodatku — na niczem nie opartych.

W podobnych sprawach nie to jest złem, że ludzie mają skłonność do grzechu, bo oni mieli ją zawsze. Ale to jest niebezpieczne, że myśmy ich nie pilnowali. Nasza święta rzeka, matka Egiptu, bardzo prędko zamuliłaby kanały, gdyby inżynierowie zaprzestali czuwać nad nią.

— A co powiesz, wasza dostojność, o wymysłach, jakich książę dopuścił się w rozmowie z nami? Czy przebaczysz ohydne drwiny z cudów?...—spytał Mefres. — Przecie ten młodzik ciężko znieważył moją pobożność...

— Sam się obraża, kto rozmawia z pijakiem — odparł Sem. — Zresztą, wasze dostojności nie mieliście prawa rozmawiać o najważniejszych sprawach

państwa z nietrzeźwym księciem... A nawet popełniliście błąd, mianując pijanego człowieka wodzem armji. Wódz bowiem musi być trzeźwy.

— Korzę się przed waszą mądrością — rzekł Mefres — ale głosuję za podaniem skargi na następcę do rady najwyższej.

— A ja głosuję przeciw skardze — odparł energicznie Sem. — Rada musi dowiedzieć się o wszystkich postępkach namiestnika, ale nie w formie skargi, tylko zwykłego raportu.

Arcykapłan Mefres, widząc, że ma przeciw sobie dwa głosy, ustąpił z żądaniem skargi na księcia. Ale wyrządzoną zniewagę zapamiętał i niechęć ukrył w sercu.

ROZDZIAŁ XVI.

Za radą astrologów, główna kwatera miała wyruszyć z Pi-Bast w dniu 7-ym Hator. Ten bowiem dzień był „dobry, dobry, dobry". Bogowie w niebie, a ludzie na ziemi cieszyli się ze zwycięstwa Ra nad nieprzyjaciółmi; kto zaś przyszedł na świat w tej dobie, miał umrzeć w późnej starości, otoczony szacunkiem.

Był to również dzień pomyślny dla brzemiennych kobiet i handlujących tkaninami, a zły dla żab i myszy.

Od chwili mianowania go naczelnym wodzem, Ramzes gorączkowo rzucił się do pracy. Sam przyjmował każdy nadciągający pułk, oglądał jego broń,

odzież i obozy. Sam witał rekrutów i zachęcał ich do pilnego uczenia się mustry na zgubę wrogów i chwałę faraona. Prezydował na każdej radzie wojennej, był obecny przy badaniu każdego szpiega i, w miarę nadchodzących wiadomości, własną ręką oznaczał na mapie ruchy wojsk egipskich i stanowiska nieprzyjaciół.

Przejeżdżał tak prędko z miejsca na miejsce, że wszędzie go oczekiwano, a mimo to spadał nagle, jak jastrząb. Z rana był na południe od Pi-Bast i zrewidował żywność; w godzinę później ukazał się na północ od miasta i wykrył, że w pułku Ieb brakuje 150 ludzi. Nad wieczorem dogonił przednie straże, był przy przejściu Nilowej odnogi i zrobił przegląd 200 wozów wojennych.

Święty Mentezufis, który, jako pełnomocnik Herhora, dobrze znał się na sztuce wojennej, nie mógł wyjść z podziwu.

— Wiecie, dostojnicy — rzekł do Sema i Mefresa — że nie lubię następcy od czasu, gdym odkrył jego złość i przewrotność. Ale niech Ozyris będzie mi świadkiem, że młodzian ten jest urodzonym wodzem. Powiem wam rzecz niesłychaną: my nad granicą o trzy lub cztery dni wcześniej zgromadzimy siły, aniżeli można było przypuszczać. Libijczycy już przegrali wojnę, choć jeszcze nie usłyszeli świstu naszej strzały!...

— Tem niebezpieczniejszy dla nas taki faraon... — wtrącił Mefres, z zaciętością, cechującą starców.

Ku wieczorowi dnia 6-go Hator książę Ramzes

wykąpał się i oświadczył sztabowi, że jutro na dwie godziny przed wschodem słońca wyruszą.

— A teraz chcę się wyspać — zakończył.

Łatwiej jednak było chcieć, aniżeli spać.

W całem mieście roili się żołnierze, a przy pałacu następcy obozował pułk, który jadł, pił i śpiewał, ani myśląc o odpoczynku.

Książę odszedł do najodleglejszego pokoju, lecz i tu nie pozwolono mu się rozebrać. Co kilka minut przylatywał jakiś adjutant z nic nie znaczącym raportem, lub po rozkazy w sprawach, które mógł na miejscu rozstrzygnąć dowódca pułku. Przyprowadzono szpiegów, którzy nie przynosili żadnych nowych wiadomości; zgłaszali się wielcy panowie z małym pocztem ludzi, pragnąc księciu ofiarować usługi, jako ochotnicy. Dobijali się kupcy feniccy, pragnący wziąć dostawy dla wojska, lub dostawcy, którzy skarżyli się na wymagania generałów.

Nie brakło nawet wróżbitów i astrologów, którzy w ostatniej chwili przed wymarszem chcieli księciu stawiać horoskopy, tudzież czarnoksiężników, mających do sprzedania niezawodne amulety przeciw pociskom.

Wszyscy ci ludzie poprostu wdzierali się do pokoju księcia: każdy z nich bowiem sądził, że w jego rękach spoczywa los wojny i że w podobnych okolicznościach znika wszelka etykieta.

Następca cierpliwie załatwiał interesantów. Ale, gdy za astrologiem wsunęła się do pokoju jedna z książęcych kobiet, z pretensją, że Ramzes snadź jej nie kocha, gdyż się z nią nie pożegnał i kiedy

w kwadrans po tej, za oknem rozległ się płacz innej kochanki, następca już nie mógł wytrzymać.

Zawołał Tutmozisa i rzekł mu:

— Siedź w tym pokoju i, jeżeli masz ochotę, pocieszaj kobiety mego domu. Ja ukryję się gdzieś w ogrodzie, bo inaczej nie zasnę i jutro będę wyglądał jak kura, wydobyta ze studni.

— Gdzież mam cię szukać w razie potrzeby?— spytał Tutmozis.

— Oho! ho!... — roześmiał się następca. — Nigdzie nie szukajcie. Sam się znajdę, gdy zatrąbią pobudkę.

To powiedziawszy, książę narzucił na siebie długi płaszcz z kapturem i wymknął się do ogrodu.

Ale i po ogrodzie snuli się żołnierze, kuchciki i inna służba następcy: w całym bowiem obszarze pałacowym zniknął porządek, jak zwykle przed wymarszem na wojnę. Spostrzegłszy to, Ramzes skręcił w najgęstszą część parku, znalazł jakąś altankę zarosłą winem i kontent rzucił się na ławę.

— Tu już nie znajdą mnie — mruknął — ani kapłani, ani baby...

Wnet zasnął, jak kamień.

Od kilku dni Fenicjanka Kama czuła się niezdrową. Do rozdrażnienia przyczyniło się jakieś szczególne niedomaganie i bóle w stawach. Przytem swędziła ją twarz, a szczególnie czoło nad brwiami.

Drobne te przypadłości wydały jej się tak niepokojącemi, że przestała obawiać się, ażeby jej nie zabito, ale natomiast ciągle siedziała przed lustrem, zapowiedziawszy sługom, że mogą robić co im się

spodoba, byle ją zostawili w spokoju. W tych czasach nie myślała ani o Ramzesie, ani o nienawistnej Sarze; cała jej bowiem uwaga była zajęta — plamami na czole, których nienawykłe oko nie mogłoby nawet dostrzec.

— Plama... tak, są plamy... — mówiła do siebie pełna bojaźni. — Dwie... trzy... O Astoreth, przecie w taki sposób nie zechcesz ukarać swej kapłanki!... Lepsza śmierć... Ale co znowu za głupstwo?... Gdy czoło pocieram palcami, plamy robią się czerwieńsze... Widocznie coś mnie pokąsało, albo namaściłam się nieczystą oliwą... Umyję się, a do jutra plamy zginą...

Przyszło jutro, ale plamy nie zginęły.

Zawołała służącą.

— Słuchaj — rzekła — spojrzyj na mnie...

Lecz, powiedziawszy to, usiadła w mniej oświetlonej części pokoju.

— Słuchaj i patrz... — mówiła zduszonym głosem. — Czy... czy na mojej twarzy widzisz jakie plamy?... Tylko... nie zbliżaj się!...

— Nie widzę nic — odparła służąca.

— Ani pod lewem okiem?... ani nad brwiami?... — pytała ze wzrastającem rozdrażnieniem Fenicjanka.

— Niech pani raczy łaskawie usiąść boskiem obliczem do światła — rzekła służąca.

Naturalnie to żądanie do wściekłości doprowadziło Kamę.

— Precz nędznico!... — zawołała — i nie pokazuj mi się...

A gdy służąca uciekła, jej pani rzuciła się gorączkowo do tualety i, otworzywszy parę słoików, zapomocą pendzelka umalowała sobie twarz na różowy kolor.

Nad wieczorem, czując wciąż ból w stawach i gorszy od bólu niepokój, kazała wezwać do siebie lekarza. Gdy powiedziano jej, że przyszedł, spojrzała w lustro i — napadł ją nowy atak, jakby szaleństwa. Rzuciła lustro na podłogę i zawołała z płaczem, że nie chce lekarza.

W ciągu 6-go Hator cały dzień nie jadła i nie chciała się z nikim widzieć.

Gdy po zachodzie słońca weszła niewolnica ze światłem, Kama położyła się na łóżku, owinąwszy głowę szalem. Kazała czemprędzej wynosić się niewolnicy, potem usiadła na fotelu zdaleka od kagańca i przepędziła kilka godzin w półsennem odrętwieniu.

„Niema żadnych plam — myślała — a jeżeli są, to przecież nie te... To nie trąd...“

— Bogowie!... — krzyknęła, rzucając się na ziemię — nie może być, ażebym ja... Bogowie, ratujcie!... Wrócę do świątyni... odpokutuję całem życiem...

I znowu uspokoiła się i znowu myślała:

„Nie mam żadnych plam... Od kilku dni trę sobie skórę, więc jest zaczerwieniona... Skądżeby znowu?... Czy kto słyszał, ażeby kapłanka i kobieta następcy tronu mogła zachorować na trąd?... O bogowie!... Tego nigdy nie było, jak świat światem!... Tylko rybacy, więźniowie i nędzni żydzi... O, ta

podła żydówka!... na nią spuśćcie trąd, moce niebieskie...“

W tej chwili w oknie, które było na pierwszem piętrze, mignął jakiś cień. Potem rozległ się szelest i ze dworu na środek pokoju skoczył... książę Ramzes...

Kama osłupiała. Nagle schwyciła się za głowę, a w jej oczach odmalował się — strach bezgraniczny.

— Lykon?... — szepnęła, chwytając się za głowę. — Lykon, tyś tu?... Zginiesz!... Ścigają cię...

— Wiem — odparł Grek, śmiejąc się szyderczo. — Ścigają mnie wszyscy Fenicjanie i cała policja jego świątobliwości...

— Mimo to — dodał — jestem u ciebie i byłem u twego pana...

— Byłeś u księcia?...

— Tak, w jego własnej komnacie... I zostawiłbym mu sztylet w piersi, gdyby złe duchy nie usunęły go... Widocznie twój kochanek poszedł do innej kobiety, nie do ciebie...

— Czego tu chcesz?... Uciekaj!... — szeptała Kama.

— Ale z tobą — odparł. — Na ulicy czeka wóz, którym dojedziemy do Nilu, a tam moja barka...

— Oszalałeś!... Ależ miasto i drogi pełne wojska...

— Właśnie dlatego mogłem wejść do pałacu i oboje wymkniemy się najłatwiej — mówił Lykon. — Zbierz wszystkie kosztowności... Wnet wrócę i zabiorę cię...

— Dokąd idziesz?...

— Poszukam twego pana — odparł. — Nie odejdę przecie bez zostawienia mu pamiątki...

— Tyś szalony...

— Milcz!... — przerwał, blady z gniewu — Jeszcze go chcesz bronić?...

Fenicjanka zachwiała się, zacisnęła pięści, a w jej oczach błysnęło złowrogie światło.

— A jeżeli nie znajdziesz go?... — spytała.

— To zabiję kilku śpiących jego żołnierzy... podpalę pałac... Zresztą — czy ja wiem, co zrobię... Ale bez pamiątki nie odejdę...

Wielkie oczy Fenicjanki miały tak okropny wyraz, że Lykon zdziwił się.

— Co tobie?... — spytał.

— Nic. Słuchaj. Nigdy nie byłeś tak podobny do księcia, jak dziś!... Jeżeli więc chcesz zrobić coś dobrego...

Zbliżyła twarz do jego ucha i zaczęła szeptać.

Grek słuchał zdumiony.

— Kobieto — rzekł — najgorsze duchy mówią przez ciebie...

Tak, na niego zwróci się podejrzenie!...

— To lepsze, aniżeli sztylet — odparła ze śmiechem. — Co?...

— Nigdy nie wpadłem na taki pomysł!... A może lepiej oboje?...

— Nie!... Ona niech żyje... To będzie moja zemsta...

— Cóż to za przewrotna dusza!... — szepnął Lykon.

Ale podobasz mi się... Po królewsku zapłacimy im...

— Cofnął się do okna i zniknął. Kama wychyliła się za nim i rozgorączkowana, zapomniawszy o sobie, słuchała.

Może w kwadrans po odejściu Lykona, w stronie gaju figowego rozległ się przeraźliwy krzyk kobiecy. Powtórzył się parę razy i ucichnął.

Fenicjankę, zamiast spodziewanej radości, ogarnął strach. Upadła na kolana i obłąkanemi oczyma wpatrywała się w ciemny ogród.

Na dole rozległ się cichy bieg, zatrzeszczał słup ganku i w oknie znowu ukazał się Lykon w ciemnym płaszczu. Gwałtownie dyszał i ręce mu drżały.

— Gdzie klejnoty?... — szepnął.

— Daj mi spokój — odparła.

Grek pochwycił ją za kark.

— Nędznico!... — rzekł — czy nie rozumiesz, że nim słońce wejdzie, uwięzą cię i za parę dni uduszą?...

— Jestem chora...

— Gdzie klejnoty?...

— Stoją pod łóżkiem.

Lykon wszedł do komnaty, przy świetle kaganka wydobył ciężką skrzyneczkę, zarzucił na Kamę płaszcz i targnął ją za ramię.

— Zabieraj się. Gdzie są drzwi, któremi wchodzi do ciebie ten... ten twój pan?...

— Zostaw mnie...

Grek pochylił się nad nią i szeptał:

— Aha!... myślisz, że cię tu zostawię?... Dziś

tyle dbam o ciebie, co o sukę, która węch straciła... Ale musisz iść ze mną... Niech dowie się twój pan, że jest ktoś lepszy od niego. On wykradł kapłankę bogini, a ja zabieram kochankę jemu...

— Mówię ci, że jestem chora...

Grek wydobył cienki sztylet i oparł jej na karku. Zatrzęsła się i szepnęła:

— Już idę...

Przez ukryte drzwi wyszli do ogrodu. Od strony książęcego pałacu dolatywał ich szmer żołnierzy, którzy palili ognie. Tu i owdzie, między drzewami, widać było światła; od czasu do czasu minął ich ktoś ze służby następcy. W bramie zatrzymała ich warta:

— Kto jesteście?

— Teby — odparł Lykon.

Bez przeszkody wyszli na ulicę i zniknęli w zaułkach cudzoziemskiego cyrkułu w Pi-Bast.

Na dwie godziny przed świtem w mieście odezwały się trąby i bębny.

Tutmozis jeszcze leżał, pogrążony w głębokim śnie, kiedy książę Ramzes ściągnął z niego płaszcz i zawołał z wesołym śmiechem:

— Wstawaj, czujny wodzu!... Już pułki ruszyły.

Tutmozis usiadł na łóżku i przetarł zaspane oczy.

— Ach, to ty panie?... — spytał, ziewając. — Cóż wyspałeś się?

— Jak nigdy! — odparł książę.

— A jabym jeszcze spał.

Wykąpali się obaj, włożyli kaftany i półpance-

rze i dosiedli koni, które rwały się z rąk masztelarzom.

Wnet następca z małą świtą opuścił miasto, wyprzedzając po drodze leniwie maszerujące kolumny wojsk. Nil bardzo rozlał, a książę chciał być obecny przy przechodzeniu kanałów i brodów.

Gdy słońce weszło, ostatni wóz obozowy był już daleko za miastem, a dostojny nomarcha Pi-Bast mówił do swojej służby:

— Teraz idę spać i biada temu, kto zbudzi mnie przed ucztą wieczorną! Nawet boskie słońce odpoczywa po każdym dniu, ja zaś od 1-go Hator nie kładłem się.

Zanim dokończył pochwały swojej czujności, wszedł oficer policyjny i poprosił go o osobne posłuchanie w bardzo ważnej sprawie.

— Bodaj was ziemia pochłonęła! — mruknął dostojny pan.

Jednakże kazał wezwać oficera i spytał go opryskliwie:

— Nie można to zaczekać kilku godzin?... Przecie chyba Nil nie ucieka...

— Stało się wielkie nieszczęście — odparł oficer. — Syn następcy tronu zabity...

— Co?... jaki?... — krzyknął nomarcha.

— Syn Sary żydówki.

— Kto zabił?... kiedy?...

— Dziś w nocy.

— Ale kto to mógł zrobić?...

Oficer schylił głowę i rozłożył ręce.

— Pytam się, kto zabił?... — powtórzył dostojnik, więcej przerażony, aniżeli rozgniewany.

— Sam panie racz przeprowadzić śledztwo. Usta moje nie powtórzą tego, co słyszały uszy.

Przerażenie nomarchy wzrosło. Kazał przyprowadzić służbę Sary, a jednocześnie posłał po arcykapłana Mefresa. Mentezufis bowiem, jako przedstawiciel ministra wojny, pojechał z księciem.

Przyszedł zdziwiony Mefres. Nomarcha powtórzył mu wiadomość o zabójstwie dziecka następcy i o tem, że oficer policyjny nie śmie dawać żadnych objaśnień.

— A świadkowie są? — spytał arcykapłan.

— Czekają na rozkazy waszej dostojności, ojcze święty.

Wprowadzono odźwiernego Sary.

— Słyszałeś — zapytał go nomarcha — że dziecko twej pani zabite?

Człowiek upadł na ziemię i odpowiedział:

— Nawet widziałem dostojne zwłoki, rozbite o ścianę, i zatrzymałem naszą panią, która, krzycząc, wybiegła na ogród...

— Kiedy się to stało?

— Dziś po północy. Zaraz po przyjściu do naszej pani najdostojniejszego księcia następcy... — odparł stróż...

— Jakto, więc książę był w nocy u waszej pani? — spytał Mefres.

— Rzekłeś, wielki proroku.

— To dziwne! — szepnął Mefres do nomarchy.

Drugim świadkiem była kucharka Sary, trze-

cim dziewczyna służebna. Obie twierdziły, że po północy książę następca wszedł na piętro do pokoju Sary. Bawił tam chwilę, potem prędko wybiegł do ogrodu, a wnet po nim ukazała się pani Sara, strasznie krzycząc.

— Ależ książę następca przez całą noc nie wychodził ze swej komnaty w pałacu... — rzekł nomarcha.

Oficer policyjny pokręcił głową i oświadczył, że czeka w przedpokoju kilku ludzi ze służby pałacowej.

Wezwano ich, święty Mefres zadał im pytania, i okazało się, że następca tronu... nie spał w pałacu!... Opuścił swoją komnatę przed północą i wyszedł do ogrodu; wrócił zaś, gdy odezwały się pierwsze trąbki, grające pobudkę.

Gdy wprowadzono świadków, a dwaj dostojnicy zostali sami, nomarcha z jękiem rzucił się na podłogę i zapowiedział Mefresowi, że jest ciężko chory i że woli stracić życie, aniżeli prowadzić śledztwo. Arcykapłan był bardzo blady i wzruszony, ale odparł, że sprawę zabójstwa trzeba wyświetlić, i rozkazał nomarsze w imieniu faraona, ażeby poszedł z nim do mieszkania Sary.

Do ogrodu następcy było niedaleko, i dwaj dostojnicy niebawem znaleźli się na miejscu zbrodni.

Wszedłszy do pokoju na piętrze, zobaczyli Sarę, klęczącą przy kołysce w takiej postawie, jakby karmiła niemowlę. Na ścianie i na podłodze czerwieniły się krwawe plamy.

Nomarcha osłabł tak, że musiał usiąść, ale Me-

fres był spokojny. Zbliżył się do Sary, dotknął jej ramienia i rzekł:

— Pani, przychodzimy tu w imieniu jego świątobliwości...

Sara nagle zerwała się na równe nogi, a zobaczywszy Mefresa, zawołała strasznym głosem:

— Przekleństwo wam!... Chcieliście mieć żydowskiego króla, a oto król... O, czemużem nieszczęsna usłuchała waszych rad zdradzieckich!...

Zatoczyła się i znowu przypadła do kołyski, jęcząc:

— Mój synek... mój mały Seti!... Taki był piękny, taki mądry... Dopiero co wyciągał do mnie rączki... Jehowo!... — krzyknęła — oddaj mi go, wszakże to w twojej mocy... Bogowie egipscy, Ozyrisie... Horusie... Izydo... Izydo..., przecie ty sama byłaś matką!... Nie może być, ażeby w niebiosach nikt nie wysłuchał mojej prośby... Takie malutkie dziecko... hiena ulitowałaby się nad niem...

Arcykapłan ujął ją pod ramiona i postawił na nogach. Pokój zapełniła policja i służba.

— Saro — rzekł arcykapłan — w imieniu jego świątobliwości pana Egiptu wzywam cię i rozkazuję, ażebyś powiedziała: kto zamordował twego syna?

Patrzała przed siebie jak obłąkana i tarła czoło. Nomarcha podał jej wody z winem, a jedna z obecnych kobiet skropiła ją octem.

— W imieniu jego świątobliwości — powtórzył Mefres — rozkazuję ci, Saro, ażebyś powiedziała nazwisko zabójcy...

Obecni zaczęli się cofać ku drzwiom, nomarcha rozpaczliwym ruchem zasłonił sobie uszy.

— Kto zabił?... — rzekła Sara zduszonym głosem, topiąc wzrok w twarzy Mefresa. — Kto zabił, pytasz?... Znam ja was — kapłani!... Znam waszą sprawiedliwość...

— Więc kto?... — nalegał Mefres.

— Ja!... — krzyknęła nieludzkim głosem Sara. — Ja zabiłam moje dziecko, zato, że zrobiliście je żydem.

— To fałsz! — syknął arcykapłan.

— Ja... ja!... — powtórzyła Sara. — Hej, ludzie, którzy mnie widzicie i słyszycie — zwróciła się do świadków — wiedźcie o tem, że ja zabiłam... ja... ja... ja!... — krzyczała, bijąc się w piersi.

Na tak wyraźne oskarżenie samej siebie, nomarcha oprzytomniał i ze współczuciem patrzył na Sarę; kobiety szlochały, odźwierny ocierał łzy. Tylko święty Mefres zacinał sine usta. Wreszcie rzekł dobitnym głosem, patrząc na urzędników policyjnych:

— Słudzy jego świątobliwości, oddaję wam tę kobietę, którą macie odprowadzić do gmachu sądowego...

— Ale syn mój ze mną!... — wtrąciła Sara, rzucając się do kołyski.

— Z tobą... z tobą, biedna kobieto — rzekł nomarcha i zasłonił twarz.

Dostojnicy wyszli z komnaty. Oficer policyjny kazał przynieść lektykę i z oznakami najwyższego szacunku sprowadził na dół Sarę. Nieszczęśliwa

wzięła z kołyski krwią poplamione zawiniątko i bez oporu siadła do lektyki.

Cała służba poszła za nią do gmachu sądowego.

Gdy Mefres z nomarchą wracali do siebie przez ogród, naczelnik prowincji odezwał się wzruszony:

— Żal mi tej kobiety!...

— Słusznie będzie ukarana... za kłamstwo — odparł arcykapłan.

— Wasza dostojność myślisz...

— Jestem pewny, że bogowie znajdą i osądzą prawdziwego mordercę...

Przy furtce ogrodowej zabiegł im drogę rządca pałacu Kamy, wołając:

— Niema Fenicjanki!... Zniknęła tej nocy...

— Nowe nieszczęście... — szepnął nomarcha.

— Nie lękaj się — rzekł Mefres — pojechała za księciem.

Z tych odzywań się dostojny nomarcha poznał, że Mefres nienawidzi księcia i — serce w nim zamarło. Jeżeli bowiem dowiodą Ramzesowi, że zabił własnego syna, następca nigdy nie wstąpi na tron ojcowski, a twarde jarzmo kapłańskie jeszcze mocniej zaciąży nad Egiptem.

Smutek dostojnika powiększył się, gdy mu powiedziano wieczorem, że dwaj lekarze ze świątyni Hator, obejrzawszy trup dziecięcia, wyrazili przekonanie, iż zabójstwo mógł spełnić tylko mężczyzna. Ktoś — mówili — schwycił prawą ręką za obie nóżki chłopczyka i rozbił mu głowę o ścianę. Ręka zaś

Sary nie mogła objąć obu nóżek, na których wreszcie znać było ślady dużych palców.

Po tem objaśnieniu, arcykapłan Mefres, w towarzystwie arcykapłana Sema, poszedł do więzienia do Sary i zaklinał ją na wszystkie bogi egipskie i cudzoziemskie, aby oświadczyła, że ona nie jest winna śmierci dziecka i ażeby opisała: jak wyglądał sprawca zbrodni?

— Zawierzymy słowom twoim — mówił Mefres — i zaraz będziesz wolna.

Ale Sara, zamiast wzruszyć się tym dowodem życzliwości, wpadła w gniew.

— Szakale — wołała — niedość wam dwu ofiar, że jeszcze pożądacie nowych?... Ja to zrobiłam nieszczęsna, ja... bo któż inny byłby tak nikczemnym, ażeby zabijać dziecko?... Małe dzieciątko, które nikomu nie szkodziło!...

— A czy wiesz, uparta kobieto, co ci grozi? — zapytał święty Mefres. — Przez trzy dni będziesz na ręku trzymała zwłoki twego dziecka, a potem pójdziesz do więzienia na piętnaście lat.

— Tylko trzy dni? — powtórzyła. — Ależ ja na wieki nie chcę się z nim rozłączać, z moim małym Setim... I nie do więzienia, ale do grobu pójdę za nim, a pan mój razem każe nas pochować...

Gdy arcykapłani opuścili Sarę, odezwał się najpobożniejszy Sem:

— Zdarzyło mi się widzieć matki dzieciobójczynie i sądzić je; ale żadna nie była podobna do tej.

— Bo też ona nie zabiła swego dziecka — odparł gniewnie Mefres.

— Więc kto?...

— Ten, którego widziała służba, kiedy wpadł do domu Sary i w chwilę później uciekł... Ten, który, idąc na nieprzyjaciela, zabrał z sobą fenicką kapłankę Kamę, która splugawiła ołtarz... Ten wreszcie — dokończył z uniesieniem Mefres — który wygnał z domu Sarę i uczynił ją niewolnicą, zato, że jej syn został żydem...

— Okropne są twoje słowa! — odparł zatrwożony Sem.

— Zbrodnia jest gorszą i, pomimo uporu tej głupiej kobiety, będzie odkryta.

Ani przypuszczał święty mąż, że bardzo prędko spełni się jego proroctwo.

A stało się to następującym sposobem.

Jeszcze książę Ramzes, wyruszając z wojskiem z Pi-Bast, nie zdążył opuścić pałacu, kiedy naczelnik policji już wiedział o zabiciu dziecka Sary, o ucieczce Kamy i o tem, że służba Sary widziała księcia wchodzącego w nocy do jej domu. Naczelnik policji był człowiek bystry; domyślił się kto mógł popełnić zbrodnię i, zamiast prowadzić na miejscu śledztwo, popędził za miasto ścigać winnych, uprzedziwszy o tem, co zaszło, Hirama.

I otóż w tym czasie, gdy Mefres usiłował wydobyć zeznanie Sary, najdzielniejsi agenci pi-basteńskiej policji, tudzież wszyscy Fenicjanie, pod przewództwem Hirama, już ścigali Greka Lykona i kapłankę Kamę.

Jakoż trzeciej nocy po wymaszerowaniu księcia, naczelnik policji wrócił do Pi-Bast, prowadząc

za sobą dużą, okrytą płótnem klatkę, w której jakaś kobieta krzyczała w niebogłosy. Nie kładąc się spać, naczelnik wezwał oficera, który prowadził śledztwo i z uwagą wysłuchał jego raportu.

O wschodzie słońca dwaj arcykapłani Sem i Mefres, tudzież pi-basteński nomarcha otrzymali najpokorniejsze wezwanie, aby raczyli natychmiast, jeżeli taka będzie ich wola, przybyć do naczelnika policji. Jakoż wszyscy trzej zeszli się o tej samej godzinie; zaś naczelnik policji, nisko kłaniając się, począł błagać ich, aby mu opowiedzieli wszystko, co wiedzą o zabójstwie dziecka następcy tronu.

Nomarcha, choć wielki dostojnik, pobladł, usłyszawszy to pokorne wezwanie, i odpowiedział, że nic nie wie. Prawie to samo powtórzył arcykapłan Sem, dodając od siebie uwagę, że Sara wydaje mu się niewinną. Gdy zaś przyszła kolej na świętego Mefresa, ten rzekł:

— Nie wiem, czy wasza dostojność słyszałeś, że w nocy, kiedy spełniono zbrodnię, uciekła jedna z książęcych kobiet, imieniem Kama?

Naczelnik policji zdawał się być mocno zdziwionym.

— Nie wiem również — ciągnął Mefres — czy powiedziano waszej dostojności, że następca tronu nie nocował w pałacu i że był w domu Sary? Odźwierny i dwie służące poznały go, gdyż noc była dość widna.

Podziw naczelnika policji zdawał się dosięgać szczytu.

— Wielka szkoda — zakończył arcykapłan — że waszej dostojności nie było parę dni w Pi-Bast...

Naczelnik bardzo nisko ukłonił się Mefresowi i zwrócił się do nomarchy:

— Czy wasza cześć nie raczyłbyś łaskawie powiedzieć mi: jak był ubrany książę owego wieczora?...

— Miał biały kaftan i purpurowy fartuszek, obszyty złotemi frendzelkami — odparł nomarcha. — Dobrze pamiętam, gdyż byłem jednym z ostatnich, którzy rozmawiali z księciem owego wieczora.

Naczelnik policji klasnął w ręce i do biura wszedł odźwierny Sary.

— Widziałeś księcia — zapytał go — kiedy wchodził w nocy do domu twej pani?

— Otwierałem furtkę jego dostojności, oby żył wiecznie...

— A pamiętasz, jak był ubrany?...

— Miał kaftan w pasy żółte i czarne, taki sam czepek i fartuszek niebieski z czerwonem — odpowiedział odźwierny.

Teraz obaj kapłani i nomarcha zaczęli się dziwić.

Gdy zaś wprowadzono po kolei obie sługi Sary, które dokładnie powtórzyły opis ubioru księcia, oczy nomarchy zapłonęły radością, a na twarzy świętego Mefresa widać było zmieszanie.

— Przysięgnę — wtrącił dostojny nomarcha— że książę miał biały kaftan i purpurowy ze złotem fartuszek...

— A teraz — odezwał się naczelnik policji —

raczcie najczcigodniejsi udać się ze mną do więzienia. Zobaczymy tam jeszcze jednego świadka...

Zeszli na dół, do podziemnej sali, gdzie pod oknem stała wielka klatka przykryta płótnem. Naczelnik policji odrzucił kijem płótno, a obecni zobaczyli w kącie leżącą kobietę.

— Ależ to jest pani Kama!... — zawołał nomarcha.

Była to istotnie Kama, chora i bardzo zmieniona. Gdy na widok dostojników podniosła się i stanęła w świetle, obecni zobaczyli jej twarz pokrytą miedzianemi plamami. Oczy miała jak obłąkane.

— Kamo — rzekł naczelnik policji — bogini Astoreth dotknęła cię trądem...

— To nie bogini!... — odezwała się zmienionym głosem. — To nikczemni Azjaci podrzucili mi zatruty welon... O, ja nieszczęśliwa...

— Kamo — ciągnął naczelnik policji — nad nędzą twoją ulitowali się najznakomitsi nasi arcykapłani, święci Sem i Mefres. Jeżeli odpowiesz prawdę, pomodlą się za ciebie i — może wszechmocny Oziris odwróci od ciebie klęskę. Jeszcze czas, choroba się dopiero zaczyna, a nasi bogowie dużo mogą.

Chora kobieta upadła na kolana i, przyciskając twarz do kraty, mówiła złamanym głosem:

— Ulitujcie się nade mną... Wyrzekłam się bogów fenickich i służbę moją do końca życia poświęcę wielkim bogom Egiptu... Tylko oddalcie ode mnie...

— Odpowiedz, ale prawdę — pytał naczelnik policji — a bogowie nie odmówią ci swej łaski: kto zabił dziecko żydówki Sary?...

— Zdrajca Lykon, Grek... Był śpiewakiem naszej świątyni i mówił, że mnie kocha... A teraz rzucił mnie, nikczemnik, zabrawszy moje klejnoty!...

— Dlaczego Lykon zabił dziecko?

— Chciał zabić księcia, lecz, nie znalazłszy go w pałacu, pobiegł do domu Sary i...

— Jakim sposobem zbrodniarz dostał się do pilnowanego domu?

— Albo to nie wiesz, panie, że Lykon jest podobny do księcia?... Podobni są, jak dwa liście jednej palmy...

— Jak był ubrany Lykon tej nocy?... — pytał dalej naczelnik policji.

— Miał... miał kaftan w żółte i czarne pasy... takiż czepek i fartuszek czerwony z niebieskim... Już nie męczcie mnie... wróćcie mi zdrowie... Zlitujcie się... będę wierna waszym bogom... Czy już wychodzicie?... O, miłosierni!...

— Biedna kobieta — odezwał się arcykapłan Sem—przyślę ci tu potężnego cudotwórcę i może...

— O niech was błogosławi Astoreth... Nie, niech was błogosławią wasi bogowie wszechmocni i litościwi...—szeptała, okrutnie znękana, Fenicjanka.

Dostojnicy wyszli z więzienia i wrócili do biura. Nomarcha, widząc, że arcykapłan Mefres ma wciąż spuszczone oczy i zacięte usta, zapytał go:

— Czy nie cieszysz się, mężu święty, z tych cudownych odkryć, jakie porobił nasz sławny naczelnik policji?

— Nie mam powodu do radości — odparł szorstko Mefres. — Sprawa, zamiast uprościć, wi-

kła się... Bo przecież Sara wciąż twierdzi, że ona zabiła dziecko, a zaś Fenicjanka tak odpowiada, jakby ją wyuczono...

— Nie wierzysz zatem wasza dostojność?...— wtrącił naczelnik policji.

— Bo nigdy nie widziałem dwu ludzi tak podobnych do siebie, ażeby jeden mógł być wzięty za drugiego. Tem bardziej zaś nie słyszałem, ażeby w Pi-Bast istniał człowiek, mogący udawać naszego następcę tronu (oby żył wiecznie!...).

— Człowiek ten — rzekł naczelnik policji — był w Pi-Bast, przy świątyni Astoreth. Znał go syryjski książę Hiram i na własne oczy widział go nasz namiestnik. Owszem, niezbyt dawno wydał mi rozkaz schwytania go i nawet obiecał wysoką nagrodę.

— Ho! ho! — zawołał Mefres. — Widzę, dostojny naczelniku policji, że około ciebie zaczynają skupiać się najwyższe tajemnice państwa. Pozwól jednak, że dopóty nie uwierzę w owego Lykona, dopóki go sam nie zobaczę!...

I rozgniewany opuścił biuro, a za nim święty Sem, wzruszając ramionami.

Kiedy w kurytarzu ucichły ich kroki, nomarcha, spojrzawszy bystro na naczelnika policji, rzekł:

— Co?...

— Zaprawdę — odparł naczelnik — święci prorocy zaczynają się dziś mieszać nawet do tych rzeczy, które nigdy nie podchodziły pod ich władzę...

— I my to musimy cierpieć!... — szepnął nomarcha.

— Do czasu — westchnął naczelnik policji. — Gdyż, o ile znam ludzkie serca, wszyscy wojskowi i urzędnicy jego świątobliwości, cała wreszcie arystokracja oburza się na samowolę kapłanów. Wszystko musi mieć kres...

— Rzekłeś wielkie słowa — odpowiedział nomarcha, ściskając go za rękę — a jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że jeszcze ujrzę cię najwyższym naczelnikiem policji, przy boku jego świątobliwości...

Znowu upłynęło parę dni. Przez ten czas paraszytowie ubezpieczyli od zepsucia zwłoki Ramzesowego synka, a Sara wciąż przebywała w więzieniu, czekając na sąd, pewna, że ją potępią.

Kama również siedziała w więzieniu, w klatce; obawiano się jej bowiem, jako dotkniętej trądem. Wprawdzie odwiedził ją cudowny lekarz, odmówił przy niej modlitwy i dał jej do picia wszystkoleczącą wodę. Mimo to Fenicjankę nie opuszczała gorączka, a miedziane plamy nad brwiami i na policzkach robiły się coraz wyraźniejsze. Więc z biura nomarchy wyszedł rozkaz wywiezienia jej na pustynię wschodnią, gdzie, odcięta od ludzi, istniała kolonja trędowatych.

Pewnego wieczora do świątyni Ptah przyszedł naczelnik policji, mówiąc, że chce rozmówić się z arcykapłanami. Naczelnik miał ze sobą dwu agentów i człowieka od stóp do głów odzianego w wór.

Po chwili odpowiedziano mu, że arcykapłani oczekują go w izbie świętej, pod posągiem bóstwa.

Naczelnik zostawił agentów przed bramą, wziął za ramię człowieka odzianego w wór i, prowadzony

przez kapłana udał się do świętej izby. Gdy wszedł tam, zastał Mefresa i Sema, ubranych w arcykapłańskie szaty, ze srebrnemi blachami na piersiach.

Wówczas upadł przed nimi na ziemię i rzekł:

— Stosownie do waszego rozkazu, przyprowadzam wam, święci mężowie, zbrodniarza Lykona. Czy chcecie zobaczyć jego twarz?

A gdy zgodzili się, naczelnik policji powstał i z towarzyszącego mu człowieka zerwał wór.

Obaj arcykapłani krzyknęli ze zdumienia. Grek rzeczywiście tak był podobny do następcy tronu, Ramzesa, że nie było można oprzeć się złudzeniu.

— Tyżeś to jest Lykon, śpiewak pogańskiej świątyni Astoreth?... — zapytał skrępowanego Greka święty Sem.

Lykon uśmiechnął się pogardliwie.

— I ty zamordowałeś dziecko księcia?... — dodał Mefres.

Grek posiniał z gniewu i usiłował zerwać pęta.

— Tak! — zawołał — zabiłem szczenię, bom nie mógł znaleźć jego ojca, wilka... Oby spalił go ogień niebieski!...

— Co ci winien książę, zbrodniarzu?... — spytał oburzony Sem.

— Co winien!... Porwał mi Kamę i wtrącił ją w chorobę, z której niema wyjścia... Byłem wolny, mogłem uciec z majątkiem i życiem, ale postanowiłem zemścić się, i oto macie mnie... Jego szczęście, że wasi bogowie mocniejsi są od mojej nienawiści. Dziś możecie mnie zabić... Im prędzej, tem lepiej.

— Wielki to zbrodniarz — odezwał się arcykapłan Sem.

Mefres milczał i wpatrywał się w pałające wściekłością oczy Greka. Podziwiał jego odwagę i rozmyślał. Nagle rzekł do naczelnika policji:

— Możesz, dostojny panie, odejść; ten człowiek należy do nas.

— Ten człowiek — odparł oburzony naczelnik — należy do mnie.... Ja go schwyciłem i ja otrzymam od księcia nagrodę.

Mefres powstał i wydobył z pod ornatu złoty medal.

— W imieniu najwyższej rady, której jestem członkiem — mówił Mefres — rozkazuję ci oddać nam tego człowieka. Pamiętaj, że jego istnienie jest najwyższą tajemnicą państwową i zaprawdę, stokroć lepiej będzie dla ciebie, jeżeli całkiem zapomnisz, żeś go tu zostawił...

Naczelnik policji znowu upadł na ziemię i — wyszedł, tłumiąc gniew.

— Zapłaci wam za to pan nasz, książę następca, gdy zostanie faraonem!... — myślał. — A że i ja oddam wam moją cząstkę, zobaczycie...

Agenci, stojący przed bramą, zapytali go: gdzie jest więzień?...

— Na więźniu—rzekł—spoczęła ręka bogów.

— A nasze wynagrodzenie?...—nieśmiało odezwał się starszy agent.

— I na waszem wynagrodzeniu spoczęła ręka bogów — rzekł naczelnik. — Wyobraźcie więc so-

bie, że wam śnił się ten więzień, a będziecie czuli się bezpieczniejsi w waszej służbie i zdrowiu.

Agenci, milcząc, spuścili głowy. Ale w sercach zaprzysięgli zemstę kapłanom, pozbawiającym ich tak pięknego zarobku.

Po odejściu naczelnika policji, Mefres zawołał kilku kapłanów i najstarszemu szepnął coś do ucha. Kapłani otoczyli Greka i wyprowadzili go z izby świętej. Lykon nie opierał się.

— Myślę — rzekł Sem — że człowiek ten, jako zabójca, powinien być wydany sądowi.

— Nigdy! — odparł stanowczo Mefres. — Na człowieku tym ciąży nierównie gorsza zbrodnia: jest podobny do następcy tronu...

— I co z nim zrobisz wasza dostojność?

— Zachowam go dla najwyższej rady — mówił Mefres. — Tam, gdzie następca tronu zwiedza pogańskie świątynie i wykrada z nich kobiety, gdzie kraj jest zagrożony niebezpieczną wojną, a władza kapłańska buntem, tam — Lykon może się przydać...

Nazajutrz w południe arcykapłan Sem, nomarcha i namiestnik policji przyszli do więzienia Sary. Nieszczęśliwa nie jadła od kilku dni i była tak osłabiona, że nawet nie podniosła się z ławy, na widok tylu dygnitarzy.

— Saro — odezwał się nomarcha, którego znała dawniej — przynosimy ci dobrą nowinę.

— Nowinę?.. — powtórzyła apatycznym głosem. — Syn mój nie żyje, oto nowina!... Mam piersi

przepełnione pokarmem, ale moje serce jest jeszcze pełniejsze smutku...

— Saro — mówił nomarcha — jesteś wolna. Nie ty zabiłaś dziecię.

Martwe jej rysy ożywiły się. Zerwała się z ławy i krzyknęła:

— Ja... ja zabiłam... tylko ja!...

— Syna twego, uważaj Saro, zabił mężczyzna, Grek, nazwiskiem Lykon, kochanek Fenicjanki, Kamy...

— Co mówisz?... — wyszeptała, chwytając go za ręce. — O, ta Fenicjanka!... wiedziałam, że nas zgubi... Ale Grek?... Ja nie znam żadnego Greka... Cóż wreszcie mógłby zawinić Grekom mój syn...

— Nie wiem o tem — ciągnął nomarcha. — Grek ten już nie żyje. Ale uważaj, Saro: ten człowiek był tak podobny do księca Ramzesa, że gdy wszedł do twego pokoju, myślałaś, że to nasz pan... I wolałaś oskarżyć samą siebie, aniżeli swego i naszego pana.

— Więc to nie był Ramzes?... — zawołała, chwytając się za głowę. — I ja, nędzna, pozwoliłam, ażeby obcy człowiek wywlókł syna mego z kolebki... Cha!... cha!... cha!...

Zaczęła się śmiać coraz ciszej. Nagle, jakby jej nogi podcięto, runęła na ziemię, rzuciła parę razy rękoma i w śmiechu skonała.

Ale na jej twarzy pozostał wyraz niezgłębionego żalu, którego nawet śmierć nie mogła odegnać.

ROZDZIAŁ XVII.

Zachodnią granicę Egiptu na długości przeszło 100 mil geograficznych stanowi ściana pagórków wapiennych, nagich, poprzerywanych wąwozami, wysokich na paręset metrów. Biegnie ona wzdłuż Nilu, od którego oddala się na milę, niekiedy na kilometr.

Gdyby kto wdrapał się na który z pagórków i zwrócił twarz ku północy, zobaczyłby jedno z najosobliwszych zjawisk. W dole, na prawo, miałby wąską, ale zieloną łąkę, przerzniętą Nilem; zaś na lewo ujrzałby nieskończoną równinę barwy żółtej, urozmaiconą plamami białemi albo ceglastemi.

Jednostajność widoku, drażniąca żółtość piasku, upał, a nadewszystko bezmiar nieskończony— oto najogólniejsze cechy pustyni libijskiej, rozciągającej się na zachód od Egiptu.

Przy bliższem jednak rozejrzeniu się, pustynia wydałaby się mniej jednostajną. Jej piasek nie układa się płasko, ale tworzy szeregi zwałów, przypominających ogromne fale na wodzie. Jest to jakby rozkołysane morze, które zakrzepło.

Ktoby jednak miał odwagę iść po tem morzu godzinę, dwie, niekiedy cały dzień, wciąż na zachód, zobaczyłby nowy widok. Na horyzoncie ukazują się wzgórza, niekiedy skały i urwiska najdziwniejszych form. Pod nogami piasek staje się coraz płytszym i poczyna wynurzać się z pod niego skała wapienna, niby ląd.

Istotnie jest to ląd, a nawet kraj, wśród pia-

szczystego morza. Obok wapiennych pagórków widać doliny, na nich koryta rzek i strumieni, dalej równinę, a wśród niej jezioro z powyginaną linją brzegów i dnem zaklęsłem.

Ale na tych równinach i wzgórzach nie rośnie ani źdźbło trawy, w jeziorze niema kropli wody, korytem rzeki nie płynie nic. Jest to krajobraz, nawet bardzo urozmaicony pod względem form ziemi, ale krajobraz, z którego wszystka woda uciekła, najmniejsza wilgoć wyschła, krajobraz martwy, gdzie nietylko wyginęła wszelka roślinność, ale nawet urodzajna warstwa gruntu roztarła się w pył lub wsiąkła w opokę.

W tych miejscach trafił się wypadek najokropniejszy, o jakim można pomyśleć: natura skonała, został z niej tylko szkielet i prochy, które do reszty rozkłada upał i z miejsca na miejsce przerzuca wiatr gorący.

Za tym zmarłym a niepochowanym lądem ciągnie się znowu morze piasku, na którem tu i owdzie widać śpiczaste stożki, wznoszące się niekiedy na piętro wysokości. Każdy szczyt takiego pagórka kończy się pęczkiem listków szarych, zapylonych, o których trudno powiedzieć, że żyją; one tylko nie mogą zwiędnąć.

Dziwaczny stożek oznacza, że w tem miejscu woda jeszcze nie wyschła, ale przed spiekotą skryła się pod ziemię i jako tako podtrzymuje wilgoć gruntu. Na to miejsce upadło nasienie tamaryndusa i z wielkim trudem poczęła wzrastać roślina.

Lecz władca pustyni, Tyfon, dostrzegł ją i zwol-

na począł zasypywać piaskiem. A im więcej roślinka pnie się wgórę, tem wyżej podnosi się stożek duszącego ją piasku. Zabłąkany w pustyni tamaryndus wygląda jak topielec, napróżno wyciągający dłonie do nieba.

I znowu rozwala się nieskończenie żółte morze, ze swemi falami piasku i nie mogącemi skonać rozbitkami świata roślinnego. Nagle ukazuje się skalista ściana, w niej szczeliny, niby bramy...

Rzecz nie do uwierzenia! Poza jedną z tych bram widać rozległą dolinę barwy zielonej, mnóstwo palm, błękitne wody jeziora. Widać nawet pasące się owce, bydło i konie; zdaleka na stokach skał piętrzy się całe miasteczko, a na szczytach bieleją mury świątyń.

Jest to oaza, niby wyspa wśród piaszczystego oceanu.

Takich oaz za czasu faraonów było bardzo wiele, może kilkadziesiąt. Tworzyły one łańcuch wysp pustynnych wzdłuż zachodniej granicy Egiptu. Leżały w odległości dziesięciu, piętnastu lub dwudziestu mil geograficznych od Nilu, a obejmowały po kilkanaście i kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni.

Opiewane przez arabskich poetów, oazy naprawdę nigdy nie były przedsionkami raju. Ich jeziora są najczęściej bagnami; z podziemnych źródlisk wypływa woda ciepła, niekiedy cuchnąca i obrzydliwie słona; roślinność ani mogła porównywać się z egipską. Niemniej ustronia te wydawały się cudem dla pustynnych wędrowców, którzy znaj-

dowali w nich trochę zieloności dla oka, tudzież odrobinę chłodu, wilgoci i daktylów.

Ludność tych wysp wśród piaszczystego oceanu była bardzo rozmaita: od kilkuset osób do kilkunastu tysięcy, zależnie od przestrzeni. Byli to wszystko awanturnicy lub ich potomkowie egipscy, libijscy, etjopscy. W pustynię bowiem uciekali ludzie, nie mający już nic do stracenia: więźniowie z kopalń, przestępcy ścigani przez policję, chłopi przeciążeni pańszczyzną, lub robotnicy, którzy woleli niebezpieczeństwo, aniżeli pracę.

Większa część tych zbiegów marnie ginęła w pustyni. Niektórym po nieopisanych męczarniach udawało się dotrzeć do oazy, gdzie pędzili żywot nędzny, lecz swobodny, i zawsze byli gotowi wpaść do Egiptu na nieuczciwy zarobek.

Między pustynią i morzem Śródziemnem ciągnął się bardzo długi, choć niezbyt szeroki pas ziemi żyznej, zamieszkany przez rozmaite plemiona, które Egipcjanie nazywali: Libijczykami. Jedne z tych plemion zajmowały się rolnictwem, inne rybactwem i morską żeglugą; w każdem z nich jednak była gromada dzikusów, którzy woleli kradzież, wojnę i rozbój, aniżeli systematyczną pracę. Bandycka ta ludność nieustannie ginęła wśród nędzy albo wojennych przygód, lecz i ciągle powiększała się regularnym dopływem Szardana (Sardyńczyków) i Szakalusa (Sycylijczyków), którzy w owej epoce byli jeszcze większymi barbarzyńcami i zbójami, aniżeli rodowici Libijczycy.

Ponieważ Libja stykała się z zachodnią granicą

Dolnego Egiptu, barbarzyńcy więc często grabili ziemię jego świątobliwości i — bywali strasznie karceni. Przekonawszy się jednak, że wojna z Libijczykami nie prowadzi do niczego, faraonowie, a raczej kapłani, chwycili się innej polityki. Prawowitym rodzinom libijskim pozwalali osiedlać się na nadmorskich bagnach Dolnego Egiptu, zaś bandytów i awanturników werbowali do wojska i mieli z nich wybornych żołnierzy.

W ten sposób państwo zabezpieczyło sobie spokój na zachodniej granicy. Dla utrzymania zaś w porządku pojedyńczych rabusiów libijskich wystarczyła policja, straż polowa i kilka pułków regularnych ustawionych wzdłuż Kanopijskiej odnogi Nilu.

Taki stan rzeczy trwał blisko 180 lat; ostatnią bowiem wojnę z Libijczykami prowadził jeszcze Ramzes III-ci, który uciął ogromne stosy rąk poległym nieprzyjaciołom i przywiódł do Egiptu trzynaście tysięcy niewolników. Od tej pory nikt nie lękał się napadu ze strony Libji, i dopiero, przy schyłku panowania Ramzesa XII, dziwna polityka kapłanów na nowo zapaliła w tamtych stronach pożar walki.

Wybuchła zaś ona z następujących powodów:

Jego dostojność Herhor, minister wojny i arcykapłan, skutkiem oporu jego świątobliwości faraona, nie mógł zawrzeć z Asyrją traktatu o podział Azji. Pragnąc jednak, stosownie do przestróg Beroesa, utrzymać z Asyryjczykami dłuższy spokój, Herhor zapewnił Sargona, że Egipt nie przeszkodzi im

w prowadzeniu wojny z Azjatami wschodnimi i północnymi.

A ponieważ pełnomocnik króla Asara zdawał się nie ufać przysięgom, więc Herhor postanowił złożyć mu materjalny dowód życzliwości i, w tym celu, wydał rozkaz natychmiastowego uwolnienia dwudziestu tysięcy wojsk najemnych, przeważnie Libijczyków.

Dla uwolnionych, a nic niewinnych i zawsze wiernych żołnierzy, postanowienie to było nieszczęściem, niemal równającem się karze śmierci. Przed Egiptem otwierało się niebezpieczeństwo wojny z Libją, która w żaden sposób nie mogła dać przytułku takiej masie ludzi, przywykłych tylko do mustry i wygód, nie zaś do pracy i nędzy. Ale Herhor i kapłani nie krępowali się drobiazgami, gdy chodziło o wielkie interesy państwowe.

Naprawdę bowiem, wypędzenie najemników libijskich przynosiło duże korzyści.

Przedewszystkiem Sargon i jego towarzysze podpisali i zaprzysięgli tymczasowy traktat z Egiptem na lat dziesięć, przez który to czas, według proroctw chaldejskich kapłanów, miały ciążyć nad ziemią świętą złe losy.

Powtóre — wypędzenie dwudziestu tysięcy ludzi z wojska przynosiło skarbowi królewskiemu cztery tysiące talentów oszczędności, co było bardzo ważne.

Po trzecie — wojna z Libją, na zachodniej granicy, była upustem dla bohaterskich instynktów następcy tronu i na długi czas mogła odwrócić jego

uwagę od spraw azjatyckich i od granicy wschodniej. Jego dostojność Herhor i rada najwyższa bardzo mądrze przypuszczali, że upłynie kilka lat, zanim Libijczycy, zużywszy się w partyzanckich walkach, zechcą prosić o pokój.

Plan był rozsądny, lecz autorowie jego popełnili jeden błąd: nie przeczuli, że w księciu Ramzesie tkwi materjał na genjalnego wojownika.

Rozpuszczone pułki libijskie, rabując po drodze, bardzo prędko dotarły do swej ojczyzny; tem łatwiej, że Herhor nie kazał im stawiać przeszkód. Najpierwsi zaś z pomiędzy wypędzonych, stanąwszy na libijskiej ziemi, niestworzone rzeczy opowiadali swoim rodakom.

Według ich relacyj, dyktowanych przez gniew i interes osobisty, Egipt był dziś tak osłabiony, jak w epoce najścia Hyksosów, przed dziewięciuset laty. Skarb faraona był tak pusty, że równy bogom władca musiał rozpuścić ich, Libijczyków, którzy przecie stanowili najlepszą, jeżeli nie jedyną część armji. Armji zresztą prawie nie było, chyba garstka na wschodniej granicy, a i to ladajakich żołnierzy.

Oprócz tego między jego świątobliwością i kapłanami panowała niezgoda. Robotnikom nie wypłacano zasług, a chłopów wprost duszono podatkami, przez co masy ludu były gotowe do buntu, byle znalazła się pomoc. I jeszcze niedosyć: albowiem nomarchowie, którzy niegdyś byli niezależnymi władcami i, kiedy niekiedy, przypominali sobie swe prawa, dziś, widząc słabość rządu, przygo-

towują się do obalenia i faraona i najwyższej rady kapłańskiej!...

Wieści te, jak stado ptaków, rozleciały się po libijskiem wybrzeżu i — natychmiast znalazły wiarę. Bandyci i barbarzyńcy zawsze byli gotowi do napadu, a tem bardziej dziś, gdy ex-żołnierze i ex-oficerowie jego świątobliwości zapewniali ich, że zrabowanie Egiptu jest rzeczą bardzo łatwą. Zamożni i rozsądni Libijczycy również uwierzyli wypędzonym legjonistom; od wielu już bowiem lat nie było dla nich tajemnicą, że szlachta egipska ubożeje, że faraon nie ma władzy, a chłopi i robotnicy dopuszczają się z nędzy buntów.

I otóż w całej Libji wybuchnął zapał. Wypędzonych żołnierzy i oficerów witano jak głosicieli dobrej nowiny. A ponieważ kraj był ubogi i nie miał zapasów do podejmowania gości, uchwalono więc natychmiast wojnę z Egiptem, ażeby jak najrychlej pozbyć się przybyszów.

Nawet chytry i mądry książę libijski, Musawasa, dał się porwać ogólnemu prądowi. Jego jednak nie przekonali emigranci, lecz jacyś ludzie poważni i dostojni, według wszelkiego prawdopodobieństwa agenci najwyższej rady egipskiej.

Ci dygnitarze, niby to niezadowoleni ze stanu rzeczy w Egipcie, niby to obrażeni na faraona i kapłanów, przyjechali do Libji od strony morza, kryli się przed gawiedzią, unikali stosunków z wypędzonymi żołnierzami, a Musawasie tłumaczyli pod największym sekretem i z dowodami w rękach, że — teraz właśnie powinien napaść na Egipt:

— Znajdziesz tam — mówili—bezdenny skarbiec i spiżarnię dla ciebie, dla twoich ludzi i dla wnuków waszych wnuków.

Musawasa — choć przebiegły wódz i dyplomata — dał się złapać. Jako człowiek energiczny, natychmiast ogłosił przeciw Egiptowi świętą wojnę i — mając pod ręką tysiące dzielnych wojowników, pchnął pierwszy korpus ku wschodowi, pod dowództwem swego syna, dwudziestoletniego Tehenny.

Stary barbarzyniec znał wojnę i rozumiał, że kto chce zwyciężać, musi działać szybko, zadawać pierwsze ciosy.

Przygotowania libijskie trwały bardzo krótko. Ex-żołnierze jego świątobliwości wprawdzie przyszli bez broni, lecz znali swoje rzemiosło, a w owych czasach o broń nie było trudno. Kilka rzemyków, czy kawałków sznurka na procę, włócznia albo zaostrzony kij, topór albo ciężka pałka, jedna torba kamyków a druga daktylów — oto wszystko.

Oddał więc Musawasa dwa tysiące ex-żołnierzy i ze cztery tysiące libijskiej hołoty swemu synowi, Tehennie, zalecając mu, ażeby czem prędzej wpadł do Egiptu, zrabował co się da i przygotował zapasy dla właściwej armji. Sam zaś, gromadząc poważniejsze siły, rozesłał gońców po oazach i wzywał wszystkich, którzy nie mają nic do stracenia, pod swoje sztandary.

Dawno w pustyni nie panował taki ruch, jak dzisiaj. Z każdej oazy wychodziła gromada za gromadą tak strasznych proletarjuszów, że, choć już

byli prawie nadzy, jeszcze zasługiwali na nazwę oberwańców.

Opierając się na zdaniu swoich doradców, którzy miesiąc temu byli oficerami jego świątobliwości, Musawasa całkiem rozsądnie przypuszczał, że jego syn pierwej zrabuje kilkaset wsi i miasteczek od Terenuthis do Senti-Nofer, nim spotka jakieś poważniejsze siły egipskie. Wreszcie doniesiono mu, że na pierwszą wieść o ruchu Libijczyków, nietylko uciekli wszyscy robotnicy z wielkiej huty szklanej, ale nawet, że cofnęło się wojsko, zajmujące forteczki w Sochet-Hemau, nad Jeziorami Sodowemi.

Była to bardzo dobra wróżba dla barbarzyńców: huta bowiem szklana stanowiła poważne źródło dochodów dla faraonowego skarbca.

Otóż Musawasa popełnił błąd, taki sam, jak najwyższa rada kapłańska: nie przeczuł wojennego genjuszu w Ramzesie. I stała się rzecz nadzwyczajna: nim pierwszy korpus libijski dotarł do okolicy Sodowych Jezior, już w tem miejscu znalazła się dwa razy liczniejsza armja następcy tronu.

Nie można nawet zarzucać Libijczykom nieprzezorności. Tehenna i jego sztab utworzyli bardzo porządną służbę wywiadowczą. Ich szpiegowie niejednokrotnie byli w Melcatis, Naucratis, Sai, Menuf, Terenuthis i przepływali kanopijskie i bolbityńskie ramiona Nilu. Nigdzie jednak nie spotkali wojsk, których ruchy musiał paraliżować wylew, a zaś prawie wszędzie widzieli popłoch ludności osiadłej, która poprostu uciekała ze wsi pogranicznych.

Przynosili więc swemu dowódcy jak najlepsze wiadomości. A tymczasem armja księcia Ramzesa, pomimo wylewu, w osiem dni po uruchomieniu, dotarła brzegu pustyni i, zaopatrzona w wodę i żywność, przepadła między górami Sodowych Jezior.

Gdyby Tehenna mógł, jak orzeł, wzbić się ponad stanowiska swojej bandy, struchlałby, zobaczywszy, że we wszystkich wąwozach tej okolicy kryją się egipskie pułki i — że lada chwila korpus jego będzie otoczony.

ROZDZIAŁ XVIII.

Od chwili kiedy wojska Dolnego Egiptu wyszły z Pi-Bast, towarzyszący księciu prorok Mentezufis odbierał i wysyłał po kilka depesz dziennie.

Jedną korespondencję prowadził z ministrem Herhorem. Mentezufis posyłał raporty do Memfisu o posuwaniu się wojsk i o działalności następcy, dla której nie ukrywał podziwu; zaś dostojny Herhor robił uwagi w tym sensie, ażeby następcy tronu zostawiono wszelką swobodę i — że gdyby Ramzes przegrał pierwszą potyczkę, rada najwyższa nie byłaby tem zmartwioną.

„Niewielka przegrana — pisał Herhor — byłaby nauką ostrożności i pokory dla księcia Ramzesa, który już dziś, choć jeszcze nic nie zrobił, uważa się za równego najdoświadczeńszym wojownikom“.

Gdy zaś Mentezufis odpowiedział, że trudno

przypuścić, aby następca doznał porażki, Herhor dał mu do zrozumienia, że w takim razie triumf nie powinien być zanadto wielki.

„Państwo — mówił — nic na tem nie straci, jeżeli wojowniczy i popędliwy następca tronu będzie miał przez kilka lat zabawkę na zachodniej granicy. On sam nabierze biegłości w sztuce wojennej, a rozpróżniaczeni i zuchwali nasi żołnierze znajdą właściwe dla siebie zajęcie".

Drugą korespondencję prowadził Mentezufis ze świętym ojcem Mefresem, i ta wydawała mu się ważniejszą. Mefres, obrażony niegdyś przez księcia, dziś, z okazji sprawy o zabicie dziecka Sary, bez ogródek oskarżał następcę o dzieciobójstwo, dokonane pod wpływem Kamy. A gdy w ciągu tygodnia wyszła najaw niewinność Ramzesa, arcykapłan, jeszcze bardziej rozdrażniony, nie przestawał twierdzić, że książę jest zdolny do wszystkiego, jako nieprzyjaciel ojczystych bogów i sprzymierzeniec nędznych Fenicjan.

Sprawa zabójstwa dziecka Sary tak podejrzanie wyglądała w pierwszych dniach, że nawet rada najwyższa z Memfisu zapytała Mentezufisa: co o tem sądzi? Mentezufis jednak odpowiedział, że całemi dniami przypatruje się księciu, lecz ani na chwilę nie przypuszcza, ażeby on był mordercą.

Takie to korespondencje, niby stado drapieżnych ptaków, krążyły dokoła Ramzesa, podczas gdy on rozsyłał zwiady w kierunku nieprzyjaciela, naradzał się z wodzami, lub zachęcał wojska do szybkiego pochodu.

Dnia 14-go cała armja następcy tronu skoncentrowała się na południe od miasta Terenuthis. Ku wielkiej radości księcia przyszedł Patrokles z greckiemi pułkami, a razem z nim kapłan Pentuer, wysłany przez Herhora na drugiego dozorcę przy wodzu naczelnym.

Obfitość kapłanów w obozie (byli bowiem jeszcze i inni) wcale nie zachwycała Ramzesa. Postanowił jednak nie zwracać na nich uwagi, a podczas narad wojennych wcale nie pytał ich o opinję.

I jakoś ułagodziły się stosunki. Mentezufis bowiem, stosownie do rozkazu Herhora, nie narzucał się księciu. Pentuer zaś zajął się organizowaniem pomocy lekarskiej dla rannych.

Gra wojenna zaczęła się.

Przedewszystkiem Ramzes, za pośrednictwem swoich agentów, w wielu wsiach pogranicznych rozpuścił pogłoskę, że Libijczycy posuwają się w ogromnych masach, że będą niszczyli i mordowali. Skutkiem tego przestraszona ludność zaczęła uciekać na wschód i — wpadła na egipskie pułki. Wówczas książę zabrał mężczyzn do dźwigania ciężarów za wojskiem, a kobiety i dzieci posłał w głąb kraju.

Następnie naczelny wódz wyprawił szpiegów naprzeciw zbliżającym się Libijczykom, aby zbadać ich liczbę i porządek. Szpiegowie niebawem wrócili, przynosząc dokładne wskazówki co do miejsca pobytu, a bardzo przesadzone co do liczby nieprzyjaciół. Mylnie też twierdzili, choć z wielką pewno-

ścią siebie, że na czele band libijskich idzie sam Musawasa, w towarzystwie swego syna, Tehenny.

Książę-wódz aż zarumienił się z radości na myśl, że w pierwszej wojnie będzie miał tak doświadczonego przeciwnika, jak Musawasa.

Przeceniał więc niebezpieczeństwo starcia i podwajał ostrożność. Aby zaś mieć wszelkie widoki za sobą, uciekł się jeszcze do podstępu. Posłał naprzeciw Libijczykom ludzi zaufanych, kazał im udawać zbiegów, wejść do nieprzyjacielskiego obozu i — odciągnąć od Musawasy jego największą siłę: wypędzonych żołnierzy libijskich.

— Powiedzcie im—mówił Ramzes do swych agentów — powiedzcie im, że mam topory dla zuchwałych, a miłosierdzie dla pokornych. Jeżeli w nadchodzącej bitwie rzucą broń i opuszczą Musawasę, przyjmę ich napowrót do wojsk jego świątobliwości i każę wypłacić żołd zaległy, jakgdyby nigdy nie wychodzili ze służby.

Patrokles i inni generałowie uznali środek ten za bardzo roztropny; kapłani milczeli, a Mentezufis wysłał depeszę do Herhora i w ciągu doby otrzymał odpowiedź.

Okolica Sodowych Jezior była to dolina, mająca kilkadziesiąt kilometrów długości, zamknięta między dwoma pasmami wzgórz, biegnących od południowego wschodu ku północnemu zachodowi. Największa jej szerokość nie przechodziła 10 kilometrów; były zaś miejsca znakomicie węższe, prawie wąwozy.

Na całej długości doliny ciągnęło się, jedno za

drugiem, z dziesięć jezior bagnistych, napełnionych wodą gorzko-słoną. Rosły tu nędzne krzaki i zioła, ciągle zasypywane piaskiem, ciągle więdnące, których żadne zwierzę nie chciało wziąć do pyska. Po obu stronach sterczały poszarpane wzgórza wapienne, lub ogromne piaszczyste zaspy, w których można było utonąć.

Cały krajobraz, o barwach żółtych i białych, miał charakter strasznej martwoty, którą potęgowało gorąco i cisza. Żaden ptak nie odzywał się tutaj, a jeżeli kiedy rozległ się jaki szelest, to chyba staczającego się kamienia.

Mniej więcej w połowie doliny wznosiły się dwie grupy budynków, oddalonych od siebie o kilka kilometrów; były niemi — od wschodu forteczka, od zachodu huty szklane, do których opału dostarczali handlarze libijscy. Obie te miejscowości, skutkiem wojennych niepokojów, były opuszczone. Korpus Tehenny miał obowiązek zająć i osadzić oba te punkty, które armji Musawasy zabezpieczały drogę do Egiptu.

Libijczycy zwolna posuwali się od miasta Glaukus ku południowi, i wieczorem dnia 14-go Hator znaleźli się u wejścia do doliny Sodowych Jezior, pewni, że przejdą ją dwoma marszami, bez przeszkód. Tegoż dnia, równo z zachodem słońca, armja egipska ruszyła ku pustyni i, uszedłszy po piaskach przeszło 40 kilometrów w ciągu 12 godzin, następnego ranka stanęła na wzgórzach między forteczką a hutami i ukryła się w licznych wąwozach.

Gdyby owej nocy powiedział kto Libijczy-

kom, że w dolinie Sodowych Jezior wyrosły palmy i pszenica, mniej zdziwiliby się, aniżeli temu, że armja egipska zastąpiła im drogę.

Po krótkim wypoczynku, podczas którego kapłanom udało się odkryć i wykopać kilka studzienek dosyć znośnej wody do picia, armja egipska poczęła zajmować północne wzgórki, ciągnące się wzdłuż doliny.

Plan następcy tronu był prosty. Miał on odciąć Libijczyków od ich ojczyzny i zepchnąć ku południowi, w pustynię, gdzie gorąco i głód wytępiłyby rozproszonych.

W tym celu ustawił armję na północnej stronie doliny i podzielił wojska na trzy korpusy. Prawem skrzydłem, najbardziej posuniętem ku Libji, dowodził Patrokles i on miał odciąć najezdnikom odwrót do ich miasta Glaukus. Lewem skrzydłem, najbardziej zbliżonem do Egiptu, komenderował Mentezufis, ażeby zagrodzić Libijczykom marsz naprzód. Wreszcie kierunek nad korpusem środkowym, około hut szklanych, objął następca tronu, mając przy sobie Pentuera.

Dnia 15-go Hator, około 7-ej rano, kilkudziesięciu konnych Libijczyków ostrym kłusem przejechało dolinę. Chwilę odpoczęli około hut, rozejrzeli się, a nie spostrzegłszy nic podejrzanego, zawrócili do swoich.

O 10-ej przed południem wśród wielkiego skwaru, który zdawał się wypijać pot i krew z ludzi, Pentuer rzekł do następcy:

— Libu już weszli w dolinę i mijają oddział Patroklesa. Za godzinę będą tutaj.

— Skąd wiesz o tem? — spytał zdziwiony książę.

— Kapłani wszystko wiedzą!... — odparł z uśmiechem Pentuer.

Potem ostrożnie wszedł na jedną ze skał, wydobył z torby bardzo połyskujący przedmiot i, zwróciwszy się w stronę oddziału świętego Mentezufisa, począł dawać ręką jakieś znaki.

— Już i Mentezufis jest zawiadomiony — dodał.

Książę nie mógł wyjść z podziwu i odezwał się:

— Mam oczy lepsze od twoich, a słuch chyba nie gorszy, i mimo to nic nie widzę, ani słyszę. Jakim więc sposobem ty dostrzegasz nieprzyjaciół i porozumiewasz się z Mentezufisem?

Pentuer kazał księciu spojrzeć na jedno odległe wzgórze, na którego szczycie majaczyły krzaki tarniny. Ramzes wpatrzył się w ten punkt i nagle zasłonił oczy: w krzakach bowiem coś mocno błysnęło.

— Cóż to za nieznośny blask?...—wykrzyknął.—Oślepnąć można!...

— To kapłan, asystujący dostojnemu Patroklesowi, daje nam znaki — odrzekł Pentuer. — Widzisz więc, dostojny panie, że i my możemy przydać się na wojnie...

Umilkł: z głębi doliny przyleciał do nich szmer, z początku cichy, stopniowo coraz wyraź-

niejszy. Na ten odgłos, przytuleni do stoku pagórka żołnierze egipscy poczęli zrywać się, oglądać broń, szeptać... Ale krótki rozkaz oficerów uspokoił ich, i znowu nad północnemi skałami zapanowała martwa cisza.

Tymczasem szmer w głębi doliny potęgował się i przeszedł w zgiełk, wśród którego, na tle rozmów tysięcy ludzi, można było odróżnić śpiewy, głosy fletów, skrzyp wozów, rżenie koni i krzyki dowódców. Ramzesowi serce zaczęło bić gwałtownie; już nie mógł pohamować ciekawości i wdrapał się na skalisty cypel, skąd było widać znaczną część doliny.

Otoczony kłębami żółtawego kurzu, zwolna posuwał się libijski korpus, niby kilkuwiorstowy wąż upstrzony niebieskiemi, białemi i czerwonemi plamami.

Na czele maszerowało kilkunastu jeźdźców, z których jeden, odziany w białą płachtę, siedział na koniu, jak na ławie, zwiesiwszy obie nogi na lewą stronę. Za jeźdźcami szła gromada procarzy w szarych koszulach, potem jakiś dostojnik w lektyce, nad którą niesiono duży parasol. Dalej oddział kopijników w bluzach niebieskich i czerwonych, potem wielka banda ludzi prawie nagich, uzbrojonych w maczugi, znowu procarze i kopijnicy, i znowu procarze, a za nimi czerwony oddział z kosami i toporami. Szli, mniej więcej, po czterech w szeregu; ale, pomimo krzyku oficerów, porządek ten ciągle łamał się i następujące po sobie czwórki zbijały się w gromady.

Śpiewając i rozmawiając hałaśliwie, wąż libijki zwolna wypełznął w najszerszą część doliny, naprzeciw hut i jezior. Tu porządek zwichrzył się jeszcze bardziej. Maszerujący naprzód — stanęli, mówiono im bowiem, że w tem miejscu będzie wypoczynek; a tymczasem dalsze kolumny przyśpieszyły kroku, ażeby prędzej dojść do celu i odpocząć. Niektórzy wybiegali z szeregu i, położywszy broń, zucali się w jezioro, lub dłonią czerpali jego cuchnącą wodę; inni, zasiadłszy na ziemi, wydobywali z torby daktyle, albo z glinianych butelek pili wodę z octem.

Wysoko, nad obozem, krążyło kilka sępów.

Ramzesa na ten widok ogarnął nieopisany żal i strach. Przed oczyma zaczęły mu latać muszki, stracił przytomność i przez mgnienie oka zdawało mu się, że oddałby tron, byle nie znajdować się w tem miejscu i nie widzieć tego, co nastąpi. Zsunął się z cypla i obłąkanemi oczyma patrzał przed siebie.

Wtem zbliżył się do niego Pentuer i mocno chwycił go za ramię.

— Ocknij się, wodzu — rzekł. — Patrokles czeka na rozkazy.

— Patrokles?... — powtórzył książę i obejrzał się.

Przed nim stał Pentuer blady, ale spokojny. O parę kroków dalej, równie blady Tutmozis w drżących rękach trzymał oficerską świstawkę. Z za pagórka wychylali się żołnierze, na których twarzach widać było głębokie wzruszenie.

— Ramzesie — powtórzył Pentuer — wojsk
czeka...

Książę z rozpaczliwą determinacją spojrzał n
kapłana i zduszonym głosem szepnął:

— Zaczynać...

Pentuer podniósł do góry swój błyszczący ta
lizman i nakreślił nim kilka znaków w powietrz
Tutmozis cicho świsnął, świst ten powtórzył si
w dalszych wąwozach na prawo i na lewo i — n
wzgórza poczęli wdrapywać się egipscy procarz

Było około 12-ej w południe.

Ramzes powoli ochłonął z pierwszych wraże
i uważniej począł oglądać się dokoła. Widział sw
sztab, oddział kopijników i toporników pod dc
wództwem starych oficerów, wreszcie procarzy, le
niwie wchodzących na skałę... I był pewny, że ar
jeden z tych ludzi nietylko nie pragnie zginąć, al
nawet nie chciałby walczyć i ruszać się pod stra
szliwą spiekotą.

Nagle ze szczytu któregoś pagórka rozległ si
ogromny głos, potężniejszy od lwiego ryku:

— Żołnierze jego świątobliwości faraona, roz
bijcie tych psów libijskich!... Bogowie są z wami!.

Nadnaturalnemu głosowi odpowiedziały dw
niemniej potężne: przeciągły okrzyk egipskiej arm
i niezmierny zgiełk Libijczyków...

Książę, już nie potrzebując ukrywać się, wszed
na pagórek, skąd dobrze było widać nieprzyjaci
Przed nim ciągnął się długi łańcuch procarzy egip
skich, jakby wyrosłych z pod ziemi, a o paręset
kroków rojący się śród tumanów pyłu obóz libijsk

)dezwały się trąbki, świstawki i przekleństwa bar-
arzyńskich oficerów, nawołujących do porządku.
i, którzy siedzieli, zerwali się, którzy pili wodę,
chwyciwszy broń, biegli do swoich; chaotyczne
umy poczęły rozwijać się w szeregi, a wszystko
śród wrzasków i tumultu.

Tymczasem procarze egipscy wyrzucali po
ilka pocisków na minutę, spokojnie, porządnie, jak
a mustrze. Dziesiętnicy wskazywali swoim od-
iałkom gromady nieprzyjacielskie, w które nale-
ało trafiać, a żołnierze w ciągu kilku minut zasypy-
ali je gradem ołowianych kul i kamieni. Książę
idział, że po każdej takiej ulewie, gromadka Libij-
zyków rozpraszała się, a bardzo często jeden zo-
tawał na miejscu.

Mimo to libijskie szeregi uformowały się i co-
nęły za linję pocisków, wysunęli się zaś naprzód
ch procarze i z równą szybkością i spokojem za-
zęli odpowiadać Egipcjanom. Czasami wśród łań-
ucha ich wybuchały śmiechy i okrzyki radości,
wówczas padał jakiś procarz egipski.

Niebawem nad głową księcia i jego orszaku
aczęły warczeć i świstać kamienie. Jeden, zręczniej
zucony, uderzył w ramię adjutanta i złamał mu
ość, drugi strącił hełm innemu adjutantowi, trzeci
adł u nóg księcia, rozbił się o skałę i twarz wodza
asypał okruchami gorącemi, jak ukrop.

Libijczycy głośno śmiali się, coś wykrzykując,
rawdopodobnie złorzeczyli wodzowi.

Strach, a nadewszystko żal i litość, wszystko
o w jednej chwili uciekło z duszy Ramzesa. Nie

widział już przed sobą ludzi, zagrożonych cierpie niem i śmiercią, ale szeregi dzikich zwierząt, któr trzeba wytępić lub obezwładnić. Machinalnie się gnął do miecza, aby wyprowadzić czekających n rozkaz kopijników, ale wstrzymała go pogarda. O miałby plamić się krwią tej hołoty!... Od czegóż s żołnierze?

Tymczasem walka trwała dalej, a mężni pro carze libijscy, wykrzykując, nawet śpiewając, za częli posuwać się naprzód. Z obu stron pocisk burczały, jak chrabąszcze, brzęczały jak rój pszczó niekiedy uderzały się nawzajem w powietrzu z trza skiem, a co parę minut, po tej i po tamtej stronie jakiś wojownik cofał się na tyły, jęcząc, albo mar twy padał na miejscu. Innym jednak nie psuło t humoru: walczyli ze złośliwą radością, która stop niowo przeradzała się we wściekły gniew i zapo mnienie o sobie.

Wtem zdaleka, na prawem skrzydle, rozległ się głosy trąbek i wielokrotnie powtarzane okrzyk To nieustraszony Patrokles, pijany już od świtu zaatakował tylną straż nieprzyjacielską.

— Uderzyć!... — zawołał książę.

Natychmiast rozkaz ten powtórzyła trąbka jed na, druga... dziesiąta, i po chwili ze wszystkich wąwozów poczęły wysuwać się egipskie setnie Rozsypani na wzgórzach procarze zdwoili wysiłki a tymczasem w dolinie bez pośpiechu, ale i bez nie porządku, ustawiały się naprzeciw Libijczyków czteroszeregowe kolumny kopijników i toporników egipskich, zwolna posuwając się naprzód.

— Wzmocnić środek — rzekł następca.

Trąbka powtórzyła rozkaz. Za dwiema kolumnami pierwszej linji stanęły dwie nowe kolumny. Nim Egipcjanie ukończyli ten manewr, wciąż pod gradem pocisków, już Libijczycy, naśladując ich, uszykowali się w ośm szeregów naprzeciw głównego korpusu.

— Podsunąć rezerwy — rzekł książę. — Spojrzyjno — zwrócił się do jednego z adjutantów — czy lewe skrzydło już gotowe.

Adjutant, ażeby lepiej ogarnąć wzrokiem dolinę, pobiegł między procarzy i — nagle upadł, ale dawał znaki ręką. W jego zastępstwie wysunął się inny oficer i niebawem przybiegł, oświadczając, że oba skrzydła książęcego oddziału już stoją uszykowane.

Od strony oddziału Patroklesa zgiełk wzmacniał się, i naraz podniosły się nad wzgórza gęste, czarne kłęby dymu. Do księcia przybiegł oficer od Pentuera z doniesieniem, że greckie pułki zapaliły obóz Libijczyków.

— Rozbić środek! — rzekł książę.

Kilkanaście trąbek, jedna po drugiej, zagrały hasło do ataku, a gdy umilkły, w środkowej kolumnie rozległa się komenda, rytmiczny łoskot bębnów i szmer nóg piechoty, maszerującej zwolna, w takt:

— Raz... dwa! raz... dwa!... raz... dwa!...

Teraz komendę powtórzono na prawem i na lewem skrzydle; znowu zawarczały bębny, i skrzy-

dłowe kolumny ruszyły naprzód: raz... dwa!... raz... dwa...

Libijscy procarze zaczęli cofać się, zasypując kamieniami maszerujących Egipcjan. Ale choć coraz upadał jakiś żołnierz, kolumny szły ciągle, szły zwolna, porządnie: raz... dwa!... raz... dwa!...

Żółte tumany, wciąż gęstniejące, znaczyły pochód egipskich bataljonów. Procarze nie mogli już miotać kamieni, i nastała względna cisza, wśród której rozległy się jęki i szlochania ranionych wojowników.

— Rzadko kiedy tak dobrze maszerowali na mustrach! — zawołał książę do sztabu.

— Nie boją się dziś kija — mruknął stary oficer.

Odległość między obłokiem kurzu ze strony Egipcjan a Libijczykami zmniejszała się z każdą chwilą; lecz barbarzyńcy stali nieporuszeni, a poza ich linją ukazał się tuman. Oczywiście jakaś rezerwa wzmacniała kolumnę środkową, której groził najmocniejszy atak.

Następca zbiegł z pagórka i dosiadł konia; z wąwozów wylały się ostatnie rezerwy egipskie i, uszykowawszy się, czekały na rozkaz. Za piechotą wysunęło się kilkuset azjatyckich jeźdźców, na koniach drobnych, ale wytrwałych.

Książę pogonił za maszerującymi do ataku, i o sto kroków dalej znalazł nowy pagórek, niewysoki, lecz pozwalający ogarnąć całe pole bitwy. Orszak, azjatyccy kawalerzyści i kolumna rezerwowa podążyły za nim.

Książę niecierpliwie spojrzał ku lewemu skrzydłu, skąd miał przyjść Mentezufis, lecz nie przychodził. Libijczycy stali nieporuszeni, sytuacja wyglądała coraz poważniej.

Korpus Ramzesa był najmocniejszy, ale też miał przeciw sobie prawie całą siłę libijską. Ilościowo obie strony równoważyły się, książę nie wątpił o zwycięstwie, ale zaniepokoił się o ogrom strat wobec tak mężnego przeciwnika.

Zresztą bitwa ma swoje kaprysy. Nad tymi, którzy już poszli do ataku, skończył się wpływ naczelnego wodza. On już nie ma ich; on ma tylko pułk rezerwowy i garstkę jeźdźców. Gdyby więc jedna z kolumn egipskich była rozbita, albo gdyby nieprzyjacielowi przybyły znienacka nowe posiłki!...

Książę potarł czoło: w tej chwili odczuł całą odpowiedzialność naczelnego wodza. Był jak gracz, który, wszystko postawiwszy, rzucił już kości i pyta: jak one się ułożą?...

Egipcjanie byli o kilkadziesiąt kroków od libijskich kolumn. Komenda... trąbki... bębny warknęły śpieszniej i wojska ruszyły biegiem: raz — dwa — trzy!... raz — dwa — trzy!... Ale i po stronie nieprzyjaciół odezwała się trąbka, zniżyły się dwa szeregi włóczni, uderzono w bębny... Biegiem!... Wzniosły się nowe kłęby pyłu, potem zlały się w jeden ogromny tuman... Ryk ludzkich głosów, trzask włóczni, szczękanie kos, niekiedy przeraźliwy jęk, który wnet tonął w ogólnej wrzawie....

Na całej linji bojowej już nie było widać ludzi, ich broni, nawet kolumn, tylko żółty pył, rozciąga-

jący się w formie olbrzymiego węża. Gęstszy tuman oznaczał miejsce, gdzie starły się kolumny, rzadszy — gdzie była przerwa.

Po kilku minutach szatańskiej wrzawy następca spostrzegł, że kurzawa na lewem skrzydle bardzo powoli wygina się wtył.

— Wzmocnić lewe skrzydło! — zawołał.

Połowa rezerwy pobiegła we wskazanym kierunku i znikła w tumanach; lecz lewe skrzydło wyprostowało się, podczas gdy prawe zwolna szło naprzód, a środek, najmocniejszy i najważniejszy, ciągle stał w miejscu.

— Wzmocnić środek — rzekł książę.

Druga połowa rezerwy poszła naprzód i zniknęła w kurzawie. Krzyk na chwilę powiększył się, ale ruchu naprzód nie było widać.

— Ogromnie biją się ci nędznicy!... — odezwał się do następcy stary oficer z orszaku. — Wielki czas, ażeby przyszedł Mentezufis...

Książę wezwał dowódcę azjatyckiej kawalerji.

— Spojrzyjno tu na prawo — rzekł — tam musi być luka. Wjedź tam ostrożnie, ażebyś nie podeptał naszych żołnierzy i wpadnij zboku na środkową kolumnę tych psów...

— Muszą być na łańcuchu, bo coś za długo stoją — odparł, śmiejąc się, Azjata.

Zostawił przy księciu ze dwudziestu swoich kawalerzystów, a z resztą pojechał kłusem, wołając:

— Żyj wiecznie, wodzu nasz!...

Spiekota była nieopisana. Książę wytężył

wzrok i ucho, starając się przeniknąć ścianę pyłu. Czekał... czekał... Nagle wykrzyknął z radości: środkowy tuman zachwiał się i posunął trochę naprzód.

Znowu stanął, znowu posunął się i zaczął iść powoli, bardzo powoli, ale naprzód...

Wrzawa kotłowała się tak straszna, że nie można było zorjentować się co oznacza: gniew, triumf czy klęskę.

Wtem prawe skrzydło zaczęło w dziwaczny sposób wyginać się i cofać. Poza niem ukazał się nowy tuman kurzu. Jednocześnie nadbiegł konno Pentuer i zawołał:

— Patrokles zajmuje tyły Libijczykom!...

Zamęt na prawem skrzydle powiększył się i zbliżał ku środkowi pola walki. Było widoczne, że Libijczycy zaczynają się cofać i że popłoch ogarnia nawet główną kolumnę.

Cały sztab księcia, wzburzony, rozgorączkowany, śledził ruchy żółtego pyłu. Po kilku minutach niepokój odbił się i na lewem skrzydle. Tam już Libijczycy zaczęli uciekać.

— Niech nie zobaczę jutro słońca, jeżeli to nie zwycięstwo!... — zawołał stary oficer.

Przyleciał goniec od kapłanów, którzy z najwyższego pagórka śledzili przebieg bitwy i doniósł, że na lewem skrzydle widać szeregi Mentezufisa i że Libijczycy są z trzech stron otoczeni.

— Uciekaliby już, jak łanie — mówił zadyszany poseł — gdyby nie przeszkadzały im piaski.

— Zwycięstwo!... Żyj wiecznie, wodzu!... — krzyknął Pentuer.

Było dopiero po 2-ej.

Azjatyccy jeźdźcy zaczęli wrzaskliwie śpiewać i puszczać wgórę strzały na cześć księcia. Sztabowi oficerowie zsiedli z koni, rzucili się do rąk i nóg następcy, wreszcie zdjęli go z siodła i podnieśli wgórę, wołając:

— Oto wódz potężny!... Zdeptał nieprzyjaciół Egiptu!... Amon jest po jego prawej i po lewej ręce, więc któż mu się oprze?...

Tymczasem Libijczycy, wciąż cofając się, weszli na południowe pagórki piaszczyste, a za nimi Egipcjanie. Teraz co chwila wynurzali się z obłoków kurzu jezdni i przybiegali do Ramzesa.

— Mentezufis zabrał im tyły!... — krzyczał jeden.

— Dwie setki poddały się!... — wołał drugi.

— Patrokles zajął im tyły!...

— Wzięto Libijczykom trzy sztandary: barana, lwa i krogulca...

Koło sztabu robiło się coraz tłumniej: otaczali go ludzie pokrwawieni i obsypani pyłem.

— Żyj wiecznie!... żyj wiecznie, wodzu!

Książę był tak rozdrażniony, że naprzemian śmiał się, płakał i mówił do swego orszaku:

— Bogowie zlitowali się... Myślałem, że już przegramy... Nędzny jest los wodza, który, nie wydobywając miecza, a nawet nic nie wiedząc, musi odpowiadać za wszystko...

— Żyj wiecznie, zwycięski wodzu!... — wołano.

— Dobre mi zwycięstwo!...—zaśmiał się książę.—Nawet nie wiem, w jaki sposób odniesiono je...

— Wygrywa bitwy, a potem dziwi się!... — krzyknął ktoś z orszaku.

— Mówię, że nawet nie wiem, jak wygląda bitwa... — tłumaczył się książę.

— Uspokój się, wodzu — odparł Pentuer. — Tak mądrze rozstawiłeś wojska, że nieprzyjaciele musieli być rozbici. A w jaki sposób?... to już nie należy do ciebie, tylko do pułków .

— Nawet miecza nie wydobyłem!... Jednego Libijczyka nie widziałem!... — biadał książę.

Na południowych wzgórzach jeszcze kłębiło się i wrzało, lecz w dolinie pył zaczął opadać, tu i ówdzie, jak przez mgłę, widać było gromadkę żołnierzy egipskich, z włóczniami już podniesionemi wgórę.

Następca zwrócił konia w tamtą stronę i wjechał na opuszczone pole bitwy, gdzie dopiero co stoczyła się walka środkowych kolumn. Był to plac szeroki na kilkaset kroków, skopany głębokiemi jamami, zarzucony ciałami rannych i poległych. Od strony, z której zbliżał się książę, leżeli w długim szeregu, co kilka kroków, Egipcjanie i Libijczycy, pomieszani z sobą, a jeszcze dalej, prawie sami Libijczycy.

W niektórych miejscach zwłoki leżały przy zwłokach; niekiedy w jednym punkcie zgromadziły się trzy i cztery trupy. Piasek był popstrzony brunatnemi plamami krwi; rany były okropne: jeden wojownik miał obcięte obie ręce, drugi rozwaloną

głowę do tułowia, z trzeciego wychodziły wnętrzności. Niektórzy wili się w konwulsjach, a z ich ust, pełnych piasku, wybiegały przekleństwa, albo błagania, ażeby ich dobito.

Następca szybko minął ich, nie obzierając się, choć niektórzy ranni na jego cześć wydawali słabe okrzyki.

Niedaleko od tego miejsca spotkał pierwszą gromadę jeńców. Ludzie ci upadli przed nim na twarze, błagając o litość.

— Zapowiedzcie łaskę dla zwyciężonych i pokornych — rzekł do swego orszaku.

Kilku jeźdźców rozbiegło się w rozmaitych kierunkach. Niebawem odezwała się trąbka, a po niej donośny głos:

— Z rozkazu jego dostojności księcia naczelnego wodza, ranni i niewolnicy nie mają być zabijani!...

W odpowiedzi na to odezwały się pomieszane krzyki, zapewne jeńców.

— Z rozkazu naczelnego wodza — wołał śpiewającym tonem inny głos, w innej stronie — ranni i niewolnicy nie mają być zabijani!...

A tymczasem na południowych wzgórzach walka ustała i dwie największe gromady Libijczyków złożyły broń przed greckiemi pułkami.

Mężny Patrokles, skutkiem gorąca, jak sam mówił, czy też rozpalających trunków, jak mniemali inni, ledwie trzymał się na koniu. Przetarł załzawione oczy i zwrócił się do jeńców:

— Psy parszywe! — zawołał — którzy pod-

nieśliście grzeszne ręce na wojska jego świątobliwości (oby was robaki zjadły!), wyginiecie, jak wszy pod paznogciem pobożnego Egipcjanina, jeżeli natychmiast nie odpowiecie: gdzie podział się wasz dowódca, bodaj mu trąd stoczył nozdrza i wypił kaprawe oczy!...

W tej chwili nadjechał następca. Generał powitał go z szacunkiem, ale nie przerywał śledztwa:

— Pasy każę z was drzeć!... powbijam na pale, jeżeli natychmiast nie dowiem się, gdzie jest ta jadowita gadzina, ten pomiot dzikiej świni, rzucony w mierzwę...

— A, o gdzie nasz wódz!... — zawołał jeden z Libijczyków, wskazując gromadkę konnych, którzy zwolna posuwali się w głąb pustyni.

— Co to jest? — zapytał książę.

— Nędzny Musawasa ucieka!... — odparł Patrokles i o mało nie spadł na ziemię.

Ramzesowi krew uderzyła do głowy.

— Więc Musawasa jest tam i uciekł?... Hej! kto ma lepsze konie, za mną!...

— No — rzekł, śmiejąc się, Patrokles — teraz sam beknie ten złodziej baranów!...

Pentuer zastąpił drogę księciu.

— Wasza dostojność nie możesz ścigać zbiegów!....

— Co?... — wykrzyknął następca. — Przez całą bitwę nie podniosłem na nikogo ręki i jeszcze teraz mam wyrzec się wodza libijskiego?... Cóżby powiedzieli żołnierze, których wysyłałem pod włócznie i topory?...

— Armja nie może zostać bez wodza...

— A czyliż tu niema Patroklesa, Tutmozisa, wreszcie Mentezufisa? Od czegóż jestem wodzem, gdy mi nie wolno zapolować na nieprzyjaciela?... Są od nas o kilkaset kroków i mają zmęczone konie...

— Za godzinę wrócimy z nimi... Tylko rękę wyciągnąć... — szemrali jezdni Azjaci.

— Patrokles... Tutmozis... zostawiam wam wojsko... — zawołał następca. — Odpocznijcie, a ja tu zaraz wrócę...

Spiął konia i pojechał truchtem, grzęznąc w piasku, a za nim ze dwudziestu jezdnych i Pentuer.

— Ty tu poco, proroku? — zapytał go książę. — Prześpij się lepiej... Oddałeś nam dzisiaj ważne usługi...

— Może jeszcze się przydam — odparł Pentuer.

— Ale zostań... rozkazuję ci...

— Najwyższa rada poleciła mi na krok nie odstępować waszej dostojności.

Następca gniewnie otrząsnął się.

— A jeżeli wpadniemy w zasadzkę?—spytał.

— I tam nie opuszczę cię, panie—rzekł kapłan.

ROZDZIAŁ XIX.

W jego głosie było tyle życzliwości, że zdziwiony książę zamilkł i pozwolił mu jechać.

Byli w pustyni, mając o paręset kroków za sobą armję, o kilkaset kroków przed sobą ucieka-

jących. Lecz pomimo bicia i zachęcania koni do biegu, zarówno ci, którzy uciekali, jak i ci, co ich gonili, posuwali się z wielkim trudem. Zgóry zalewał ich straszliwy żar słoneczny, w usta, nos, a nadewszystko w oczy wciskał się im drobniutki, lecz ostry pył, a pod nogami koni, na każdym kroku, zapadał się rozpalony piasek. W powietrzu panował zabijający spokój.

— Przecież ciągle tak nie będzie — rzekł następca.

— Będzie coraz gorzej — odpowiedział Pentuer. — Widzisz wasza dostojność — wskazał uciekających — że tamte konie po kolana brną w piasku.

Książę roześmiał się, w tej chwili bowiem wjechali na grunt nieco twardszy i ze sto kroków jechali kłusem. Wnet jednak zabiegło im drogę morze piaszczyste, i znowu musieli posuwać się noga za nogą.

Ludzie uciekali potem, na koniach zaczęła ukazywać się piana.

— Gorąco! — szepnął następca.

— Słuchaj, panie — odezwał się Pentuer — niedobry to dzień dla gonitw na pustyni. Dziś od rana święte owady zdradzały wielki niepokój, a następnie wpadły w letarg. Równie mój nożyk kapłański bardzo płytko zanurzył się w glinianej pochwie, co oznacza niezwykłe gorąco. Oba zaś te zjawiska: upał i letarg owadów, mogą zapowiadać burzę. Wróćmy więc, bo już nietylko obóz straciliśmy z oczu, ale nawet nie dolatują nas jego szmery.

Ramzes spojrzał na kapłana prawie z pogardą.

— I ty myślisz, proroku — rzekł — że ja, raz zapowiedziawszy schwytanie Musawasy, mogę powrócić z niczem, ze strachu przed gorącem i burzą?

Jechali wciąż. W jednem miejscu grunt znowu stwardniał, dzięki czemu zbliżyli się do uciekających na rzut z procy.

— Hej, wy tam!... — zawołał następca — poddajcie się...

Libijczycy nawet nie spojrzeli za siebie, z wytężeniem brnąc w piasku. Przez chwilę można było sądzić, że będą doścignięci. Wnet jednak oddział następcy znowu trafił na głęboki piasek, a tamci przyśpieszyli kroku i znikli za wypukłością gruntu.

Azjaci klęli, książę zaciął zęby.

Nareszcie konie zaczęły coraz mocniej się zapadać i ustawać; jeźdźcy więc musieli zsiąść i iść piechotą. Nagle jeden z Azjatów zaczerwienił się i padł na piasku. Książę kazał go okryć płachtą i rzekł:

— Zabierzemy go zpowrotem.

Z wielką pracą dosięgli wierzchołka piaszczystej wyniosłości i zobaczyli Libijczyków. Ale i dla nich droga była zabójczą, ustały bowiem dwa konie.

Obóz wojsk egipskich stanowczo ukrył się za falami gruntu, i gdyby Pentuer i Azjaci nie umieli kierować się słońcem, już teraz nie trafiliby na miejsce.

W orszaku księcia padł drugi jeździec, wyrzucając ustami krwawą pianę. Zostawiono i tego razem z koniem. Nadomiar, na tle piasków ukazała się grupa skał, wśród których zniknęli Libijczycy.

— Panie — rzekł Pentuer — tam może być zasadzka...

— Niech będzie śmierć i niech mnie zabierze!... — odparł następca zmienionym głosem.

Kapłan spojrzał na niego z podziwem: nie przypuszczał w nim podobnej zawziętości.

Do skał nie było daleko, lecz droga nad wszelki opis uciążliwa. Trzeba było nietylko iść samym, ale jeszcze wyciągać z piasku konie. Wszyscy brnęli, zanurzeni powyżej kostek; zdarzały się jednak miejsca, gdzie można było zapaść się po kolana.

A na niebie wciąż płonęło słońce, straszne słońce pustyni, którego każdy promień nietylko piekł i oślepiał, lecz nadto kłuł. Najwytrwalsi Azjaci upadali ze znużenia: jednemu spuchł język i wargi, drugi miał szum w głowie i czarne płatki w oczach, innego ogarniała senność, wszyscy czuli ból w stawach i zatracili wrażenie upału. I gdyby zapytano którego: czy na dworze jest gorąco? — nie potrafiłby odpowiedzieć.

Grunt znowu pod nogami stwardniał i orszak Ramzesa wszedł między skały. Książę, najprzytomniejszy ze wszystkich, usłyszał chrapanie konia, skręcił na bok, i w cieniu rzuconym przez pagórek zobaczył gromadę ludzi leżących, jak który padł. Byli to Libijczycy.

Jeden z nich, młodzieniec 20-letni, miał na sobie purpurową koszulkę haftowaną, złoty łańcuch na szyi i miecz bogato oprawny. Zdawał się leżeć bez czucia; miał oczy wywrócone białkami do góry i trochę piany w ustach. Ramzes poznał w nim do-

wódcę. Zbliżył się, zerwał mu łańcuch z szyi i odczepił miecz.

Jakiś stary Libijczyk, który zdawał się być mniej zmęczony od innych, widząc to, odezwał się:

— Choć jesteś zwycięzcą, Egipcjaninie, uszanuj książęcego syna, który był wodzem naczelnym.

— To jest syn Musawasy? — spytał książę.

— Prawdę rzekłeś — odparł Libijczyk: — to jest Tehenna, syn Musawasy, nasz wódz, który godzien był zostać nawet egipskim księciem.

— A gdzie Musawasa?

— Musawasa jest w Glaukus i zbiera wielką armję, która nas pomści.

Inni Libijczycy nie odzywali się; nawet nie raczyli spojrzeć na swoich zwycięzców. Na rozkaz księcia Azjaci rozbroili ich bez trudności i — sami usiedli w cieniu skały.

W tej chwili nie było tu przyjaciół ani wrogów, lecz śmiertelnie znużeni ludzie; śmierć czyhała na wszystkich, ale oni chcieli tylko odpocząć.

Pentuer, widząc, że Tehenna wciąż jest nieprzytomny, ukląkł przy nim i pochylił mu się nad głową, tak, że nikt nie mógł dostrzec, co robi. Wnet jednak Tehenna zaczął wzdychać, rzucać się i otworzył oczy; potem usiadł, trąc czoło, jak przebudzony z twardego snu, który jeszcze nie odszedł.

— Tehenno, wodzu Libijczyków — rzekł Ramzes — ty i twoi ludzie jesteście jeńcami jego świątobliwości faraona.

— Lepiej zabij mnie odrazu — mruknął Tehenna — jeżeli mam utracić wolność.

— Gdy ojciec twój, Musawasa, upokorzy się i zawrze pokój z Egiptem, jeszcze będziesz wolny i szczęśliwy...

Libijczyk odwrócił głowę i położył się, obojętny na wszystko. Ramzes usiadł przy nim i po chwili zapadł w jakiś letarg; prawdopodobnie zasnął.

Ocknął się po upływie kwadransa, nieco rzeźwiejszy. Spojrzał na pustynię i krzyknął z zachwytu: na horyzoncie widać było zielony kraj, wodę, gęste palmy, a nieco wyżej miasteczka i świątynie...

Dokoła niego wszyscy spali — Azjaci i Libijczycy. Tylko Pentuer, stojąc na złomie skały, przysłonił ręką oczy i gdzieś patrzał.

— Pentuerze!... Pentuerze!... — zawołał Ramzes. — Czy widzisz tę oazę?...

Zerwał się i przybiegł do kapłana, który miał troskę na twarzy.

— Widzisz oazę?...

— To nie oaza — odparł Pentuer — to błąkający się w pustyni duch jakiegoś kraju, którego już niema na świecie... Ale tamto — tam... jest naprawdę!... — dodał, wskazując ręką w stronę południa.

— Góry?... — zapytał książę.

— Przypatrz się lepiej.

Książę wpatrywał się, nagle rzekł:

— Zdaje mi się, że ta ciemna masa podnosi się... Muszę mieć zmęczony wzrok.

— To jest Tyfon — szepnął kapłan. — Tylko bogowie mogą nas uratować, jeżeli zechcą...

Istotnie, Ramzes uczuł na twarzy powiew,

który nagle wśród pustynnego upału, wydał mu się ciepłym. Powiew ten, zrazu bardzo delikatny, wzmagał się, był coraz cieplejszy, a jednocześnie ciemna smuga podnosiła się na niebie z zadziwiającą szybkością.

— Cóż zrobimy? — spytał książę.

— Te skały — odparł kapłan — zasłonią nas przed zasypaniem, ale nie odpędzą ani kurzu, ani gorąca, które wciąż rośnie. A za dzień lub dwa...

— Więc Tyfon tak długo wieje?

— Czasami trzy i cztery dni... Tylko niekiedy zrywa się na parę godzin i nagle pada, jak sęp przeszyty strzałą. Ale trafia się to bardzo rzadko....

Książę sposępniał, choć nie stracił odwagi. Kapłan zaś, wydobywszy z pod szaty mały flakonik z zielonego szkła, mówił dalej:

— Masz tu eliksir... Powinien wystarczyć ci na kilka dni... Ile razy uczujesz senność albo strach, wypij kropelkę tego. Tym sposobem wzmocnisz się i przetrzymasz...

— A ty? a inni?...

— Los mój jest w ręku Jedynego. Reszta zaś ludzi... Oni nie są następcami tronu!

— Nie chcę tego płynu — rzekł książę, odsuwając flakonik.

— Musisz go wziąć!... — krzyknął Pentuer.— Pamiętaj, że w tobie lud egipski złożył swoje nadzieje... Pamiętaj, że nad tobą czuwa jego błogosławieństwo...

Czarna chmura podniosła się już do połowy

nieba, a gorący wicher dął tak gwałtownie, że książę kapłan musieli zejść pod skałę.

— Lud egipski?... błogosławieństwo?.. — powtarzał Ramzes.

Nagle zawołał:

— To ty rok temu przemawiałeś do mnie w nocy, z ogrodu?... Było to zaraz po manewrach...

— Tego dnia, kiedy litowałeś się nad chłopem, który powiesił się z rozpaczy, że mu kanał zepsuto — odparł kapłan.

— Ty uratowałeś mój folwark i żydówkę Sarę przed tłumem, który chciał ją ukamienować?...

— Ja — rzekł Pentuer. — Ale ty wkrótce uwolniłeś z więzienia niewinnych chłopów i nie pozwoliłeś Dagonowi dręczyć ludu twego nowemi podatkami.

Za ten lud — mówił kapłan — za miłosierdzie, jakie zawsze okazywałeś mu, dziś jeszcze błogosławię ciebie... Może tylko ty jeden ocalejesz tutaj, ale pomnij... pomnij, że ocala cię uciśniety lud egipski, który od ciebie czeka zbawienia...

Wtem — pociemniało, od południa sypnął deszcz gorącego piasku i zerwał się wicher tak gwałtowny, że przewrócił konia, stojącego w nieosłoniionem miejscu. Azjaci i libijscy jeńcy, wszyscy obudzili się; ale każdy wcisnął się lepiej pod skałę i milczał, zdjęty trwogą.

W naturze działo się coś okropnego. Na ziemi zaległa noc, a na niebie w szalonym pędzie goniły się rude lub czarne obłoki piasku. Zdawało się, że

piasek z całej pustyni ożył, zerwał się wgórę i leciał kędyś z szybkością kamieni, rzucanych z procy.

Gorąco było takie, jak w łaźni: na ręku i twarzy pękała skóra, język usychał, oddech sprawiał kłucie w piersiach. Drobne ziarna piasku parzyły, jak iskry.

Pentuer gwałtem zbliżył flakonik do ust księcia. Ramzes wypił parę kropel i uczuł dziwną zmianę: ból i gorąco przestały go dręczyć, myśl odzyskała swobodę.

— I to może ciągnąć się parę dni?...

— Cztery — odparł kapłan.

— A wy, mędrcy, powiernicy bogów, nie posiadacie sposobu ratowania ludzi z takiej burzy?...

Pentuer zamyślił się i rzekł:

— Na świecie jest tylko jeden mędrzec, który mógłby walczyć ze złemi duchami... Ale jego tu niema!...

Tyfon dął już od pół godziny z niepojętą siłą. Zrobiła się prawie noc. Chwilami wiatr słabnął, czarne kłęby rozsuwały się i było widać na niebie krwawe słońce, a na ziemi złowrogie światło rudej barwy.

Lecz wnet potężniał wicher gorący, duszny; kłęby kurzu gęstniały, trupie światło gasło, a w powietrzu rozlegały się szelesty i szmery, jakich nie nawykło chwytać ludzkie ucho.

Niewiele już brakło do zachodu słońca, a gwałtowność burzy i nieznośny upał wciąż rosły. Kiedy niekiedy nad horyzontem ukazywała się olbrzymia krwawa plama, jakgdyby zaczynał się pożar świata.

Nagle książę spostrzegł, że niema przy nim Pentuera. Wytężył ucho i usłyszał głos wołający:

— Beroes!... Beroes!... jeżeli nie ty, któż nam pomoże?... Beroes!... w imię Jedynego, Wszechmocnego, który nie ma początku, ani końca, wzywam cię!...

W północnej stronie pustyni odezwał się grzmot. Książę struchlał; dla Egipcjanina bowiem grzmoty były prawie tak rzadkiem zjawiskiem, jak ukazanie się komety.

— Beroes!... Beroes!... — powtarzał wielkim głosem kapłan.

Następca wytężył wzrok w tym kierunku i ujrzał ciemną figurę ludzką z podniesionemi rękoma. Z głowy, palców, a nawet z odzienia tej figury, co chwila wyskakiwały jasno-błękitne iskry.

— Beroes!... Beroes!...

Przeciągły grzmot odezwał się bliżej, a wśród tumanów piasku mignęła błyskawica, oblewając pustynię czerwonem światłem.

Nowy grzmot i nowa błyskawica.

Książę uczuł, że gwałtowność wichru słabnie i gorąco się zmniejsza. Skłębiony w górze piasek zaczął spadać na ziemię, niebo zrobiło się popielate, potem rude, potem mlecznej barwy. Potem wszystko ucichło, a za chwilę znowu runął grzmot i zawiał chłodny wiatr z północy.

Znękani upałem Azjaci i Libijczycy ocknęli się.

— Wojownicy faraona — nagle odezwał się stary Libijczyk — a słyszycie wy ten szum w pustyni?...

— Znowu burza?

— Nie, to deszcz pada...

Istotnie, z nieba upadło kilka chłodnych kropel, potem coraz więcej, aż wkońcu zerwała się ulewa, której towarzyszyły pioruny.

Między żołnierzami Ramzesa i ich jeńcami zapanowała szalona radość. Nie zważając na błyskawice i gromy, ludzie, przed chwilą spaleni żarem, spragnieni, biegali, jak dzieci, pod strumieniami deszczu. Po ciemku myli siebie i konie, łapali wodę w czapki i skórzane wory, a nadewszystko — pili, pili!...

— Nie jestże to cud?... — zawołał książę Ramzes. — Gdyby nie deszcz błogosławiony, zginęlibyśmy w pustyni, w gorących uściskach Tyfona.

— Zdarza się tak — odparł stary Libijczyk, — że południowy wicher piaszczysty drażni wiatry przechadzające się nad morzem i sprowadza ulewę.

Ramzesa niemile dotknęły te słowa; przypisywał bowiem nawałnicę modlitwom Pentuera. Zwróciwszy się więc do Libijczyka, spytał:

— A czy zdarza się i to, ażeby z ludzkiej postaci tryskały iskry?

— Zawsze tak bywa, gdy wieje wiatr pustynny — rzekł Libijczyk. — Przecie i tym razem widzieliście iskry, wyskakujące nietylko z ludzi, ale i z koni.

W głosie jego brzmiała taka pewność, że książę, zbliżywszy się do oficera swej jazdy, szepnął:

— A zważajcie na Libijczyków...

Ledwie to powiedział, coś zakotłowało się

wśród ciemności, a po chwili rozległ się tętent. Gdy zaś błyskawica rozświeciła pustynię, zobaczono człowieka, który uciekał na koniu.

— Wiązać tych nędzników! — krzyknął książę — i zabić, jeżeli który będzie opierał się... Biada ci, Tehenno, gdyby ten łotr sprowadził na nas twoich braci!... Zginiesz w ciężkich męczarniach, ty i twoi...

Pomimo deszczu, piorunów i ciemności, żołnierze Ramzesa szybko powiązali Libijczyków, nie stawiających zresztą żadnego oporu.

Może czekali na rozkaz Tehenny, ale ten był tak zgnębiony, że nie myślał o ucieczce.

Powoli burza uspokajała się, a miejsce dziennego upału zajął w pustyni chłód przejmujący. Ludzie i konie napili się dosyta i worki napełnili wodą; daktylów i sucharów było dosyć, więc panowało dobre usposobienie. Grzmoty osłabły, ciche błyskawice zapalały się coraz rzadziej; na północnem niebie poczęły rozdzierać się obłoki, tu i ówdzie zapłonęły gwiazdy.

Pentuer zbliżył się do Ramzesa.

— Wracajmy ku obozowi — rzekł. — Możemy tam dojść za parę godzin, nim ten, który uciekł, naprowadzi nam nieprzyjaciół.

— Jakże trafimy wśród takiej ciemności? — spytał książę.

— Czy macie pochodnie? — zwrócił się kapłan do Azjatów.

Pochodnie, czyli długie sznury, nasycone materjałami palnemi, były; ale nie było ognia. Drew-

niane bowiem krzesiwka, służące do zapalania, przemokły.

— Musimy czekać do rana — rzekł niecierpliwy książę.

Pentuer nie odpowiedział. Wydobył ze swej torby małe naczynie, wziął od żołnierza pochodnię i odszedł na bok. Po chwili rozległo się ciche syczenie i pochodnia... zapaliła się!...

— Wielki jest czarnoksiężnik ten kapłan!... — mruknął stary Libijczyk.

— W oczach moich sprawiłeś już drugi cud — rzekł książę do Pentuera. — Czy możesz mi objaśnić, jak się to robi?....

Kapłan potrząsnął głową.

— O wszystko pytaj mnie, panie — odparł — a odpowiem ci, na ile mi starczy mądrości. Tylko nigdy nie żądaj, abym ci wyjaśnił tajemnice naszych świątyń.

— Nawet gdybym cię mianował moim doradcą?

— Nawet i wówczas. Nigdy nie będę zdrajcą, a choćbym i śmiał nim zostać, odstraszyłyby mnie kary...

— Kary?... — powtórzył książę — Aha!... Pamiętam w świątyni Hator człowieka schowanego w podziemiu, na którego kapłani wylewali roztopioną smołę. Czyżby to robili naprawdę?... I ów człowiek naprawdę skonał w mękach?...

Pentuer milczał, jakby nie słysząc pytania, i powoli wydobył ze swej cudownej torby mały posążek bóstwa z rozkrzyżowanemi rękoma. Posążek

ten wisiał na sznurku; kapłan puścił go wolno i, szepcąc modlitwę, uważał. Posążek po pewnej liczbie wahań i kręceń się zawisnął spokojnie.

Ramzes przy świetle pochodni ze ździwieniem przypatrywał się tym praktykom.

— Co to robisz? — spytał kapłana.

— Tyle tylko mogę powiedzieć waszej dostojności — rzekł Pentuer — że bóstwo jedną ręką wskazuje gwiazdę Eshmun *). Ona to w czasie nocy prowadzi przez morza fenickie okręty.

— Więc i Fenicjanie mają tego boga?

— Nawet nie wiedzą o nim. Bóg, który zawsze zwraca jedną rękę do gwiazdy Eshmun, jest znany tylko nam i kapłanom chaldejskim. Przy jego zaś pomocy, każdy prorok dniem i nocą, w pogodę i niepogodę, może odkryć swoją drogę na morzu, czy w pustyni.

Na rozkaz księcia, który z zapaloną pochodnią szedł obok Pentuera, orszak i jeńcy ruszyli za kapłanem, w kierunku północno-wschodnim. Bożek, zawieszony na sznurku, chwiał się, lecz niemniej wyciągniętą ręką wskazywał, gdzie leży święta gwiazda, opiekunka zbłąkanych podróżników.

Szli pieszo, prowadząc konie, dobrym krokiem. Zimno było tak ostre, że nawet Azjaci chuchali w ręce, a Libijczycy drżeli.

Wtem coś zaczęło chrupać i trzeszczeć pod nogami. Pentuer przystanął i schylił się.

— W tem miejscu — rzekł — deszcz na opoce

---

*) Polarną.

utworzył płytką kałużę. A z wody, patrz dostojny panie, co się zrobiło...

Mówiąc to, podniósł i pokazał księciu jakby tafelkę szklaną, która topniała w rękach.

— Gdy jest bardzo zimno — dodał — woda staje się przezroczystym kamieniem.

Azjaci potwierdzili słowa kapłana, dodając, że daleko na północy woda bardzo często zamienia się w kamień, a para w białą sól, która jednak nie ma żadnego smaku, tylko szczypie w palce i wywołuje ból w zębach.

Książę coraz bardziej podziwiał mądrość Pentuera.

Tymczasem w północnej stronie niebo wyjaśniło się, odsłaniając Niedźwiedzicę, a w niej gwiazdę Eshmun. Kapłan, znowu odmówiwszy modlitwę, schował do torby przewodniczącego bożka i kazał zgasić pochodnie, a zostawić tylko tlący sznur, który utrzymywał ogień, i stopniowem upalaniem się znaczył godziny.

Książę zalecił czujność swemu oddziałowi i, wziąwszy Pentuera, wysunął się o kilkadziesiąt kroków naprzód.

— Pentuerze — odezwał się — od tej chwili mianuję cię moim doradcą, i na teraz, i wówczas, gdy podoba się bogom oddać mi koronę Górnego i Dolnego Egiptu...

— Czemże zasłużyłem na tę łaskę?

— W oczach moich spełniałeś czyny, które świadczą o wielkiej twojej mądrości i potędze nad duchami. Nadto zaś byłeś gotów ocalić mi życie.

Więc choć postanowiłeś ukrywać wiele rzeczy przede mną...

— Wybacz, dostojny panie — przerwał kapłan.—Zdrajców, gdy będą ci potrzebni, znajdziesz, za złoto i klejnoty, nawet między kapłanami. Ale ja nie chcę należeć do nich. Bo pomyśl: czy, zdradzając bogów, dawałbym ci pewność, że i z tobą tak nie postąpię?

Ramzes zamyślił się.

— Mądrze powiedziałeś — odparł. — Lecz dziwno mi, skąd ty, kapłan, masz dla mnie życzliwość w sercu? Rok temu, błogosławiłeś mnie, a dziś nie pozwoliłeś samemu jechać w pustynię, i oddajesz mi wielkie usługi...

— Bo ostrzegli mnie bogowie, że ty, dostojny panie, gdy zechcesz, możesz wydobyć z nędzy i poniżenia nieszczęsny lud egipski.

— Cóż lud ciebie obchodzi?

— Z pośród niego wyszedłem... Mój ojciec i bracia po całych dniach czerpali wodę z Nilu i dostawali kije...

— W czemże ja mogę pomóc ludowi? — spytał następca.

Pentuer ożywił się.

— Lud twój — mówił wzruszony — za wiele pracuje, za duże płaci podatki, cierpi nędzę i prześladowania. Ciężką jest dola chłopa...

„Robak pożarł połowę jego zbioru, nosorożec drugą; na polach mnóstwo myszy, spadła szarańcza, bydło wygniotło, ukradły wróble. Co jeszcze zostało na klepisku, temu złodzieje zrobili koniec. O nędzo

rolnika!... Teraz dopiero przybywa pisarz na brzeg i upomina się o zbiór, towarzysze jego przynieśli kije, a murzyni palmowe rózgi. Mówią: Daj tu zboże. — Niema żadnego. — Biją go wtenczas, rozciągają, jak długi, i wiążą, rzucają do kanału, gdzie się topi, głową na dół. Żonę jego wiążą przed nim i dzieci takoż. Sąsiedzi uciekają, ratując swoje zboże *)".

— Sam to widziałem — odparł zamyślony książę — i nawet odpędziłem jednego podobnego pisarza. Lecz czyliż mogę być wszędzie obecnym, ażeby zapobiegać niesprawiedliwości?

— Możesz, panie, rozkazać, ażeby nie dręczono ludzi bez potrzeby. Możesz zniżyć podatki, wyznaczyć chłopom dni odpoczynku. Możesz wkońcu obdarować każdą rodzinę choćby zagonem ziemi, z której zbiór należałby tylko do nich i służył do ich wykarmienia. W razie przeciwnym będą i nadal karmili się lotosem, papirusem i zdechłemi rybami, i wkońcu twój lud zmarnieje... Ale, jeżeli ty okażesz mu swoją łaskę, podźwignie się.

— I naprawdę uczynię tak! — zawołał książę. — Dobry gospodarz nie pozwala, ażeby jego inwentarz umarł z głodu, pracował nad siły lub odbierał niesłuszne plagi... To musi się zmienić!...

Pentuer się zatrzymał.

— Przyrzekasz mi to, dostojny panie?...

— Przysięgam! — odparł Ramzes.

— A więc i ja ci przysięgam, że będziesz najsławniejszym faraonem, wobec którego zblednie

*) Opis autentyczny.

Ramzes Wielki! — zawołał, już nie panujący nad sobą kapłan.

Książę zamyślił się.

— Co poczniem we dwu przeciw kapłanom, którzy mnie nienawidzą?...

— Oni boją się ciebie, panie — odpowiedział Pentuer. — Boją się, ażebyś zbyt wcześnie nie zaczął wojny z Asyrją...

— Cóż im zależy na tem, jeżeli wojna będzie wygrana?...

Kapłan schylił głowę i rozłożył ręce, lecz milczał.

— Więc ja tobie powiem!... — krzyknął rozdrażniony książę—oni nie chcą wojny, gdyż lękają się, ażebym nie wrócił z niej zwycięzcą, obładowanym skarbami, pędząc przed sobą niewolników...

Oni tego się boją, ponieważ chcą, ażeby każdy faraon był słabem narzędziem ich ręki, bezużytecznym sprzętem, który można odrzucić, kiedy im się podoba...

Ale ze mną tego nie będzie!... I albo zrobię to, czego chcę, do czego mam prawo, jak syn i spadkobierca bogów, albo... zginę...

Pentuer cofnął się i wyszeptał zaklęcie.

— Nie mów tak, dostojny panie — rzekł zmieszany — aby złe duchy, krążące nad pustynią, nie pochwyciły twoich słów... Słowo, zapamiętaj władco, jest jak kamień rzucony z procy; gdy trafi na ścianę, odbije się i zwróci przeciw tobie samemu...

Książę pogardliwie machnął ręką.

— Wszystko jedno — odparł. — Nie ma war-

tości takie życie, w którem każdy krępowałby moją wolę... Jeżeli nie bogowie, to wichry pustynne; jeżeli nie złe duchy, to kapłani... I jakaż ma być władza faraona?... Chcę robić to, co ja chcę, i zdawać sprawę tylko przed wiekuistymi przodkami, nie zaś przed lada ogolonym łbem, który niby tłumaczy zamiary bogów, a naprawdę zagarnia władzę i napełnia swoje skarbce mojemi dostatkami...

Wtem o kilkanaście kroków od nich rozległ się dziwny krzyk, środkujący między rżeniem a beczeniem, i — przebiegł olbrzymi cień. Pędził, jak strzała, i o ile można było dojrzeć, miał długą szyję i tułów garbaty.

Wśród książęcego orszaku rozległ się szmer zgrozy.

— To gryf... Wyraźnie widziałem skrzydła...— mówili Azjaci.

— Pustynia roi się potworami... — dodał stary Libijczyk.

Ramzes był stropiony; jemu także zdawało się, że przebiegający cień miał głowę węża i coś nakształt krótkich skrzydeł.

— Czy w rzeczy samej — zapytał kapłana — w pustyni ukazują się potwory?

— Zapewne — rzekł Pentuer — że w miejscu tak odludnem snują się niedobre duchy w najosobliwszych postaciach. Zdaje mi się jednak, że to, co przeszło obok nas, jest raczej zwierzęciem. Podobne ono jest do osiodłanego konia, tylko większe i prędsze w biegu. Mówią zaś mieszkańcy oaz, że zwierzę to może wcale nie pić wody, a przynaj-

mniej bardzo rzadko. Gdyby tak było, przyszłe pokolenia mogłyby używać do przebiegania pustyń tej dziwnej istoty, która dziś tylko strach budzi.

— Nie śmiałbym siąść na grzbiecie takiej poczwary — odparł książę, potrząsając głową.

— To samo nasi przodkowie mówili o koniu, który Hyksosom pomógł zdobyć Egipt, a dziś stał się niezbędnym dla naszej armji. Czas bardzo zmienia ludzkie sądy!... — rzekł Pentuer.

Na niebie znikły ostatnie chmury i zaczęła się noc jasna. Pomimo braku księżyca, było tak widno, że na tle białego piasku można było poznać ogólne zarysy przedmiotów, nawet drobnych, czy bardzo odległych.

Przejmujący chłód także się zmniejszył. Przez jakiś czas orszak maszerował w milczeniu, po kostki grzęznąc w piaskach. Nagle między Azjatami znowu wszczął się tumult i rozległy się wołania:

— Sfinks!... patrzcie, sfinks!... Już nie wyjdziemy żywi z pustyni, kiedy ciągle pokazują się nam widziadła.

Rzeczywiście, na białym pagórku wapiennym bardzo wyraźnie rysowała się sylwetka sfinksa. Lwie ciało, ogromna głowa w czepcu egipskim i jakby ludzki profil.

— Uspokójcie się, barbarzyńcy — rzekł stary Libijczyk. — To przecie nie sfinks, tylko lew, i nic wam nie zrobi, gdyż zajęty jest jedzeniem.

— Zaprawdę, jest to lew!—potwierdził książę, zatrzymując się. — Ale jak on podobny do sfinksa...

— On też jest ojcem naszych sfinksów — wtrącił półgłosem kapłan. — Jego twarz przypomina rysy człowiecze, a jego grzywa perukę...

— Czy i nasz wielki sfinks, ten, który pod piramidami?...

— Na wiele wieków przed Menesem — mówił Pentuer — kiedy jeszcze nie było piramid, rosła w tem miejscu skała podobna do lwa leżącego, jakgdyby bogowie tym sposobem chcieli oznaczyć, gdzie zaczyna się pustynia.

Ówcześni święci kapłani kazali mistrzom dokładniej obrobić skałę i braki jej dopełnić zapomocą sztucznego muru. Mistrze zaś, częściej widując ludzi, aniżeli lwy, wyrzeźbili twarz ludzką, i tak urodził się pierwszy sfinks...

— Któremu oddajemy cześć boską...—uśmiechnął się książę.

— I słusznie — odparł kapłan. — Pierwsze bowiem zarysy tego dzieła zrobili bogowie, a ludzie wykończyli je także pod natchnieniem bogów. Nasz sfinks ogromem i tajemniczością przypomina pustynię, ma postać duchów błąkających się w pustyni i tak przeraża ludzi jak ona. Jest on zaprawdę synem bogów i ojcem trwogi...

— A swoją drogą wszystko ma ziemski początek — odparł książę. — Nil nie wypływa z nieba, ale z jakichś gór, leżących poza Etjopją. Piramidy, o których mówił mi Herhor, że są obrazem naszego państwa, są budowane na wzór skalistych szczytów. A i nasze świątynie z ich pylonami i obeliskami, z ich ciemnością i chłodem, czyliż nie przypominają

pieczar i gór ciągnących się wzdłuż Nilu?... Ile razy na polowaniu zabłąkałem się między wschodniemi skałami, zawszem trafił na jakieś osobliwsze nagromadzenie kamieni, które przywodziło mi na myśl świątynię. Nawet nieraz na ich chropowatych ścianach widziałem hieroglify, pisane ręką wichru i deszczu...

— W tem, wasza dostojność, masz dowód, że nasze świątynie były wznoszone według planu, który nakreślili sami bogowie — rzekł kapłan. — A jak drobna pestka, rzucona w ziemię, rodzi niebotyczne palmy, tak obraz skały, pieczary, lwa, nawet lotosu, zasiany w duszę pobożnego faraona, rodzi aleje sfinksów, świątynie i ich potężne kolumny. Boskie to są czyny, nie ludzkie, i szczęśliwy ten władca, który, patrząc naokoło siebie, potrafi w rzeczach ziemskich odkryć myśl bożą i w zrozumiały sposób przedstawić ją następnym pokoleniom.

—Tylko władca taki musi mieć władzę i duży majątek — wtrącił zgryźliwie Ramzes— nie zaś zależeć od kapłańskich przywidzeń...

Przed nimi ciągnęło się drugie wzgórze piaszczyste, na którem w tej chwili ukazało się kilku jeźdźców.

— Nasi, czy Libijczycy?... — rzekł książę.

Ze wzgórza odezwał się głos rogu, na który odpowiedziano z orszaku księcia. Konni zjechali szybko, ile na to pozwalał głęboki piasek. Zbliżywszy się, jeden z nich zawołał:

— Czy jest następca tronu?...

— Jest i zdrów! — odpowiedział Ramzes.

Zsiedli z koni i upadli na twarze.

— O erpatre!—mówił dowódca przybyłych.— Wojsko twoje rozdziera szaty i prochem posypuje głowy, myśląc, żeś zginął... Cała kawalerja rozbiegła się po pustyni, ażeby znaleźć twoje ślady, i dopiero nam, niegodnym, pozwolili bogowie, że witamy cię pierwsi...

Książę mianował go setnikiem i rozkazał, aby nazajutrz przedstawił do nagrody swoich podwładnych.

ROZDZIAŁ XX.

W pół godziny później ukazały się gęste tłumy armji egipskiej, a niebawem orszak księcia znalazł się w obozie. Ze wszystkich stron odezwały się trąbki na alarm, żołnierze chwycili broń i, krzycząc, stawali w szeregach. Oficerowie padali księciu do nóg, i, jak wczoraj po zwycięstwie, podniósłszy go na rękach, zaczęli obchodzić z nim oddziały. Ściany wąwozu drżały od okrzyków: „Żyj wiecznie, zwycięzco!... Bogowie opiekują się tobą!...“

Otoczony pochodniami, zbliżył się święty Mentezufis. Następca, zobaczywszy go, wydarł się z rąk oficerów i pobiegł naprzeciw kapłana.

— Wiesz, ojcze święty — zawołał Ramzes — schwytaliśmy libijskiego wodza, Tehennę!...

— Marna zdobycz — odparł surowo kapłan — dla której naczelny wódz nie powinien był rzucać

armji; szczególnie wówczas, gdy lada chwila nowy nieprzyjaciel może nadciągnąć..

Książę odczuł całą sprawiedliwość zarzutu, lecz właśnie dlatego zerwał się w nim gniew. Zacisnął pięści, zabłysnęły mu oczy.

— Na imię matki twej, milcz, panie!...—szepnął stojący za nim Pentuer.

Następcę tak zdziwiło nieoczekiwane odezwanie się jego doradcy, że w jednej chwili ochłonął, a ochłonąwszy, zrozumiał, że najwłaściwiej będzie przyznać się do błędu.

— Prawdę mówisz, wasza dostojność — odparł. — Ani armja wodza, ani wódz armji nigdy nie powinien opuszczać. Sądziłem jednak, że zastąpisz mnie ty, święty mężu, który tu jesteś przedstawicielem ministra wojny...

Spokojna odpowiedź ułagodziła Mentezufisa, więc kapłan już nie przypomniał księciu zeszłorocznych manewrów, na których namiestnik tak samo opuścił wojska i wpadł w niełaskę u faraona.

Wtem z wielkim krzykiem zbliżył się do nich Patrokles. Grecki wódz znowu był pijany i zdaleka wołał do księcia:

— Patrz, następco: co zrobił święty Mentezufis?... Ty ogłosiłeś przebaczenie dla wszystkich żołnierzy libijskich, którzy opuszczą najezdników i wrócą do armji jego świątobliwości. Do mnie ci ludzie zbiegli się i ja, dzięki temu, rozbiłem lewe skrzydło nieprzyjacielskie... Tymczasem dostojny Mentezufis kazał wszystkich wymordować... Zginę-

ło blisko tysiąc jeńców, samych naszych ex-żołnierzy, którzy mieli otrzymać łaskę.

Księciu znowu krew uderzyła do głowy, ale wciąż stojący za nim Pentuer szepnął:

— Milcz, przez bogi, milcz!...

Lecz Patrokles nie miał doradcy, więc krzyczał dalej:

— Od tej chwili raz na zawsze straciliśmy zaufanie u obcych, no — i u swoich... Bo wkońcu i nasza armja musi rozprzęgnąć się, gdy pozna, że na jej czoło wdzierają się zdrajcy...

— Nędzny najmito — odparł zimno Mentezufis — tak że to śmiesz odzywać się o wojsku i zaufanych jego świątobliwości?... Jak świat światem, nie słyszano jeszcze podobnego bluźnierstwa!... I lękam się, czy bogowie nie pomszczą wyrządzonej sobie zniewagi...

Patrokles grubo się roześmiał.

— Dopóki śpię między Grekami, nie lękam się zemsty nocnych bogów... A gdy czuwam, nic nie zrobią dzienni...

— Idź spać, idź!... między twoich Greków, pijanico — rzekł Mentezufis — aby z twej winy na nasze głowy grom nie spadł...

— Na twój, dusigroszu, ogolony łeb nie spadnie, bo będzie myślał, że to co innego!... — odparł nieprzytomny Grek. Lecz widząc, że książę nie daje mu poparcia, cofnął się do swego obozu.

— Czy naprawdę—spytał Ramzes kapłana—czy naprawdę kazałeś, święty mężu, pobić jeńców, wbrew mojej obietnicy, że otrzymają łaskę?...

— Wasza dostojność nie byłeś w obozie—odparł Mentezufis—więc na ciebie nie spada odpowiedzialność za ten czyn. Ja zaś pilnuję się naszych praw wojennych, które nakazują tępić zdradzieckich żołnierzy. Żołnierze, którzy poprzednio służyli jego świątobliwości, a następnie połączyli się z nieprzyjaciółmi, mają być natychmiast zabijani — oto ustawa.

— A gdybym ja był tutaj?...

— Jako naczelny wódz i syn faraona, możesz zawieszać wykonanie pewnych ustaw, których ja muszę słuchać — odparł Mentezufis.

— Nie mógłżeś więc zaczekać do mego powrotu?

— Ustawa każe zabijać natychmiast, więc spełniłem jej wymagania.

Książę był tak oszołomiony, że przerwał dalszą rozmowę i udał się do swego namiotu. Tam dopiero, upadłszy na fotel, rzekł do Tutmozisa:

— Ależ ja już dziś jestem niewolnikiem kapłanów!... Oni mordują jeńców, oni grożą moim oficerom, oni nawet nie szanują moich zobowiązań!... Niczeście nie mówili Mentezufisowi, kiedy kazał zabijać tych nieszczęsnych?...

— Zasłaniał się prawem wojennem i nowemi rozkazami Herhora...

— Ależ właściwie ja tu jestem wodzem, choć wyjechałem na pół dnia.

— Wyraźnie zdałeś dowództwo w ręce moje i Patroklesa — odparł Tutmozis. — Gdy zaś nadje-

chał święty Mentezufis, musieliśmy mu ustąpić, gdyż jest wyższy od nas...

Książę pomyślał, że jednak schwytanie Tehenny było okupione zbyt wielkiemi nieszczęściami. Jednocześnie z całą siłą odczuł doniosłość przepisu, który nie pozwala wodzowi opuszczać wojska. Musiał sobie przyznać, że nie ma słuszności, ale to jeszcze bardziej drażniło jego dumę i napełniało nienawiścią do kapłanów.

„Otóż — mówił — jestem w niewoli, pierwej nawet, nim zdążyłem zostać faraonem (oby mój świątobliwy ojciec żył wiecznie!). Więc już dzisiaj muszę zacząć wydobywać się z niej, a przedewszystkiem — milczeć... Pentuer ma słuszność: milczeć, zawsze milczeć, a gniewy swoje, jak drogocenne klejnoty, składać w skarbcu pamięci. Dopiero, gdy zbierze się... O, prorocy, wy mi wówczas zapłacicie!..."

— Nie pytasz, wasza dostojność, o rezultat bitwy? — spytał Tutmozis.

— Aha, właśnie!... Cóż jest?

— Przeszło dwa tysiące jeńców, więcej niż trzy tysiące zabitych, a ledwie kilkuset uciekło.

— Jakaż więc była armja libijska? — rzekł zdziwiony książę.

— Sześć do siedmiu tysięcy ludzi.

— To być nie może... Czy podobna, aby w takiej potyczce zginęło prawie całe wojsko?...

— A przecież tak jest; to była straszna bitwa — odparł Tutmozis. — Otoczyłeś ich ze wszystkich stron, resztę zrobili żołnierze, no... i dostojny

Mentezufis... O takiej klęsce nieprzyjaciół Egiptu nie mówią nagrobki najsławniejszych faraonów.

— Idź już spać, Tutmozisie, jestem zmęczony — przerwał książę, czując, że pycha zaczyna mu bić do głowy.

— „Więc to ja odniosłem takie zwycięstwo?... Niepodobna!...“ — pomyślał.

Rzucił się na skóry, ale, pomimo śmiertelnego znużenia, zasnąć nie mógł.

Dopiero czternaście godzin upłynęło od chwili, gdy wydał hasło rozpoczęcia bitwy... Dopiero 14-cie godzin?... Niepodobna!...

On wygrał taką bitwę?... Ależ on nawet nie widział bitwy, tylko żółty, gęsty tuman, skąd potokami wylewały się nieludzkie wrzaski. Oto i teraz widzi ów tuman, słyszy wrzawę, czuje spiekotę, a przecie żadnej bitwy niema...

Potem zobaczył niezmierną pustynię, wśród której z bolesnym trudem posuwał się po piasku. On i jego ludzie mieli najlepsze konie z całej armji, a pomimo tego, pełzali jak żółwie... A co za spiekota... Niepodobna, ażeby człowiek mógł wytrzymać taki żar...

A oto zrywa się tyfon, zasłania świat, pali, gryzie, dusi... Z figury Pentuera sypią się blade iskry... Nad ich głowami rozlegają się grzmoty, zjawisko, którego nie widział jeszcze nigdy... Potem cicha noc w pustyni... Pędzący gryf, ciemna sylwetka sfinksa na wapiennem wzgórzu...

„Tylem widział, tylem przeżył — myśli Ramzes — byłem przy budowaniu naszych świątyń,

a nawet przy urodzinach wielkiego sfinksa, który już nie ma wieku, i... to wszystko miałoby zdarzyć się w ciągu czternastu godzin?...“

Jeszcze ostatnia myśl błysnęła księciu: „Człowiek, który tyle przeżył, nie może długo żyć...“

Przebiegło go zimno od stóp do głowy i — zasnął.

Nazajutrz ocknął się w parę godzin po wschodzie słońca. Kłuły go oczy, bolały wszystkie kości, trochę kaszlał, ale umysł miał jasny i serce pełne odwagi.

We drzwiach namiotu stał Tutmozis.

— Cóż?... — spytał książę.

— Szpiegowie od granicy libijskiej przynoszą dziwne wieści — odparł ulubieniec. — Ku naszemu wąwozowi zbliża się wielki tłum, ale to nie jest wojsko, ale bezbronni, kobiety i dzieci, a na ich czele Musawasa i najprzedniejsi Libijczycy.

— Cóżby to znaczyło?

— Widać chcą prosić o pokój.

— Po jednej bitwie?... — zdziwił się książę.

— Ale jakiej!... Przytem strach mnoży w ich oczach nasze wojska... Czują się słabymi i lękają się najazdu i śmierci...

— Zobaczymy, czy to nie jest podstęp wojenny!... — odparł książę po namyśle. — A jakże nasi?

— Zdrowi, syci, napojeni, wypoczęci i weseli. Tylko...

— No?...

— Patrokles umarł w nocy — szepnął Tutmozis.

— Jakim sposobem?... — zawołał książę, zrywając się.

— Jedni mówią, że zapił się, inni... że to kara bogów... Twarz miał siną, a usta pełne piany...

— Jak tamten niewolnik w Atribis, pamiętasz go?... Nazywał się Bakura i wpadł do sali uczty ze skargami na nomarchę... Rozumie się, że tej samej nocy umarł z pijaństwa!... Co?...

Tutmozis spuścił głowę.

— Musimy być bardzo ostrożni, panie mój...— szepnął.

— Postaramy się—odparł książę spokojnie.— Nie będę się nawet dziwił śmierci Patroklesa... Bo i co osobliwego może być w tem, że umarł jakiś pijaczyna, który obrażał bogów, ba... nawet kapłanów...

Ale Tutmozis w tych drwiących słowach odczuł groźbę.

Książę bardzo kochał wiernego, jak pies, Patroklesa. Mógł zapomnieć wiele własnych krzywd, ale jego śmierci nie przebaczy nigdy.

Przed południem, do książęcego obozu nadciągnął z Egiptu świeży pułk tebański, a oprócz tego kilka tysięcy ludzi i kilkaset osłów przyniosło wielkie zapasy żywności i namioty. Jednocześnie od strony Libji znowu nadbiegli szpiegowie, donosząc, że banda ludzi bezbronnych, idących ku wąwozowi, wciąż się powiększa.

Z rozkazu następcy, gęste oddziałki jazdy we wszystkich kierunkach zbadały okolicę: czy nie ukrywa się gdzie nieprzyjacielska armja? Nawet ka-

płani, wziąwszy z sobą małą kapliczkę Amona, weszli na szczyt najwyższego wzgórza i odprawili tam nabożeństwo. A wróciwszy do obozu, zapewnili następcę, że wprawdzie nadciąga kilkutysięczny tłum bezbronnych Libijczyków, ale armji niema nigdzie, co najmniej w trzymilowym promieniu.

Książę zaczął się śmiać z raportu.

— Mam dobre oko — rzekł — ale w takiej odległości nie dojrzałbym wojska.

Kapłani, naradziwszy się między sobą, oświadczyli księciu, że, jeżeli zobowiąże się nie rozmawiać z ludźmi niewtajemniczonymi o tem, co zobaczy, przekona się, że można widzieć bardzo daleko.

Ramzes przysiągł. Wówczas kapłani ustawili na jednem wzgórzu ołtarz Amona, i rozpoczęli modlitwy. A gdy książę, umywszy się, zdjął sandały, i ofiarował bogu złoty łańcuch i kadzidło, wprowadzili go do ciasnej skrzyni, zupełnie ciemnej, i kazali patrzeć na ścianę.

Po chwili zaczęły się pobożne śpiewy, w czasie których ukazało się na wewnętrznej ścianie skrzyni jasne kółko. Wnet jasna barwa zmętniała; książę zobaczył piaszczystą równinę, wśród niej skały, a przy nich azjatyckie placówki!...

Kapłani zaczęli śpiewać żywiej i obraz się zmienił. Było widać inny kawałek pustyni, a w niej tłum ludzi, niewiększych od mrówek. Mimo to ruchy, ubiory, a nawet twarze osób były tak wyraźne, że książę mógł je opisać!...

Zdumienie następcy nie miało granic. Przecierał oczy, dotykał poruszającego się wizerunku... Na-

gle odwrócił głowę, obraz zniknął i została ciemność.

Kiedy wyszedł z kaplicy, zapytał go starszy kapłan:

— Cóż, erpatre, wierzysz teraz w potęgę bogów egipskich?

— Zaprawdę — odparł — jesteście tak wielkimi mędrcami, że cały świat powinien wam składać ofiary i hołdy. Jeżeli w równym stopniu potraficie widzieć przyszłość, nic wam się nie oprze.

Na te słowa jeden z kapłanów wszedł do kaplicy, zaczął się modlić i niebawem odezwał się stamtąd głos, mówiący:

— Ramzesie!... zważone są losy państwa, a nim druga pełnia nadejdzie, zostaniesz jego władcą...

— Bogowie!...—zawołał przerażony książę — azaliż ojciec mój jest tak chory?...

Upadł twarzą na piasek, a jeden z asystujących kapłanów spytał go: czy nie chce jeszcze czego się dowiedzieć?

— Powiedz, ojcze Amonie — odparł — czy spełnią się moje zamiary?

Po chwili rzekł głos z kaplicy:

— Jeżeli nie rozpoczniesz wojny ze Wschodem, będziesz składał ofiary bogom i szanował ich sługi, czeka cię długi żywot i pełne sławy panowanie...

Po tych cudach, które zdarzyły się w jasny dzień, na otwartem polu, książę wzburzony wrócił do swego namiotu.

„Nic nie oprze się kapłanom!...“ — myślał z trwogą.

W namiocie zastał Pentuera.

— Powiedz mi, mój doradco — rzekł — czy wy, kapłani, możecie czytać w ludzkiem sercu i odsłaniać jego tajemne zamiary?

Pentuer potrząsnął głową.

— Prędzej — odparł — człowiek dojrzy, co mieści się we wnętrzu skały, aniżeli zbada cudze serce. Ono nawet jest dla bogów zamknięte i dopiero śmierć odkrywa jego myśli.

Książę głęboko odetchnął, ale nie mógł pozbyć się niepokoju. Gdy zaś ku wieczorowi trzeba było zwołać radę wojenną, zaprosił na nią Mentezufisa i Pentuera.

Nikt nie wspominał o nagle zmarłym Patroklesię; może dlatego, że były pilniejsze sprawy. Przyjechali bowiem libijscy posłowie, błagając w imieniu Musawasy o litość nad jego synem Tehenną i ofiarując Egiptowi poddanie się i wieczny pokój.

— Źli ludzie — mówił jeden z posłów — oszukali naród nasz, mówiąc, że Egipt jest słaby, a jego faraon cieniem — władcy. Wczoraj jednak przekonaliśmy się, jak mocne jest wasze ramię, i poczytujemy za rzecz roztropniejszą poddać się wam i płacić daniny, aniżeli narażać ludzi na pewną śmierć, a nasze majątki na zniszczenie.

Gdy rada wojenna wysłuchała tej mowy, kazano Libijczykom wyjść z namiotu, a książę Ramzes wprost zapytał o zdanie świętego Mentezufisa, co nawet zdziwiło generałów.

— Jeszcze wczoraj — rzekł dostojny prorok— radziłbym odrzucić prośbę Musawasy, przenieść wojnę do Libji i zniszczyć gniazdo rozbójników. Dziś jednak otrzymałem tak ważne wiadomości z Memfisu, że będę głosował za litością dla pokonanych.

— Czy mój świątobliwy ojciec jest chory? — zapytał wzruszony książę.

— Jest chory. Lecz dopóki nie skończymy z Libijczykami, wasza dostojność nie powinieneś o tem myśleć...

A gdy następca smutnie spuścił głowę, Mentezufis dodał:

— Muszę spełnić jeszcze jeden obowiązek... Wczoraj, dostojny książę, ośmieliłem się zrobić ci uwagę, że dla marnej zdobyczy, jak Tehenna, wódz nie powinien był opuszczać armji. Dziś widzę, że myliłem się: gdybyś bowiem nie schwycił, panie, Tehenny, nie mielibyśmy tak prędko pokoju z Musawasą... Mądrość twoja, naczelny wodzu, okazała się wyższą nad wojskowe ustawy...

Księcia zastanowiła skrucha Mentezufisa.

„Dlaczego on tak mówi?... — pomyślał. — Widać nietylko Amon wie, że mój świątobliwy ojciec jest chory!...“

I w duszy następcy znowu zbudziły się stare uczucia: pogarda dla kapłanów i — nieufność do ich cudów.

„Więc nie bogowie wróżyli mi, że rychło zostanę faraonem, ale przyszła wiadomość z Memfisu i kapłani oszukali mnie w kaplicy. A jeżeli kłamali

w jednem, kto zaręczy, że i te widoki pustyni, ukazywane na ścianie, nie były także oszustwem?...

Ponieważ książę ciągle milczał, co przypisywano jego smutkowi z powodu choroby faraona, a generałowie także nie śmieli odzywać się po stanowczych słowach Mentezufisa, więc radę wojenną ukończono. Zapadło jednomyślne postanowienie, ażeby wziąć jak największą daninę z Libijczyków, posłać im egipską załogę i — przerwać wojnę.

Teraz już wszyscy spodziewali się, że faraon umrze. Egipt zaś, aby sprawić władcy przystojny pogrzeb, potrzebował głębokiego spokoju.

Opuściwszy namiot rady wojennej, książę spytał Mentezufisa:

— Dzielny Patrokles zgasł tej nocy: czy święci mężowie myślicie uczcić jego zwłoki?

— Był to barbarzyńca i wielki grzesznik — odparł kapłan. — Tak znakomite jednak oddał usługi Egiptowi, że należy zapewnić mu życie za grobem. Jeżeli więc pozwolisz wasza dostojność, dziś jeszcze odeślemy ciało tego męża do Memfisu, ażeby zrobić jego mumję i odwieźć ją na wieczne mieszkanie do Tebów między królewskie przybytki.

Książę zgodził się z ochotą, ale podejrzenia jego wzrosły.

„Wczoraj—myślał—Mentezufis gromił mnie, jak leniwego ucznia, i jeszcze łaska bogów! że nie obił mi grzbietu kijem; a dziś przemawia do mnie, jak posłuszny syn do ojca i prawie pada na brzuch swój. Nie jestże to znakiem, że do namiotu mego zbliża się władza, tudzież godzina rachunku?...“

Tak rozmyślając, książę wzrastał w dumę, a serce jego wypełniał coraz silniejszy gniew przeciw kapłanom. Gniew tem gorszy, że był cichy, jak skorpjon, który, ukrywszy się w piasku, jadowitem żądłem kaleczy nieostrożną nogę.

ROZDZIAŁ XXI.

W nocy warty dały znać, że tłum żebrzących o łaskę Libijczyków już wszedł do wąwozu. Jakoż nad pustynią widać było łunę ich ognisk.

O wschodzie słońca odezwały się trąby i cała armja egipska stanęła pod bronią, w najszerszem miejscu doliny. Stosownie do rozkazu księcia, który chciał jeszcze bardziej nastraszyć Libijczyków, między szeregami wojska ustawiono spokojnych tragarzy, a wśród konnicy pomieszczono oślarzy na osłach. I stało się w onym dniu, że Egipcjanie byli mnodzy, jak piasek w pustyni, a Libijczycy trwożni, jak gołębie, nad któremi krąży jastrząb.

O dziewiątej rano przed namiot księcia zajechał jego złocisty wóz wojenny. Konie, ubrane w strusie pióra, rwały się tak, że każdego z nich musiało pilnować dwu masztalerzy.

Ramzes wyszedł z namiotu, siadł na wóz i sam ujął cugle, a miejsce woźnicy zajął przy nim kapłan Pentuer, doradca. Jeden z generałów roztoczył nad księciem duży, zielony parasol, a ztyłu i po obu stronach wozu szli greccy oficerowie w pozłocistych zbrojach. W pewnej odległości za orszakiem księ-

cia, posuwał się mały oddział gwardji, a wśród niego Tehenna, syn libijskiego wodza Musawasy.

O kilkaset kroków od Egipcjan, przy wyjściu z glaukońskiego wąwozu, stała smutna gromada Libijczyków, błagających zwycięzcę o miłosierdzie.

Kiedy Ramzes wyjechał ze swoją świtą na wzgórze, kędy miał przyjmować nieprzyjacielskie poselstwo, armja ku jego czci podniosła taki okrzyk, że chytry Musawasa zmartwił się jeszcze bardziej i szepnął do libijskiej starszyzny:

— Zaprawdę mówię wam, jest to krzyk wojska, które miłuje swego wodza!...

Wówczas jeden z niespokojniejszych książąt libijskich, wielki bandyta, rzekł do Musawasy:

— Czy nie myślisz, że w takiej chwili roztropniej uczynimy, ufając chyżości naszych koni, aniżeli łasce faraonowego syna?... Ma to być wściekły lew, który, nawet głaszcząc, zdziera skórę; my zaś jesteśmy, jako jagnięta oderwane od cycków swej matki...

— Czyń, jak chcesz — odparł Musawasa — całą pustynię masz przed sobą. Ale mnie lud wysłał na odkupienie swoich grzechów, a nadewszystko mam syna Tehennę, nad którym książę rozleje swój gniew, jeżeli nie potrafię go przebłagać.

Do gromady Libijczyków przycwałowali dwaj jezdni Azjaci, donosząc, że pan czeka na ich pokorę.

Musawasa gorzko westchnął i poszedł ku pagórkowi, na którym stał zwycięzca. Nigdy jeszcze nie odbył on równie ciężkiej podróży!... Grube, pokutnicze płótno źle okrywało jego grzbiet; nad gło-

wą, obsypaną popiołem, znęcał się żar słoneczny; bose nogi gryzł mu żwir, a serce gniótł smutek własny i zwyciężonego ludu.

Przeszedł zaledwie kilkaset kroków, ale parę razy musiał zatrzymywać się i odpocząć. Często też oglądał się za siebie, aby sprawdzić, czy nadzy niewolnicy, którzy nieśli dary dla księcia, nie kradną złotych pierścieni, albo co gorsza — klejnotów. Musawasa bowiem, jako mąż doświadczony, wiedział, że ludzie najchętniej korzystają z cudzego nieszczęścia.

„Dziękuję bogom — pocieszał się w swej nędzy chytry barbarzyńca — że na mnie padł los upokorzenia się przed księciem, który lada dzień włoży faraonowską czapkę. Władcy Egiptu są wspaniałomyślni, szczególnie w chwili zwycięstwa. Jeżeli więc potrafię wzruszyć pana mego, umocni on moje znaczenie w Libji i pozwoli mi pobierać duże podatki. Prawdziwy zaś cud, że sam następca tronu złapał Tehennę; nietylko bowiem nie uczyni mu krzywdy, ale jeszcze obsypie go dostojeństwami..."

Tak myślał, a wciąż obzierał się. Niewolnik bowiem, choć nagi, może ukradziony klejnot schować w usta, a nawet połknąć.

Na trzydzieści kroków przed wozem następcy tronu, Musawasa i towarzyszący mu najprzedniejsi Libijczycy upadli na brzuchy swoje i leżeli w piasku, dopóki adjutant książęcy nie kazał im wstać. Zbliżywszy się kilka kroków, znowu padli i uczynili tak trzy razy, a zawsze Ramzes musiał rozkazywać im, ażeby się podnieśli.

Przez ten czas Pentuer, stojący na książęcym wozie, szeptał swojemu panu:

— Niech oblicze twoje nie pokaże im ani srogości, ani uciechy. Raczej bądź spokojny, jak bóg Amon, który pogardza swymi wrogami i nie cieszy się z ladajakich triumfów...

Nareszcie pokutujący Libijczycy stanęli przed obliczem księcia, który ze złocistego wozu patrzał na nich, jak srogi hipopotam na kaczęta, nie mające gdzie ukryć się przed jego mocą.

— Tyżeś to — nagle odezwał się Ramzes — tyżeś to jest Musawasa, mądry wódz libijski?

— Jam jest twój sługa — odparł zapytany i znowu rzucił się na ziemię.

Gdy mu kazano wstać, książę mówił:

— Jak mogłeś dopuścić się tak ciężkiego grzechu i podnieść rękę na ziemię bogów? Czyliżby opuściła cię dawna roztropność?

— Panie — odparł chytry Libijczyk — żal pomieszał rozumy wygnanym żołnierzom jego świątobliwości, więc biegli na własną zgubę, ciągnąc za sobą mnie i moich. I wiedzą bogowie, jak długo ciągnęłaby się ta brzydka wojna, gdyby, na czele armji wiecznie żyjącego faraona, nie stanął sam Amon w twojej postaci. Jak pustynny wicher spadłeś, kiedy cię nie oczekiwano, tam, gdzie cię nie oczekiwano, i jak byk łamie trzcinę, tak ty skruszyłeś zaślepionego nieprzyjaciela. Poczem wszystkie ludy nasze zrozumiały, że nawet straszne pułki libijskie dopóty są coś warte, dopóki rzuca niemi twoja ręka.

— Mądrze mówisz, Musawaso—rzekł książę— a jeszcze lepiej uczyniłeś, żeś wyszedł naprzeciw armji boskiego faraona, nie czekając, aż ona przyjdzie do was. Radbym jednak dowiedzieć się: o ile prawdziwą jest wasza pokora?

— „Rozjaśnij oblicze, wielki mocarzu egipski — odpowiedział na to Musawasa *). — Przychodzimy do ciebie, jako poddani, ażeby imię twoje było wielkiem w Libji i ażebyś był naszem słońcem, jak jesteś słońcem dziewięciu ludów.

Rozkaż tylko podwładnym twoim, aby byli sprawiedliwymi dla zawojowanego i do potęgi twej przyłączonego ludu. Niech twoi naczelnicy rządzą nami sumiennie i sprawiedliwie, a nie według złych chęci swoich, donosząc o nas fałszywie i pobudzając niełaskę twoją przeciw nam i dzieciom naszym. Rozkaż im, namiestniku dobrotliwego faraona, aby rządzili nami według woli twojej, oszczędzając swobodę, mienie, język i obyczaje ojców i przodków naszych.

Niech prawa twoje będą dla wszystkich poddanych ci ludów równe, niech urzędnicy twoi nie pobłażają jednym, a nie będą zbyt srogimi dla drugich. Niech wyroki ich będą dla wszystkich jednakie. Niech pobierają opłatę, przeznaczoną na twe potrzeby i twój użytek, lecz nie podnoszą od nas innej w tajemnicy przed tobą, takiej, która nie wejdzie do skarbca twego, lecz wzbogaci tylko sługi twoje i sługi sług twoich.

---

*) Napis na nagrobku Faraona Horem-hepa, z roku 1479 przed Chrystusem.

Każ rządzić nami bez krzywdy dla nas i dla dzieci naszych, wszak jesteś bogiem naszym i władcą na wieki. Naśladuj słońce, które dla wszystkich rozsiewa swój blask, dający siłę i życie. Błagamy cię o twe łaski, my libijscy poddani, i padamy czołem przed tobą, następco wielkiego i potężnego faraona".

Tak mówił przebiegły książę libijski Musawasa i, skończywszy, znowu upadł brzuchem na ziemię. A następcy faraona, kiedy słuchał tych mądrych słów, błyszczały oczy i rozszerzały się nozdrza, jak młodemu ogierowi, który po sytej paszy wybiega na łąkę między klacze.

— Powstań, Musawaso—odezwał się książę— i posłuchaj, co ci odpowiem. Los twój i twoich narodów nie zależy ode mnie, lecz od miłościwego pana, który tak wznosi się ponad wszystkimi, jak niebo nad ziemią. Radzę ci więc, ażebyś ty i starszyzna libijska udali się stąd do Memfisu i tam, upadłszy na twarz przed władcą i bogiem tego świata, powtórzyli pokorną mowę, której tu wysłuchałem.

Nie wiem, jaki będzie skutek waszych próśb; lecz ponieważ bogowie nigdy nie odwracają się od skruszonych i błagających, więc przeczuwam, że nie będziecie źle przyjęci.

A teraz pokażcie mi dary, przeznaczone dla jego świątobliwości, abym osądził, czy poruszą serce wszechmocnego faraona.

W tej chwili Mentezufis dał znak stojącemu na wozie księcia Pentuerowi. A gdy ten zeszedł i zbli-

żył się ze czcią do świętego męża, Mentezufis szepnął:

— Boję się, ażeby młodemu panu naszemu triumf nie za mocno uderzył do głowy. Czy nie sądzisz, że byłoby roztropnem przerwać w jaki sposób uroczystość?...

— Przeciwnie — odparł Pentuer — nie przerywajcie uroczystości, a ja wam ręczę, że podczas triumfu nie będzie miał wesołej twarzy.

— Zrobisz cud?

— Czyliżbym potrafił? Pokażę mu tylko, że na tym świecie wielkiej radości towarzyszą wielkie strapienia.

— Czyń, jak chcesz — rzekł Mentezufis — gdyż bogowie dali ci mądrość, godną członka najwyższej rady.

Odezwały się trąby i bębny i rozpoczęto pochód triumfalny.

Na czele szli nadzy niewolnicy z darami, pilnowani przez możnych Libijczyków. Więc niesiono złote i srebrne bogi, szkatułki napełnione wonnościami, emaljowane naczynia, tkaniny, sprzęty, wreszcie złote misy zasypane rubinami, szafirami i szmaragdami. Niewolnicy, niosący je, mieli ogolone głowy i opaski na ustach, ażeby który nie ukradł cennego klejnotu.

Książę Ramzes wsparł obie ręce o krawędź wozu i z wysokości pagórka patrzał na Libijczyków i swoje wojsko, jak żółtogłowy orzeł na pstre kuropatwy. Duma wypełniała go od stóp do głowy,

i wszyscy czuli, że nie można być potężniejszym nad tego zwycięskiego wodza.

W jednej chwili oczy księcia utraciły swój blask, a na twarzy odmalowało się przykre zdziwienie. To stojący za nim Pentuer szepnął:

— Nakłoń, panie, ucha twego... Od czasu, kiedy opuściłeś miasto Pi-Bast, zaszły tam dziwne wydarzenia... Twoja kobieta, Kama Fenicjanka, uciekła z Grekiem Lykonem...

— Z Lykonem?... — powtórzył książę.

— Nie poruszaj się, panie, i nie okazuj tysiącom twoich niewolników, że masz smutek w dniu triumfu...

W tej chwili przechodził u stóp księcia bardzo długi sznur Libijczyków, niosących w koszach owoce i chleby, a w ogromnych dzbanach wino i oliwę dla wojska. Na ten widok wśród karnego żołnierstwa rozległ się szmer radości, ale Ramzes nie spostrzegł tego, zajęty opowiadaniem Pentuera.

— Bogowie — szeptał prorok — ukarali zdradziecką Fenicjankę...

— Złapana?... — spytał książę.

— Złapana, ale musiano ją wysłać do wschodnich kolonij... Spadł bowiem na nią trąd...

— O bogowie!... — szepnął Ramzes. — Czy aby mnie on nie grozi?...

— Bądź spokojny, panie: gdybyś się zaraził, jużbyś go miał...

Książę poczuł zimno we wszystkich członkach. Jakże łatwo bogom z najwyższych szczytów zepchnąć człowieka w przepaść najgłębszej nędzy!...

— A tenże nikczemny Lykon?...

— Jest to wielki zbrodniarz — mówił Pentuer — zbrodniarz, jakich niewielu wydała ziemia...

— Znam go. Jest podobny do mnie, jak obraz odbity w lustrze... — odparł Ramzes.

Teraz nadciągnęła gromada Libijczyków, prowadzących osobliwe zwierzęta. Na czele szedł jednogarbny wielbłąd z białawym włosem, jeden z pierwszych, jakiego złapano w pustyni. Za nim dwa nosorożce, stado koni i oswojony lew w klatce. A dalej mnóstwo klatek z różnobarwnemi ptakami, małpkami i małemi pieskami, przeznaczonemi dla dam dworskich. Wkońcu pędzono wielkie stada wołów i baranów na mięso dla wojska.

Książę ledwo rzucił okiem na wędrujący zwierzyniec i pytał kapłana:

— A Lykon schwytany?...

— Teraz powiem ci najgorszą rzecz, nieszczęśliwy panie — szeptał Pentuer. — Pamiętaj jednak, aby nieprzyjaciele Egiptu nie dostrzegli smutku w tobie...

Następca poruszył się.

— Twoja druga kobieta, Sara, żydówka...

— Czy także uciekła?...

— Zmarła w więzieniu...

— O bogowie!... Któż śmiał ją wtrącić?...

— Sama oskarżyła się o zabójstwo syna twego...

— Co?...

Wielki krzyk rozległ się u stóp księcia: to maszerowali jeńcy libijscy, wzięci podczas bitwy, a na ich czele smutny Tehenna.

Ramzes miał w tej chwili serce tak przepełnione bólem, że skinął na Tehennę i rzekł:

— Stań przy ojcu twoim, Musawasie, ażeby widział i dotknął cię, że żyjesz...

Na te słowa wszyscy Libijczycy i całe wojsko wydało potężny okrzyk; ale książę nie słuchał go

— Syn mój nie żyje?... — pytał kapłana. — Sara oskarżyła się o dzieciobójstwo?... Czy szaleństwo padło na jej duszę!...

— Dziecko zabił nikczemny Lykon...

— O bogowie, dajcie mi siły!...—jęknął książę

— Hamuj się, panie, jak przystało na zwycięskiego wodza...

— Czyliż podobna zwyciężyć taką boleść!.. O niemiłosierni bogowie!...

— Dziecko zabił Lykon, Sara zaś oskarżyła się, ażeby ciebie ocalić, bo myślała, że to tv sam byłeś...

— A ja ją wygnałem z mego domu!... A ja zrobiłem ją służebnicą Fenicjanki!...—szeptał książę.

Teraz ukazali się egipscy żołnierze, niosący pełne kosze rąk, uciętych poległym Libijczykom.

Na ten widok, książę Ramzes zasłonił twarz swoją i gorzko zapłakał.

Natychmiast generałowie otoczyli wóz, pocieszając pana. Zaś święty prorok Mentezufis podał wniosek, który przyjęto bez namysłu, ażeby od tej pory wojsko egipskie już nigdy nie ucinało rąk poległym w boju nieprzyjaciołom.

Tym nieprzewidzianym wypadkiem zakończył się pierwszy triumf następcy egipskiego tronu. Al

łzy, jakie wylał nad uciętemi rękoma, mocniej aniżeli zwycięska bitwa przywiązały do niego Libijczyków. Nikt też nie dziwił się, że dokoła ognisk zasiedli w zgodzie żołnierze egipscy i libijscy, dzieląc się chlebem i pijąc wino z tych samych kubków. Miejsce wojny i nienawiści, które miały trwać całe lata, zajęło głębokie uczucie spokoju i zaufania.

Ramzes polecił, ażeby Musawasa, Tehenna i najprzedniejsi Libijczycy natychmiast pojechali do Memfisu i dał im eskortę, nietyle do pilnowania ich, ile dla bezpieczeństwa ich osób i wiezionych skarbów. Sam zaś ukrył się w namiocie i nie pokazał się przez kilka godzin. Nie przyjął nawet Tutmozisa, jak człowiek, któremu boleść starczy za najmilsze towarzystwo.

Ku wieczorowi przyszła do księcia deputacja greckich oficerów pod dowództwem Kaliposa. Kiedy następca zapytał: czego chcą?... Kalipos odparł:

— Przychodzimy błagać cię, panie, ażeby ciało naszego wodza a twego sługi, Patroklesa, nie było wydane egipskim kapłanom, lecz spalone według greckiego obyczaju.

Książę zdziwił się.

— Chyba wiadomo wam, — rzekł — że ze zwłok Patroklesa kapłani chcą zrobić mumję pierwszej klasy i umieścić ją przy grobach faraonów. Czy może większy zaszczyt spotkać człowieka na tym świecie?

Grecy wahali się, wreszcie Kalipos, zebrawszy odwagę, odpowiedział:

— Panie nasz, pozwól otworzyć serce przed

tobą. Dobrze wiemy, że zrobienie mumji jest dla człowieka korzystniejszem, niż spalenie go. Gdy bowiem dusza spalonego natychmiast przenosi się do krajów wiekuistych, dusza zabalsamowanego może tysiące lat żyć na tej ziemi i cieszyć się jej pięknością.

Ale egipscy kapłani, wodzu (niech to nie obraża twoich uszu!), nienawidzili Patroklesa. Któż więc nas zapewni, że kapłani, zrobiwszy jego mumję, nie w tym celu zatrzymają duszę na ziemi, aby ją poddać udręczeniom?... I co my bylibyśmy warci, gdybyśmy, podejrzewając zemstę, nie uchronili od niej duszy naszego ziomka i dowódcy?...

Zdziwienie Ramzesa jeszcze bardziej wzrosło.

— Czyńcie — rzekł — co uważacie za potrzebne.

— A jeżeli nie wydadzą nam ciała?...

— Tylko przygotujcie stos, a resztą sam się zajmę.

Grecy wyszli, książę posłał po Mentezufisa.

ROZDZIAŁ XXII.

Kapłan z pod oka przypatrzył się następcy i znalazł go bardzo zmienionym. Ramzes był blady, prawie schudł w kilka godzin, a oczy jego straciły blask i zapadły się pod czoło.

Usłyszawszy o co chodzi Grekom, Mentezufis ani chwili nie wahał się z wydaniem zwłok Patroklesa.

— Grecy mają słuszność—rzekł święty mąż— że moglibyśmy udręczać po śmierci cień Patroklesa. Ale są głupcami, przypuszczając, że którykolwiek kapłan egipski czy chaldejski dopuściłby się podobnej zbrodni.

Niech zabiorą ciało swego ziomka, jeżeli sądzą, że pod opieką ich obyczajów będzie szczęśliwszy po śmierci!...

Książę natychmiast wysłał oficera ze stosownym rozkazem, ale Mentezufisa zatrzymał. Widocznie chciał mu coś powiedzieć, choć wahał się.

Po dłuższem milczeniu Ramzes nagle zapytał:

— Zapewne wiesz, święty proroku, że jedna z moich kobiet, Sara, umarła, a jej syn został zamordowany?...

— Stało się to — odparł Mentezufis — tej samej nocy, kiedy opuściliśmy Pi-Bast...

Książę się zerwał.

— Przez wiekuistego Amona!... — krzyknął.— Stało się tak dawno, a wy nic nie wspomnieliście mi? Nawet o tem, że ja byłem posądzony o zabicie mego dziecka?...

— Panie — rzekł kapłan — naczelny wódz w przededniu bitwy nie ma ani ojca, ani dziecka, ani nikogo zgoła, tylko — swoją armję i nieprzyjaciół. Mogliżeśmy cię w tych ważnych czasach niepokoić podobnemi wiadomościami?

— To prawda — odparł książę po namyśle. — Gdyby nas dzisiaj zaskoczono, nie wiem, czy potrafiłbym dobrze pokierować wojskiem... I wogóle

nie wiem, czy już kiedykolwiek zdołam odzyskać spokój...

Takie małe... takie piękne dziecko!... Albo i ta kobieta, która poświęciła się dla mnie, gdy ja ciężko ją skrzywdziłem!... Nigdy nie myślałem, że mogą zdarzać się podobne nieszczęścia i że przenosi je ludzkie serce...

— Czas wszystko leczy... Czas i modlitwa — szepnął kapłan.

Książę pokiwał głową i znowu w namiocie zaległa taka cisza, że słychać było piasek, wysypujący się z klepsydry.

Następca znowu się ocknął.

— Powiedz mi — rzekł — ojcze święty, jeżeli nie należy to do wielkich tajemnic, jaka jest naprawdę różnica między spaleniem zmarłego i zrobieniem z niego mumji? Bo chociaż słyszałem coś w szkole, nie rozumiem jednak tej kwestji, do której Grecy tak wielką przywiązują wagę.

— My przywiązujemy daleko większą, największą...—odparł kapłan.—Świadczą o tem nasze miasta zmarłych, które zajęły cały kraj pustyni zachodniej. Świadczą piramidy, które są grobami faraonów starego państwa i mnemonje, olbrzymie groby, kute w skałach, dla królów naszej epoki.

Pogrzeb i grób, to wielka sprawa, to największa sprawa ludzka. Bo gdy w formie cielesnej żyjemy pięćdziesiąt albo sto lat, nasze cienie trwają dziesiątki tysięcy lat, aż do zupełnego oczyszczenia.

Asyryjscy barbarzyńcy śmieją się z nas, że więcej poświęcamy zmarłym, niż żyjącym, ale za-

płakaliby nad swojem niedbalstwem o zmarłych, gdyby znana im była, jak nam, tajemnica śmierci i grobu...

Książę się wstrząsnął.

— Przestraszasz mnie — rzekł. — Czyliż zapomniałeś, że między zmarłymi ja mam dwie miłe mi istoty, które nie są pochowane według egipskiego rytuału?...

— Owszem. Teraz właśnie robią ich mumje. A zarówno Sara, jak i twój syn, będą mieli wszystko, cokolwiek im się przydać może w długiej wędrówce.

— Doprawdy?... — spytał, jakby ucieszony, Ramzes.

— Zaręczam, że tak jest — odparł kapłan — i że zrobione będzie wszystko, co potrzeba, abyś znalazł ich, panie, szczęśliwymi, gdy i tobie kiedyś uprzykrzy się ziemski żywot.

Następca, słuchając tego, był bardzo wzruszony.

— Więc myślisz, święty mężu — spytał — że odnajdę kiedyś mego syna i będę mógł powiedzieć tej kobiecie: Saro, ja wiem, że byłem dla ciebie zbyt surowy?...

— Jestem tak pewny, jak tego, że widzę cię, dostojny panie.

— Mów... mów o tem!... — zawołał książę. — Człowiek dopóty nie dba o groby, dopóki nie złoży w nich cząstki samego siebie... A mnie spotkała ta niedola i właśnie wówczas, gdym myślał, że z wyjątkiem faraona, niema potężniejszego nade mnie!

— Zapytywałeś, panie,—zaczął Mentezufis— jaka jest różnica między spaleniem zmarłego i zrobieniem z niego mumji? Taka sama, jak między — zniszczeniem szaty, a schowaniem jej do komory. Gdy szata jest przechowana, może się niejednokrotnie przydać; a gdy masz tylko jedną, byłoby szaleństwem palić ją...

— Tego nie rozumiem — wtrącił książę. — Tego nie wykładacie nawet w wyższej szkole...

— Ale możemy powiedzieć następcy faraona. Wasza dostojność wiesz — ciągnął kapłan — że ludzka istota składa się z trzech części: ciała, iskry bożej i cienia, czyli K a, który łączy ciało z iskrą bożą.

Gdy człowiek umiera, jego cień, tudzież iskra odłączają się od ciała. Gdyby człowiek żył bez grzechu, jego iskra boża wraz z cieniem natychmiast poszłaby między bogów, na wiekuiste życie. Ale każdy człowiek grzeszy, plami się na tym świecie, skutkiem czego, jego cień, K a, musi się oczyszczać, niekiedy przez tysiące lat. Zaś oczyszcza się w ten sposób, że, niewidzialny, błąka się po naszej ziemi, pomiędzy ludźmi i spełnia dobre uczynki. Chociaż cienie zbrodniarzy, nawet w zagrobowem życiu dopuszczają się występków i ostatecznie gubią i siebie, i zawartą w nich iskrę bożą.

Otóż, co dla waszej dostojności nie jest chyba tajemnicą, że ów cień, K a, jest zupełnie podobny do człowieka, tylko wygląda, jakby był utkany z bardzo delikatnej mgły. Cień ma głowę, ręce i tułów, może chodzić, mówić, rzucać lub podnosić przed-

mioty, ubiera się, jak człowiek, a nawet, osobliwie przez kilkaset piewszych lat po śmierci, musi kiedy niekiedy nieco się posilać. Później bowiem wystarczają mu wizerunki pokarmów...

Główną jednak siłę swoją cień czerpie z ciała, które po nim zostaje na ziemi. Gdy więc ciało rzucimy do grobu, ono prędko psuje się i cień musi się nasycać prochem i zgnilizną. Gdy ciało spalimy, cień ma tylko popioły do krzepienia się. Ale gdy z ciała zrobimy mumję, czyli gdy ciało zabalsamujemy na tysiące lat, cień K a zawsze jest zdrów, silny i epokę swego oczyszczenia przepędza spokojnie, nawet przyjemnie...

— Dziwne rzeczy!... — szepnął następca.

— O życiu zagrobowem kapłani, w ciągu tysiącoletnich badań, dowiedzieli się bardzo ważnych szczegółów. Przekonano się, że gdy w ciele zmarłego zostają wnętrzności, jego cień K a ma ogromny apetyt, potrzebuje tyleż pokarmów, co człowiek; a gdy pokarmu zabraknie, wówczas rzuca się na żyjących i wysysa z nich krew. Lecz gdy usuwa się ze zwłok wnętrzności, jak my to robimy, wówczas cień prawie obywa się bez pokarmu: jego własne ciało, zabalsamowane i napełnione silnie pachnącemi ziołami, wystarcza mu na miljony lat.

Również sprawdzono, że gdy grób zmarłego jest pusty, cień tęskni do świata i włóczy się po ziemi bez potrzeby. Lecz gdy w kaplicy pośmiertnej złożymy odzienie, sprzęty, broń, naczynia i narzędzia, które zmarły lubił, gdy ściany pokryjemy malowidłami, wyobrażającemi: uczty, polowania,

nabożeństwa, wojny i wogóle wypadki, w których nieboszczyk brał udział, gdy jeszcze dodamy mu posążki osób z jego rodziny, służby, koni, psów i bydła, — wówczas cień nie wychodzi bez potrzeby na świat, gdyż znajduje go w swym domu zmarłych.

Nareszcie przekonano się, że wiele cieniów, nawet po odbyciu pokuty, nie może wejść do krainy wiecznego szczęścia, ponieważ nie znają stosownych modlitw, zaklęć i rozmów z bogami. Zapobiegamy temu, owijając mumje w papirusy, na których są wypisane sentencje i — kładąc im do trumien „Księgę zmarłych".

Jednem słowem, nasz rytuał pogrzebowy zapewnia cieniowi siły, chroni go od niewygód i tęsknoty po ziemi, ułatwia mu wejście między bogów i — zabezpiecza żywot ludzi od szkód, jakie mogłyby im wyrządzić cienie. Nasza wielka troskliwość o zmarłych to właśnie ma na celu; dlatego stawiamy im prawie pałace, a w nich — najozdobniejsze mieszkania.

Książę rozmyślał, wreszcie rzekł:

— Rozumiem, że wyświadczacie wielką łaskę bezsilnym i bezbronnym cieniom, zaopatrując je w ten sposób. Lecz... kto mi powie, że cienie istnieją...

O tem, że jest bezwodna pustynia — ciągnął książę — wiem, bo ją widzę, bom tonął w jej piaskach i doświadczyłem jej żarów. O tem, że są krainy, w których woda kamienieje, a para zamienia się

na białe puchy, także wiem, bo mówili wiarogodni świadkowie...

Ale skąd wy wiecie o cieniach, których nikt nie widział, i o ich życiu pośmiertnem, skoro stamtąd nie wrócił żaden człowiek?

— Mylisz się, wasza dostojność — odparł kapłan. — Cienie ukazywały się ludziom nieraz, a nawet opowiadały im swoje tajemnice.

Można mieszkać w Tebach 10 lat i nie widzieć deszczu; można żyć na ziemi 100 lat i nie spotkać cienia. Ale ktoby mieszkał przez setki lat w Tebach, albo żył tysiące lat na ziemi, zobaczyłby niejeden deszcz i niejeden cień!...

— A któż to żył tysiące lat?... — zapytał książę.

— Żył, żyje i żyć będzie — święty stan kapłański — odpowiedział Mentezufis. — On to przed 30-tu tysiącami lat osiedlił się nad Nilem, on przez ten czas badał niebo i ziemię, on stworzył naszą mądrość i nakreślił plany wszystkich pól, tam, kanałów, piramid i świątyń...

— To prawda — przerwał książę. — Stan kapłański jest mądry i potężny, ale — gdzie są cienie?... Kto je widział i z niemi rozmawiał?...

— Wiedz o tem, panie — prawił Mentezufis— że cień jest w każdym żyjącym człowieku. A jak są ludzie, odznaczający się ogromną siłą lub arcybystrym wzrokiem, tak są i tacy ludzie, którzy posiadają niezwykły dar, że — mogą za życia wydzielać swój własny cień...

Nasze tajemne księgi pełne są najwiarogodniejszych opowiadań w tej sprawie. Niejeden prorok umiał zapadać w sen, podobny do śmierci. Wówczas jego cień, oddzieliwszy się od ciała, w jednej chwili przenosił się do Tyru, Niniwy, Babilonu, oglądał rzeczy potrzebne, przysłuchiwał się naradom, obchodzącym nas i—po przebudzeniu się proroka—zdawał jak najdokładniejsze sprawozdanie. Niejeden zły czarownik, również zasnąwszy, wysyłał swój cień do domu znienawidzonego człowieka, a tam wywracał lub niszczył sprzęty i straszył całą rodzinę.

Zdarzało się, że człowiek napastowany przez cień czarnoksiężnika, uderzył go włócznią i mieczem. Wówczas w domu nawiedzanym ukazywały się krwawe ślady, a czarnoksiężnik miał na swem ciele tę właśnie ranę, którą zadano cieniowi.

Niejednokrotnie też cień żyjącego człowieka ukazywał się razem z nim, o kilka kroków od niego...

— Znam ja takie cienie!...—szepnął ironicznie książę.

— Muszę dodać — ciągnął Mentezufis — że nietylko ludzie, ale zwierzęta, rośliny, kamienie, budowle i sprzęty mają takie same cienie. Tylko (dziwna rzecz) cień przedmiotu martwego nie jest martwy, lecz posiada życie: rusza się, przesuwa się z miejsca na miejsce, nawet myśli i objawia to zapomocą rozmaitych znaków, najczęściej — pukania.

Gdy człowiek umrze, cień jego żyje i ukazuje się ludziom. W naszych księgach zapisano tysiące

podobnych wypadków. Jedne cienie upominały się o jadło, inne chodziły po mieszkaniu, pracowały w ogrodzie, albo polowały w górach z cieniami swoich psów i kotów. Inne cienie straszyły ludzi, niszczyły ich majątek, wypijały ich krew, nawet pociągały żyjących do rozpusty... Bywały jednak cienie dobre: matek opiekujących się dziećmi, poległych żołnierzy, ostrzegających o zasadzce nieprzyjacielskiej, kapłanów, którzy odkrywali nam ważne tajemnice...

Jeszcze za 18-ej dynastji faraona Keopsa (który pokutuje za ucisk ludu, przy wznoszeniu piramidy dla siebie), ukazał się w nubijskich kopalniach złota i, litując się nad cierpieniami pracujących więźniów, wskazał im nowe źródło wody.

— Opowiadasz ciekawe rzeczy, święty mężu — odparł Ramzes — pozwól więc, że i ja ci coś powiem. Jednej nocy, w Pi-Bast, pokazano mi „mój cień"... Był zupełnie podobny do mnie i nawet tak ubrany, jak ja. Wnet jednak przekonałem się, że to nie jest żaden cień, ale żywy człowiek, niejaki Lykon, nikczemny morderca mego syna...

Występki swoje zaczął od tego, że straszył Fenicjankę Kamę. Wyznaczyłem nagrodę za schwytanie go... Ale nasza policja nietylko nie pojmała go, lecz nawet pozwoliła mu wykraść tę samą Kamę i zabić niewinne dziecko...

Dziś słyszę, że schwytano Kamę; ale o tym nędzniku nic nie wiem. Zapewne żyje na swobodzie zdrów, wesół i zasobny w skradzione skarby; może nawet sposobi się do nowej zbrodni!

— Tyle osób ściga tego nikczemnika, że wkońcu musi być pojmany — rzekł Mentezufis. — A gdy raz wpadnie w nasze ręce, Egipt zapłaci mu za zgryzoty, jakie uczynił jego następcy tronu. Wierzaj mi panie, możesz mu zgóry przebaczyć wszystkie występki, kara bowiem odpowie ich wielkości...

— Wolałbym go sam mieć w ręku — odparł książę. — Zawsze to niebezpieczna rzecz taki „cień“ za życia!... *).

Niebardzo zbudowany podobnem zakończeniem swego wykładu, święty Mentezufis pożegnał księcia. Po nim wszedł do namiotu Tutmozis, zawiadamiając, że Grecy układają już stos dla swojego wodza i że kilkanaście libijskich kobiet zgodziło się płakać w czasie pogrzebowego obchodu.

— Będziemy przy tem — odparł następca. — Czy wiesz, że zabito mego syna?... Takie małe dziecko!... Gdy nosiłem go, śmiał się i wyciągał do mnie rączki!... Niepojęta rzecz, ile nikczemności może pomieścić ludzkie serce! Gdyby ten podły Lykon targnął się na moje życie, jeszcze rozumiałbym, nawet przebaczył... Ale mordować dziecko...

— A o poświęceniu Sary mówiono ci, panie? — spytał Tutmozis.

---

*) Rzecz szczególna, że teorja „cieniów“, na której prawdopodobnie opierała się nadzwyczajna troskliwość Egiptu o zmarłych, że teorja ta — odżyła w naszych czasach w Europie. Wykłada ją obszernie Adolf d'Assier w książce: *„Essai sur l'humanité posthume et le spiritisme, par un positiviste“*.

— Tak. Zdaje mi się, że była to najwierniejsza z moich kobiet i że niesłusznie postąpiłem z nią... Ale jak to może być — zawołał książę, bijąc pięścią w stół — ażeby dotychczas nie schwytano nędznika Lykona?... Przysięgli mi na to Fenicjanie... obiecałem nagrodę naczelnikowi policji...

W tem musi coś być!...

Tutmozis zbliżył się do księcia i szepnął:

— Był u mnie posłaniec od Hirama, który, obawiając się gniewu kapłanów, kryje się, zanim opuści Egipt... Otóż Hiram podobno dowiedział się od naczelnika policji w Pi-Bast, że... Lykon został schwytany... Ale cicho!... — dodał wylękniony Tutmozis.

Książę na chwilę wpadł w gniew, lecz wnet się opanował.

— Schwytany?... — powtórzył. — Dlaczegoż ta tajemnica?...

— Bo naczelnik policji musiał oddać go świętemu Mefresowi, na jego rozkaz, w imieniu najwyższej rady...

— Aha... aha!... — powtarzał następca. — Zatem czcigodnemu Mefresowi i najwyższej radzie potrzebny jest ten człowiek, tak bardzo podobny do mnie!... Aha!... Memu dziecku i Sarze mają sprawić piękny pogrzeb... balsamują ich zwłoki... Ale mordercę ukrywają w bezpiecznem miejscu... Aha!...

I święty Mentezufis jest wielkim mędrcem. Opowiedział mi dziś wszystkie tajemnice zagrobowego życia, wytłumaczył mi cały pogrzebowy rytuał, jakbym ja sam był kapłanem co najmniej trze-

ciego stopnia. Ale o schwytaniu Lykona i o ukryciu tego zabójcy przez Mefresa ani wspomniał!... Widocznie święci ojcowie troskliwsi są o drobne sekrety następcy tronu, aniżeli o wielkie tajemnice przyszłego życia... Aha!...

— Zdaje się, panie, że dziwić cię to nie powinno — wtrącił Tutmozis. — Wiesz, że kapłani już podejrzewają cię o niechęć i mają się na ostrożności... Tem więcej...

— Co tem więcej?...

— Że jego świątobliwość jest bardzo chory. Bardzo...

— Aha!... ojciec mój chory, a ja tymczasem, na czele wojska, muszę pilnować pustyni, ażeby z niej piaski nie uciekły... Dobrze, żeś mi to przypomniał!... Tak, jego świątobliwość musi być ciężko chory, gdyż kapłani są bardzo czuli dla mnie.... Wszystko mi pokazują i o wszystkiem mówią, wyjąwszy tego, że Mefres ukrył Lykona...

Tutmozis — rzekł nagle książę — czy i dziś sądzisz, że mogę rachować na wojsko?...

— Na śmierć pójdziemy, tylko rozkaż...

— I za szlachtę ręczysz?...

— Jak za wojsko.

— Dobrze — odparł następca. — Możemy teraz oddać ostatnią usługę Patroklesowi.

ROZDZIAŁ XXIII.

W ciągu kilku miesięcy, podczas których książę Ramzes pełnił obowiązki naczelnika Dolnego

Egiptu, jego świątobliwy ojciec coraz bardziej zapadał na zdrowiu. I zbliżała się chwila, w której pan wieczności, budzący radość w sercach, władca Egiptu i wszystkich krajów, jakie tylko oświetla słońce, miał zająć miejsce obok czcigodnych poprzedników swoich, w tebańskich katakumbach. które leżą po drugiej stronie miasta Teb.

Nie był jeszcze zbyt podeszłym wiek równego bogom mocarza, który rozdawał życie poddanym i miał władzę zabierania mężom ich żon, według pragnień serca swego. Ale trzydziestokilkuletnie rządy tak go znużyły, że już sam chciał wypocząć, odnaleźć młodość i piękność swoją w zachodniej krainie, gdzie każdy faraon, bez trosk, panuje wiecznie nad ludami, tak szczęśliwy, że nikt i nigdy nie chciał stamtąd powrócić.

Jeszcze pół roku temu, świątobliwy pan spełniał wszystkie czynności, przywiązane do jego stanowiska, na którem opierało się bezpieczeństwo i pomyślność całego widzialnego świata.

Rankiem, ledwo kur zapiał, kapłani budzili władcę hymnem na cześć wschodzącego słońca. Faraon podnosił się z łoża i w złocistej wannie brał kąpiel z wody różanej. Poczem boskie ciało jego natarte było bezcennemi wonnościami, wśród szmeru modłów, mających własność odpędzania złych duchów.

Tak oczyszczony i okadzony przez proroków, szedł pan do kapliczki, odrywał glinianą pieczęć ode drzwi i wchodził sam jeden do sanktuarjum, gdzie na łożu ze słoniowej kości spoczywał cudow-

ny posąg bożka Ozirisa. Bożek miał ten nadzwyczajny dar, że na każdą noc odpadały mu ręce, nogi i głowa, odcięte niegdyś przez złego boga Seta; lecz po modlitwie faraona wszystkie członki zrastały się napowrót, bez żadnej przyczyny.

Gdy jego świątobliwość przekonał się, że Ozirís znowu jest cały, wydobył posąg z łóżka, kąpał go, ubierał w drogocenne szaty i — posadziwszy na malachitowym tronie, okadzał go wonnościami. Ceremonja to nader ważna: gdyby bowiem którego poranku boskie członki Ozirisa nie zrosły się, byłby to znak, że Egiptowi, jeżeli nie całemu światu, grozi wielkie nieszczęście.

Po wskrzeszeniu i ubraniu bóstwa, jego świątobliwość zostawiał otwarte drzwi kaplicy, aby przez nie na kraj spływały błogosławieństwa. Zarazem wyznaczał kapłanów, którzy przez cały dzień mieli pilnować sanktuarjum, nietyle przed złą wolą, ile przed lekkomyślnością ludzką. Nieraz bowiem zdarzało się, że niebaczny śmiertelnik, zbliżywszy się zanadto do najświętszego miejsca, narażał się na niewidzialne uderzenie, które pozbawiało go przytomności, a nawet życia.

Po odprawieniu nabożeństwa, szedł pan, otoczony śpiewającymi kapłanami, do wielkiej sali jadalnej, gdzie stał fotel i stoliczek dla niego i 19 innych stoliczków, przed 19-tu posągami, wyobrażającemi 19-cie poprzednich dynastyj. Gdy zaś władca usiadł, wbiegali młodzi chłopcy i dziewczęta ze srebrnemi talerzami, na których było mięso i ciasto, tudzież z dzbanami wina. Kapłan, dozorujący po-

traw, kosztował z pierwszego talerza i pierwszego dzbana, które następnie na klęczkach podawano faraonowi, a inne talerze i dzbany stawiano przed posągami przodków. Gdy zaś władca, zaspokoiwszy głód, opuścił salę, potrawy, przeznaczone dla przodków, mieli prawo zjadać książęta albo kapłani.

Z jadalni udawał się pan do niemniej wielkiej sali audjencyjnej. Tu padali przed nim na twarz najbliżsi dostojnicy państwa i najbliższa rodzina, poczem minister Herhor, najwyższy skarbnik, najwyższy sędzia i najwyższy naczelnik policji, składali mu raporty o sprawach państwa. Czytanie było przerywane religijną muzyką i tańcem, w czasie wykonywania którego tron zasypywano wieńcami i bukietami.

Po audjencji jego świątobliwość udawał się do bocznego gabinetu i, położywszy się na kanapie, chwilę drzemał. Następnie składał bogom ofiary z wina i kadzideł i opowiadał kapłanom swoje sny, wedle których mędrcy układali najwyższe rozporządzenia, w sprawach, które jego świątobliwość miał rozstrzygać.

Niekiedy jednak, gdy snów nie było, albo gdy ich tłumaczenie wydało się faraonowi niewłaściwem, jego świątobliwość uśmiechał się dobrotliwie i — rozkazywał w danej sprawie postąpić tak a tak. Rozkaz ten był prawem, którego nikt nie mógł zmieniać, chyba tylko w wykonaniu szczegółów.

W godzinach popołudniowych, jego świątobliwość, niesiony w lektyce, ukazywał się na dziedzińcu swojej wiernej gwardji, a potem wstępował

na taras i spoglądał ku czterem okolicom świata, aby udzielić im swego błogosławieństwa. Wówczas ze szczytu pylonów wywieszano chorągwie i odzywały się potężne głosy trąb. Ktokolwiek usłyszał je, w mieście, czy w polu, Egipcjanin czy barbarzyńca, padał na twarz, ażeby i na jego głowę spłynęła cząstka łaski najwyższej.

W takiej chwili nie było wolno uderzyć człowieka, ani bydlęcia: kij, podniesiony nad grzbietem, sam opadał. Jeżeli zaś przestępca, skazany na śmierć, dowiódł, że czytano mu wyrok w czasie ukazania się pana nieba i ziemi, zmniejszano mu karę. Albowiem przed faraonem chodzi moc, a za nim miłosierdzie.

Uszczęśliwiwszy lud swój, władca wszystkich rzeczy, jakie tylko są pod słońcem, zstępował do swoich ogrodów, między palmy i sykomory, i tu siedział najdłużej, odbierając hołdy od swych kobiet i przypatrując się zabawom dzieci swojego domu. Gdy które z nich pięknością czy zręcznością zwróciło jego uwagę, przywoływał je do siebie i pytał:

— Kto ty jesteś, mój maleńki?

— Jestem książę Binotris, syn jego świątobliwości — odpowiedział chłopczyk.

— A jakże nazywa się twoja matka?

— Moją matką jest pani Ameces, kobieta jego

— Cóż ty umiesz?

„Niech żyje wiecznie ojciec i bóg nasz świątobliwy, świątobliwości.

— Umiem już liczyć do dziesięciu i napisać: faraon Ramzes!...“

Pan wieczności dobrotliwie uśmiechał się i swoją delikatną, prawie przezroczystą ręką dotykał kędzierzawej głowy czupurnego chłopca. Wówczas dziecko naprawdę zostawało księciem, pomimo, że jego świątobliwość wciąż uśmiechał się w sposób zagadkowy.

Ale kogo raz dotknęła boska ręka, ten nie mógł zaznać niedoli w życiu i musiał być wywyższony nad innych.

Na obiad szedł władca do drugiej sali jadalnej i dzielił się posiłkiem z bogami wszystkich nomesów Egiptu, których posągi stały wzdłuż ścian. Czego zaś nie zjedli bogowie, to dostawało się kapłanom i najwyższym osobom dworu.

Ku wieczorowi jego świątobliwość przyjmował wizytę pani Nikotris, matki następcy tronu, patrzył na religijne tańce i przysłuchiwał się koncertowi. Poczem udawał się znowu do kąpieli i, oczyszczony, wstępował do kaplicy Ozirisa, ażeby rozebrać i ułożyć do snu bóstwo cudowne. Dokonawszy tego, zamykał i pieczętował drzwi kaplicy i, otoczony procesją kapłanów, szedł do sypialni.

Kapłani do wschodu słońca w sąsiedniej izbie odprawiali ciche modły do duszy faraona, która podczas snu znajduje się między bogami. Wówczas przedstawiali jej prośby o pomyślne załatwienie bieżących spraw państwa, o opiekę nad granicami Egiptu i nad grobami królów, ażeby żaden złodziej nie śmiał do nich wchodzić i naruszać wiekuistego spoczynku mocarzy pełnych chwały. Modły kapłańskie jednak, zapewne skutkiem nocnego zmęcze-

nia, niezawsze były skuteczne: kłopoty bowiem państwa rosły, a i groby święte okradano, nietylko wynosząc z nich rzeczy kosztowne, lecz nawet mumje faraonów.

Był to skutek osiedlenia się w kraju różnych cudzoziemców i pogan, od których lud nauczył się lekceważenia egipskich bogów i miejsc najświętszych.

Spoczynek pana nad pany przerywał się raz, o północy. W tej bowiem godzinie astrologowie budzili jego świątobliwość i zawiadamiali go, w której kwadrze znajduje się księżyc, które planety świecą nad horyzontem, jaka konstelacja przechodzi przez południk i czy wogóle na niebie nie zdarzyło się nic szczególnego? Niekiedy bowiem ukazywały się chmury, spadały gwiazdy częściej niż zwykle, albo przelatywały nad ziemią kule ogniste.

Pan wysłuchał raportu astrologów, w razie jakiegoś niezwykłego zjawiska uspokajał ich o bezpieczeństwo świata i — wszystkie spostrzeżenia kazał zapisać do odnośnych tablic, które co miesiąc odsyłano kapłanom świątyni Sfinksa, największym mędrcom, jakich posiadał Egipt. Mężowie ci z powyższych tablic wyprowadzali wnioski, lecz najważniejszych nie objawiali nikomu, chyba kolegom swoim, chaldejskim kapłanom w Babilonie.

Po północy jego świątobliwość mógł już spać do zapiania rannych kogutów, jeżeli uważał za stosowne.

Taki pobożny i pracowity żywot jeszcze pół roku temu prowadził dobry bóg, rozdawca opieki,

życia i zdrowia, dniem i nocą czuwając nad ziemią i niebem, nad widzialnym i niewidzialnym światem. Ale od pół roku, wiecznie żyjąca dusza jego coraz częściej zaczęła przykrzyć sobie ziemskie sprawy i cielesną powłokę. Bywały dni, że nic nie jadł, i noce, w czasie których wcale nie sypiał. Niekiedy podczas audjencji na łagodnem jego obliczu ukazywał się wyraz głębokiej boleści, a bardzo często, coraz częściej, zdarzało się, że wpadał w omdlenie.

Przerażona królowa Nikotris, najdostojniejszy Herhor i kapłani niejednokrotnie zapytywali władcę: czy mu co nie dolega? Ale pan wzruszał ramionami i milczał, wciąż pełniąc swoje uciążliwe obowiązki.

Wówczas lekarze dworscy nieznacznie zaczęli podsuwać mu najmocniejsze środki dla przywrócenia sił. Mieszano mu w winie i potrawach naprzód popioły konia i byka, później — lwa, nosorożca i słonia; ale potężne leki zdawały się nie wywierać żadnego skutku. Jego świątobliwość tak często omdlewał, że już zaprzestano odczytywać mu raportów.

Pewnego dnia dostojny Herhor, wraz z królową i kapłanami, padłszy na twarze, ubłagali pana, że pozwolił zbadać swoje boskie ciało. Pan zgodził się, lekarze zbadali go i opukali, lecz oprócz wielkiego wychudnięcia nie znaleźli żadnej groźnej wskazówki.

— Jakich uczuć doznaje wasza świątobliwość? — zapytał wkońcu najmędrszy lekarz.

Faraon uśmiechnął się.

— Czuję — odparł — że pora mi wrócić do słonecznego ojca.

— Tego wasza świątobliwość zrobić nie może, bez największej szkody dla swoich ludów — pośpiesznie wtrącił Herhor.

— Zostawię wam syna, Ramzesa, który jest lwem i orłem w jednej osobie—rzekł pan.—I zaprawdę, jeżeli go słuchać będziecie, zgotuje on Egiptowi taki los, o jakim od początku świata nie słyszano.

Świętego Herhora i innych kapłanów aż zimno przeszło od tej obietnicy. Oni wiedzieli, że następca tronu jest lwem i orłem w jednej osobie, i że słuchać go muszą. Woleliby jednak przez długie lata mieć tego oto łaskawego pana, którego serce, pełne litości, było jak wiatr północy, przynoszący deszcz polom i ochłodę ludziom.

Dlatego wszyscy, niby jeden mąż, padli na ziemię, jęcząc, i dopóty leżeli na brzuchach swoich, aż faraon zgodził się poddać kuracji.

Wtedy lekarze na cały dzień wynieśli go do ogrodu, między pachnące drzewa iglaste, karmili go siekanem mięsem, poili mocnemi rosołami, mlekiem i starem winem. Dzielne te środki na jakiś tydzień wzmocniły jego świątobliwość; wnet jednak przyszło nowe osłabienie i dla zwalczania go zmuszono pana, ażeby pił świeżą krew cieląt, pochodzących od Apisa.

Lecz i krew nie na długo pomogła, i trzeba było odwołać się do porady arcykapłana świątyni—złego boga Seta.

Wśród powszechnej trwogi, ponury kapłan

wszedł do sypialni jego świątobliwości, spojrzał na chorego i zalecił straszne lekarstwo.

— Trzeba — rzekł — dawać faraonowi do picia krew z niewinnych dzieci, codzień po kubku...

Kapłani i magnaci, zapełniający pokój, oniemieli na taką radę. Potem zaczęli szeptać, że do tego celu najlepsze będą dzieci chłopskie; dzieci bowiem kapłańskie i wielkich panów już w niemowlęctwie tracą niewinność.

— Wszystko mi jedno, czyje to będą dzieci— odparł okrutny kapłan — byle jego świątobliwość miał codzień świeżą krew.

Pan, leżąc na łóżku z zamkniętemi oczyma, słuchał tej krwawej rady i lękliwych szeptów dworu. A gdy jeden z lekarzy nieśmiało spytał Herhora: czy można zająć się wyszukaniem odpowiednich dzieci?... faraon ocknął się. Wlepił mądre oczy w obecnych i rzekł:

— Krokodyl nie pożera swoich małych, szakal i hiena oddaje życie za swe szczenięta, a ja miałżebym pić krew egipskich dzieci, które są mojemi dziećmi?... Zaprawdę, nigdybym nie przypuszczał, że ośmieli mi się kto zalecić tak niegodne lekarstwo!...

Kapłan złego ducha upadł na ziemię, tłumacząc się, że krwi dziecięcej nikt nigdy nie pił w Egipcie, lecz że moce piekielne tym sposobem mają przywracać zdrowie. Taki przynajmniej środek używa się w Asyrji i Fenicji.

— Wstydź się — odparł faraon — w pałacu mocarzy egipskich wspominać obmierzłe rzeczy.

Czy nie wiesz, że Fenicjanie i Asyryjczycy są głupimi barbarzyńcami? Ale u nas najciemniejszy chłop nie uwierzy, aby krew, niewinnie rozlana, mogła komu wyjść na pożytek.

Tak mówił równy nieśmiertelnym. Dworacy zasłonili twarze pokalane wstydem, a arcykapłan Seta pocichu wyniósł się z komnaty.

Wówczas Herhor, aby uratować gasnące życie władcy, uciekł się do ostatecznego środka i powiedział faraonowi, że kryje się w jednej z tebańskich świątyń Chaldejczyk, Beroes, najmędrszy kapłan z Babilonu i niezrównany cudotwórca.

— Dla waszej świątobliwości — mówił Herhor — obcy to człowiek i nie ma prawa udzielać tak ważnych rad naszemu panu. Ale pozwól, królu, ażeby spojrzał na ciebie, bo jestem pewny, że znajdzie dla twej choroby lekarstwo, a w żadnym wypadku nie obrazi twojej świętości bezbożnemi słowami.

Faraon i tym razem uległ namowom wiernego sługi. A we dwa dni Beroes, wezwany jakimś tajemnym sposobem, przypłynął do Memfisu.

Mądry Chaldejczyk, nawet nie oglądając szczegółowo faraona, taką dał radę:

— Trzeba znaleźć w Egipcie człowieka, którego modły dosięgają tronu Najwyższego. A gdy on szczerze pomodli się na intencję faraona, władca odzyska zdrowie i będzie żył długie lata.

Usłyszawszy te słowa, pan spojrzał na gromadę otaczających go kapłanów i rzekł:

— Widzę tu tylu mężów świętych, że gdy który zechce pomyśleć o mnie, będę zdrów...

I uśmiechnął się nieznacznie.

— Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi — wtrącił cudotwórczy Beroes — więc dusze nasze niezawsze mogą wznieść się do podnóżka Przedwiecznego. Dam jednak waszej świątobliwości nieomylny sposób odkrycia człowieka, który modli się najszczerzej i najskuteczniej.

— Owszem, odkryj mi go, ażeby został moim przyjacielem w ostatniej godzinie życia.

Po przychylnej odpowiedzi pana, Chaldejczyk zażądał komnaty, mającej tylko jedne drzwi i przez nikogo niezamieszkiwanej. I tego samego dnia, na godzinę przed zachodem słońca, kazał przenieść tam jego świątobliwość.

W oznaczonej porze czterech najwyższych kapłanów ubrało faraona w nową, lnianą szatę, odmówiło nad nim wielką modlitwę, która stanowczo odpędzała złe moce, i, usadowiwszy go w prostą lektykę z cedrowego drzewa, zanieśli pana do owej pustej komnaty, gdzie znajdował się tylko mały stolik.

Był tam już Beroes i, zwrócony do wschodu, modlił się.

Kiedy kapłani wyszli, Chaldejczyk zamknął ciężkie drzwi izby, włożył na ramiona purpurową szarfę, a na stoliku przed faraonem postawił szklaną kulę czarnej barwy. W lewą rękę wziął ostry sztylet z babilońskiej stali, w prawą — laskę, pokrytą tajemniczemi znakami, i tąż laską dookoła siebie

i faraona zakreślił w powietrzu krąg. Potem, zwracając się kolejno ku czterem okolicom świata, szeptał:

„Amorul, Taneha, Latisten, Rahur, Adonay... Miej litość nade mną i oczyść mnie, Ojcze niebieski, łaskawy i miłosierny... Zlej na niegodnego sługę swoje święte błogosławieństwo i wyciągnij wszechmocne ramię na duchy uparte i buntownicze, ażebym mógł rozważyć w spokoju twoje święte dzieła..."

Przerwał i zwrócił się do faraona:

— Mer-amen-Ramzesie, arcykapłanie Amona, czy w tej czarnej kuli dostrzegasz iskrę?...

— Widzę białą iskierkę, która zdaje się poruszać, jak pszczoła nad kwiatem...

— Men-amen-Ramzesie, patrz w tę iskrę i nie odrywaj od niej oczu... Nie spoglądaj ani na prawo, ani na lewo, ani na nic, cokolwiek wychylałoby się z boków..

I znowu szeptał:

„Baralanensis, Baldachiensis, przez potężnych książąt Genio, Lachiade, ministrów piekielnego państwa, wywołuję was i wzywam mocą najwyższego Majestatu, którą jestem obdarzony, zaklinam was i rozkazuję..."

W tem miejscu faraon wstrząsnął się ze wstrętem.

— Mer-amen-Ramzesie, co widzisz? — zapytał Chaldejczyk.

— Z poza kuli wychyla się jakaś okropna głowa... Rude włosy jeżą się... twarz zielonkowatej

barwy... źrenice wywrócone na dół, że tylko białka oczu widać... Usta szeroko otwarte, jakby chciały krzyczeć...

— To trwoga — rzekł Beroes i zwrócił ponad kulę ostrze sztyletu.

Nagle faraon aż zgiął się ku ziemi.

— Dosyć!... — zawołał — dlaczego mnie tak męczysz?... Strudzone ciało chce spocząć, dusza ulecieć w krainę wiecznego światła... A wy nietylko nie pozwalacie mi umrzeć, ale jeszcze wymyślacie nowe udręczenia... Ach!... nie chcę...

— Co widzisz?...

— Od sufitu co chwila spuszczają się, niby dwie nogi pajęcze, straszliwe... Grube jak palmy, kosmate, zakończone hakami... Czuję, że nad moją głową unosi się potwornej wielkości pająk i osnuwa mnie siecią z lin okrętowych...

Beroes zwrócił sztylet wgórę.

— Mer-amen-Ramzesie — rzekł znowu — ciągle patrz w iskrę i nie oglądaj się na boki...

„Oto znak, który podnoszę w waszej obecności... — szeptał. — Otom jest potężnie uzbrojony w pomoc Boską, przewidujący i nieustraszony, który wywołuję was przez zaklęcia... Aye, Saraye, Aye, Saraye... przez imię wszechmocnego i wiecznie żyjącego Boga...“

W tej chwili na twarzy faraona ukazał się spokojny uśmiech.

— Zdaje mi się—rzekł pan—że widzę Egipt... cały Egipt... Tak, to jest Nil... pustynia... Tu Memfis, tam Teby...

Istotnie widział Egipt, cały Egipt, ale niewiększy od alei, która ciągnęła się przez ogród jego pałacu. Dziwny obraz miał jednak tę własność, że gdy faraon skierował na jaki punkt baczniejszą uwagę, punkt ten rozrastał się w okolicę, prawie naturalnej wielkości.

Słońce już zachodziło, oblewając ziemię złotawo-purpurowem światłem. Dzienne ptaki zasiadały do snu, nocne budziły się w kryjówkach. W pustyni ziewały hieny i szakale, a drzemiący lew przeciągał potężne cielsko, gotując się do pościgów za łupem.

Nilowy rybak śpiesznie wywłóczył sieci, wielkie statki transportowe przybijały do brzegów. Znużony rolnik odejmował od żórawia kubeł, którym przez cały dzień czerpał wodę; inny powoli wracał z pługiem do swej lepianki. W miastach zapalono światła, w świątyniach kapłani zbierali się na nabożeństwo wieczorne. Na gościńcach opadał kurz i milknęły skrzypiące koła wozów. Ze szczytu pylonów odezwały się jękliwe głosy, wzywające naród do modlitwy.

W chwilę później faraon spostrzegł ze zdziwieniem niby stado srebrzystych ptaków, unoszących się nad ziemią. Wylatywały one ze świątyń, pałaców, ulic, fabryk, statków nilowych, chat wieśniaczych, nawet z kopalń. Z początku każdy z nich pędził wgórę, jak strzała, lecz wnet spotykał pod niebem innego srebrno-piórego ptaka, który zabiegał mu drogę, uderzał go z całej siły, i — obaj martwi upadali na ziemię.

Były to niezgodne modlitwy ludzkie, które nawzajem przeszkadzały sobie wzbić się do tronu Przedwiecznego...

Faraon wytężył słuch... Z początku dolatywał go tylko szelest skrzydeł; niebawem jednak mógł odróżnić wyrazy.

I oto słyszał chorego, który modlił się o powrót do zdrowia, a jednocześnie lekarza, który błagał, ażeby jego pacjent chorował jak najdłużej. Gospodarz prosił Amona o czuwanie nad jego śpichrzem i oborą; złodziej wyciągał ręce do nieba, ażeby bez przeszkody mógł wyprowadzić cudzą krowę i napełnić wory cudzem ziarnem.

Modlitwy ich roztrącały się, jak kamienie, wyrzucone z procy.

Wędrowiec w pustyni upadał na piasek, żebrząc o wiatr północny, któryby mu przyniósł kroplę wody; morski żeglarz bił czołem o pokład, ażeby jeszcze przez tydzień wiały wiatry ze wschodu. Rolnik chciał, aby prędzej wysychały bagna po wylewie; ubogi rybak żądał, by bagna nie wysychały nigdy.

I ich modły rozbijały się wzajemnie i nie dosięgły boskich uszu Amona.

Największy zgiełk panował nad kamieniołomami, gdzie przestępcy, skuci w łańcuchy zapomocą klinów, moczonych wodą, rozsadzali ogromne skały. Tam partja robotników dziennych błagała o noc, aby spać się położyć; podczas gdy budzeni przez dozorców robotnicy partji nocnej bili się w piersi, aby nigdy nie zachodziło słońce. Tam

kupcy, którzy nabywali odłupane i obrobione kamienie, modlili się, ażeby jak najwięcej było w kopalni przestępców, podczas gdy dostawcy żywności leżeli na brzuchach, wzdychając, ażeby pomór tępił robotników i umożliwił dostawcom większe zyski.

Więc i modły ludzi z kopalń nie dolatywały do nieba.

Na zachodniej granicy ujrzał faraon dwie armje, gotujące się do boju. Obie leżały na piaskach, wzywając Amona o wytępienie nieprzyjaciół. Libijczycy życzyli hańby i śmierci Egipcjanom; Egipcjanie miotali przekleństwa na Libijczyków.

Modły tych i tamtych, jak dwa stada jastrzębi, starły się nad ziemią i spadły na pustynię. Amon nawet ich nie dojrzał.

I gdziekolwiek zwrócił faraon umęczoną źrenicę, wszędzie było to samo. Chłopi modlili się o wypoczynek i zniżenie podatków; pisarze — aby rosły podatki i nigdy nie kończyła się praca. Kapłani błagali Amona o długie życie dla Ramzesa XII-go i wytępienie Fenicjan, którzy psuli im operacje pieniężne; nomarchowie wzywali bóstwa, aby zachowało Fenicjan i prędzej pozwoliło wejść na tron Ramzesowi XIII-temu, gdyż ten ukróci samowolę kapłanów. Lwy, szakale i hieny dyszały głodem i pożądaniem świeżej krwi; jelenie, sarny i zające z trwogą opuszczały kryjówki, myśląc o zachowaniu nędznego życia jeszcze przez jedną dobę. Choć mówiło doświadczenie, że i tej nocy kilkanaścioro ich musi zginąć, ażeby nie pomarły drapieżniki.

I tak na całym świecie panowała rozterka.

Każdy chciał tego, co lękiem napełniało innych; każdy prosił o własne dobro, nie pytając, czy nie zrobi szkody bliźniemu.

Przeto modlitwy ich, chociaż były jak srebrzyste ptaki, wzbijające się ku niebu, nie dosięgły przeznaczenia. I boski Amon, którego nie dochodził żaden głos z ziemi, oparłszy ręce na kolanach, coraz więcej zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej boleści, a na świecie coraz częściej rządziła ślepa moc i przypadek.

Nagle faraon usłyszał głos kobiecy:

— Psujak!... Psujaczek!... wracaj, zbytniku, do chaty, bo już pora na modlitwę...

— Zaraz... zaraz!... — odpowiedział głos dziecięcy.

Władca spojrzał w tym kierunku i zobaczył ubogą lepiankę pisarza od bydła. Właściciel jej, przy blaskach zachodzącego słońca, kończył pisać swój rejestr, jego żona rozbijała kamieniem pszenicę na placki, a przed domem, jak młody koziołek, biegał i skakał sześcioletni chłopczyna, śmiejąc się niewiadomo z czego.

Widać upajało go pełne woni powietrze wieczoru.

— Psujak!... Psujaczek... chodź mi tu na modlitwę... — powtarzała kobieta.

— Zaraz!... zaraz!...

I znowu biegał i cieszył się, jak szalony.

Nareszcie matka, widząc, że słońce zaczyna pogrążać się w piaskach pustyni, odłożyła swój kamień i, wyszedłszy na dziedziniec, schwyciła biega-

jącego chłopca, jak źrebaka. Opierał się, lecz wkońcu uległ przemocy. Matka zaś, wciągnąwszy go do lepianki, czem prędzej posadziła go na podłodze i przytrzymała ręką, ażeby jej znowu nie uciekł.

— Nie kręć się — mówiła — podwiń nogi i siedź prosto, a ręce złóż i podnieś do góry... A niedobre dziecko!...

Chłopak wiedział, że już nie wykręci się od modlitwy, więc aby jak najprędzej wyrwać się znowu na podwórze. wzniósł pobożnie oczy i ręce do nieba i cieniutkim a krzykliwym głosem, prawił zadyszany:

— Dziękuję ci, dobry boży Amonie, żeś tatkę chronił dzisiaj od przygód, a mamie dał pszenicy na placki... I jeszcze co?... Żeś stworzył niebo i ziemię i zesłał jej Nil, który sam chleb przynosi... I jeszcze co?... Aha, już wiem!... I jeszcze dziękuję ci, że tak pięknie na dworze, że rosną kwiaty, śpiewają ptaki i że palma rodzi słodkie daktyle. A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię, jak ja, i chwalą lepiej ode mnie, bom jeszcze mały i nie uczyli mnie mądrości. No, już dosyć...

— Złe dziecko! — mruknął pisarz od bydła, schylony nad swoim regestrem. — Złe dziecko, niedbale oddaje cześć Amonowi.

Ale faraon w czarodziejskiej kuli dostrzegł zupełnie co innego. Oto modlitwa rozzbytkowanego chłopczyny, jak skowronek, zbliża się ku niebu i, trzepocząc skrzydłami, wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż do tronu, gdzie wiekuisty Amon, z rękoma na kolanach, zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej wszechmocy.

Potem wzniosła się jeszcze wyżej, aż na wysokość głowy bóstwa i śpiewała mu cienkim dziecięcym głosikiem:

— A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię, jak ja...

Na te słowa, pogrążone w sobie bóstwo otworzyło oczy, i padł z nich na świat promień szczęścia. Od nieba do ziemi zaległa niezmierna cisza. Ustał wszelki ból, wszelki strach, wszelka krzywda. Świszczący pocisk zawisnął w powietrzu, lew zatrzymał się w skoku na łanię, podniesiony kij nie spadł na plecy niewolnika. Chory zapomniał o cierpieniu, zbłąkany w pustyni — o głodzie, więzień — o łańcuchach. Ucichła burza i stanęła fala morska, gotowa zatopić okręt. I na całej ziemi zapanował taki spokój, że słońce, już ukryte pod widnokręgiem, znowu podniosło promieniejącą głowę...

Faraon ocknął się. Zobaczył przed sobą mały stolik, na nim czarną kulę, a obok — Chaldejczyka Beroesa.

— Mer-amen-Ramzesie — spytał kapłan — znalazłżeś człowieka, którego modły trafią do podnóżka Przedwiecznego?

— Tak — odparł faraon.

— Jestże on księciem, rycerzem, prorokiem, czy może tylko zwyczajnym pustelnikiem?

— Jest to mały, sześcioletni chłopczyk, który o nic Amona nie prosił, lecz za wszystko dziękował.

— A wiesz, gdzie on mieszka? — pytał Chaldejczyk.

— Wiem, ale nie chcę wykradać dla siebie

potęgi jego modlitw. Świat, Beroesie, jest to olbrzymi wir, w którym ludzie miotają się, jak piasek, a rzuca nimi nieszczęście. Zaś dziecko swoją modlitwą daje ludziom to, czego ja nie potrafię: krótką chwilę zapomnienia i spokoju. Zapomnienie i spokój... rozumiesz Chaldejczyku?

Beroes milczał.

ROZDZIAŁ XXIV.

O wschodzie słońca dwudziestego pierwszego Hator, do obozu nad Sodowemi Jeziorami przyszedł z Memfisu rozkaz, według którego trzy pułki miały maszerować do Libji i stanąć załogami w miastach, reszta zaś armji egipskiej, wraz z księciem, miała wrócić do domu.

Wojska okrzykami radości powitały to rozporządzenie; kilkudniowy bowiem pobyt w pustyni już zaczynał im dokuczać. Pomimo dowozów i z Egiptu, i z upokorzonej Libji, nie było nadmiaru żywności; woda w studniach, naprędce wykopanych, wyczerpała się; żar słoneczny wypalał ciała, a rudy piasek raził płuca i oczy. Żołnierze poczęli chorować na dysenterję i złośliwe zapalenie powiek.

Ramzes kazał zwinąć obóz. Trzy pułki rodowitych Egipcjan wyprawił do Libji, zalecając żołnierzom, aby łagodnie traktowali mieszkańców i nigdy nie włóczyli się pojedyńczo. Właściwą zaś armję skierował do Memfisu, zostawiając małą załogę w forteczce i hutach szklanych.

O dziewiątej rano, mimo spiekoty, oba wojska były już w drodze; jedni na północ, drudzy na południe.

— Byłoby dobrze, gdybyś wasza dostojność mógł wcześniej dojechać do Memfisu. W połowie drogi będą świeże konie...

— Więc mój ojciec jest ciężko chory?...—zawołał Ramzes.

Kapłan schylił głowę.

Książę zdał Mentezufisowi naczelne dowództwo, prosząc go, aby w niczem nie zmieniał już wydanych rozporządzeń, bez naradzenia się ze świeckimi generałami. Sam zaś, wziąwszy Pentuera, Tutmozisa i dwudziestu najlepszych jeźdźców azjatyckich, wyciągniętym kłusem pojechał do Memfisu.

W pięć godzin przebyli połowę drogi i, jak zapowiedział Mentezufis, znaleźli świeże konie i nowy orszak. Azjaci zostali tutaj, a książę ze swymi dwoma towarzyszami i nową eskortą, po krótkim odpoczynku, pojechał dalej.

— Biada mi! — jęczał elegancki Tutmozis. — Niedość, że od pięciu dni nie kąpię się i nie znam różanego olejku, ale nadto muszę odbyć dwa forsowne marsze w jeden dzień!.. Jestem pewny, że, gdy staniemy na miejscu, żadna tancerka nie zechce na mnie spojrzeć...

— Cóżeś lepszego od nas? — spytał książę.

— Jestem wątlejszy!—westchnął Tutmozis.— Ty książę przywykłeś do konnej jazdy, jak Hyksos, a Pentuer mógłby podróżować nawet na rozpalonym mieczu. Ale ja, taki delikatny...

O zachodzie słońca podróżni wjechali na wysoki pagórek, skąd roztoczył się niezwykły obraz. Zdaleka przed nimi widać było zielonawą dolinę Egiptu, a na jej tle, niby szereg czerwonych płomieni, jaśniały trójkątne piramidy. Trochę na prawo od piramid, również zdawały się płonąć wierzchołki pylonów Memfisu, owiniętego w niebieskawą mgłę.

— Jedźmy, jedźmy!... — nalegał książę.

W chwilę później, znowu otoczyła ich ruda pustynia i znowu zajaśniał sznur piramid, dopóki wszystko nie rozpłynęło się w bladej pomroce.

Gdy zapadła noc, podróżni dotarli do olbrzymiej krainy zmarłych, która po lewej stronie rzeki na wzgórzach ciągnęła się na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst.

Tu za Starego Państwa chowano na wieczne czasy Egipcjan: królów w ogromnych piramidach, książąt i dostojników w mniejszych piramidach, prostaków w lepiankach. Spoczywały tu miljony mumij nietylko ludzi, ale i psów, kotów, ptaków, słowem — wszystkich stworzeń, które za życia miłemi były człowiekowi.

Za czasów Ramzesa, królewski i magnacki cmentarz przeniesiono do Tebów, a w sąsiedztwie piramid grzebano tylko chłopów i wyrobników z najbliższych okolic.

Między rozpierzchłemi grobami, książę i jego orszak spotkał gromadkę ludzi, przesuwających się, jak cienie.

— Kto wy jesteście? — zapytał dowódca eskorty.

— Jesteśmy biedni słudzy faraona, a wracamy od naszych zmarłych... Zanieśliśmy im trochę róż, piwa i placków...

— A może zaglądaliście do cudzych grobów?

— O bogowie! — zawołał jeden z gromady — czyliż jesteśmy zdolni do podobnego świętokradztwa?... To tylko przewrotni Tebańczycy (oby im ręce poschły!) niepokoją zmarłych, aby w szynkach przepić ich własność.

— Co znaczą te ogniska tam, na północ? — wtrącił książę.

— Musisz, panie, zdaleka jechać, kiedy nie wiesz — odpowiedziano. — Wszakże to jutro nasz następca wraca ze zwycięskiem wojskiem... Wielki wódz!... W jednej bitwie zawojował nędznych Libijczyków... To też lud z Memfisu wyszedł, aby go uroczyście powitać... Trzydzieści tysięcy głów... Dopieroż będą krzyczeli!

— Rozumiem—szepnął książę do Pentuera.— Święty Mentezufis wysłał mnie naprzód, abym nie odbył triumfalnego pochodu... Ale niech i tak będzie, na dzisiaj...

Konie były pomęczone i należało wytchnąć. Posłał więc książę kilku jezdnych, aby zamówili statki na rzece, a resztę orszaku zatrzymał pod kępą palm, które wówczas rosły między grupą piramid a Sfinksem.

Grupa ta stanowi północny kraniec niezmiernego cmentarzyska. Na placu, mającym około kilometra kwadratowego powierzchni, porosłym w owych czasach pustynną roślinnością, tłoczy się

mnóstwo grobów i małych piramid, nad któremi górują trzy piramidy największe: Cheopsa, Khefrena i Mykerina, tudzież Sfinks. Kolosalne te budowle są oddalone jedna od drugiej ledwo na kilkaset kroków. Trzy piramidy stoją w jednym rzędzie od północo-wschodu ku południowo-zachodowi, na wschód zaś od tej linji, najbliżej Nilu leży Sfinks, u którego stóp ciągnęła się podziemna świątynia Horusa.

Piramidy, a szczególnie Cheopsa, jako utwór ludzkiej pracy, przeraża swoją wielkością. Jest to kamienny pagórek śpiczasty, wysoki na trzydzieści pięć piętr (sto trzydzieści siedem metrów), stojący na podstawie kwadratowej, której każdy bok ma około trzystu pięćdziesięciu kroków (dwustu dwudziestu siedmiu metrów) długości. Piramida zajmuje dziesięć morgów powierzchni, a jej cztery trójkątne ściany pokryłyby siedemnasto-morgową przestrzeń. Na budowę jej zużyto takie mnóstwo kamieni, że możnaby wznieść mur wyższy od wzrostu człowieka, szeroki na pół metra, długi na dwa tysiące pięćset kilometrów!...

Kiedy orszak książęcy rozłożył się pod mizernemi drzewami, kilku żołnierzy zajęło się wyszukaniem wody, inni wydobyli suchary, a Tutmozis upadł na ziemię i zasnął. Książę zaś i Pentuer zaczęli przechadzać się, rozmawiając.

Noc była dość jasna, że można było widzieć z jednej strony niezmierne sylwetki piramid, z drugiej figurę Sfinksa, który w porównaniu z niemi wydawał się małym.

— Jestem tu już czwarty raz — rzekł następca — a zawsze moje serce napełnia się zdumieniem i żalem. Kiedym był jeszcze uczniem wyższej szkoły, myślałem, że, wstąpiwszy na tron, wzniosę coś dostojniejszego, aniżeli piramida Cheopsa. Ale dzisiaj śmiać mi się chce z mego zuchwalstwa, kiedy pomyślę, że wielki faraon przy budowie swego grobowca zapłacił tysiąc sześćset talentów *) za same jarzyny dla robotników... Skądbym ja wziął tysiąc sześćset talentów, a choćby tylko ludzi!...

— Nie zazdrość, panie, Cheopsowi — odparł kapłan. — Inni faraonowie lepsze zostawili po sobie dzieła: jeziora, kanały, gościńce, świątynie i szkoły.

— Alboż te rzeczy można porównać z piramidami?

— Z pewnością, że nie — śpiesznie odpowiedział kapłan. — W oczach moich i całego ludu, każda piramida jest wielkim występkiem, a największym — Cheopsowa...

— Unosisz się — reflektował go książę.

— Wcale nie. Swój wielki grób budował faraon przez lat trzydzieści, w ciągu których sto tysięcy ludzi pracowało co rok po trzy miesiące. I jaki z tej pracy pożytek?... Kogo ona wykarmiła, uleczyła, odziała?... Ale zato co rok przy tej robocie marniało dziesięć do dwudziestu tysięcy ludzi... Czyli — na grób Cheopsa złożyło się z pół miljona trupów... A ile krwi, łez, bólów — kto zrachuje?

*) Około 10 miljonów franków.

Dlatego nie dziw się, panie, że chłop egipski po dziś dzień z trwogą patrzy na zachód, gdzie nad horyzontem krwawią się lub czernieją trójkątne postacie piramid. Toż to świadkowie jego mąk i jałowej pracy...

I pomyśleć, że tak będzie zawsze, dopóki te dowody ludzkiej pychy w proch się nie rozsypią. Ale kiedy to nastąpi! Od trzech tysięcy lat straszą nas swoim widokiem, a jeszcze ściany ich są gładkie, a ogromne napisy — czytelne.

— Tamtej nocy, w pustyni, mówiłeś inaczej— wtrącił książę.

— Bom nie patrzał na nie. Ale kiedy je mam, jak teraz, przed oczyma, otaczają mnie łkające duchy zamęczonych chłopów i szepcą: „Patrz, co zrobiono z nami!... A przecie i nasze kości czuły ból i nasze serca tęskniły do odpoczynku...“

Ramzes był w przykry sposób dotknięty tym wybuchem.

— Mój świątobliwy ojciec—rzekł po chwili— inaczej przedstawił mi te sprawy. Kiedy byliśmy tutaj przed pięciu laty, boski pan opowiadał mi taką historję:

Za faraona Tutmozisa I, przyjechali posłowie etjopscy umawiać się o wysokość płaconych przez siebie danin. Hardy to był naród! Mówili, że jedna przegrana wojna nic nie stanowi, w drugiej bowiem los na nich może być łaskaw — i przez parę miesięcy targowali się o haracz.

Napróżno mądry król, chcąc łagodnie oświecić ich, pokazywał im nasze gościńce i kanały. Odpo-

wiadali, że w ich kraju wodę mają darmo, gdzie chcą. Naprożno odsłaniano im skarbce świątyń: mówili, że ich ziemia kryje daleko więcej złota i klejnotów, aniżeli cały Egipt. Nadaremnie pan mustrował wobec nich swoje wojska, gdyż twierdzili, że Etjopów jest bez porównania więcej, aniżeli jego świątobliwość ma żołnierzy.

Wówczas faraon przywiózł ich w te oto miejsca, gdzie stoimy, i pokazał piramidy.

Posłowie etjopscy obeszli je wokoło, przeczytali napisy i — na drugi dzień zawarli traktat, jakiego od nich żądano.

Ponieważ nie zrozumiałem tej historji — ciągnął Ramzes — więc mój święty ojciec objaśnił mi ją.

— Synu — mówił mi — te piramidy są wiekuistym dowodem nadludzkiej potęgi Egiptu. Gdyby jaki człowiek chciał sobie wznieść piramidę, ułożyłby drobny stos kamieni i rzuciłby po kilku godzinach swoją pracę, zapytawszy: naco mi ona? Dziesięciu, stu i tysiąc ludzi nagromadziłoby trochę więcej kamieni, zsypałoby je nieporządnie i — znowu porzuciliby ją po upływie kilku dni. Bo naco im ta robota?

Ale kiedy faraon egipski, kiedy państwo egipskie umyśli sobie zgromadzić stos kamieni, to spędza krocie tysięcy ludzi i buduje choćby przez kilkadziesiąt lat, dopóki roboty nie skończy.

Nie o to bowiem chodzi, czy były potrzebne piramidy? Ale o to, ażeby wola faraona, gdy ją raz wypowiedziano, była spełniona,

Tak, Pentuerze, piramida to nie grób Cheopsa, lecz — w o l a Cheopsa. Wola, która posiada tylu wykonawców, jak żaden król na świecie, a taki porządek i wytrwałość w działaniu, jak bogowie.

Jeszcze w szkołach uczono mnie, że wola ludzka to wielka siła, największa siła pod słońcem. A przecie wola ludzka może podnieść ledwie jeden kamień. Jakże wielką zatem jest wola faraona, który wzniósł górę kamieni, tylko dlatego, że mu się tak podobało, że on tak chciał, choćby nawet bez celu.

— Czy i ty, panie, chciałbyś, w podobny sposób dowodzić swojej potęgi?... — nagle zapytał go Pentuer.

— Nie — odparł książę bez wahania. — Gdy faraonowie raz okazali siłę, mogą już być miłosiernymi. Chyba, że kto próbowałby opierać się ich rozkazom.

„A przecie ten młodzieniec ma dopiero dwadzieścia trzy lata!“ — rzekł do siebie zatrwożony kapłan.

Zwrócili się w stronę rzeki i jakiś czas szli, milcząc.

— Połóż się, panie, — rzekł kapłan — zaśnij. Odbyliśmy nielada podróż.

— Alboż mogę zasnąć?... — odparł książę. — Raz otaczają mnie te krocie chłopów, którzy, według twego zdania, zginęli przy budowie piramid (jakgdyby bez owych piramid mieli żyć wiecznie!...). To znowu myślę o moim świątobliwym ojcu, który może w tej chwili dogorywa... Chłopi cierpią!...

chłopi rozlewają krew!... Kto mi dowiedzie, że mój boski ojciec nie więcej męczy się na swem kosztownem łożu, aniżeli twoi chłopi, dźwigając rozpalone kamienie?...

Chłopi! zawsze chłopi!... Dla ciebie, kapłanie, tylko ten zasługuje na litość, kogo wszy jedzą. Cały szereg faraonów wstąpił do grobu, niektórzy konali w boleściach, niektórych zamordowano. Ale ty o nich nie pamiętasz, tylko o chłopach, których zasługą jest, że rodzili innych chłopów, czerpali błoto nilowe, albo wpychali w usta swoim krowom jęczmienne gałki.

A mój ojciec... a ja?... Czyliż nie zabito mi syna i kobiety z mego domu? Czy był dla mnie miłosierny Tyfon w pustyni, albo kości nie bolą mnie po długiej podróży?... A pociski procarzy libijskich nie świstały mi nad głową?... Mamże ja traktat z chorobą, czy boleścią, czy ze śmiercią, ażeby były dla mnie łaskawsze, niż dla twojego chłopa?

Spojrzyj tam.... Azjaci śpią i cisza zalega ich piersi; ale ja, ich pan, mam serce pełne trosk wczorajszych i niepokoju o jutro. Zapytaj stuletniego chłopa, czy przez cały swój czas doznał tylu goryczy, ile ja w ciągu kilkumiesięcznej władzy namiestnika i wodza?...

Przed nimi zwolna, z głębi nocy, wynurzał się dziwny cień. Była to budowla długa na 50 kroków, wysoka na trzy piętra, mająca z boku niby pięciopiętrową wieżę niezwykłej formy.

— Otóż i Sfinks — mówił rozdrażniony książę—czysto kapłańska robota!... Ile razy widziałem

go, w dzień czy w nocy, zawsze męczyło mnie pytanie: co to jest i naco jest?...

Piramidy — rozumiem. Potężny faraon chciał okazać swoją siłę, a może, co rozsądniej, chciał zabezpieczyć sobie wieczne życie w spokoju, którego nie naruszyłby żaden wróg czy złodziej. Ale ten Sfinks!... Oczywiście jest to nasz święty stan kapłański, który ma bardzo wielką i mądrą głowę, a pod nią lwie pazury...

Wstrętny posąg, pełen dwuznaczności, który zdaje się pysznić tem, że wyglądamy przy nim, jak szarańcza. Ani to człowiek, ani zwierzę, ani skała... Więc czemże on jest? jakie ma znaczenie?... Albo ten jego uśmiech... Podziwiasz wiecznotrwałość piramid — on się uśmiecha; idziesz porozmawiać z grobami — on także się uśmiecha. Czy zazielenią się pola Egiptu, czy Tyfon rozpuści swoje ogniste rumaki, czy niewolnik szuka wolności w pustyni, czy Ramzes Wielki spędza zwyciężone narody—on dla wszystkich ma jeden i ten sam martwy uśmiech.

Dziewiętnaście królewskich dynastyj minęło, jak cienie, ale on uśmiechał się i uśmiechałby się nawet wówczas, gdyby Nil wysechł, a Egipt zginął pod piaskami.

Nie jestże to potwór, tem okropniejszy, że ma łagodną twarz ludzką? Sam wiekuisty, nigdy nie zaznał żalu nad znikomością świata, przepełnionego nędzami.

— Nie pamiętasz, panie, oblicza bogów — wtrącił Pentuer — albo nie widziałeś mumji? Wszyscy nieśmiertelni z takim samym spokojem

patrzą na rzeczy mijające. Nawet i człowiek, o ile już sam minął.

— Bogowie niekiedy słuchają naszych próśb— mówił, jakby do siebie, książę — ale on niczem się nie wzrusza. Nie jest litością, ale olbrzymiem szyderstwem i strachem. Gdybym wiedział, że w jego ustach kryje się wróżba dla mnie, albo sposób podźwignięcia państwa, jeszcze nie śmiałbym go zapytać. Zdaje mi się, że usłyszałbym jakąś straszną rzecz, wypowiedzianą z nieubłaganym spokojem. On taki jest, ten utwór i obraz kapłanów. Gorszy od człowieka, bo ma lwi korpus; gorszy od zwierzęcia, bo ma ludzką głowę; gorszy od skały, bo kryje się w nim niepojęte życie.

W tej chwili doleciały ich jękliwe i stłumione głosy, których źródła nie można było oznaczyć.

— On śpiewa?... — spytał zdziwiony książę.

— To w podziemnej świątyni — odparł kapłan. — Ale dlaczego oni modlą się o tej porze?

— Powiedz lepiej: dlaczego oni wogóle modlą się, kiedy ich nikt nie słyszy?

Pentuer, szybko zorjentowawszy się, poszedł w stronę, skąd dolatywały śpiewy. Książę znalazł jakiś kamień z oparciem i usiadł znużony. Rozciągnął ręce za siebie, odchylił się i patrzał w olbrzymią twarz Sfinksa.

Pomimo braku światła, wyraźnie było widać nadludzkie rysy, którym właśnie cień dodawał charakteru i życia. Książę zaś, im dłużej wpatrywał się w to oblicze, tem silniej odczuwał, że był uprzedzony i że jego niechęć jest niesłuszna.

Na twarzy Sfinksa nie było okrucieństwa, prędzej rezygnacja. W jego uśmiechu nie było szyderstwa, prędzej melancholja. On nie natrząsał się z nędzy i znikomości ludzkiej, raczej nie widział ich.

Jego pełne wyrazu, gdzieś pod niebem osadzone oczy patrzały na Nil, do krain, które dla ludzkich spojrzeń giną pod nieboskłonem. Czy śledził niepokojący wzrost monarchji asyryjskiej? czy natrętną bieganinę Fenicjan? czy narodziny Grecji, a może przyszłe zdarzenia, gotujące się nad Jordanem?... — któż zgadnie?

Książę jednego był pewny, że — on patrzy, myśli i oczekuje na coś ze spokojnym uśmiechem, godnym nadprzyrodzonej istoty. I jeszcze zdawało mu się, że gdy to c o ś ukaże się na horyzoncie, Sfinks powstanie i pójdzie naprzeciw.

C o to ma być i kiedy nastąpi?... Tajemnica, której doniosłość wyraźnie malowała się na twarzy wiekuistego. Musi się to jednak stać nagle, skoro Sfinks od wieków ani na chwilę nie zmrużył oka i patrzy, wciąż patrzy...

Tymczasem Pentuer znalazł okno, przez które z podziemi rozlewała się jękliwa pieśń kapłańska:

C h ó r I. „Wstawaj, promieniejący jak Izis, jak wstaje Sotis na firmamencie rano, z początkiem stałego roku.

C h ó r II. Bóg Amon-Ra był po prawicy i po lewicy mojej. Sam oddał mi w ręce panowanie nad całym światem, przyczyniając się do upadku nieprzyjaciół moich.

C h ó r I. Byłeś jeszcze młody, nosiłeś splecio-

ne włosy, lecz w Egipcie nic nie działo się bez twego rozkazu i nie położono kamienia węgielnego pod żaden gmach bez twojej obecności.

Chór II. Przyszedłem do Ciebie, władco bogów, wielki bogu, panie słońca. Tum obiecuje mi, że ukaże się słońce, i że będę podobny do niego, a Nil, że osięgnę tron Ozirisa i będę go posiadał na wieki.

Chór I. Wróciłeś w spokoju, szanowany przez bogów, władco dwu światów, Ra-Mer-amen-Ramzesie. Zapewniam ci panowanie wieczne, królowie zbliżą się do ciebie i złożą ci hołdy.

Chór II. O ty, ty, Oziris-Ramzesie! wiecznie żyjący synu nieba, zrodzony z bogini Nut. Niech matka twoja otoczy cię tajemnicą nieba i niech zezwoli, abyś został bogiem, o ty, ty, Oziris-Ramzesie" *).

— A więc pan świątobliwy już umarł!... — rzekł do siebie Pentuer.

Odszedł od okna i zbliżył się do miejsca, gdzie siedział następca, pogrążony w marzeniach.

Kapłan ukląkł przed nim, upadł na twarz i zawołał:

— Bądź pozdrowiony, faraonie, władco świata!...

— Co mówisz?!... — zawołał książę, zrywając się.

— Niech Bóg Jedyny i Wszechmocny zleje na ciebie mądrość i siłę, a szczęście na lud twój...

---

*) Napisy grobowe.

— Wstań, Pentuerze... Więc ja... więc... ja...

Nagle wziął za ramię kapłana i obrócił go ku Sfinksowi.

— Spojrzyj na niego — rzekł.

Ale ani w obliczu, ani w postawie kolosu nie zaszła żadna zmiana. Jeden faraon przestąpił granicę wieczności, drugi wchodził, jak słońce, lecz kamienna twarz boga, czy potwora, pozostała taką samą. Na ustach łagodny uśmiech dla ziemskich potęg i chwały, we wzroku oczekiwanie na coś, co ma przyjść, lecz niewiadomo kiedy przyjdzie.

Wkrótce od przewozu wrócili dwaj posłańcy, z zawiadomieniem, że czółna będą gotowe.

Pentuer wszedł między palmy i zawołał:

— Ocknij się!... ocknij się!...

Czujni Azjaci natychmiast zerwali się i zaczęli kiełznać konie. Podniósł się i Tutmozis, szkaradnie ziewający.

— Brr!... — mruknął — jakie zimno... Sen dobra rzecz!... Ledwie się zdrzemnąłem i już mogę jechać, bodaj na koniec świata, byle znowu nie do Sodowych Jezior... Brr!... Już zapomniałem smaku wina, i zdaje mi się, że ręce zaczęły mi porastać włosem, jak szakalowi... A do pałacu mamy jeszcze ze dwie godziny.

Szczęśliwi chłopi!... Śpi gałgan jeden z drugim do tej pory, nie czuje potrzeby kąpania się i nie pójdzie do roboty, dopóki żona nie napasie go jęczmiennym kleikiem. A ja, wielki pan, muszę jak złodziej tułać się nocą po pustyni, nie mając w ustach kropli wody...

Konie były gotowe i Ramzes wsiadł na swego. Wówczas Pentuer zbliżył się, ujął za cugle rumaka władcy i prowadził go, sam idąc pieszo.

— Co to?... — spytał zdziwiony Tutmozis.

Wnet jednak opamiętał się, pobiegł i wziął Ramzesowego konia za cugle z drugiej strony. I tak szli wszyscy, milcząc, zdziwieni zachowaniem się kapłana, choć czuli, że stało się coś ważnego.

Po kilkuset krokach nagle skończyła się pustynia, a przed podróżnymi wyciągnął się gościniec wśród pól.

— Siadajcie na konie — rzekł Ramzes — musimy pośpieszać.

— Jego świątobliwość rozkazuje siąść na koń! — zawołał Pentuer.

Obecni osłupieli. Ale Tutmozis prędko odzyskał przytomność i, położywszy rękę na mieczu, wykrzyknął:

— Niech żyje wiecznie, wszechmocny i łaskawy wódz nasz, faraon Ramzes!

— Niech żyje wiecznie!...—zawyli Azjaci, potrząsając bronią.

— Dziękuję wam, wierni żołnierze moi — odrzekł pan.

W chwilę później konny orszak pędził w stronę rzeki.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

JUL 1978

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 126456877